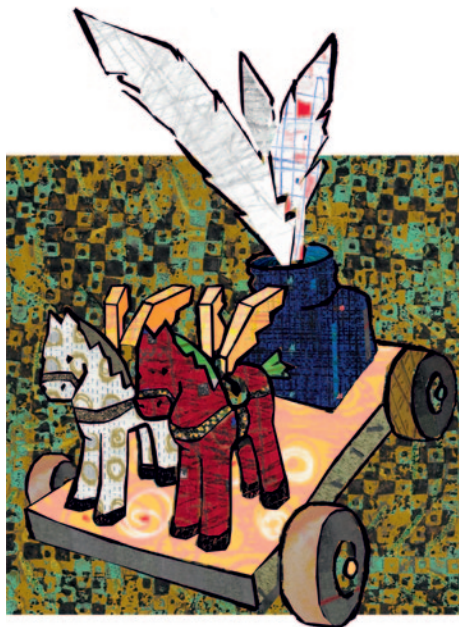




**Lipa 2020**

XXIV Ogólnopolski i XXXVIII Wojewódzki  
Przegląd Dziecięcej i Młodzieżowej  
Twórczości Literackiej  
pod patronatem Prezydenta Miasta Bielska-Białej





XXIV Ogólnopolski i XXXVIII Wojewódzki  
Przegląd Dziecięcej i Młodzieżowej  
Twórczości Literackiej

# Lipa 2020

pod patronatem  
Prezydenta Miasta Bielska-Białej

Spółdzielnia Mieszkaniowa „Złote Łany”  
w Bielsku-Białej



Zrealizowano ze środków:



**Bielsko-Biała**

Miasta Bielska-Białej,  
Urzędu Miejskiego w Bielsku-Białej



Spółdzielni Mieszkaniowej „Złote Łany”



Hotelu Ibis Styles w Bielsku-Białej



AQUA S.A. Bielsko-Biała

Patronat medialny:

Radio Bielsko

Partnerzy lokalni:

Książnica Beskidzka w Bielsku-Białej  
Regionalny Ośrodek Kultury w Bielsku-Białej

## Literatura w czasie zarazy

Nasz konkurs odbywa się w szczególnym czasie, jest epidemia; mówiąc bardziej literacko – to czas zarazy. Na wszystkich ta nagła zmiana funkcjonowania świata zrobiła duże wrażenie, dziwne, gdyby nie było tego znaków w pracach dzieci i młodzieży. I jest ich wiele. Dlatego też przyszło mniej utworów, niż zwykle przybywa na nasz konkurs. Udało nam się jednak wybrać – jak co roku – sto najlepszych. Utrzymuje się tendencja, że coraz więcej jest prozy, a kurczy się poezja. Czasy, jak się zdaje, są mało poetyckie. A szkoda, bo poezja niesie tego rodzaju wrażliwość, która wydaje mi się matką wszystkich sztuk. Internet gwarantuje, że młodzi dużo piszą, wymieniają listy, krótkie wiadomości, a to trening układania słów. Dlatego proza jest sprawniej pisana, niż było to kiedyś. Może to zaowocuje w przyszłości dobrymi powieściami, a także tomikami wierszy. Oby tylko nasi młodzi laureaci nie utracili swojego talentu i zapалу do pisania.

*Tomasz Jastrun*

## Marzenia o edukacji

Edukacja daje marzeniom skrzydła. W czasach, w których coraz mniej liczy się wiedza, wykształcenie.... edukacja daje szansę na bycie niezależnym, żyjącym według własnych wartości i marzeń. Jestem wdzięczna każdemu z Was za to, że próbujecie iść własną drogą, że pisząc pokazujecie nam swoją wrażliwość. Przekazując wszystkie Wasze myśli, obserwacje, przeżycia i przemyślenia, pomagacie nam wierzyć, że to, co robimy, ma sens. Moi wspaniali koledzy jurorzy wskazują Wam drogę. Ja natomiast ułatwiam realizację spotkań doświadczenia i wiedzy z Waszymi poszukiwaniami. Czas, w którym przyszło teraz żyć, przewartościował nam poglądy na życie. Zawsze powtarzaliśmy, że najważniejsza jest wrażliwość, poszanowanie drugiego człowieka, bycie sobą – w zgodzie z własnym sumieniem i wartościami. Dzisiaj sami się o tym zapewne przekonujecie, jak trudno być sobą i nie być zniszczonym hejtami, głupotą tych, dla których liczy się tylko siła, posiadanie i dominacja.

Przez 38 lat na naszej drodze spotykaliśmy wspaniałych ludzi. Nie sposób dzisiaj nie podziękować Zarządowi Spółdzielni Mieszkaniowej „Złote Łany” z prezesem Eugeniuszem Cebratem na czele, który od początku „Lipy” pozwalał na spełnianie naszych marzeń o literackiej przygodzie młodych wrażliwych twór-

ców pióra. Podziękowania należą się byłemu prezydentowi miasta Bielska-Białej Jackowi Krywultowi, wieloletniemu Patronowi „Lipy” i jej Dobroczyńcy, aktualnemu prezydentowi Jarosławowi Klimaszewskiemu, który kontynuuje patronat i jest nadal Dobrodziejem „Lipy”. Trzeba podziękować wspaniałym sponsorom, bez wsparcia których byłoby nam dużo trudniej realizować nasze spotkania – byłemu prezesowi AQUA S.A. Piotrowi Dudkowi i obecnemu Krzysztofovi Michalskiemu, prezesowi Therny Józefowi Niedokosowi, dyrektorom hotelu Magura – dzisiaj Ibis Style, już nieżyjącemu Stanisławowi Małysiakowi, Wioletcie Krzemień-Banot, Monice Michałek i obecnemu dyrektorowi Januszowi Migaczowi, którzy nie tylko udostępniili Wam piękne pokoje, ale przede wszystkim zawsze byli niezwykle gościnni i tworzyli niezapomnianą atmosferę.

Do grona przyjaciół, którzy nas wspierali od początku, zaliczają się właściciel firmy Compal, odpowiadający za skład katalogu – głównej nagrody „Lipy” Leszek Prośniak i dyrektor Książnicy Beskidzkiej Bogdan Kocurek, który niestrudzenie pomaga promować „Lipę” w podległych sobie placówkach.

Grono naszych Dobrodziei może nie jest zbyt wielkie, ale za to są to Wyjątkowi i Wierni Przyjaciele. Dziękuję też moim niestrudzonej jurorom, co roku z tym samym młodzieńczym zapałem czytającym Wasze prace i prowadzącym warsztaty – współtwórcy Lipy, Janowi Pichecie, wyważonemu w ocenie przewodniczącemu jury, Tomaszowi Jastrunowi, rozważnemu i rzetelnemu Juliuszowi Wątrobie oraz ilustratorowi muzycznemu od pierwszej „Lipy” Januszowi Kohutowi.

Dziękuję wszystkim nauczycielom i rodzicom, którzy przez te wszystkie lata propagowali nasz przegląd – całej plejadzie cudownych, wrażliwych na słowo osób, a przede wszystkim dziękuję Wam, że i tym razem nas nie zawiedliście i pomimo tak trudnych czasów nadesłaliście swoje utwory. Chciałabym powiedzieć: – Do zobaczenia w lepszym „jutrze”, ale mam wrażenie, że to tak szybko nie nastąpi...

*Irena Edelman*

## Niezwykłość

Byliśmy pełni obaw, czy w tych nienormalnych czasach będzie normalna LIPA i czy w ogóle będzie. Ale jest! Prac nieco mniej, ale nadeszły. Tematyka też, w znacznej części inna, bo niektóre wiersze podszyte lękiem, z przyuczajonym za rozdrzanymi słowami koronawirusem, a sporo prac (zwłaszcza tych prozą) bezpośrednio nawiązuje do czasu epidemii, gdy cały kraj nagle

i niespodziewanie znalazł się w przymusowej kwarantannie. Stąd pamiętniki, opowiadania, relacje – życie spisywane dzień po dniu, niepokoje, wynikające z nadzwyczajnej sytuacji, z którą przyszło się zmierzyć wielkim i małym, dorosłym i dzieciom. Dlatego tegoroczny przegląd, teksty przepełnione emocjami i niepewnością, będą swoistym dokumentem tego wyjątkowego, indywidualnego i zbiorowego doświadczenia, gdy na próbę zostały wystawione (przez kogo?) wszystkie nacje, a człowiek – mimo tryumfu nauki i technologii – stał się (chwilowo?) bezradny.

Na szczęście nie samym koronawirusem żyją uczestnicy tegorocznej literackiej konfrontacji. Różnorodność tekstów sprawiła, że w tym niezwykłym czasie jest jak zwykle interesująco: od miłości do nienawiści, od zauroczeń do zniechęceń, od afirmacji życia do samobójstw. Wspólny dla uczestników przeglądu jest chyba tylko... wiek, młodość, w której kształtują się gusty i upodobania, a także fascynacje oraz zauroczenia, z których się wyrasta, albo w których się dojrzewa, rozwijając wrodzone predyspozycje – z wrażliwością i wyobraźnią niezbędną dla potencjalnych literatów. Indywidualne i osobne są za to spojrzenia na świat, zawarte w pracach. Im oryginalniejsze, tym cenniejsze, bo świadczą o tym, że każdy jest jedynym i wyjątkowym!

Już nawet nie dziwi dominacja prozy nad poezją. Ten trend (to ostatnio modne słowo) utrzymuje się od kilku lat, choć pozostaje dręczące i frapujące pytanie: dlaczego? Co przeważało, zdecydowało, było i jest siłą sprawczą tego, że dzieci i młodzież zamiast zaczynać naturalnie i logicznie od wierszy (bo są efektem chwili i nie wymagają zbyt wiele czasu) rzucają się od zarańca na głęboką wodę prozy? Nie potrafię sobie na to pytanie odpowiedzieć. Może tegoroczni uczestnicy mi odpowiedzą, żebym nie tkwił w niepewności i rozdarciu. Nie chce mi się wierzyć w to, że proza życia spowodowała kurczenie się i zwijanie poezji, jej wstydlive wycofywanie się, by ustąpić miejsca konkretom i dosłownościom, zamiast bujania w pięknych obłokach marzeń, niedpowiedzeń, zachwyków...

Mimo wszystko optymistyczne te moje wątpliwości. To znaczy, że – mimo siwego i prawie łysego łba – jest ciągle we mnie dziecko, pozwalające się zachwycać wierszami i opowiadaniem moich... rówieśników. Czytając prace „lipowiczów”, jestem (naprawdę!) ich rówieśnikiem, a pesel beczelnie kłamie!

*Juliusz Wątroba*

## Zerwane kontakty z naturą

Gimnazjaliści stanowili dotąd większość uczestników „Lipy”. Wraz z upadkiem gimnazjów w Polsce diametralnie zmniejszyła się ilość tekstów nadsyłanych na nasz przegląd. Teraz jest ich około 700, podczas gdy w poprzednich latach bywało 1500-2000. Na mniejszą ilość „lipowiczów” wpłynęła także pandemia, podczas której uczniowie – w pewnej mierze – utracili kontakt z nauczycielami i przede wszystkim ze szkołą. Na szczęście mniejsza ilość tekstów nie wiąże się z obniżką poziomu literackiego. Jakość jest podobna, a może w kilku przypadkach nawet wyższa!

Niepokoi natomiast już od kilku lat inne zjawisko. Jeszcze trzy czy cztery lata temu bardzo dużo, jeśli nie najwięcej, było tekstów poświęconych przyrodzie. Pisali je zwłaszcza dzieci w młodszym wieku szkolnym oraz młodzież gimnazjalna. Obecnie teksty o naturze są wyjątkowe. Zwłaszcza brak utworów poświęconych florze. Fauna obecna jest w nielicznych wierszach i prozie poświęconych zwierzętom domowym. Wydaje mi się, że młodzi ludzie nie wychodzą już z nauczycielami zobaczyć, czy przyszła wiosna lub jak cudownie barwi nasz świat jesień.

Brak kontaktu z naturą jest groźny dla człowieka m.in. dlatego, że powoduje zanik zdolności zdziwienia światem. Tracimy jedno ze źródeł energii poetyckiej. Najpoważniejsze źródło inspiracji. Zrywamy związki z przyrodą. Zamiast posługiwać się kodem naturalnym przy pomocy zmysłów, wyczulonych onegdaj na naturę, tracimy zapach, wzrok, słuch, dotyk. Obcujemy tylko z kodem sztucznym, cywilizacyjnym – poprzez ekran, czy wręcz z ekranem komórki, komputera, już nawet nie telewizora. Stajemy się ślepi, głusi, nie czujemy innych. Nie znamy ich potrzeb. Nie współczujemy. Nie ma czterech pór roku, jest tylko jedna – pora telewizora czy raczej komputera. Nie ma natury, więc wszystko, co sztuczne, staje się dla nas środowiskiem naturalnym.

Dzieci reagują na ten świat, próbując go rozszyfrować, ale szyfr jest jednoznacznie tragiczny. Emilia Albertusiak z VI klasy szkoły muzycznej w Katowicach powiada, że nawet krople naszych łez pochodzą z ekranu:

(...)

*szklane krople na dłoni  
biegną bez opamiętania*

(...)

*rozmazane oczy szukają światła  
znajdując tylko ciemność*



*okrutną codzienność  
tę która wszystkich dogoni*

Sztuczność kojarzy się ze szkłem także Adzie Galant, wielokrotnej laureatce „Lipy”, uczennicy II kl. LO w Lublinie:

### **Szklani ludzie**

*codziennie widuję  
tylu szklanych ludzi  
żyją obok mnie  
oplatając się  
szklaną ciszą  
chyba tylko ja  
słyszę ich wołanie  
mimo to nie podchodzę  
z obawy  
że ich roztrzaskam*

Kontakt z ludźmi, którzy świata nie widzą za szklaną powłoką ekranu, jest niemożliwy, żadne uczucie do nich nie przemówi. Każdy krok w ich kierunku to katastrofa. Nie mogą już żyć poza swoim środowiskiem.

Sylvia Plath pisywała o zamknięciu pod kloszem. Metaforę szklanych ludzi można także rozumieć w podobny sposób. Żyjemy bowiem – każdy z osobna – pod szkłem, gdyż kontakt z innymi napawa lękiem. Ktoś kogoś może tylko roztrzaskać. Dlatego szkło – z naszym, zamkniętym w nim światem – chroni przed nienawiścią.

Pandemia spowodowała, że nawet ci, którzy chcą obcować z przyrodą, nie mogą tego robić, bo albo zamyka się lasy i parki, albo nos i usta:

*(...)  
mój oddech nie wypełnia płuc  
stłamszony kawałkiem słabej jakości bawełny  
nie pozwala chłonąć zapachu ciepłego wiatru i tulipanów*

– jak twierdzi uczennica VIII kl. z Międzyrzecza Podlaskiego Małgorzata Chodyka. Autorka wydaje się sądzić, że naturalny pęd poznawczy zyskał w zarazie kolejnego przeciwnika:

*niewidzialna procesja zmiany z kostuchą w oddali  
zmierza do świata tylko na ekranie monitora  
ograniczającego moją ciekawą wszystkiego wrażliwość  
Może czekała na mnie gdzieś miłość mojego życia  
Druga połówka pomarańczy albo truskawki  
O ciepłym dotyku czułych dłoni (...)*

Zniewolenie administracyjnymi decyzjami władz dodatkowo ogranicza możliwości wyboru innych opcji życiowych. Pozostaje ekran monitora. Koło się zamyka! Wrażliwość na świat natury nie powinna znaleźć ujścia.

Co prawda wiersze wynikające z kontaktu młodych ludzi z przyrodą nadal się pojawiają, ale już tylko na zasadzie wyjątku. Warto przytoczyć znakomite realizacje. Wydaje się czasem, że piękno natury i obcowania z nią musi gwarantować piękno poezji. Oto wiersze pt. „Haiku” Anny Cybart z VI kl. z Piotrkowa Trybunalskiego:

*I  
Kropla złocista  
W bursztynie zakłeta – pac...  
Łza drzewa w żalu*

*II  
Mały wróbelek,  
gałązka jaśminowa  
Samotne piękno*

*III  
Zorza na niebie  
Wśród zimnej samotności  
jak nocna tęcza.*

Haiku napisała też Ewelina Matejko z V kl. SP w Tłuszcju k. Międzyrzecza Podlaskiego:

*Biała mgła mleko  
rozlane tak po niebie  
zatrzymuje świat*

Oprócz tych kilku wierszy przyrodę znajdujemy tylko pod postacią udomowionych zwierząt, zwłaszcza w prozie. Niezmiennie piękne są natomiast wiersze o miłości:

Oto fragment wiersza Nel Dąbrowskiej z VII kl. POSM w Katowicach:

*kazałeś mi znaleźć  
kogoś takiego jak ty  
kazałeś zamienić  
ciebie na kogoś  
i znalazłam  
i zamieniłam  
i rozpaczam  
bo w kimś  
dokładnie takim jak ty  
brakuje  
częstki mnie  
bo ją  
dałam tylko tobie  
i jak ja ucieknę?  
i jak ja znajdę fragment?  
jak?*

Są to wiersze najprostsze, oparte na jednym koncepcie, jakby powiedział Tomasz Jastrun, takie na jeden oddech.

Oto utwór bez tytułu Aleksandry Kocot z VI kl. SP nr 36 w Bytomiu:

\* \* \*

*krzyk serca  
krzyk myśli  
krzyk duszy  
krzyk umysłu  
noc  
taki hałas  
a Ty się  
nie budzisz*

W literaturze starszych dzieci i młodzieży pojawiają się motywy katastroficzne, gdyż niestety w obliczu zagrożenia koronawirusem możliwy jest tylko krzyk rozpaczny:

Bartosz Kozak z VII kl SP nr 26 w Gliwicach powiada tak oto:

*mój bezpieczny świat  
co miał przetrwać  
tysiąc lat  
dziś  
to już tylko bilans strat  
na piasku ślad*

Jak zwykle niektórzy znajdują ratunek przed zarazą, uciekając w sarkazm i satyrę. Obsmiany intruz już nie jest taki groźny. Tak zdaje się myśleć o rzeczywistości Mikołaj Jan Siedlanowski z V kl. szkoły w Międzyrzeczu Podlaskim.

*Pewien Polak z Międzyrzecza Podlaskiego  
Chciał zjeść w restauracji coś swojskiego  
Przed lokalem stał godziny  
Ludzie mieli dziwne miny  
Chce tu czekać na zdjęcie reżimu sanitarnego?*

Normalne w tym wieku są wiersze o przemianie dziecka w człowieka dorosłego. Przykładem jest tekst Grzegorza Sobkiewicza, ucznia V kl. ze Stalowej Woli. Co ciekawe – to w nim ujawnia się miłość do przyrody. Dorośli robią wszystko, żeby jej nie oglądać! Dzieci – już nieliczne – żeby w niej tkwić:

*za drzwiami czai się dorosłość  
zagląda ciekawska przez szpary  
palcem wskazuje w moją stronę  
a ja  
skaczę jak polny konik  
zahaczam o wszystkie kałuże  
śpiewam radośnie z pszczołami  
przeganiam szare chmury  
liczę biedronkom kropki  
fruwam nad łąką z motylami  
i chyba jeszcze dziś nie chcę  
być dorosłym!*

Sprzeciw wobec świata dorosłych wyrażają dzieci w sposób otwarty, np. Nikola Wojtusiak z V kl. SP TS im. M. Lutra w Bielsku-Białej:

## Konstytucja

*Wersów zakazanych znowu stopy płoną  
Palą je prawnicy  
Palą politycy  
Za kilka lat dzieciom naszym ktoś opowie  
Skłamaną historię – stojąc przy tablicy*

Zakłamanie dorosłych najlepiej wykić przy pomocy ironii. Krąży opinia, że nasze państwo jest tekturowe. Tak nań spogląda mieszkanka Roszczyc Kornelia Jakszta z II kl. LO w Lęborku. Oto wiersz ujawniający kruchość rzeczywistości ludzkiej. Autorka przeciwstawia jej naszą okrutną wobec samych siebie relację.

## ołów

*papierowe łzy, papierowe miasta  
papierowy oddech, papierowe marzenia  
z papieru sny, z papieru nasze serca  
papierowe też gwiazdy na niebie  
i papierowe kwiaty na łące  
a słowa nadal cięższe  
niż z ołowiu*

Podobnie – dwoście – pojmuje nasz najbliższy świat jej koleżanka szkolna Agata Kankowska z Luzina pod Wejherowem.

Oto

## miejsce, które kocham:

*ściany krzyczą  
pięść się zaciska  
łzy cisną się do oczu  
tłuczone szkło rozsypuje się po podłodze  
serce na moment staje*

*pulsuje piekący policzek  
witamy z powrotem w domu*

Ci, którzy nami rządzą, chyba nie cierpią, bo to ludzie chorzy – zdaje się sugerować Wiktorja Pichola z II kl. LO w Elblągu w wierszu

### **Choroba dzisiejszych czasów**

*Brak miłości  
Brak ciepłych słów  
Brak rozmów  
Brak empatii  
A cierpią tylko osoby zdrowe*

*Szklany obraz* dominuje też w wierszu pod tym właśnie tytułem poświęconym Ziemi. Jego autorką jest Wiktorja Pytlarz z I kl. LO w Pile.

*(...)  
zielonym płucom brak tchu (...)  
jesteśmy sprawcami których zgubiła  
miłość nieokazana  
(...)  
Jutro będzie za późno  
by ułożyć posypany obraz  
w całość*

Dzieci i młodzież stawiają pytania o los nie tylko człowieka, ale całej ludzkości. Ujawniają też niepokojącą diagnozę. Stoimy przed pytaniem zgoła leninowskim „Co robić?” Uczyniliśmy sobie Ziemię poddaną i co dalej!? Ona się nam zbyt niebezpiecznie poddała. Istnieją prognozy, że za pół wieku na Ziemi zostanie co prawda przyroda, inna niż dotąd, ale nie my, ludzie! Mamy władzę, ale nie jesteśmy w stanie z niej dobrze skorzystać. Dobrze dla nas i dla Ziemi! Ona jednak trochę pochoruje i się odrodzi. Gorzej z nami.

I tym niezbyt optymistycznym proroctwem ośmielię się zakończyć, aczkolwiek ponoć najlepsze proroctwa to te, które się nie sprawdzają.

*Jan Picheta*

## Z protokołu jury

Jury XXXVIII Wojewódzkiego i XXIV Ogólnopolskiego Przeglądu Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej LIPA' 2020 pod patronatem Prezydenta Miasta Bielska-Białej ma zaszczyt poinformować, że w tegorocznym przeglądzie wzięło udział 290 autorów z całej Polski, którzy nadesłali 745 utworów. 181 uczniów szkół podstawowych nadesłało 441 utworów. 109 uczniów szkół średnich zaprezentowało 304 prace.

Po zapoznaniu się z wszystkimi utworami – jury w składzie: Tomasz Jastrun (przewodniczący), Jan Picheta, Juliusz Wątroba, Irena Edelman (sekretarz) postanowiło uhonorować drukiem w „lipowym” almanachu tradycyjnie teksty stu autorów, którzy wyróżnili się świeżością odbioru rzeczywistości – zwłaszcza w poezji, solidnym – jak na młodych twórców – warszatem literackim lub nawet ujawnieniem własnej wizji świata przedstawionego w utworze. Pandemiczny wirus dezorganizował szkolne życie literackie w dotąd bardzo silnych „lipowych” ośrodkach jak Zakopane, Wrocław, Żywiec czy przede wszystkim Bielsko-Biała, skąd nadesłano bardzo znikomą ilość tekstów. Tym niemniej geografia „Lipy” nadal jest imponująca. Przesyłają teksty dzieci i młodzież z dużych ośrodków jak Warszawa, Szczecin, Katowice, Kraków, Lublin, Bydgoszcz, Poznań, Elbląg czy Rzeszów. Wspaniałe prace ślą również młodzi adepci pióra z tak małych miejscowości jak Międzyrzecz czy Międzyrzec Podlaski, Sokołów Małopolski lub Sokołów Podlaski, Szarwark, Bolesław, Godziszka, Ryczów czy Luzino, Wiślica, Siepietnica i Cienciska.

Jury wyraża zadowolenie z powodu szybkiej, a czasem nawet błyskotliwej reakcji wielu młodych autorów na wydarzenia współczesności (pandemiczna aberracja życia społecznego). Niestety jurorzy muszą wyrazić także żal z powodu nadesłania znacznie mniejszej ilości prac niż zazwyczaj. Najpewniej było to spowodowane wielorakimi trudnościami, z jakimi boryka się polska oświata w „dobie pandemicznych rządów”. Od kilku lat niestety brak tekstów, które świadczą o obcowaniu młodych ludzi z przyrodą. Wygląda to tak, jakby więk-

szość dzieci i młodzieży nie miała w ogóle kontaktu z naturą lub też przeżyć związanych z jej cudownościami nie potrafiła zarejestrować w sposób literacki.

Na szczęście na „Lipę” nadal dociera wiele bardzo dobrych tekstów i mniejsza ich ilość ciągle gwarantuje znakomitą jakość naszej, prawie już czterdziestoletniej imprezy!

Jury:

Tomasz Jastrun (przewodniczący)

Jan Picheta

Juliusz Wątroba

Irena Edelman (sekretarz)





**Wiersze uczniów  
szkół podstawowych**



## **nikt nie dogoni...**

szczęście sływa po ramionach  
szklane krople na dłoni  
biegną bez opamiętania

tam gdzie ich nikt nie dogoni

myśli się beładnie plątają  
w labiryncie umysłu  
nieopisane umyka przed wzrokiem

tam gdzie go nikt nie dogoni

z braku domysłów  
odchodzę od zmysłów  
monotonią staje się codzienność

tu gdzie mnie nikt nie dogoni

w głowie bezbarwny obcy głos  
potrząsanie filiżanką nieznanych uczuć  
rozmyślanie jakie jutro przyniesie los

ten którego nikt nie dogoni

pomieszane słowa z ust  
ranią jak tysiące sztyletów  
zgubione w czasie zdanie i niepewność

ta której nikt nie dogoni

rozpaczy i nędzy tysiące bukietów  
wzrasta w nicość  
w samotności wylewając gorzkie łzy

te których nikt nie dogoni

rozmażane oczy szukają światła  
znajdując tylko ciemność  
okrutną codzienność

tę która wszystkich dogoni

## Życie

Brak nadziei.  
Pustka.  
Zapomnienie.  
Samotność.  
Zamknął oczy.  
Jesienny spacer.  
Jeziro w upalny dzień.  
Zapach ogródka warzywnego.  
Wspólne leniuchowanie na kanapie.  
Bezwarunkowa miłość.

Lecz tego już nie ma.  
Wszystko przepadło jednego dnia.  
Teraz tylko życie w ciasnej klitce.  
Wtedy też przyszedł ktoś.  
Pachniał podobnie jak ona.  
Jagodami zrywanymi prosto z krzaka i bazylią.  
Podniósł się na chwilę  
Z ulotnym błyskiem w oku.  
Lecz odrzucił z powrotem na ziemię.

Nauczył się pokory.  
Gdy zaskrzyptały drzwi, nadal leżał bez ruchu.

Wiedział, by nie robić sobie nadziei.  
Te ręce podniosły go.  
Nawet nie spojrzął.  
Bał się przywiązania.  
Ten Ktoś powiedział:  
Jedziesz ze mną.  
I już tu nie wrócisz, kolego.

Pozwolił sobie nieznacznie pomerdać ogonem.

*Małgorzata Chodyka*

## Wiosna 2020

Pączkują jak liście protesty do Boga  
o wstrzymanie egzekucji na młodości  
zarazy nieomylnie zwiastującej  
koniec znanego nam świata

Podobno każda wiosna jest podobna do poprzedniej  
ale to nieprawda  
mój oddech nie wypełnia płuc  
stłamszony kawałkiem słabej jakości bawełny  
nie pozwala chłonąć zapachu ciepłego wiatru i tulipanów

Niewidzialna procesja zmiany z kostuchą w oddali  
zmierza do świata tylko na ekranie monitora  
ograniczającego moją ciekawą wszystkiego wrażliwość  
Może czekała na mnie gdzieś miłość mojego życia  
Druga połówka pomarańczy albo truskawki  
O ciepłym dotyku czułych dłoni  
i łagodnym uśmiechu którego jest mi dzisiaj  
najbardziej żal  
bo przecież już nigdy go nie zobaczę

*Michał Chodyka*

\*\*\*

Długo myślałem nad tym  
czym jest sztuka wyboru?  
Dlaczego ten „wybór” sztuką nazywamy  
przecież  
z nut się nie składa  
pejzaży nie tworzy  
tomów poezji też nią nie zapewnisz?

Sztuką jest jednak wybór zgodny z sercem,  
taki, którego człowiek później nie żałuje  
i nigdy, nawet u kresu życia,  
do kategorii dramatu go nie zaklasyfikuje.

Moje życie  
jest sztuką samą w sobie,  
przypisaną jednej osobie,  
bo tylko mnie!  
Wybór każdej drogi jest trudny..  
Jak mam postępować, by patrząc w lustro,  
żadnej decyzji nie żałować?

*Michał Chodyka*

*Anna Cybart*

## Haiku

1.

Kropla złocista  
W bursztynie zaklęta – pac...  
Łza drzewa w żalu.

2.

Mały wróbelek,  
gałązka jaśminowa,  
Samotne piękno.

3.

Zorza na niebie  
Wśród zimnej samotności  
jak nocna tęcza.

*Nel Dąbrowska*

## fragment

kazałaś mi znaleźć  
kogoś takiego jak ty  
kazałaś zamienić  
ciebie na kogoś  
i znalazłam  
i zamieniłam  
i rozpaczam  
bo w kimś  
dokładnie takim jak ty

brakuje  
w tym kimś brakuje  
częstki mnie  
bo ją  
dałam tylko tobie  
i jak ja ucieknę?  
i jak ja znajdę fragment?  
jak?

*Aleksandra Kocot*

\*\*\*

krzyk serca  
krzyk myśli  
krzyk duszy  
krzyk umysłu  
noc  
taki hałas  
a Ty się  
nie budzisz

*Barbara Kotula*

## Okno

Patrzę w okno i widzę  
Ciebie z czasów, kiedy byłeś jeszcze sobą.  
Wiem, że teraz udajesz,  
udajesz kogoś kim nie jesteś.  
W oknie widzę,  
(wręcz czuję, że tam jestem)  
Starówkę Warszawską,  
na której się poznaliśmy.  
Byłeś wtedy jeszcze sobą.  
Lecz nagle wiatr zawiął bardzo mocno.  
Okno zatrzęsnęło się z hukiem  
(a był to bardzo mocny huk).  
Szyba się roztrzaskała.

Zniknął obraz Twój.  
Ja już jestem kilka spojrzeń przed Tobą.

*Bartosz Kozak*

## **Bezpieczny świat**

mój bezpieczny świat  
zdmuchnięty  
jak domek z kart  
zmiądzony  
a tyle był dla mnie wart...

bez jego wsparcia  
w obliczu natarcia  
zagrożenia  
bez skutku  
szukam jakiegoś oparcia

mój bezpieczny świat  
co miał przetrwać  
tysiąc lat  
dziś  
to już tylko bilans strat  
na piasku ślad

*Ewelina Matejko*

## **Haiku**

Biała mgła mleko  
rozlane tak po niebie  
zatrzymuje świat

*Julia Parafiniuk*

## **Herbatka codzienna**

Życie jak herbata  
Zielona, czarna, czerwona  
Różnokolorowe  
Bywa gorzkie  
bez szczypty



miłości  
zaufania  
dobroci

Można je wypić duszkiem  
szybko  
obojętnie  
rutynowo

Można je też smakować  
powoli  
z ciekawością jutra

Czasem boleśnie sparzy  
Lub zachwyci  
A często zaskoczy  
Choć pijemy je co dzień

*Martyna Pichlak*

## **Pieśń do miłości**

Jesteś  
jak światło w drodze wędrowca  
Tlen na szczycie wysokiej góry  
Nadzieja wąpiących

Jesteś  
choć niewidoczna na przeźroczach  
Odczuwalna  
W napięciu myśli

W głębinie morza cię nie znajdę  
W powietrzu się nie unosisz  
Lecz czuję twą obecność  
Między gestami zakochanych

*Zofia Pichlak*

## **Nostalgia niewypowiedzianych słów**

Czas tak szybko płynie  
Motorówką po horyzoncie słonecznych wspomnień  
Witaj

Czas szybko biegnie  
Słysząc tętent koni w oddali galopujących myśli  
Podróżuj

Czas prawie się zatrzymał  
Kreśląc ślad twych dłoni w gęstwinie powietrza przed burzą  
Żegnaj

Zatoczyć koło, obrócić się bezwiednie  
Zakryć smutek mchu garstką  
Spętać spojrzeniem  
Zatrzymać czas  
Liczy się tylko  
TERAZ

## Naiwne pytania...

Dlaczego  
Bładym świtem  
Zasiadasz w garderobie  
Swych lęków i niepokojów.  
Kompleksy i niedoskonałości  
Zakrywasz starannie maską.  
Dlaczego, i do diabła po co  
Uciekasz przed samym sobą.  
Bezmyślnie przesuwasz  
granice własnego  
wstydu i przyzwoitości.  
Dobrotliwe kpiny  
zamieniasz w  
okrutny żart.  
Lekkomyślnie  
stąpasz po  
cienkiej linii  
sławy i uznania.  
Dlaczego w pogoni  
za akceptacją  
bezpowrotnie  
gubisz siebie.  
Kameleon, błazen  
klaun, cudak  
czekasz na noc.

w samotności  
ściągasz maskę  
**Jak pięknie  
być sobą**

*Marika Pytlarz*

## Niepamięć

Nigdy nie zapomnę  
starych lęków, nowych strachów,  
wiśni zrywanych na działce babci.

Chciałoby się umierać,  
chciałoby się żyć,  
chciałoby się naprawdę żyć  
i nie martwić testem z chemii,  
bo co mi po chemii skoro serce  
tak z bólu kołacze.

Nie myśleć, że źle.  
Nie myśleć, a czuć,  
a trzymać Boga za rękę,  
a wierzyć,  
że wciąż Panie Boże jesteś  
i że wierzysz we mnie.

Nie zapomnę,  
choć mogę stale zapominać.

*Mikołaj Jan Siedlanowski*

\*\*\*

Pewien Polak z Międzyrzecza Podlaskiego  
Chciał zjeść w restauracji coś swojskiego  
Przed lokalem stał godziny  
Ludzie mieli dziwne miny  
Chce tu czekać na zdjęcie reżimu sanitarnego?

*Anna Siłka*

## **Gruszka**

Ukręcam fryzurę  
Która łączyła ją z drzewem  
Obmywam z prochów przodków  
I nieproszonych gości  
Przesuwam nożem po wcięciu jej talii  
Ubieram w nowe wzory  
Piękna  
A jaka słodka

*Franciszek Słowiak*

## **Przyrody przygody**

I  
Gdzieś w Tatrach wysokich żyła kozica,  
Co wciąż myślała, że z niej łabędzica.  
Pływała w jeziorach,  
Latała po borach,  
Aż z tego wszystkiego złapała ją gruzlica.

*Grzegorz Sobkiewicz*

## **Nie chce...**

za drzwiami czai się dorosłość  
zagląda ciekawska przez szpary  
palcem wskazuje w moją stronę  
a ja  
skaczę jak polny konik  
zahaczam o wszystkie kałuże  
śpiewam radośnie z pszczołami  
przeganiam szare chmury  
liczę biedronkom kropki  
fruwam nad łąką z motylami  
i chyba jeszcze dziś nie chcę  
być dorosłym!

*Amelia Wojrach*

## **Przed Wigilią**

W ten wieczór  
wszystko wygląda inaczej i piękniej  
Dziewczynka z zapalkami już nie marznie  
na pustej ulicy  
Zły Scrooge polubił w końcu święta  
A bezdomny pies znalazł wreszcie  
swojego człowieka

W ten wieczór człowiek człowiekowi przestaje być wilkiem  
i rozumie wreszcie sens słowa „przebaczam”  
Biały opłatek drży w niepewnej ręce złoczyńcy,  
który chce być dzisiaj po ludzku dobry

Od ciebie też zależy, czy mu się uda.

*Nikola Wojtusiak*

## **Konstytucja**

Wersów zakazanych znowu stosy płoną  
Pałą je prawnicy  
Pałą politycy  
Za kilka lat dzieciom naszym ktoś opowie  
Skłamaną historię – stojąc przy tablicy



**Proza uczniów  
szkół podstawowych**





## Gruby Teodor

Życie sypało mu się jak piasek przez palce. Miał brązowe włosy, w kolorze kasztanów (cały był jesienny, ni ciepły, ni zimny, taki pomiędzy). Niezbyt szczupły, bardziej tęgi, chłopcy wołali na niego: niedorozwinięty. Przygłup, ciota, wieloryb, idiota. Czuł, że to prawda. Piasek przelatywał przez palce coraz szybciej.

Teodor czasem chciał palić fajki. Jak ci chłopcy, którzy go nienawidzą. Myślał, dlaczego – starał się sprawiedliwie analizować, nie przeciągać faktów na swoją korzyść, zrozumieć, co zawinił, podsumować sprawę i znaleźć rozwiązanie. Ale miał pustkę w głowie.

Chciał wiedzieć, z jakiego powodu dla tego chłopaka, który przepadł dwa lata z rządu, jest tłusty, nikomu niepotrzebny. Starał się zrozumieć, próbował przez lata, wreszcie doszedł do wniosku – ja najzwyczajniej w świecie taki jestem. I prawie palił fajki, chociaż nigdy nie miał w ustach tytoniu. Ale przyłączył się do nich, w duchu z nimi trzymał. Patrzył w lustro i bluzgał, pluł jadem, nienawidził zażarcie.

Potem tamten chłopak i jego koledzy ukończyli szkołę, wyjechali. Ale został Teodor. I strużki piasku, ciągnące się za nim. Tworzyli zgraną paczkę – Teodor z palaczami, w swoim sercu. Przesiąknął dymem. Kupka piasku, jaką miał w dłoniach, malała.

Czuł się samotny. Miał osobliwe poczucie humoru i nałogowo czytał książki, a jego klasa bardzo go nie lubiła. Byli oni i Teodor – tuż – tuż obok siebie, ale oddzieleni całą galaktyką. Zdawał sobie sprawę, że go obserwują. Żarłocznie czekają na jego fałszywy krok, upadek, chcą pożreć go w całości, patrzeć jak nic z niego nie zostaje.

Może traktują go niezbyt pobłaźliwie.

Chciał być dobrym człowiekiem. Normalnym. Chudym.

Teodor przestał jeść, piasek uciekał. Spadał z hukiem, przeraźliwie – dlaczego nikt nie słyszał?

A im dłużej nie jadł, tym bardziej był chudy, filigranowy. Kiedyś miał ładną twarz, z wielkimi oczami, a teraz był po prostu smutny. Smutny. Chudy. Chudy. Chudszy. Taki chciał być.

Im więcej chudł, tym więcej palił (w duchu). Zaprzyjaźnił się z palaczami. Chcieli dla niego dobrze, a przy okazji byli znakomitymi krętaczami. Teodor, sam z siebie, był zbyt uczciwy, żeby wymyślić sto pięćdziesiąt niezawodnych

sposobów na wyrzucenie obiadu (niepostrzeżenie). Wtedy z pomocą przychodzili palacze – jedyne wsparcie Teodora.

Piasek znikał.

Kiedy zauważył, że efekty go nie zadowolają i że w gruncie rzeczy, nadal jest grubą świnią, palacze upewniali go, że ma rację. Od czasu do czasu sprawiają mu przykrość, ale Teodor wie, że to dla jego dobra. Zdaje sobie sprawę, że żeby zdobyć ich uznanie, musi włożyć więcej sił w odchudzanie. Więc nie je i ćwiczy. Spala kalorie. I jest słaby, już nie czyta książek, coraz mniej się uczy, bo z jednej strony brak mu sił, wszystkie skupił na odchudzaniu, a z drugiej strony wie, że palacze nie lubią nauki.

Czemu tego piasku jest coraz mniej?

Stał się matowym chłopcem. Zimowym. Bez blasku. Chociaż ginął, palacze mówili, że właśnie zmierza po pełnię życia. Wierzył.

W szkole nikt nie rozumiał. Mówili: Fajnie, że schudł. Zaraz potem: Pewnie znowu zgrubnie. Ale on już ich nie słuchał. Miał swoich palaczy.

Pokochoł ich całym sercem, tak jak mały chłopiec może pokochać starszych braci. Naśladować, upatrywać wzoru. Palacze, na pewnym etapie, byli jego być albo nie być, nieodłącznym elementem, jedynym oparciem. Ale kiedy wyznawał im swoje uczucia, odpowiadali, zdenerwowani: „Nie możemy cię kochać, bo nadal jesteś wielorybem”

A Teodor nie chciał niczego innego od życia, jak miłości, akceptacji palaczy – oprócz nich, nie miał nikogo.

– Starasz się za mało. – Usłyszał od nich. To trwało może sekundę, ale wydawało mu się, że jest na przegranej pozycji. Nie wiedział, co może zrobić lepiej. Jadł tyle, co nic albo wcale, regularnie wymiotował. Biegał. Ćwiczył. Spalał. Według opinii publicznej był naprawdę chudy. Ale on wiedział, że palacze chcą dla niego jak najlepiej. Więc ćwiczył więcej, więcej i więcej. A kiedy nie miał siły i tak ćwiczył.

To już ostatnie ziarenka piasku.

Gdzie jest Teodor? Teodor?

T e o d o r?

Widać tylko dym. Teodor, gdzie jesteś?

A on biegnie. Już ostatkiem sił. Piasek wypada z jego dłoni, jest piąta rano.

Dziwiałe ziarenko, Teodor bierze wdech.

Boli go klatka piersiowa.

Ósme ziarenko, zwalnia, ledwo wlecze nogi.

Síódme ziarenko, już tak mało zostało. On myśli: ile jeszcze muszę schudnąć?

Szóste ziarenko, Teodor podejmuje próbę przyspieszenia, ale zamiast tego, znów zwalnia, bo obraz przed jego oczami staje się niejasny, rozmazany. Palacze nie będą dumni.

Piąte ziarenko, otwiera szerzej oczy, szybciej oddycha.

Czwarte ziarenko, widzi przed sobą niewiele, jakby mu nieswojo, coś go wgniata w ziemię. Ale biegnie (bardziej się toczy).

Trzecie ziarenko, myśli o palaczach i o tym, że dla ich uznania warto się starać. Wiedzą, co dla niego dobre.

Drugie ziarenko, spostrzega, jaka z niego tłusta świnia.

Ostatnie ziarenko, już go nie ma.

Zasłabł, upadł na ziemię, uderzył głową w kostkę brukową.

Krew się rozlała, Teodor w niej pływa, nieżywy.

A palacze nigdy się nie dowiedzą, że mają go na sumieniu.

Gdzie byli wszyscy dobrzy ludzie, gdy życie Teodora uciekało przez palce?

I teraz ciągną się całym miastem złote szlaczki, połyskujące, a na ich końcu Teodor, pomalowany na czerwono.

Miejmy nadzieje, że Bóg będzie dla niego pobłażliwy.

*Aleksandra Bednarz*

*Szymon Błoński*

## Starożytni

Sala wykładowa Uniwersytetu Varsovia pękała w szwach. Przedstawiciele stołecznej elity zjechali się na wykład Profesora, którego wykopaliska na terenie dawnego terytorium Polski miały przybliżyć słuchaczom życie starożytnych Polan.

Mimo dużego tłoku słuchacze wciąż się schodzili. Zdejmowali podręczne respiratory (niezbędne, odkąd zawartość CO<sub>2</sub> w atmosferze wzrosła do 40 proc.), wyłączali mózgowy implanty komputerowe (cóż by to był za wstyd, gdyby na wykładzie zaczęła wibrować im głowa) i robili te wszystkie rzeczy, które robią ludzie po wejściu na salę wykładową lub widowiskową.

Gdy wszyscy już zajęli miejsca, na mównicy pojawił się Profesor – nieustrudzony badacz starożytności i rektor Uniwersytetu Varsovia im. Pierwszej Konfederacji Międzygalaktycznej. Wszelkie hałasy natychmiast ucichły, gdy ten niekwestionowany autorytet naukowy łyknął wody ze szklanki i zaczął przemawiać.

– Szanowni Państwo! W ostatnich miesiącach ja i mój zespół prowadziliśmy badania na terenie dawnego terytorium Polski. Odkrycie nasze jest kamieniem milowym archeologii. Znaleźliśmy mianowicie osiedle ludzkie pochodzące dokładnie sprzed czterech tysięcy lat – z roku 2020!

Sala zaszemrała. Takie odkrycia były rzadkością w dzisiejszym świecie. Ostatnim odkryciem podobnej rangi było znalezienie w 5995 starożytnej świątyni nieznanego bóstwa, którego symbolem było nadgryzione jabłko. W kompleksie świątynnym ludność składała bóstwu ofiarę z miedzianych monet i tajemniczych kawałków papieru z wypisanymi cyframi, a w zamian otrzymywała urządzenie wykonane z materiału zwanego plastikiem i szkła, które to urządzenie – według starożytnych wierzeń – miało zapewne gwarantować posiadaczowi pomyślność bóstw.

– Tak, tak, moi państwo – ciągnął Profesor. – Udało nam się ustalić, że starożytni byli niezwykle oddani swym bogom. W okresie, z którego pochodzi badane przez nas stanowisko, ludność obchodziła wielomiesięczne święto ku czci boga lub władcy z bogiem utożsamianego – Covida Dziewiętnastego. Święto to było nazywane kwarantanną.

– Na czym polegało? – padło pytanie z sali – czy urządzano podczas obchodów pochody i obrzędy?

– Wprost przeciwnie, drogi panie, wprost przeciwnie – z satysfakcją rzekł Profesor – święto polegało na izolacji jednych rodzin od drugich, najprawdopodobniej w celu kontemplacji. Dzieciom przerwano naukę, a rodzice przestali chodzić do pracy. Co ciekawe, zachowała się nazwa czegoś – prawdopodobnie księgi – co rodziny studiowały podczas obchodów.

– Jak nazywała się ta księga? – zapytał jeden z zaintrygowanych słuchaczy.

– Nosila nazwę Netflix – z uśmiechem powiedział Profesor – całe rodziny płaciły za dostęp do niej.

– Czy na obrzędy religijne wychodzono z izolacji? – kontynuował sesję pytań i odpowiedzi następny z obecnych.

– O ile mi wiadomo, nie – rzekł Profesor, trąc w zamyśleniu brodę – zachował się nawet list od przywódcy religijnego, który tytułował się Prymasem. Píše on, że z powodu „COVID-19” zwalnia ludzi z obowiązku przychodzenia do kościołów, czyli ówczesnych świątyń. Ostatnie pytanie proszę.

– To może ja – wyrwał się dyrektor warszawskiej fabryki kosmicznych wózków golfowych. – Czy absolutnie wszyscy brali udział w święcie Covida poprzez samoizolację?

– Nie, wedle mojej wiedzy nie – powiedział Profesor – z obchodów zwolnieni byli posłańcy, nazywani kurierami. Kurierzy rozwozili rozmaite rzeczy potrzebne

do celebracji i żywności. Ich postawa tak zaimponowała społeczeństwu, że po kwarantannie zostali bohaterami. To już wszystko, dziękuję Państwu.

Sala zawrzała. Studenci zaczęli wstawać z miejsc, nadal dyskutując o właśnie wysłuchanym wykładzie. Wtem Profesor palnął się w czoło i rzekł:

– Zapomniałem Państwu powiedzieć, że w ramach Tygodnia Wiedzy o Starożytnych postanowiono w tym roku ustanowić święto Covida uroczystością państwową i dniem wolnym od pracy. Tak więc drodzy słuchacze: Wesołego kwarantanna!

*Szymon Błoński*

*Gaja Bochyńska*

## Głos w ciszy

Dom koło lasu, nazywany przez wszystkich domkiem przy lesie, miał czerwony spadzisty dach, białe ściany i brązowe drzwi.

Miał sześć okien, w tym jedno duże na górze. Tam na poddaszu mieszkała mała dziewczynka o imieniu Nel. Na dole były: kuchnia, salon, łazienka i sypialnia rodziców dziewczynki. Z tego domu do najbliższej miejscowości było około pół godziny marszu. Miejscowość była niewielka – znajdowała się w niej tylko jedna szkoła, kilka sklepów na rynku oraz jedna restauracja. Nie było w niej szpitala, posterunku straży pożarnej ani policji, więc gdy ktoś był w potrzebie, musiał wzywać pomoc z sąsiednich miejscowości.

Nel była dziesięcioletnią dziewczynką i była niema. Zaniemówiła w dzieciństwie i nikt nie wiedział dlaczego. Miała długie, falowane, rude włosy, oczy błękitne jak niebo, usta o delikatnych konturach i uwielbiała chodzić w ogrodniczkach.

Pewnego dnia Nel jak zwykle czekała na przystanku autobusowym na autobus, który miał ją zawieźć do szkoły. Oprócz niej na przystanku stał także starszy pan mieszkający w domu w środku lasu, który nie miał w miasteczku żadnych znajomych, ponieważ wszyscy uważali go za dziwaka i gbura.

Byli tam też trzej chłopcy z sąsiedztwa, za którymi Nel nie przepadała, bo zawsze robili sobie ze wszystkiego i wszystkich żarty. Teraz też natarczywie podchodzili to do Nel, to do starszego pana pytając „– Która godzina?” po czym wybuchali śmiechem, bo wiedzieli, iż Nel nie potrafi nic powiedzieć, a starszy pan i tak im nie odpowie.

Nel się to nie podobało. Na szczęście nie musiała długo tego znosić, bo już po chwili przyjechał autobus chłopców, a oni wsiedli do niego i odjechali. Nel czekała jeszcze tylko chwilę na przystanku, gdy przyjechał po nią jej autobus. Wsiadła do niego i pojechała do szkoły. Gdy autobus ruszył, Nel jeszcze przez dłuższy czas obserwowała samotną postać starszego pana, który pozostał na przystanku.

W szkole Nel miała tylko jedną przyjaciółkę. Inne dzieciaki nie za bardzo chciały się z nią przyjaźnić z powodu tego, że była niema. Przyjaciółka Nel nazywała się Tosia. Tosia miała niewielką wadę wzroku przez co musiała nosić okulary. Bardzo dobrze się uczyła i wszyscy ją chwalili, lecz nie za bardzo szło jej na wuefie, szczególnie wtedy, gdy grali w zbijaka, ponieważ gdy Tosia ściągała okulary, nie zawsze dostrzegała lecące w jej stronę piłki. Nel i Tosia bardzo się lubiły i często bawiły się razem na łące za domem Nel.

Gdy Nel wróciła ze szkoły, jak zwykle zabrała się najpierw do czytania książek. Tym razem wciągnął ją kryminał dla dzieci. Nel była bardzo pochłonięta nową lekturą, gdy w którymś momencie usłyszała wołanie o pomoc. Zaczęła się zastanawiać, skąd to może dobiegać. Wyrzała przez okno, ale nikogo nie zobaczyła. Wychyliła się więc bardziej. A potem jeszcze i jeszcze, aż w końcu tylko jej nogi zostały w pokoju. Wtedy zobaczyła czarnego ptaszka wielkości gołębia, który utknął w rynnie. Nel ostrożnie weszła na krzesło i wychyliła się na tyle, by móc go dosięgnąć, a potem czołgając się w tył, wróciła do pokoju. Trochę się przy tym ubrudziła, ale to nie było ważne. Położyła ptaszka na biurku, a on wcale nie uciekał. Zauważyła, że ma białą plamkę na dziobie. Podbiegła do swojej małej domowej biblioteczki, wzięła książkę o ptakach i wyszukała zdjęcie ptaka, którego uratowała. Dowiedziała się, że ten ptak to gwarek, i że gwarki potrafią mówić, co wyjaśniało, dlaczego słyszała wołanie o pomoc. Wtedy Nel doszła do wniosku, że przecież, żeby gwarek mówił, ktoś musiał go tego nauczyć, a to oznaczało, że gwarek musiał już mieć jakiegoś właściciela. Nel postanowiła zaopiekować się ptaszkiem, dopóki nie znajdzie jego właściciela.

Po jakimś czasie Nel pokazała Tosi uratowanego gwarka i ustaliły, że to będzie ich wspólna tajemnica. Nel i Tosia często bawiły się z gwarkiem i dużo czasu spędzały na polanie za domem Nel. Pewnego razu poszły do dzieciaków z sąsiedztwa i udawały, że Tosia jest brzuchomówcą. Tak naprawdę Tosia stała i chowała za pazuchą gwarka, który wykrzykiwał różne słowa. Dzieciaki z sąsiedztwa były bardzo zaskoczone.

Innym razem spotkały tych samych chłopców, którzy zaczepiali Nel na przystanku i postanowiły zrobić im żart. Tosia chowała gwarka, który gadał,

a Nel poruszała ustami. Chłopcy oniemieli, bo byli przekonani, że Nel nie potrafi mówić.

Tego dnia, gdy Nel dostała swój nowy, wymarzony materac, o który już od tygodni męczyła rodziców, postanowiła go od razu wypróbować. Materac był mięciutki i miłutki. W domu było cicho. Rodzice pojechali na zakupy, a gwarek siedział na parapecie okna i spokojnie wygrzewał się w promieniach słońca. Było tak spokojnie i cicho, że Nel zasnęła. Obudził ją zapach dymu. Zaniepokojona chciała zejść na dół, ale nie mogła, bo całe dolne piętro domu wypełniał dym. Wbiegła z powrotem do swojego pokoju, chwyciła telefon komórkowy, wybrała numer alarmowy i czekała, aż w końcu usłyszała głos operatora linii alarmowej: – Co się stało?

Nel próbowała wydać z siebie głos, ale nie mogła. Operator miał się właśnie rozłączyć, gdy w pokoju rozległ się głos:

– Pomocy! Pomocy! – to gwarek wołał ile tchu w piersiach – Pomocy! Pomocy! Pali się! W domku przy lesie!

– Spokojnie, wyjdź z domu. Już wysyłam jednostki – powiedział operator i rozłączył się. Niestety Nel nie wiedziała, jak wyjść z domu. Na dole było zbyt dużo dymu. Wtedy usłyszała czyjś głos z zewnątrz:

– Jest tam ktoś?! Wyjdź na dach!

Nel nie wiedziała, kto to mówił, ale gdy wyjrzała przez okno zobaczyła starszego pana, tego samego, którego spotkała na przystanku. Ostrożnie wyszła przez okno na dach.

– Poczekaj zaraz ci pomogę! – krzyknął pan i pobiegł za róg domu. Po chwili wyłonił się, ciągnąc stary materac Nel, ten, który miał być wyrzucony. Ustawił materac w takim miejscu, żeby Nel mogła miękko na nim wylądować.

– Skacz! – zawołał.

Nel była przerażona, ale dzięki okrzykom latającego dokoła gwarka – Skacz! Skacz! – przełamała strach i zeskoczyła. Gdy już była na dole, starszy pan podbiegł do niej.

– Nic ci nie jest? – zapytał spokojnie.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała cicho Nel i w tym momencie łzy poleciały jej z oczu, bo zorientowała się, że odzyskała głos.

Chwilę później przyjechali strażacy i rodzice Nel. Przestraszeni rodzice podbiegli do niej.

– Wszystko w porządku, kochanie? Nic ci się nie stało? – pytali Nel.

– Wszystko gra – odpowiedziała, a wtedy rodzice przytulili ją mocno, bo byli szczęśliwi, pomimo takiego nieszczęścia, że ich córka odzyskała mowę. I nieważne się stało, że choć strażacy ugasili ogień, to ich dom nie nadawał się do użytku. Nel podeszła do starszego pana.

- Dziękuję – powiedziała.
- Nie ma za co – odpowiedział starszy pan. – Bardzo ładnego masz ptaszka.
- Dziękuję – podziękowała.
- Miałem dokładnie takiego samego.

Nel zdziwiła się.

– Uciekł i nigdy nie wrócił. Miał dokładnie taką samą białą plamkę na dziobie i umiał powiedzieć imię mojej ukochanej zmarłej żony...

– Hilda, Hilda, Hilda – rozkrzyczał się gwarek.

Po tygodniu Nel mieszkała w zupełnie nowym domu. Nie miała już pokoju na poddaszu. Rodzice przygotowali dla niej duży pokój na dole domu z wyjściem do ogródka. Tuż przy nim stanęła specjalna klatka dla gwarka.

Bo ostatecznie gwarek został u Nel, a starszy pan stał się częstym gościem w jej domu, gdzie odwiedzał też gwarka.

*Gaja Bochyńska*

*Wiktoria Boniecka*

## **Baba z magla**

Są trzy rzeczy, które musicie wiedzieć o Yoshiko Kuzumaru. Pierwsza? Przewodnicząca klubu teatralnego ma jej dosyć i nie będzie na ten temat milczała. Druga? Jej brat zrobił coś bardzo strasznego i to najprawdopodobniej jej wina. Trzecia? *Baba z magla*, szkolna plotkara, uwielbia pisać o niej niemiłe wpisy na swoim blogu. Te wszystkie informacje to właśnie jej sprawa. Ta osoba naprawdę lubi niszczyć ludziom prywatność. Yoshiko jest jednak pewna, że po prostu padła ofiarą zazdrośnicy.

Postawmy jednak sprawę jasno – nie istnieje rzecz, której można jej zazdrościć. W Yoshiko nie było nic interesującego. Była to dziewczyna podobna do jej rówieśniczek, tyle, że zdaniem wielu chłopców, o wiele mniej urodziwa. Miała wyjątkową pasję – lubiła rysować komiksy. Zawsze grała w nich główną rolę, a jej talent do uchwytywania dynamicznych momentów sprawiał, że mogła stawać się, kimkolwiek chciała. A największą frajdę sprawiało jej bycie popularną w szkole. Oczywiście tylko na swoich pracach. Wchodzenie w różne role i fantazjowanie sprawiło, że niegdyś bardzo chciała uczęszczać na zajęcia klubu teatralnego. Spotkała się z odpowiedzią: nie. Nie i koniec tematu. Takie podejście wydawało się dla Yoshiko bardzo nielogiczne, ale przewodnicząca



klubu wiedziała, dlaczego Kuzumaru nie może brać udziału w spotkaniach. Brzydkie dziewczyny nie są mile widziane jako przyszłe aktorki. Można nawet stwierdzić, że w tym liceum brzydkie dziewczyny nie są mile widziane w ogóle. Yoshiko nalegała do tego stopnia, aż przewodnicząca musiała ją nieprzyjemnie potraktować przy całej szkole na stołówce. Ta sytuacja uspokoiła się bardzo szybko i nikt nie miał jej tego za złe, czemu Kuzumaru bardzo się dziwiła. Później dopiero zrozumiała – tak działa szkoła średnia.

Potem... Potem Goro wbiegł pod pociąg. Yoshiko była zdezorientowana. Jej starszy brat siedział całymi dniami przed komputerem, zamknięty w swoim pokoju. Ich rodzice to zaakceptowali, to najwyraźniej była jakaś moda w Japonii i dopóki miał dobre oceny, to mógł być *hikikomori*, ile tylko chciał. Ale samobójstwo? W głowie młodej dziewczyny kłębiło się mnóstwo pytań. Czy to jej wina? Czy ona mogła temu zaradzić? Czy rozmowa z nim zmieniłaby wszystko? A może po prostu Goro chciał, żeby się nim zainteresowała? Wchodzenie do jego pokoju wydawało się dla Yoshiko czymś zakazanym. Skoro jest tam cały czas, to może ma jakiś ważny powód. Rodzice również byli wstrząśnięci. Cała rodzina Kuzumaru oplakiwała tę stratę, podobnie jak i szkoła.

Wtedy właśnie Yoshiko i jej tragedią zainteresowała się *Baba z magla*. Ten blog działał już jakiś czas przedtem, ale opisywał dość prozaiczne sprawy. Oczywiście znaleźli się fani opisów tego, jaką kawę wypija przewodnicząca szkoły albo jakie ubrania kupują popularne dziewczyny, ale śmierć ucznia była pożywką dla prawdziwych szkolnych plotkar. Niejaka *Baba z magla* pisała o tym niezliczoną ilość artykułów. Na jaw wychodziły nieznane fakty o Goro... i Yoshiko. Powstawały, najczęściej wysrane z palca, teorie o przyczynach tej tragedii. Kiedy Yoshiko po raz pierwszy dowiedziała się o tym blogu od swojej przyjaciółki, nie mogła ukryć zmięszania. Po co ktoś miałby interesować się życiem takiej szarej myszki?

Po pewnym czasie, kiedy *Baba z magla* zorientowała się, że jej wpisy czyta cała szkoła, mogła pozwolić sobie na więcej. Opisywała wszystkie skandale. Uczniowskie, nauczycielskie, w szkole i poza szkołą. Zdarzały się również wpisy o Yoshiko. I z całym szacunkiem, ale ona nie chciała, żeby cała szkoła wiedziała o tym, że wyszła z jakimś chłopakiem do miasta albo że była w aptece w tych i tych dniach o tej i tej godzinie. *Babę z magla* czytała cała szkoła, lecz nikt nie wiedział, kto nią jest. Tożsamość autorki bloga była nieznana, ale mówiła o sobie w formie żeńskiej. Nie przebierała w niewybrednych ripostach do osób chroniących prywatność jej ofiar w komentarzach pod wpisami. Łatwo było się jej narazić. Nadal jednak nie było wiadomo, kto ma dostęp do takiej ilości sekretów.

Pewnego czwartku Yoshiko siedziała na stołówce w trakcie długiej przerwy. Wpatrywała się w kartki swojego szkicownika, niepewna, jak ma dokończyć kolejną przygodę swojej komiksowej bohaterki, która, oczywiście, miała przypominać ją samą. Na zeszyt spoglądała jej znajoma, jedyna osoba, która siedziała z nią w trakcie posiłków w szkole – Kaede. Jej jasne włosy opadały na piórnik Kuzumaru.

– Mam problem z zakończeniem... – westchnęła Yoshiko, pochylając się nad prawie wypełnioną kolorami kartką.

– Wybacz, nie znam się na komiksach. Wolę makijaż – powiedziała Kaede.

Yoshiko, nieco zdenerwowana tym, że oczywiście jej przyjaciółka musiała wtrącić makijaż do rozmowy, przewróciła oczami. Tak, Kuzumaru nie potrafiła jeszcze się malować i starała się tym nie przejmować.

– A widziałas już najnowszy wpis *Ba*...

– *Baby z magla*? Jak mam ją ignorować? Przecież to jest znowu jakaś wymyślona teoria na mój temat – przerwała koleżance Yoshiko.

Na jej twarzy zarysowało się zmartwienie kolejnym wpisem.

– Mhm. Teraz wymyśliła, że widziano cię u dziewczyn z najstarszej klasy i że rozmawiałyście o „największym sekrecie twojego brata”. Nikt miał się o nim nie dowiedzieć, a ty nie uszanowałaś tajemnicy. Poza tym, przewodnicząca klubu teatralnego zamierza wylać na ciebie farbę, ale to tak na marginesie – poinformowała ją Kaede, jednocześnie bawiąc się swoimi włosami. Jakby to była najzwyklejsza w świecie rzecz.

Yoshiko nie mogła wypowiedzieć ani słowa. Owszem, czytała już o tym, jednak ciągle drżała na samą myśl o tych kłamstwach. Nie wiedziała o żadnym szczególnym sekrecie brata, a nawet, gdyby go znała, to nie zdradziłaby go nikomu! A ta przewodnicząca... Czy to prawda? Próbowwała o tym nie rozmyślać, pomimo upokorzenia, jakiego doświadczała. Czuła się jak w wielkim, ciemnym dole.

Następnego dnia, kiedy dziewczyna szła korytarzem, miała na sobie dziesiątki spojrzeń. Najwyraźniej każdy przeczytał już najnowszy artykuł. Na, zazwyczaj głośnym, szkolnym korytarzu, można było usłyszeć... nagłą ciszę. Trwała ona mniej niż minutę i przebijały się przez nią jedynie nieznaczące pomruki. Uczniowie, którzy po cichu komentowali ostatni artykuł, jeszcze nie wiedzieli, gdzie zmierza dziewczyna. Jej dosyć chwiejne i smutne kroki ze zwieszoną głową kierowały się ku gabinetowi szkolnego pedagoga. Ta kobieta z pewnością mogła coś poradzić osobie ze zmartwieniami i problemami. Yoshiko

pomyślała, że być może będzie w stanie odnaleźć osobę, która umieszcza wpisy na blogu i ją zatrzymać.

Po wyjściu z gabinetu Kuzumaru odetchnęła z ulgą. Nauczycielka pytała ją o parę ważnych rzeczy. Czy ma jakieś podejrzenia, kto stoi za tymi wpisami i tak dalej. Yoshiko nie bała się żadnych pytań. Miała wrażenie, że z jej całego ciała spadł ogromny ciężar. Teraz nie przeszkadzały jej nawet szeptki uczniów na korytarzu. Dziewczyna spojrzała na zegarek. Prawie dziewięć, zaraz lekcja matematyki! Yoshiko nie mogła się już o nic martwić.

*WITAJCIE!*

*Tutaj Wasza kochana Baba z magla! Widzimy się ponownie na moim blogu, prawda? Nasza kochana ciamajda **YK** postanowiła mnie zatrzymać za pomocą pani pedagog. Jak mi przykro, zaraz się rozplączę! A tak na serio, jeśli **YK** już o mnie wie, przekażcie, że jest baaardzo zabawna. Tak mnie rozbawiła, że znalazłam kolejne haczyki na zniszczenie Jej życia. Serio, nie spocznę, dopóki Ona nie nauczy się nie zadzierać z tymi, którzy rozdają karty w tej szkole. Czyli ze mną! **RM**, przewodnicząca klubu teatralnego, najwyraźniej zmieniła plany co do naszej biednej samotniczki. Albo jest mistrzynią w ukrywaniu niebieskiej farby! Uważajcie, bo coś nieprzyjemnego może wydarzyć się przed lekcją astronomii... **YK** będzie już zawsze przeklinać klub teatralny! I mnie... Ale spokojnie, zawsze mam moich wiernych fanów, Was, więc żadna tam nieśmiała Kuzumaru mi niestraszna! Dla wszystkich, którzy czekają, aż grono pedagogiczne odkryje moją tożsamość – to Wasz pechowy dzień! Zamierzam dalej siać zamęt w tej szkole, popijając świeży sok owocowy w maseczce z płachty. Przecież za to mnie kochacie! To w sumie wszystko na dziś. Trzymajcie się ciepło, plotkary!*

*Wasza Niezastąpiona  
Baba z magla*

*Wiktoria Boniecka*

*Weronika Zofia Brzana*

## **Spotkanie z Deszczówką**

Był czwartek. Niebo było zachmurzone, ale z północy wiał ciepły wiatr. Wszystko wskazywało na to, że znowu będzie padało. Siedziałam przy oknie i rozmyślałam, jak fajnie byłoby pojechać dzisiaj nad jezioro albo do lasu.

Nagle z zamyślenia wyrwała mnie mała kropelka deszczu, która uderzyła w moje okno. Potem było ich coraz więcej, dzięki czemu wszystko za oknem było rozmyte. Zesłam z mojego ulubionego miejsca obserwacji i wolno poszłam do salonu. W tej chwili leciał tam program o oszczędzaniu wody.

– Nuda – powiedziałam i oklapłam na miękką kanapę. Już chciałam przełączyć kanał, gdy usłyszałam cichutki, piskliwy głosik.

– Hej – ktoś powiedział. Rozejrzałam się po pokoju i wtedy poczułam, że coś mnie obserwuje.

– Kim jesteś? – zapytałam ze strachem w głosie. Ktoś zachichotał jakby złośliwie.

– Co cię tak śmieszy i czym ty w ogóle jesteś?

Zrobiło się naprawdę cicho, ale po chwili znowu usłyszałam wesoły głosik.

– Spójrz, jestem tutaj.

Rzeczywiście na stoliku siedziała mała, błękitna kropelka.

– Jak się nazywasz? – zapytałam.

– Mam na imię Deszczówka.

Podrapałam się w głowę i spytałam:

– A skąd się tu wzięłaś?

– Spadłam przez niezakręcony kran.

– Ojej – powiedziałam ze zdziwieniem. Nie rozumiałam, jak może rozmawiać ze mną kropla wody.

– Spójrz tam – wskazała Deszczówka na telewizor. Pokazywali właśnie suszę w Afryce i ludzi umierających z pragnienia.

Nagle zrobiło mi się bardzo smutno, jakby działo się to z mojego powodu.

– Ale jak temu zaradzić? – spytałam z nadzieją w głosie, że mój gość zna odpowiedź. Nie myliłam się. Kropelka powiedziała stanowczym głosem:

– Odpowiedź jest prosta, oszczędzaj wodę.

– Ale jak? – zapytałam z lekkim zaciekawieniem.

– Jest wiele sposobów. Na przykład zakręcanie kranów lub branie prysznicza zamiast kąpeli, włączanie pełnej pralki i zmywarki.

– I tylko tyle?

– Oczywiście, że nie. Można także zbierać deszcz do pojemników i podlewać nim potem kwiaty, a nie brać wodę z kranu. Jeśli masz w kuchni i łazience jednouchwytowe baterie z perlatozem, to pozwoli to na zaoszczędzenie wody.

– A co to jest perlator? – zapytałam.

– To nakładka w kształcie sitka napowietrzająca strumień wody. Dzięki temu wydaje nam się, jakby z kranu płynęło więcej wody niż w rzeczywistości. To małe sitko może sprawić, że **zużycie wody będzie niniejsze nawet o 50%!**

– To rzeczywiście pomoże?

– No pewnie – zachichotała Deszczówka.

Kap, kap – coś spadło mi na nos, na dodatek zimnego.

– Brr, kropelko to twoja sprawka? Niestety odpowiedziała mi tylko cisza.

– Oj – powiedziałam i nagle obudziłam się.

– To tylko deszcz.

Zamknęłam okno. Czyli to był tylko sen... Nagle przypomniałam coś sobie i pobiegłam do kuchni. Zakręciłam ciekący kran. Muszę powiedzieć tacie, żeby go naprawił.

– Uff, słowa Deszczówki nie pójdą na marne!

*Weronika Zofia Brzana*

*Agata Chmielarz*

## Szafirek

Dawno, dawno temu, choć właściwie całkiem niedawno, a konkretnie w zeszły wtorek, stało się coś niesamowitego. Nawet dzisiaj ciężko mi jest w to uwierzyć.

Obudziłam się wcześniej rano i zjadłam śniadanie. To były własnoręcznie robione gofry z bitą śmietaną, owocami i polewą toffi. Zauważyłam, że mama, tata, starszy brat i młodsza siostra już wyszli. Zastanawiałam się, co mogłabym zrobić z tak pięknie rozpoczętym dniem i przyszło mi do głowy, że mogłabym zrobić ciastka z malinami i jeżynami. Jednakże ujrzałam, że w domu nie ma tych owoców, a ponieważ las był niedaleko, postanowiłam udać się do lasu.

Pogoda była przepiękna, więc wszystko skłaniało do takiej wyprawy. Wzięłam zatem koszyk, wypełniony cukierkami i butelką soku z czarnej porzeczki. Ubrałam fioletową sukienkę i seledynowe buciki, a głowę chronił czerwony kapelusz.

Bez przeszkód udałam się do lasu.

Łagodny wietrzyk dmuchał, a ja maszerowałam dziarskim krokiem w kierunku zieleni lasu. Po drodze rozmyślałam, jaką radość sprawię rodzinie ciasteczkami. Gdy weszłam w głąb lasu, ujrzałam krzewy malin oraz jeżyn.

– A co gdybym teraz zjadła cukierki i wypła sok z czarnej porzeczki? – pomyślałam.

Jak pomyślałam, tak zrobiłam. Dzięki temu mogłam się rozejrzeć po pięknej okolicy, a mój koszyk zrobił się dziwnie lekki.

Gdy zbierałam jeżyny i maliny, zobaczyłam pięknego ptaka – kolibra. Chciałam się mu bliżej przyjrzeć, więc pobiegłam za nim. Biegłam coraz bardziej i bardziej w głąb lasu. Nagle zauważyłam, że się zgubiłam, las był gęsty i nigdzie nie było widać ścieżki. Usłyszałam dziwne szemranie, a gdy się obróciłam, ujrzałam najpierw wielkie kły, a potem... całą watahę wilków. Wyglądały, jakby dawno nic nie jadły i tylko czyhały, by mnie dopaść. Już, już miały mnie złapać, kiedy nagle nad stadem dał się słyszeć pomruk, a potem zauważyłam, że poszczególne wilki skuliły się. Obejrzałam się za siebie i na górze ujrzałam psa o złotej sierści i dumnej postawie, który wył do słońca. Zeskoczył na dół i gdy dotarł do mnie, wilki uciekły. Wtedy odezwał się do mnie ludzkim głosem:

– Jestem legendarnym wilkiem po ewolucji. Mam trzysta lat i od zawsze bronię samotnych wędrowców przed głodnymi wilkami. Jak to się stało, że dotarłaś tu sama? Jesteś dokładnie w środku ogromnego lasu, ostatnio niezbyt często widuję tu ludzi.

– Zbierałam maliny i jeżyny do ciastek dla mojej rodziny. Zobaczyłam pięknego ptaka i pobiegłam za nim, w ten sposób dotarłam aż tutaj.

– Czy masz dużą rodzinę? To miłe, że o nich dbasz.

– Moi rodzice to Sebastian i Izabela, mama jest lekarzem, a tata jest dyrektorem szkoły. Mam młodszą siostrę o imieniu Adelajda oraz starszego brata Adama. Dzisiaj wybrali się do miasta po zakupy, a ja postanowiłam upiec dla nich kruche ciastka z malinami i jeżynami. W zeszłym roku udało mi się wygrać konkurs najlepszych wypieków w miasteczku.

– To dobrze, że się spotkaliśmy, niewiele by wyszło z tych wypieków, gdyby pożarły cię wilki, Agatko.

– A skąd ty w ogóle znasz moje imię? – wykrzyknęłam zaskoczona.

– Ciągle czuwałem nad tobą i twoją rodziną od pokoleń.

– A może wybierzesz się ze mną do domu, bym mogła cię przedstawić rodzinie?

– Wiedziałem, że to zaproponujesz i zgadzam się z radością. – odparł mój futrzany przyjaciel.

W tym samym momencie zdałam sobie sprawę, że ja nie znam jego imienia, jednak w tej samej chwili usłyszałam:

– Jam jest Szafir, dla przyjaciół Szafirek.

Ruszyliśmy przez las, który nie był już teraz taki gęsty i mroczny. Czas upływał szybko, bo gawędziliśmy wesoło.

– Czemu umiesz mówić jak człowiek? – zapytałam.

– Nie każdy może mnie zrozumieć. Moje pokolenie miało taki dar, a ja chętnie z niego korzystam, bo spotkałem w życiu wielu dobrych ludzi.

– Wiesz, zawsze marzyłam, by mieć psa, lecz rodzice nie chcieli się na to zgodzić. A może ty u nas w domu zostaniesz, może uda mi się przekonać rodziców? Rodzeństwa nie trzeba będzie przekonywać, bo też marzą o psie.

Powoli zbliżaliśmy się do domu. Nasz ogród wyglądał pięknie w promieniach zachodzącego słońca. Drzewa rzucały długie cienie, a kwiaty błyszcząły złociście.

Weszliśmy do domu i okazało się, że rodziny jeszcze nie ma. Od razu zabrałam się do pieczenia ciastek, bo przecież po to poszłam do lasu. Zrobiłam też sok z czarnej porzeczki, która rosła w ogródku. Nagle pod oknem usłyszałam kroki wielu osób i wesoły śmiech młodszej siostrzyczki.

Gdy weszli do domu, nie kryli zdziwienia na widok Szafirka.

– A co to za śliczny piesek? – pytali jeden przez drugiego.

Opowiedziałam im, jak Szafirek uratował mnie przed stadem wilków. Byli pod wielkim wrażeniem. Wykorzystałam ten moment i zapytałam nieśmiało:

– Czy mógłby z nami zamieszkać?

W tym czasie Szafirek zaczął przymilnie łaścić się wszystkim do stóp.

– Właściwie czemu nie – powiedział tata, co wywołało głośny okrzyk radości u pozostałych. I odtąd żyliśmy długo i szafirowo.

*Agata Chmielarz*

*Marta Dyrda*

## **Bądź wolna**

Julka mieszkała obok lasu. Bardzo często chodziła tam, żeby odpocząć i побыć w samotności. Wtedy zapominała o całym świecie. Bardzo kochała ten las, a szczególnie polanę ukrytą w jego ramionach. Przychodziła na nią każdego dnia o zachodzie słońca, kładła się na trawie i podziwiała to, co ją otaczało.

Pewnego czerwcowego dnia podczas zachodu słońca, kiedy Julka leżała na trawie, usłyszała tętent kopyt, więc szybko podniosła się. Dźwięk był coraz bardziej wyrazisty, aż nagle coś mignęło między drzewami. Dziewczynka była bardzo zdziwiona, bo w tym lesie zwierzęta pojawiały się bardzo rzadko. Nagle

hałas ucichł. Julka czekała w bezruchu, co teraz się stanie. Wtem zza drzew wyłoniła się piękna, kasztanowa klacz. Dziewczynka nie ruszała się. Leżała jak zahipnotyzowana. Przyglądała się, jak klacz robi powolne i niepewne kroki. Nagle wzrok konia padł na Julkę. Dziewczynka w oczach klaczy zobaczyła strach, panikę i niepewność. Czuła, jakby ta chwila trwała wiecznie. Nagle koń obrócił się i pognął w głąb lasu.

Tej nocy Julka nie mogła zasnąć, bo cały czas myślała o kasztanowej klaczy i o tej pięknej chwili, kiedy zwierzę patrzyło prosto na nią. W końcu nie wytrzymała dłużej. Postanowiła pójść do lasu w miejsce, gdzie spotkała klacz. Jak znalazła się w ciemnym lesie w środku nocy, poczuła wielki strach. Usiadła na polanie. Wtem zza drzewa wyłoniła się ta sama piękna kasztanowa klacz. Tym razem nie uciekła, lecz zrobiła krok do przodu – taki sam ruch wykonała Julka. Dziewczynka wyciągnęła zachęcająco rękę. I tak zbliżały się do siebie. – Nazwę cię Shanti – powiedziała Julka.

Była noc. Julka poczuła się senna. Shanti zauważyła to i położyła się tak, aby dziewczynka mogła się o nią oprzeć. Kiedy rano obudziła się, dopiero po chwili uświadomiła sobie, gdzie jest i w jaki sposób się w tym miejscu znalazła. Wtedy też zobaczyła, że Shanti przy niej nie było. Bardzo się zmartwiła i ze smutkiem ruszyła do domu. Natychmiast weszła do łóżka i zasnęła. Zbliżało się południe. Tego dnia pozostała w domu, ale cały czas myślała o Shanti. Postanowiła, że nazajutrz poszuka klaczy. Kiedy przyszła na polanę, usiadła pod tym samym drzewem. Shanti nie przyszła. Julkę ogarnęła nagle wielka pustka i smutek. Dziewczynka poszła do domu. Przez kolejne dni było tak samo: ona czekała, a Shanti nie przychodziła. Minęło dziesięć dni od ostatniego spotkania. Teraz dziewczynka siedziała na trawie z tym samym uczuciem pustki. Po chwili wstała i ruszyła do domu, jednak tym razem było inaczej niż zwykle. Na jej twarzy nie było żadnych uczuć, szła obojętna na wszystko. Całkowicie straciła nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek spotka kasztanową klacz. Zrozumiała, że już jej nie zobaczy. Tej nocy Julka za nic nie mogła zasnąć. Po głowie chodziły jej różne myśli. Nie mogła zapomnieć o Shanti, mimo że pogodziła się z faktem, że już jej nie zobaczy. Nagle z rozmyślań wyrwały ją krzyki, rżenie i uderzenia bata. Jej serce zaczęło bić bardzo szybko i mocno. Nie zastanawiała się dłużej, tylko wyskoczyła z łóżka i szybko się ubrała. Wybiegła z domu i skierowała się w stronę hałasu. Biegła w wielkim strachu i niepewności, bo nie wiedziała, co zobaczy, jak dobiegnie. Hałas robił się bardzo wyraźny i nagle zobaczyła dziwne ruchy wśród gałęzi drzew. Zatrzymała się i schowała za krzakiem. Ujrzała dwóch mężczyzn, którzy bili Shanti batem i próbowali ją złapać. Klacz co chwila stawiała dęba i wyrwała się. Julka nie mogła patrzeć na to, jak oni



traktują bezbronne zwierzę. Nagle jeden z mężczyzn zbliżył się i mocno pociągnął za uzdę. Wtedy Shanti całą siłą stanęła na tylnych nogach, a on upadł na ziemię. Drugi próbował utrzymać klacz, ale sam nie dał rady. Shanti łatwo wyrwała się. Wtedy mężczyzna zaczął uciekać. Julka została sama z Shanti. Najpierw klacz chciała uciec, jednak jak spostrzegła, że to Julka, uspokoiła się i pozwoliła dziewczynce podejść. Julka zdjęła jej uzdę i zaczęła głośno mówić. Od tego czasu dziewczynka codziennie spotykała się z Shanti, ale wciąż niepokoiła ją myśl, że ci okrutni mężczyźni mogą coś złego zrobić klaczy. Jednak pewnego dnia z telewizji dowiedziała się, że złapano dwóch mężczyzn – dręczycieli zwierząt. Dziewczynka wiedziała, że to oni, bo rozpoznała ich twarze. Julka od tego dnia nie martwiła się, że zrobią coś złego klaczy i cieszyła się, że Shanti pozostanie wolna.

*Marta Dyrda*

*Stanisław Englert*

## **Piątek 13-ego**

Czy można wierzyć w takie rzeczy jak piątek 13-ego? Ja wierzę. W każdy taki piątek spotykało mnie coś złego. Do czasu. W zeszłym roku taki piątek wypadł w maju. Obudziłem się rano pewny, że ten dzień będzie okropny. Już miałem przyłożyć termometr do lampy (żeby udawać chorobę, bo wiedziałem, że w szkole spotka mnie coś okropnego), a tu nagle do mojego pokoju wszedł tata, a za nim mama. Wyglądali trochę podejrzanie, ale uśmiechali się.

– Dzwoniła twoja wychowawczyni – zaczęła mówić mama. – W szkole doszło do awarii instalacji elektrycznej. Naprawa może potrwać nawet miesiąc, więc nie będziecie mieli lekcji do końca roku szkolnego.

– Z tej okazji postanowiliśmy z mamą, że zrobimy sobie małe wakacje! – prawie krzyżąc powiedział tata.

Pamiętam do teraz, że stanąłem przed rodzicami, którzy uśmiechali się do mnie i powiedziałem:

– Wy sobie żartujecie, a jeśli nie, to i tak stanie się coś złego, bo jest przecież piątek trzynastego. Rodzice dziwnie popatrzyli się na mnie, potem spojrzeli na siebie i roześmiali się (domyśliłem się, że rozśmieszyło ich to, co powiedziałem). Do teraz nie wiem, co było w tym śmiesznego. Przecież zawsze w piątek 13-ego miałem rozbite kolano, albo dostawałem jedynek, albo źle się czułem i nie

mogłem wyjść z kolegami na boisko. Po pięciu minutach rodzice zrozumieli, że ja nie żartowałem, więc próbowali wybrnąć z tej sytuacji:

– Niektórzy ludzie mówią, że w takie piątki spotyka ich szczęście, a nie pech – powiedział tata jeszcze się śmiejąc.

– Mówią też, że to zależy od nastawienia – zaczęła tłumaczyć mama.

Mówiła potem, że należy być optymistą, bo wtedy nawet czarne koty boją się przechodzić przed tobą, ponieważ ich pech nie działa na takich ludzi. Po rozmowie na temat pecha, pesymizmu i optymizmu zrozumiałem, że rodzicom zależy na tej wycieczce, więc od tego czasu nie wspominałem więcej o pechu. Przez cały ranek pakowaliśmy się i nawet udało mi się niczego nie zapomnieć. Rodzice powiedzieli, że jedziemy do Wrocławia, a że mieszkamy w małej miejscowości Miliardowice, więc do Wrocławia mamy około trzy godziny jazdy samochodem. Jak przystało na pesymistę, spodziewałem się ogromnych korków. Tymczasem okazało się, że prawie nikogo nie było na drodze, więc dojechaliliśmy na miejsce dość szybko. Zastanawiałem się potem nad słowami mamy:

„Mówią też, że to zależy od **nastawienia**”.

Cały dzień starałem się być optymistą i nie spotkało mnie nic złego. Jednak przypomniałem sobie pewne powiedzenie: „Nie chwal dnia przed zachodem słońca”.

Jeszcze przed wyjazdem założyłem się z rodzicami, że znajdę najwięcej krasnali i z zakładu zrobiło się rodzinne wyzwanie. Gdy tak szukałem krasnali na ziemi, zobaczyłem zdrapkę. I to nie byle jaką zdrapkę... To była WYGRANA zdrapka! Na początku nie wierzyłem w to, co mnie spotkało. Czy mama miała rację? Czy pech zależy od nastawienia? Od razu pobiegłem do rodziców i opowiedziałem, co się stało. Poszliśmy do kiosku, gdzie można było wymieniać losy, zdrapki, itp.

– Dzień dobry – przywitał nas uśmiechnięty sprzedawca.

– Dzień dobry – odpowiedzieliśmy prawie chórem. – Chcielibyśmy wymienić tę zdrapkę.

– Dobrze. Mogę ją obejrzeć? – zapytał nas kasjer.

Sprzedawca chwilę oglądał zdrapkę, potem tak jakby dla upewnienia się poszedł do swojego współpracownika i kazał mu też ją obejrzeć. Chwilę później wrócił do nas z dziwnym wyrazem twarzy.

– Ta zdrapka jest warta 1000 złotych – powiedział.

– Naprawdę?! – krzyknęliśmy chórem.

– Tak – odpowiedział śmiejąc się.

– Możemy dostać te pieniądze teraz, czy musimy poczekać? – zapytał tata.  
– Ależ oczywiście, że teraz – odpowiedział sprzedawca – Proszę chwilę poczekać.

Czekaliśmy, czekaliśmy, czekaliśmy i czekaliśmy, a kasjer nie przychodził. Pomyślałem, że moja dobra passa już się skończyła. Na szczęście pomyliłem się, bo sprzedawca przyszedł z kopertą, w której było nasze 1000 złotych.

– Gratuluję wygranej. Oto pieniądze – powiedział kasjer wręczając tacie kopertę.

– Myśleliśmy, czy nie zostać tutaj na dłużej – zastanawiała się na głos mama. – Starczy chyba na jakiś nowy i zadbane apartament?

– Z całą pewnością – odparł kasjer z uśmiechem.

Cały dzień minął całkiem dobrze. Wygrałem rodzinny konkurs. Wtedy zrozumiałem, że ten dzień nie był pechowy, a wręcz przeciwnie – był nawet szczęśliwy. Wieczorem w apartamencie chciałem porozmawiać o tym z mamą. Udałem się do jej pokoju, a ona chyba domyśliła się, po co przyszedłem, bo zapytała:

– Jak tam „pechowy dzień”?

– Nawet dobrze – odpowiedziałem. – Chyba miałam rację.

– W czym miałam rację? – zapytała zdziwiona.

– W tym, że pech zależy od tego, czy jest się optymistą, czy pesymistą – powiedziałem. – Dziś starałem się myśleć pozytywnie i nie spotkało mnie nic złego.

– No widzisz. Może w następny piątek 13-ego też postarasz się być optymistą? – powiedziała mama.

– Chyba zmienię swoje nastawienie nie tylko w takie piątki, lecz na zawsze – dodałem. Mama nic nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się. Od tego czasu staram się być optymistą i zarażać pozytywnym nastawieniem do życia wszystkich moich znajomych.

*Stanisław Englert*

## **Opowiadanie o zwykłym górniku, który dokonał niezwykłego czynu**

Kiedy byłam małą dziewczynką, na początku nie rozumiałam tych wszystkich dziwnych pojęć, które pojawiają się w naszym domu. Tato z kolegami, rodziną często rozmawiał o jakiejś barbórcie, sztygarze, przodku czy szybie. Z wiekiem zaczynałam coraz więcej rozumieć. Moi najbliżsi opowiadali o skarbie naszego regionu – miedzi.

Rodzice wiele mnie nauczyli – wiązać buty, mówić przepraszam, nie gniewać się zbyt długo. Pamiętam jednak, że od zawsze powtarzali, że trzeba szanować ziemię, na której się wychowaliśmy i pielęgnować pamięć o wielkich Polakach. Na początku myślałam, że ci wielcy, wybitni Polacy muszą coś wynaleźć, wygrać wielką bitwę, odkryć coś znaczącego dla świata, tj. Maria Skłodowska-Curie, Mikołaj Kopernik czy Józef Piłsudski.

Zdziwiłam się bardzo, kiedy na mojej pierwszej samodzielnej wycieczce okazało się, że dzieci z innych części Polski myślą moją małą ojczyznę, którą jest Zagłębie Miedziowe i myślą, że to nieopodał Katowic. Dlatego jak ktoś pytał mnie, czy nasi górnicy wyjeżdżają na powierzchnię czarni i brudni, patrzę na nich z powściągliwością. Wtedy też zrozumiałam, jak regiony Polski różnią się od siebie i jak w wyjątkowym miejscu mieszkam w Polsce.

Pamiętam rozmowę pewnego zimowego wieczoru z moim kochanym tatą. Razem siedzieliśmy na kanapie, popijając ciepłe kakao, a w powietrzu unosił się aromat bożonarodzeniowych pierniczków z cynamonem. Pani w szkole prosiła, abyśmy przygotowali wypracowanie opisujące naszego superbohatera. Część osób z mojej klasy pisała o Batmanie, Ironmanie, inni z kolei o Janie Pawle II. Rozmawiałam z tatą, o kim on by napisał, kim dla niego jest superbohater. Na początku tata potrzebował chwilę czasu, jak gdyby musiał sobie wszystko dokładnie przypomnieć. Jednak po chwili zrobiłam się niecierpliwa.

– Tato, opowiesz mi jakąś historię? – spytałam.

– Jasne, kochanie. Opowiem ci historię o pewnym górniku, który może nie jest sławny, ale jest dla mnie moim – nie dokończył zdania tata.

W tym momencie widziałam łzę, która zakręciła się w jego oku. Wziął głębokimi oddech i spojrzał gdzieś daleko. Po kilku sekundach rozpoczął historię. Pewnego razu był górnik o imieniu Mirek. Pracował on w kopalni, wydobywał miedź. Jak można się domyślić, działo się to w Polkowicach – stolicy polskiej miedzi. A było to tak:

- Witaj, Mirku! Jak tam rodzina, zdrowa? – krzyknął kolega z pracy.
- Witaj, Wiktorze. Dobrze. Dzień ucieka za dniem. A u ciebie?
- Ech... Znowu papierkowa robota... Za to lepsze to niż schodzenie na dół, do kopalni. Ale i tak będę musiał tam później pobyc z wami.
- Zaraz zacznę pracę. Idę zjechać w dół. To do zobaczenia! – powiedział Wiktor i poszedł. Mirek jeszcze około godziny siedział przy pracy na powierzchni. Po tym czasie poszedł się przebrać i godzinę później dołączył do pracy na przodku w kopalni.
- Witam, panowie – powiedział, wchodząc do windy. – Wszyscy są?
- Tak, tylko Pawła nie ma, ale on ma chorobowe.
- Dobrze, dobrze. Co dziś w planie?
- To co zwykle, będziemy powiększać tunel i chyba wydobywać miedź – zaśmiali się. O! I będziemy nową maszynę składać w całość, a starą rozkładać na części.
- Czyli, jeśli dobrze rozumiem, to dzisiaj cięższy dzień?
- Niestety tak... – westchnęli tłumem.
- Wszyscy zjechali na dół i wysiedli z windy.
- Dobra, to dzielimy się na dwie grupy, jedna składa nową maszynę, a druga rozkłada starą – powiedział Mirek.
- Mirek rozdzielił pracę pomiędzy pracowników. Wszyscy byli zadowoleni i przystąpili do swoich obowiązków. Wymiana części w ładowarce i spycharce szła sprawnie. Ale w pewnej chwili usłyszeli:
- Aaaa! – Nagle rozległ się przeraźliwy, krzyk. – Pomocy!
- To Władek krzyczał. Gdy wszyscy do niego przybiegli, zobaczyli, że ciężka część maszyny spadła na pracownika i zgniotła mu lewą nogę!
- Szybko! – powiedział Mirek. – Piotr, wezwij pomoc! Ruchy! Już!
- Po krótkiej chwili kilku silnych górników pomogło ściągnąć to wielkie żelastwo z nogi Władka i zabrało go na górę, żeby opatryć. Mirek był odpowiedzialny za całą grupę i zawsze działał szybko i rozważnie. Wysłał Władka maszyną, aby pojechali pod windę, aby pomoc medyczna opatryła ranę pracownika. Ta sytuacja jednak nie wyprowadziła go z równowagi. Po opanowaniu sytuacji, poszedł do grupy na przodku:
- Dobra, chłopacy, zabieramy się szybko do pracy, kończymy i powiększamy dynamitem tunel. Prędko złożyli i rozłożyli resztę materiału wybuchowego, więc nadszedł czas powiększania tunelu. Nic nie zapowiadało, aby rutynowe działania poszły nie tak jak trzeba.
- Dynamit jest odpowiednio ułożony? Wszystko odpowiednio jest zabezpieczone? – krzyknął Mirek.

– Tak! – krzyknęli chórem.

– No to do dzieła!

Powiększanie tunelu szło sprawnie i bezpiecznie. Niestety nagle ziemia zaczęła się trząść!

– Uciekać! Wszyscy uciekać! – słychać było krzyki.

Wszyscy zaczęli biec w stronę wyjścia. Każdy spoglądał po sobie sprawdzając, czy wszyscy są. Przed wejściem do windy, przeliczyli jeszcze raz, czy wszyscy dotarli. W drodze do wyjścia ktoś krzyknął:

– Wiktora nie ma! On był w maszynie i nie zdążył wysiąść, bo go kamienie przysypały!

– To trzeba go ratować! – krzyknął Mirek. Nie patrząc na innych, wziął sprzęt ratunkowy i pobiegł w miejsce tąpnięcia.

– Teraz?! Teraz jest niebezpiecznie! Lepiej poczekać, aż się uspokoi i przyjdą specjalnie wyszkoleni do tego ludzie! – próbował ktoś go zniechęcić.

– Później może już nie żyć! Ja tu jestem za was odpowiedzialny i to ja mam zadbać, żebyście cali i bezpieczni wrócili do domu! – krzyknął Mirek i pobiegł przed siebie.

Gdy wychodził, dodał jeszcze:

– Wy wracajcie na górę i wzywajcie ratowniczy oddział.

Mirek wiedział, że podejmuje odważną, ale jedyną prawidłową decyzję. Mimo dymu, który był dookoła, na szczęście się nie dusił, ponieważ miał specjalną maskę. Gdy doszedł do miejsca wybuchu dynamitu, usłyszał wołanie Wiktora:

– Pomocy! Pomocy! Słyszysz mnie ktoś?!

– Już pędzę, Wiktorze! – odkrzyknął Mirek i popędził w stronę głosu.

Dobiegł do zawalonego głazami pojazdu, próbował przesunąć jakiś kamień, ale wszystkie były zbyt wielkie i strasznie ciężkie.

– Nie dasz rady przesunąć tego sam, Mirku! Wiem, bo też próbowałem!

– Znalazłem metalowy pręt, on pomoże cię uratować. No to spróbujmy razem pchnąć ten głaz! Powinniśmy razem dać radę! To na trzy. Raz... Dwa... I... Trzy! Pchamy! – mówił opanowanym głosem Mirek.

Pchali z całej siły, aż wreszcie im się udało! Wiktor był na wolności! Teraz szli w stronę windy, żeby wydostać się na powierzchnię. W trakcie drogi przybyły zastępy ratownicze, które opatrzyły ranę na miejscu. Na górze wszyscy czekali i martwili się, czy wszyscy górnicy przeżyli tąpnięcie. Kiedy wyszli, inni górnicy poczuli ogromną ulgę.

Każdy wypytywał Mirka, czy się bał. A on na to odpowiadał:

– Oczywiście, że się bałem, ale pchała mnie do przodu myśl, że mogę uratować komuś życie. I się udało.

- Oto koniec historii, córeczko. Podobało ci się? – zapytał tata.
- Tak, to była wspaniała opowieść! Czy ty, tato, znasz u siebie w pracy takich wspaniałych wojowników? – zapytałam.
- Kochana, nasi górnicy to wspaniali ludzie, wielokrotnie uratowali komuś życie. Jestem dumny z wielu osób z naszego oddziału. Każdy jest odważny, solidarny i pomocny. Górnicy to superbohaterowie. Jak będziesz chciała, to opowiem ci jeszcze inne historie naszej górniczej drużyny.
- To wspaniały pomysł. Tylko teraz jestem zmęczona. Dobranoc, mój górniczy wojowniku! – uściskałam mocno i położyłam się spać.
- Dobranoc, księżniczko! – usłyszałam głos.
- Następnej nocy przyśnił mi się koszmar. Widziałam krzyki, płacz mamy po tym, jak otrzymała telefon, że tata jest w szpitalu. Dostrzegłam tam siebie... małą dziewczynkę bawiącą się w łóżeczku. Niedługo potem przyjechała babcia i razem udały się na oddział ratunkowy. Nie mam prawa tego pamiętać, byłam jeszcze dzieckiem... Historia opowiedziana przed snem to opowieść o superbohaterze, który uratował najważniejszą osobę w moim życiu – mojego tatę.

*Aleksandra Filipowicz*

*Jakub Fudała*

## Vincenzo

### I

Kiedy Vincenzo wyszedł na taras, zobaczył sycylijskie pomarańcze tonące w blasku zachodzącego słońca. Na tle czerwonej, zanikającej za horyzontem kuli ich kształt zdawał się być perfekcyjny. Mężczyzna kochał ten sad niemal tak samo, jak swoją włoską rodzinę. Codziennie zasiadał w nim, na swoim składanym fotelu i podziwiał ten przepiękny krajobraz. Z trwającej chwili błogiego spokoju wyrwał go warkot silnika. Vincenzo słyszał ten głośny dźwięk nie pierwszy raz, toteż domyślił się, kto za niego odpowiada.

Niedługo potem na posesję przed sadem wjechał Alfredo Cana, swoim, dopiero co odebrany z zakładu Pedra Logiego, nowym samochodem. Cana był nieśmiałym mężczyzną w kwiecie wieku, mającym bardzo niskie poczucie własnej wartości. Próbował podwyższyć je drogimi i pięknymi pojazdami czy leżakującymi winami z uprzedniego wieku, które przetrzymywał w piwnicy na „odpowiednią okazję”, dobrze wiedząc, że taka nifty nie nadejdzie.

– Don Toturotti, jak miło to tak czasem porozmawiać – powiedział radośnie przyjezdny.

– Co cię do mnie sprowadza, Alfredo? – odrzekł ciepłym tonem Vincenzo.

– Bo... – tu nieśmiały Włoch zawiesił się na chwilę i odwrócił wzrok w stronę pomarańczowych drzewek.

– Przyjacielu, wiesz, że ja wysłucham cię zawsze i pomogę, jeżeli będę umiał.

To była prawda. Vincenzo Toturotti był przystojnym, dobrze wykształconym, pełnym energii czterdziestolatkiem, który za najważniejsze w życiu wartości stawiał sobie szacunek, lojalność i pomoc innym.

– Bo... muszę wyjechać. Na długo, do Ameryki. Jestem w niebezpieczeństwie, Don Toturotti i nie mogę tu dłużej zostać. Chciałbym zostawić mój dobytek w dobrych rękach. Mój dom, moją winiarnię i... mój wóz.

– Alfredo – Vincenzo wziął głęboki oddech i zaczął mówić, jednocześnie patrząc w oczy skrytego mężczyzny. – To, co było twoje, twoje pozostanie, a po powrocie przekażę ci to osobiście. Nie masz się o co martwić, przyjacielu, kiedyś wyświadczyłeś mi przysługę, moja kolej. Powinieneś odpocząć przed podróżą. Zapraszam cię, Alfredo, na lampkę wina, mojej produkcji. Mam nadzieję, że ci posmakuje.

Resztę spotkania gość wraz z gospodarzem spędzili, oglądając zachód słońca na składanych fotelach i delektując się słodkim winem z nutką sycylijskich pomarańczy.

## II

Tego deszczowego popołudnia włoska ziemia nawodniła się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Ciemne, grube chmurzyska trwały nieruchomo nad ziemią, przeciążone ilością wody w swoich pierzastych strukturach. Po godzinie piętnastej przejrzysty widok przyciemnionych pól przecięła smuga siarczystego deszczu. Opady miały utrzymać się do wieczora.

Co robić, kiedy nie ma się wyboru? Czy to możliwe? Zawsze możemy coś wybrać. Ładniejszą, bardziej okazałą truskawkę z miski owocami wypełnionej, albo przy kupnie książki decydować się na tą w twardej okładce. Choć dobrze wiemy, że druga opcja jest lżejsza, wszędzie się zmieści i łatwiej się ją czyta. Sam fakt porządnej, twardej, solidnej powierzchni chroniącej książkę przed niechcianymi urazami, potrafi przekonać do podjęcia takiej decyzji. Podążając leśną ścieżką, prędzej czy później natrafimy na rozstaj dróg. Lewa strona odkrywa przed nami polanę i wrzosowe zagajniki, prawa natomiast wiedzie do nieprzemierzonej ludzką stopą gęstwiny. Dwie trasy i dwa małe światy, do których wnętrza możemy się udać, kierując się dowolnym torem. Chwila...



a kto powiedział, że są tylko dwie opcje? Zawzięci znajdują to drzewo i ten krzak, obok którego będą chcieli przejść i wydepczą własny szlak. Także możliwości jest nieskończenie wiele, a czy znajdziemy odpowiednie dla swoich wymagań wyjście, zależy tylko i wyłącznie od nas.

Vincenzo zakończył przemyślenia kieliszkiem słodkiej Marsali. Ulewa ustąpiła. Czarne chmury rozstały się, wyłaniając złotawe promyki słońca zbliżającego się do końca swej dzisiejszej wędrówki.

*Jakub Fudała*

*Amelia Iwan*

## Warto

Las wiosną to niezwykle piękny widok. Wszystko budzi się do życia. Rośliny zapominają o śniegu, który je przykrywał, i o mrozie, jaki przetrwały. Pną się w górę, w stronę światła. Co prawda często wtedy pada, jakby niebo płakało, przypominając sobie smutny los wielu nasion, które zamarły i już nigdy nie wykiełkują. Ale życie przyjmuje ten deszcz z uśmiechem, przekuwając go w swoją siłę. Wie, że deszcz doda mu siłę, jeżeli nie zniszczy go wichura lub piorun. To niezwykle – rośliny doskonale wiedzą, jak należy postępować. Nie mają żadnego wpływu na pogodę, więc się nią kompletnie nie przejmują. Wierzą, że przetrwają każdą porę. Ta wiara jest piękna. Czasem wydaje się, że strumyk również wierzy – mimo że w sumie jest pojemnikiem na wszelkie łzy i zale nieba. Ale strumyk też zna swoją rolę w przyrodzie, choć bywa trudna do zaakceptowania. Czasami nie wytrzymuje i podczas większych ulew gwałtownie wzbiera, zalewając część lasu. Potem zawsze jednak wraca do siebie i nawet nie przeprosza myszy, którym zalał norę. One mu w końcu szybko przebaczą, kiedy po długich poszukiwaniach znajdują nawet lepszy dom. Nie marnują swojego czasu na wypominanie mu, że je skrzywdził. Wszystko w lesie żyje własnym trybem i nikt nie ma do nikogo pretensji. Wszyscy akceptują los, jaki został im przeznaczony, jednocześnie nie rezygnując ze starań o jego polepszenie. Może dlatego ludzie od wieków uznają las za świetne miejsce do wypoczynku. Otoczeni ideałem przyrody, często zaczynają rozważać, co oni mogliby zrobić, aby dojść do takiego spokoju. Zobacz – zupełnie jak ta dziewczyna. Właśnie się tu zbliża. W dłoni trzyma długą, mocną linę. Ma coś pięknego na twarzy...

Delikatny i szczerzy uśmiech. Stare drzewa kiedyś mi opowiadały, że dawniej nie był to tak codzienny widok. Według mnie dzięki temu jej radość stała się jeszcze cenniejsza.

Dziewczyna biegnie sobie tylko znanymi ścieżkami, kierując się specyficznymi drogowskazami – dwie dziuple wiewiórek, powalony krzak jeżyn, ulubiona kryjówka żab. Zna tu już chyba każde drzewo, każdy strumień i każdą mysz. Naprawdę zrosła się z tym lasem w jedność. Jak na człowieka porusza się bardzo cicho. Dobiega w końcu do polany, na której spędza najwięcej czasu. Podchodzi do drzewa, którego gałęzie zwisają nad krawędzią polany. Wchodzi na nie sprawnie, po czym siada na grubej gałęzi i opasuje ją liną, a następnie wiąże jakieś tajemnicze supły i pętlę. Nie wiem, do czego miałyby to służyć. Coś mi mówi, że do niczego dobrego. Ona jednak się uśmiecha, więc to nie może być złe. Schodzi z drzewa. Patrzy na swoje dzieło i zaczyna się śmiać. Siada przy pniu. Na kogoś czeka. Nuci wesołą melodię, którą zaczynają naśladować ptaki. Wtedy na polanę wpada zdyszany chłopak. Parę razy widziały go tu sarny, ale nigdy nie zwracały na niego zbyt dużej uwagi. Ot, kolejny człowiek, który przychodzi tu rzadko, strasznie hałasuje i jeszcze czasami śmieci. Dziewczyna wstaje, wyciąga rękę. On patrzy na nią i na linę zwisającą z drzewa. Jest zszokowany. Sam trzyma kolejną w dłoni.

– No chodź! Zapomniałeś, jak się mówi? Pomyślałam, że sam na pewno byś sobie nie poradził.

Nigdy nie uczyłeś się, jak to robić tak, aby nie bolało – spokój dziewczyny był taki jak zawsze, ale chłopakowi wydawał się niezrozumiały.

– Ale... Jak to? Dlaczego tu jesteś? To miało być proste...

– Będzie proste. Zobaczysz. Chodź. Umiesz się wspinać po drzewach, prawda? Znajdź odpowiednią gałąź. I on robił każdą rzecz, o jaką go poprosiła. Wspiął się (nieudolnie) na sąsiednie drzewo. Usiadł stabilnie tuż przy głównym pniu, tak aby nie potrzebować wsparcia rąk. Potem zaczął obwiązywać gałąź. Dziewczyna pokręciła głową, kazała mu się trochę odsunąć i za chwilę sama znajdowała się tuż obok, po drugiej stronie liny. Cały czas się uśmiechała. Pracowali w milczeniu. Wkrótce skończyli i zeskoczyli na dół. Chłopak omal sobie przy tym nie złamał nogi, ale ten szczegół nie przykuł jej uwagi.

– Dlaczego to robisz? – to pytanie najwyraźniej tkwiło mu w gardle od dłuższego czasu. – A jak myślisz?

– Też chcesz...?

– Skądże.

– Więc dlaczego? Nie rozumiem...

- Nigdy zbyt dobrze nie rozumiałaś. Pewnie dlatego tutaj wylądowałaś.
- Jakim cudem ciągle się uśmiechasz?
- To proste.
- Wcale nie.
- Jeżeli tak sądzisz, twoja prawda nieprędko się zmieni.  
Dziewczyna rzuciła mu zniechęcające mordercze spojrzenie.
- Okej, okej! Przepraszam, co miałaś na myśli?
- Tak lepiej... Sam się przekonasz. Teraz zrób to, po co tu przyszedłeś. No już.
- Ale...
- Ale co?
- Ja już nie wiem, czy tego chcę.
- Dlaczego? Czy to nie o tym marzyłeś od dłuższego czasu? Czy to nie miała być twoja droga?  
Zapomniałeś już, jaki ten moment miał być dla ciebie ważny?
- Nie, to nie o to...
- Więc o co chodzi? – cały czas się uśmiechała i ani razu nie podniosła głosu.
- Po prostu... Ciebie miało tutaj nie być.
- A to dlaczego? Zawsze cię wspierałam w osiągnięciu twoich celów, a to chyba największy w całym twoim życiu! Nie sądzisz, że byłabym z ciebie dumna?
- Nie... Raczej nie. Będziesz zawiedziona, jeżeli to zrobię. Będziesz zmar-twiona. Już pewnie jesteś... Zawsze sprawiałem ci tyle smutku.
- Przepraszam, ale czegoś chyba nie rozumiesz. Czy ja wyglądam na smutną?
- No... nie.
- I od dawna nie byłam. Więc wybij sobie z głowy, że nie chcesz tego robić z powodu strachu przed tym, co inni pomyślą. Pamiętaj, opinia innych nie jest taka ważna! Musisz podejmować własne decyzje.
- Ale... Ja nadal nie chcę tego robić.
- Dlaczego?
- Nie wiem.
- Oj weź, musisz wiedzieć! Chyba że masz wątpliwości i po raz kolejny zamierzasz przegapić szansę tylko z powodu swoich niezidentyfikowanych lęków.
- Nie... To nie to.
- Powtórzę więc jeszcze raz. Dlaczego nie chcesz tego zrobić?
- Ja...
- Lepiej się zastanów.

Dziwnie się na to patrzyło. Chłopak był posłuszny jak owieczka. Nie wiem, jakim cudem ściszał głos jeszcze bardziej niż dziewczyna, bo ona mówiła, jak zawsze, cicho i spokojnie. Usiadła na trawie i zaczęła nucić. Chłopak patrzył

raz na nią, raz na pętlę, raz na niebo. Cóż, niebo dzisiaj było radosne. Ani jednej chmurki.

– Mam jedno pytanie. Dopóki na nie nie odpowiesz, nie będę potrafił się skupić.

– Słucham?

Wyrwał ją z krótkiej sesji medytacji, ale nie wyglądała na zdenerwowaną.

– Po co ta druga lina?

– Na wypadek gdybyś ty przyniósł za krótką.

I znowu zapadło między nimi milczenie. Chłopak zaczął wpatrywać się w las. Widział uparte w swoim dążeniu do światła rośliny. Widział mrówki, które pracowicie spędzały kolejny dzień ich krótkich, ale jakże dobrze wykorzystanych żywotów. Widział strumyk, który dzisiaj nie miał najmniejszego zamiaru zalewać lasu. Płynął przez niego spokojnie, zagadując najbliższych przyjaciół, zazwyczaj mieszkających w nadbrzeżnych krzakach. Chłopak patrzył na to wszystko, pochłonięty zarówno przez las, jak i przez własne myśli. Kiedy w końcu się odezwał, słońce przebyło długą drogę przez niebo i kierowało się powoli w stronę horyzontu.

– Mam takie opory, bo tak naprawdę nie chcę tego robić. Nie uszczęśliwiłoby mnie to. Nawet jeżeli śmierć miałaby być rozwiązaniem, istnieją szybsze i mniej bolesne sposoby.

– Ale?

– Ale ja w ogóle nie chcę umierać...

– Przecież pracowałeś nad tym od dłuższego czasu. To był twój cel. Co teraz poczujesz bez niego?

– Najwyraźniej będę musiał znaleźć inny – wyglądał na bardzo zdziwionego tym, co właśnie powiedział.

– Co zrobisz najpierw?

– Posprzątam śmieci po minionej porażce, tak jak mi mówiłaś.

Chwilę później trzymał w ręku składany nóż, który dziewczyna wyciągnęła z kieszeni. Wspiął się kolejno na oba drzewa i porozcinał liny. Bardzo nieśmiało, ale pierwszy raz dzisiaj się uśmiechnął. Po chwili zszedł z drzewa, oddał jej nóż i wziął w ręce kawałki lin.

– I co? Warto było?

– Użalać się nad sobą? Dziewczyna potwierdziła.

– Tak. Wszystko, co zrobiłem, co robię i co zrobię, jest warte każdej sekundy życia, bo jest jego nieodzowną częścią.

– Cieszę się, że naprawdę to rozumiałeś. A teraz chodźmy już. Zbliży się zachód, a nie wzięłam spreju na komary. Często tutaj wracali. Ale od tamtego

czasu chłopak zawsze się uśmiechał. Robił to wręcz jeszcze bardziej promiennie niż dziewczyna. Ich szczęście było takie jak ten las. Wieczne, niezachwiane i spokojne, nawet jeśli przechodziła przez nie burza.

*Amelia Iwan*

*Maciej Keller*

## **Autoportret**

Cześć. Nazywam się Maciej, mam prawie jedenaście lat i właśnie kończę piątą klasę szkoły podstawowej. Niektórzy pewnie zastanawiają się, skąd pomysł na autoportret. Co taki dzieciak może w nim napisać? Sam się nad tym zastanawiam, bo przecież właściwie jeszcze nic ważnego nie osiągnąłem, nie wynalazłem leku na raka, nie zdobyłem Czomolungmy ani Nagrody Nobla. Jednak poczułem, że chciałbym jakoś podsumować pierwszą dekadę mojego życia. Tylko od czego zacząć? Zdecydowałem, że skorzystam z pomocy dydaktycznej i pożyczyłem od mamy lusterko. Siadam, wpatruję się w taflę rzezczonej pomocy i czekam na jakieś twórcze myśli. I nic. Patrzę, czekam i wciąż widzę tylko całkiem zwykłego przeciętniaka, więc – co mi zostało? Zaczynam opisywać dokładnie to, co widzę w odbiciu.

Odkrywam, że jestem właścicielem mysich włosów, ni to blond, ni szatyn, coś pomiędzy kolorem słomy i siana. Wcześniej się nad tym nawet nie zastanawiałem. Szczęście, że ratuje mnie fryzura na przydługiego jeża. Postanowiłem, dla własnego dobra, nie skupiać się zbyt długo na włosach i przejść do nosa. Nos, jak nos, nawet zgrabny. Widywałem w życiu gorsze. Choćby ten, z jakim całe życie musiał wytrzymać polski astronom Kopernik albo francuski aktor Depardieu. I tu przychodzi mi na myśl, że im sławniejszy człowiek, tym dziwniejszy nos. Może między tym istnieje jakaś zależność i warto, by mój jednak trochę zgarbiała? A z drugiej strony mama powtarza, że żyjemy w czasach, w których nikt nie musi przejmować się krzywym nosem, dwa ruchy skalpela i korekta gotowa. Nie jestem pewien, słysząc jej ton, czy pochwała tę korektę, ale fakt pozostaje faktem. A wracając do mojego nosa, tu, póki co, nie mam większych zastrzeżeń. Najważniejsze, że czuję zapachy, bo te mają duży wpływ na moje życie. I to dosłownie. Czuję, kiedy obiad stoi na stole, więc z głodu nie umrę. Czuję, kiedy nadchodzi ostateczny czas na posprzątanie pokoju, zanim coś spadnie mi na głowę i mnie zabije. Przede wszystkim jednak czuję

to, co stanowi, że życie jest piękne – zapach świeżo skoszonej trawy i róż w ogrodzie babci, domowej pizzy, robionej przez tatę i kakao, które co rano czeka na mnie w kuchni. Czuję przebudzenie wiosny, kiedy łąka zamienia się w kwiecisty dywan i zapach ziemi, gdy lekko skropi ją ciepły, letni deszczyk. I kiedy tak o tym myślę, dochodzę do wniosku, że nos, to ważny element, choć początkowo zamierzałem go zlekceważyć. I z całą stanowczością mogę napisać, że lubię swój nochal. Dużo gorzej przedstawia się sytuacja z uszami, bo te, genetycznie zaprogramowane przez rodzinę taty, są dość pokaźne, a do tego nieco odstające. Niestety, ich wielkość nie przekłada się na lepszą słyszalność i wszystko traktują wybiórczo. W praktyce oznacza to tyle, że słyszą tylko to, co chcą. Prawie nigdy nie wyłapują słów, kiedy mama prosi o wyniesienie śmieci, czy woła, żebym odrobił lekcje. Za to świetnie słyszą szelest papierków od słodyczy (choć tutaj może wspomaga je wcześniej opisywany nos). Rozróżniają też dzwonek do drzwi, świetnie wiedzą, kiedy za drzwiami stoją koledzy, a kiedy listonosz czy sąsiadka. Oczywiście reagują tylko na dzwonek kolegów. Jednak słyszą też śpiew ptaków w karmniku za oknem, szelest wiatru w jesiennych liściach i krople deszczu bębniące o szybę. Słyszą melodie zakłęte w dzwoneczkach na łące i rytmy wystukiwane przez ziarenka zamknięte w główkach maku. Ale starczy o uszach. Czas przyjrzeć się ustom. A te na ogół są zupełnie normalne. Czasem wykrzywia je grymas, zwłaszcza, kiedy muszę robić rzeczy, których nie chcę. Jednak częściej są szeroko uśmiechnięte, niekiedy tak, że uszy stanowią dla nich ograniczniki. I tu okazuje się, że uszy są równie ważne co nos, zwłaszcza, jeśli znajdują się na odpowiednim miejscu. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie jeden problem – moje usta bez przerwy się poruszają, zalewając otoczenie słowami. Wypuszczają te głośno wypowiedziane myśli z prędkością karabinu maszynowego.

I główna trudność polega na tym, że jak próbuję spisywać to, co myślę, to mimo że jestem z klawiaturą za pan brat i potrafię pisać bardzo szybko, nawet z zamkniętymi oczami, to nie nadążam. I zanim napiszę ułożony w głowie tekst, to połowa myśli i słów ucieka w przestrzeń. Liczę na to, że kiedyś wrócą. Do pełnego autoportretu brakuje opisu oczu. I tu jest o czym pisać. Oczywiście odziedziczyłem po mamie. Są duże i błękitne. Ale nie to jest ich wartością. Bardziej cieszy mnie to, że widzą rzeczy, które dla wielu są niezauważalne. Trudno to opisać słowami, ale pokuszę się o mały przykład. Wielu ludzi, widząc tęczę, myśli – ależ ona jest cudowna, piękna i kolorowa. A ja nie widzę tęczy, tylko most rozpościerający się między krainą olbrzymów a krainą skrzatów, przy czym jeden ze skrzatów, przez pomyłkę, przeszedł po nim do krainy wielkoludów i teraz ma ogromne kłopoty. Natychmiast siadam do

komputera, by pomóc mu wrócić do domu. Oczywiście ratuję go dosłownie w ostatniej chwili, ponieważ na końcu tej historii tęczyowy most znika, a wraz z nim przejście. Moje oczy widzą wiele takich sytuacji, dzięki którym później powstają bajki i opowiadania, bo tym zajmuję się w wolnych chwilach. A czasem też w chwilach, w których powinienem zajmować się zupełnie czymś innym, na przykład odrabianiem lekcji czy wyniesieniem tych nieszczęsnych śmieci. Tyle, że z moją pasją, jaką jest pisanie, niewiele rzeczy wygrywa. I teraz właśnie się uśmiecham, bo wiem, że rodzice świetnie to rozumieją i mocno mnie wspierają, mimo że czasem ich nie słyszę.

Taki właśnie jestem. To autoportret chłopaka, którego wszyscy widzą tak samo, ale on sam wszystko widzi nieco inaczej.

*Maciej Keller*

*Aleksandra Kocot*

## **Katharsis**

– Pani Hoffman, możemy zaczynać? – elegancka reporterka uśmiechnęła się do zgarbionej staruszki, wolno podchodzącej do fotela.

– Więc mam opowiedzieć o historii zdobywania i pomnażania mojego majątku? – starsza pani zaśmiała się, a w jej błękitnych oczach pojawił się pewien błysk.

– Wiem, co chcecie usłyszeć, że mozolną pracą na wszystko zapracowałam. Ale musze was rozczarować. Zgodziłam się na ten wywiad, bo po raz pierwszy czuję wewnętrzną potrzebę wyrzucenia wszystkiego z siebie, tego bólu i piętna, które w sobie noszę. Moja historia rozpoczęła się w przedwojennym Krakowie. Mieszkałam wtedy z moim ojcem, profesorem Hoffmanem i siostrą Lusią w willi pod Krakowem. Mieliśmy wszystkiego pod dostatkiem. Ot, taka szczęśliwa zasymilowana, żydowska rodzina. Nie mówiło się po hebrajsku, do synagogi też nie chodziliśmy. Mój tata wyładał historię sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Być może to jego wpływ, że od najmłodszych lat malowałam. A wychodziło mi to naprawdę dobrze. Nigdy nie rozstawałam się z moim płótnem i farbami. Nawet wtedy, po wybuchu wojny, gdy ukrywaliśmy się na strychu u przyjaciela mojego ojca, pana Dobrzańskiego. Nie wiem, kto nas zadenuncjował, być może ktoś z sąsiadów, tego nie dowiem się nigdy. Czy wie pani, jak to jest patrzeć, jak rozstrzelują kogoś bliskiego, na pani

oczach? Czy zdaje pani sobie z tego sprawę, co czułam? – staruszka nerwowo wytarła rękawem cieknące łzy.

– Oni zabili mego tatę i pana Dobrzańskiego na moich oczach. Moich i mojej siostry Lusi. Nas nie zabili. Ale wie pani dlaczego? Nie z litości, o nie. Oni po prostu mieli tylko dwie kule. Na nas już nie starczyło. Wepchali nas do ciężarówek, a potem wyruszyliśmy w podróż pociągiem. Nie, nie takim, co to teraz jeżdżą. Bydlęcym. A w środku smród, upał, ludzie przyciśnięci do siebie, załatwiali swe potrzeby na stojąco. No, a potem to w piekle się znalazłyśmy. Słowo daję. Ustawili nas w rzędach, osobno kobiety i osobno mężczyźni. A ja dalej te swoje farby ze sobą taszczyłam. A wie pani, co jest najgorsze? Że od kiedy stałam się numerem, przestałam być też człowiekiem. Ja sobie przyrzekłam, że wyjdę stąd, nawet za cenę życia mojej siostry. Za każdą cenę. No i cud się stał pewnego dnia. Jeden ze strażników, taki Hans, urodziny miał. Blokowa zapytała, kto jaki talent ma. A ja się głosiłam:

– Pięknie maluję! – a ona, że mam odrysować fotografię tego Niemca na płótno. I, że jeśli się sprawdzę, nigdy nie wrócę na blok.

– Czy mogę zabrać siostrę?

Blokowa zaśmiała się szyderczo. Wiedziałam, co to oznacza. Dokonałam wyboru, poświęciłam jej życie, żebym ja mogła przetrwać. I wie pani co? Ten Niemiec był zachwycony moimi obrazami. Malowałam dla niego i całej jego rodziny aż do końca wojny. Tak przetrwałam. A potem okazało się, że on zapisał mi cały swój majątek. Jest pani rozczarowana? Ta fortuna, o której pani chciała rozmawiać, pochodzi od miliona niewinnych ofiar. Czy ja też jestem ofiarą? A może jestem katem?

*Aleksandra Kocot*

*Jan Kocot*

## **Boże Narodzenie 1942**

Popiół palonego, wielkiego ogniska niemiłosiernie wgrzyza się w moje oczy. Właściwie przyzwyczaiłem się do niego. W krainie popiołu żyję już długie sto dwadzieścia trzy dni. Dokładnie taki czas spędziłem na innej planecie. Planecie, zwanej...Auschwitz. Czy i tutaj istnieje coś takiego jak Wigilia? Nie, przecież tu nie żyją ludzie. Mieszkańcami są troglodyci. Wyglądam nieśmiało z mojego baraku. Bosa stopa dotyka srebrnej, lodowatej podłogi, utkanej ze śniegu. Zamykam



oczy. Dokładnie rok wstecz moja matula gotowała wyborny, królewski barszcz, a złocisty karp skwierczał na patelni. Ale to było w innym życiu, w innej galaktyce.

Tymczasem moją rzeczywistością stali się wychudli, głodni osobnicy, w nich nie przypominający ludzi. Zamiast serc i rozumu, kierował nimi głód. Otwieram oczy. Na placu obozowym ustawiona została ogromna choinka, a pod nią...stosy ciał.

– Proszę pana – nagle słyszę cichutki głosik.

Początkowo wydaje mi się, że to moja głowa uroiła coś sobie. Spoglądam jednak w dół. Przede mną stoi mała, na oko siedmioletnia dziewczynka.

– Skąd ty się tu – mamroczę niewyraźnie.

– Uciekłam z baraku wujka Mengelego – słyszę słowa, od których cierpienie mi skóra.

Mała nagle zaczyna szlochać. Biorę ją na ręce i wskazuję na wielką, obozową choinkę.

– Zobacz jaka piękna! – wykrzykuję.

– A co pod nią jest? – zadaje mi pytanie dziewczynka.

Początkowo waham się, formułując odpowiedź, jednak usta wyginają się w uśmiechu, kiedy szepczę:

– Zobacz, książki schowały się pod choinkę – kłamię, wskazując na ustawiony przed drzewem stos dokumentów, należących do ofiar.

– Dlaczego ci ludzie leżą pod choinką? – dopytuje się mała, a ja znowu na poczekaniu wymyślam kolejne wytłumaczenie:

– To wiewiór zaatakował. Każdy musi udawać, że śpi, żeby przechytryć cwaniaka. Mała śmieje się z zachwytem.

– A to kto? – wskazuje na przechadzającego się na placu esesmana.

– To pigmejski wojownik – wybucham śmiechem, po raz pierwszy, od czasu, kiedy się tutaj znalazłem.

Mała gładzi mój policzek, a mnie robi się ciepło na sercu. Przypominam sobie, że jestem człowiekiem.

Nagle rozpoczyna się śpiew niemieckiej kolędy, a następnie płynie jak gwałtowne morze pieśń „Bóg się rodzi”. W końcowym akordzie nasi śpiewają Mazurek Dąbrowskiego.

– Tego jeszcze nie grali, pomyślał wigilijny karp... – żartuję znowu, a w zamian słyszę srebrzysty śmiech dziecka, najpiękniejszą melodię, jaką do tej pory udało mi się usłyszeć.

– Chyba coś kręcisz – mówi dziewczynka, a ja znowu się śmieję.

– Przypadłość kłamczuszka! – wołam wyraźnie rozbawiony.

Naraz chwilę radości, które udało nam się zbudować, przerywa smagnięcie bicia:

– Rusz się gamoniu – słyszę po niemiecku.

Podnoszę oczy. Przede mną stoi esesman w eleganckim mundurze, a wyraz twarzy ma zimny jak sople na choince.

Nie czuję strachu, to uczucie już dawno się u mnie wypaliło, jak wszystkie inne. Jednak naraz owo nadchodzi, przypominam bowiem sobie, że mojej nogi trzyma się kurczowo dziewczynka.

– Wer ist das Kind? – słyszę. – A niechże cię – dodaje tamten.

Oboje wraz z dziewczyną, mamy nietęgą miny. Zapada cisza... Zamykam oczy, a kiedy je na powrót otwieram, w moje czoło wycelowany zostaje niemiecki pistolet.

– Zaraz będzie po tobie – syczy Niemiec.

Jednak naraz tragiczną scenę przerywa cichutki śpiew.

– Stille Nacht, heilige Nacht, Alles schläft einsam wacht... – płynie melodia, śpiewana jakby przez anioła. To ta mała dziewczynka nieoczekiwanie przywołuje słowa niemieckiej kolędy. Niemiec odkłada broń. Zamyka oczy. Przez chwilę wszyscy delektujemy się słowami kolędy w jego ojczystym języku. Kiedy wreszcie zapada ostatni takt, podnoszę oczy. Oficer stoi przede mną splakany jak bóbr.

– Śpiewa jak moja Margarethe, moja mała Margarethe... – szepcze esesman sam do siebie.

Po czym staje się rzecz niesłychana. Niemiecki oficer bierze nas za ręce i prowadzi gdzieś.

Stajemy przed kolczastymi drutami.

– Nie tędy droga, co wszyscy mówią – wskazuje na komin.

– Tam jest życie – jego ręka pokazuje świat za drutami. – A tutaj – jego ręka dotyka kawałka kolczastego druta – nie ma prądu. Proszę, uciekajcie oboje. Schneller!

Patrzę na niego zdumionym i przerażonym wzrokiem, kiedy mówi do mnie:

– Bądź ojcem dla tej małej. Dzisiaj, w Wigilię podaruję wam nowe życie.

Z kieszeni wyciąga opłatek. Wszyscy się nim łamiemy.

– Żebyście w następne lata mogli patrzeć nam w oczy i nazywać na powrót ludźmi. Przepraszam – płacze Niemiec. – Jestem tylko częścią tej niezrozumiałej maszyny. Frohe Weinachten! – szepcze do nas, a ja odchylam drut i wydostaję się na inną planetę.

Pod pachą trzymam dziewczynkę, jedyny powód, dla którego tak bardzo pragnę żyć...

## **Toksyczne motyle**

– Nie można tego tak zostawić – powiedziała Hania. – Ponoć już w oceanach pływają nasze rękawiczki.

– Tak, to prawda – wymądrzał się Piotrek. – Jeżeli czegoś sensownego nie wymyślą, to skutki zanieczyszczenia środowiska będą groźniejsze niż epidemia.

– Wymyślą, wymyślą! Kto wymyśli? – przedrzeźniał się Franek. – My nic nie musimy!

– Jak to nic nie musimy – powiedziała Zosia, jedna z najodpowiedzialniejszych dziewczynek w naszym gronie. – To właśnie do nas, młodych, należy najważniejsze zadanie. Musimy zwrócić uwagę dorosłym na ten problem. To nasz świat zanieczyszczają. Świat, w którym będziemy w przyszłości wychowywać nasze dzieci.

– Zosia ma rację, ale co zrobić?

Piotrek, jak zwykle, miał naukowe wytłumaczenie:

– Ustawmy specjalne kosze, które będą wciągały rękawiczki jak niszcarka do papieru...

– Ha, ha i gdzie ich będziemy szukać? – znowu Franek zaczął kpić. – Myślę, że to drogi i mało skuteczny pomysł – dodała Hania.

– Słuchajcie... – i zacząłem im tłumaczyć, że największy problem jest w tym, że należy nauczyć ludzi, aby zużyte rękawiczki trafiały do odpowiednich pojemników na śmieci. Jak powinniśmy je utylizować, muszą zastanowić się dorośli, pracujący w specjalnych laboratoriach.

– Tak, to prawda – przyznała mi rację Zosia.

– A ja czytałem, że jest taka specjalna bakteria – znowu Piotrek zaczął swoje – która produkuje enzym trawiący plastik i naukowcy przeprowadzają właśnie badania.

– Zostawmy badania naukowcom, a sami zróbmy, co możemy.

– Racja Haniu. Może zróbmy kampanię społeczną. Gdyby każdy z nas narysował plakat lub ulotki i nakleił na drzwiach lub oknie z hasłami: „Swoje rękawiczki zabierz do swojego kosza”,

„Złap do kosza toksycznego motyla”,

„Nie pozwól, by toksyczny motyl fruwał!”

Myślę, że dorośli zauważą te hasła i zaczęliby pilnować, aby rękawiczki trafiały do śmieci.

– O tak! – dodał Piotrek. – My, mali, zrobimy mały krok.

– A dorośli powinni pomyśleć o dużym!

## Uratować tysiące – wojna z wirusem

– Karolinko! Chodź kochana – zawołała. Babcia stała pod niewielkim sklepikiem spożywczym. Odwróciłam głowę w kierunku staruszki, lekko się uśmiechając. Dałam jej tym znak, że zaraz podejść. Chciałam tylko sprawdzić, czy czarno-czerwony samochód stoi na parkingu obok szpitala. Było to auto mojej mamy, która ciężko pracuje jako mikrobiolog. Jest bardzo dobrym człowiekiem. Bardzo ją kocham, ponieważ jest przesympatyczna i doskonale się z nią dogaduję. Martwię się, gdy w miejscu, gdzie moja mama zawsze parkuje samochód, nagle go nie ma! Podeszłam bliżej parkingu. Stałam obok jednego z pojazdów. Podbiłam się wyżej na palcach u stóp, by więcej widzieć, po czym zaczęłam rozglądać się wokół. Zaskoczyło mnie to, że dzisiaj było ich wyjątkowo mało. Zawsze parking był pełny. Obleciałam wzrokiem wszystkie samochody, które tam były. Niestety nie poznałam żadnego z nich. Trochę dalej od sklepu, obok potężnego drzewa, leżał dość szeroki kamień na którym spokojnie można stanąć. Podeszłam, po czym ostrożnie postawiłam na nim jedną nogę. Wyprostowałam się i spojrzałam na samochody jeszcze raz, ale dokładniej. Przystłoniłam dłonią słońce, by lepiej się przyjrzeć, lecz nadal nigdzie nie dostrzegałam auta mamy. Powoli zesłam z kamienia, przytrzymując się drzewa. Podchodząc do sklepu, cały czas spoglądałam na parking z myślą, że jeszcze znajdę jej samochód. Zaczęłam się martwić. Myśli przychodziły mi coraz gorsze, chociaż co jakiś czas próbowałam się pocieszać dobrymi. Dzień w dzień odkąd zaczęła pracę, nigdzie indziej nie zostawiała samochodu. W końcu natrafiłam na szklane drzwi do sklepu spożywczego. Weszłam do środka i pierwsze, co zauważyłam to kasę fiskalną oraz rozmawiającą z babcią, gadatliwą kasjerkę, panią Renatę. Znam ją bardzo dobrze, ponieważ rzadko się zdarza, aby pracował w sklepie ktoś inny niż ona, bo sklepik jest niewielki i mało osób go odwiedza. Ja tutaj przychodzę ze względu na moją babcię, która za nic nie poszłaby kupić warzyw i owoców nigdzie indziej! Twierdzi, że tutaj są najlepsze i wie, skąd pochodzą. Większość oczywiście z ogrodu pani Renatki. Znają się od lat. Gdy tylko pani Renata kończy pracę, siadają na ławeczce obok sklepu. Wymieniają się wiedzą oraz rozmawiają o innych. Ba! Obgadują całe miasto, ale nikomu to nie przeszkadza. Podeszłam bliżej babci i kasjerki, przy okazji podsłuchując ich pogawędkę.

– Ha! Co ty mówisz! – śmiała się babcia. Nie wiedziałam, o czym mowa. Sięgnęłam po reklamówkę, w której staruszka trzymała zakupy. Ostrożnie zdjęłam

ją ze stołu. Dopiero teraz poczułam, jaka jest ciężka, chociaż wcale na taką nie wyglądała. Jedną ręką uniosłam zakupy do klatki piersiowej, drugą podtrzymałam spód, aby się nie rozleciała. Zniecierpliwiona chciałam powiedzieć do babci, że trzeba już iść, gdy nagle wtrąciła się pani Renata. Podparła rękę o stolik, na którym wcześniej były zakupy, nachylając się do babci.

– A wiesz, podobno jakiś dziwna zaraza powstała w tym Los Angeles – szepnęła. Zaskrzyphiały drzwi. Wszedł nieznany pan, dość wysoki, ubrany w elegancki garnitur i krawat, trzymał w ręce ulotki. Staruszki zresztą też nie wyglądały, jakby kiedyś widziały tego tajemniczego klienta. Mężczyzna ruszył w naszą stronę, zaczynając się przyglądać babci, kasjerce oraz ogólnie całemu sklepowi. Klient wyciągnął rękę, kładąc ulotki na mały stolik. Pani Renatka spojrzała na babcię, chcąc uzyskać informację, co zrobić. Ona wzruszając ramionami, zabrała jedną z ulotek, po czym zaczęła uważnie czytać.

– Dzień dobry, mogę rozwiesić? – zapytał. Kasjerka również podniosła jedną z kartek, zaczynając czytać. Szybko przeleciała tylko tytuł i wyglądała, jakby od razu wiedziała, o co chodzi. Położyła ulotkę z powrotem na stoliku, kiwając głową na znak, że można rozwieszać. Z ciekawości spojrzałam na kartkę, ale nie zdążyłam przeczytać, bo mężczyzna zabrał wszystkie ulotki ze stolika. Spojrzał na panią Renatę, po czym powoli zaczął się obracać w drugą stronę, uważnie szukając miejsca, w którym można by je rozwiesić. Zaczęłam myśleć, co jest takie ważne?

– Dobra, chodź, idziemy do domu – rozkazała babcia. To dość dziwne, ponieważ zazwyczaj to ja musiałam wyciągać staruszkę ze sklepu. Ruszyłam powoli w stronę szklanych drzwi, wyszłam przed sklepik. Czekając na babcię, zajrzałam do środka reklamówki. Staruszka kupiła dzisiaj nadzwyczaj dużo produktów, ale jakoś mnie to nie zainteresowało. W końcu ruszyliśmy pieszo do domu. Nie miałyśmy daleko. Po krótkim spacerze przypomniałam sobie o ulotkach, które rozwieszał nieznany dotąd mężczyzna. Chciałam wiedzieć, co jest w tym takie ważne? Wiedziałam, że babcia przeczytała to, co było tam napisane.

– Babciu, przeczytałaś tę ulotkę, prawda? – zapytałam. Spojrzałam na staruszkę, lecz ona zignorowała moje spojrzenie, przynajmniej tak mi się wydawało. Niebo nie było już takie jasne, robiło się trochę ciemno. Babcia szła przed siebie, rozglądając się po mieszkaniach. A ponieważ była dość ciekawska, zawsze tak robiła. W końcu obróciła głowę w moją stronę.

– Tak, przeczytałam – potwierdziła – podobno jakaś nowa zaraza ogarnęła prawie wszystkie kraje na ziemi. A właśnie! Zapomniałam Ci powiedzieć, że twoja matka pojechała do hotelu, w którym stworzono laboratorium i opracowuje

lek na tego wirusa – odpowiedziała. Otworzyła furtkę, weszła na podwórko. Ale, jak to... Pojechała i nawet mnie o tym nie poinformowała. Trochę mnie to zaniepokoiło. Szczęście, że nie słyszałam jeszcze o żadnym przypadku w Polsce, z drugiej strony dopiero przed chwilą dowiedziałam się o tym wirusie. Stało się to tak nagle, nie pomyślałabym, że moja mama pracuje teraz nad lekiem, dzięki któremu przeżyją tysiące ludzi, ale zapewne nie tylko Polska stara się uratować ludzkość. Zamyślona, w końcu weszłam na podwórko, zamykając za sobą zieloną furtkę, przy czym prawie wypadły mi z rąk zakupy.

### *Dwa miesiące później...*

– O Boże, szybko, podaj mi ten ręcznik! – rozkazała mama. Odwróciłam głowę, spoglądając na stół. Jeden ze szklanych pojemników leżał pęknięty na podłodze. Wokół niego była rozlana substancja. Szybko chwytając za biały ręcznik, podbiegłam do dywanu, na którym się coś rozlało. Położyłam tam ręcznik. Spoglądając na załamaną mamę, zrozumiałam, że musiała być to jedna z tych „najważniejszych” dla niej substancji. Powoli odsunęłam ręcznik od dywanu. W miejscu, w którym się rozlało, był przepalony materiał. Powoli wstałam, odkładając go.

– Nie! Skarbie, to była nasza ostatnia nadzieja... – zaczęła – przecież nie mogę wychodzić z domu dwa razy w miesiącu!

No tak, teraz świat jest inny. Nie można wyjść z domu, tylko na podwórko, a ja znajduję się w hotelu, w którym „pomagam” mojej mamie wynaleźć lek na wirusa. Teraz każdy kraj stara się to zrobić, ponieważ zmarło na niego prawie milion ludzi, taka ilość wydaje się niewiarygodna! Choroba jest straszna, czasem zapominasz, gdzie mieszkasz, kim są wcześniej całe życie znane ci osoby, kim jesteś, jak masz na imię, cały czas boli cię głowa, brzuch, masz gorączkę, duszności. Dlatego został wprowadzony zakaz wychodzenia z domu, można wyjść tylko raz w miesiącu. Osoby poniżej 15 roku życia w ogóle nie mogą wychodzić z mieszkań. Całe szczęście, że miesiąc temu ukończyłam piętnaście lat.

– Może ja pójdę po tę substancję i zrobię zakupy? – zapytałam. Trudno było określić, co mama o tym pomyśli. Po chwili podeszła w moją stronę, położyła dłoń na moim ramieniu, odgarniając moje krótkie włosy i spojrzała mi w oczy. To znaczy tak, czy nie?

– Nie, nie... Ostatnią rzeczą jaką chcę, to jest to, żebyś się zaraziła – odpowiedziała. To miłe, że się martwi, ale ja naprawdę poszłabym po lek i zrobiłabym zakupy. Przecież się nie zgubię!

– Chyba, że zadzwonię po Toma – powiedziała. Chyba powiedziała do siebie, ponieważ wie, że nie znam żadnego Toma. Przez kilka chwil mówiła

jeszcze coś pod nosem o tym mężczyźnie. W końcu przestała, wzięła komórkę, zaczęła pisać czyjś numer. Telefon zaczął wydawać charakterystyczny dźwięk. Chwila czekania, nikt nie odbiera. Następna próba, odebrał.

– To ważne, przyjedź do hotelu Eros – powiedziała. Odłożyła słuchawkę. Zdziwiło mnie, jak ma on do nas przyjść, przecież spotykać się teraz mogą tylko dzieci z rodzicami, a ja tego mężczyzny nie znam. Wiedząc, że raczej w ogóle nie przyjdzie, wzięłam się za odrabianie lekcji on-line. Usiadłam, wzięłam laptopa, ale nagle usłyszałam dzwonek od drzwi. Zdziwiona wyszłam z pokoju. W korytarzu był mężczyzna, ubrany w czarną bluzę i spoglądał na mnie.

– To twoja córka? – zapytał. Wyglądał na bardzo zaskoczonego, nie wiedziałam z jakiego powodu. Podszedł trochę bliżej.

– Tak... – potwierdziła mama – chodź do salonu. Weszła z mężczyzną do pokoju, z którego dochodziły ciche rozmowy. Nagle mężczyzna otworzył drzwi, prawie mnie nimi uderzając. Odsunęłam się dwa kroki dalej. Mama wyszła chwilę za nim.

– No to jadę do tego sklepu – oznajmił. Powoli zaczął otwierać drzwi wyjściowe. Jedzie do sklepu? Więc po to mama po niego zadzwoniła, ja też bym mogła pojechać, przecież nie jestem dzieckiem! Mogę nawet z nim, chcę się przejechać, zobaczyć, co się dzieje na świecie. Nie podoba mi się ciągle siedzenie w domu. Jednak po chwili mężczyzna zawrócił.

– A może pojedę z twoją córką? – zaczął – nie uniosę sam tych wszystkich zakupów, a ty twierdzisz, że musisz zostać, robić te „chemiczne rzeczy” – zwrócił się do mamy. On przeczytał mi w myślach? Bo tak to wygląda... Ale jasne, że chcę! Tylko nie znam go. Wiem tylko, że chyba ma na imię Tom. Po mamie widać było, że pomyśl się jej nie podoba.

– No... W sumie... Dobra, przyniosę jej maskę – przeszła korytarzem do jednego z pokoi. Zgodziła się. Na początku nie mogłam uwierzyć, cieszyłam się, ale jednak wołałabym pojechać z nią, niż z tym mężczyzną. Zrozumiałam, że nie było innego wyjścia.

– Więc, jestem Tom, a ty? – zapytał. Wyjął z kieszeni dwie pary białych rękawiczek. Jedną z nich wysunął w moim kierunku. Widocznie chciał mi je podarować, zdziwiłam się, ale je wzięłam.

– Karolina, przyjaciele mówią na mnie Karo – powiedziałam. Założyłam rękawice. Uśmiechnął się. Miał jasne zielone oczy oraz krótkie czarne włosy. Przypominał mi mojego tatę...

– To imię pasuję do ciebie, Karo – powiedział. Wyglądał na sympatycznego, polubiłam go. Mama właśnie wracała z pokoju z czarną maseczką w ręce. Założyła mi ją. Wyszłam z mieszkania. Tam czekała kobieta, która sprawdzała,

ile razy osoba wychodziła z domu. Mnie przepuściła. Zdziwiło mnie to, że przepuścili Toma. W ogóle, że go tutaj wpuścili, jest dziwne. Po chwili znaleźliśmy się w czarnym samochodzie mężczyzny. Zauważyłam na jego aucie widoczny napis „zostań”, z takimi naklejkami jeżdżą ludzie, którzy sprawdzają, czy wychodzimy legalnie z mieszkań. Mogą oni więcej, na przykład wejść do budynku bez sprawdzania ich danych. Teraz to wszystko ma sens! Tom odpalił samochód i ruszyliśmy. Po chwili byliśmy już w sklepie. Skończyliśmy zakupy szybko, wychodząc z powrotem do samochodu. W drodze do domu mało rozmawialiśmy, nie przeszkadzało mi to, po prostu nie mieliśmy o czym.

– Znałem twojego tatę – nagle wtrącił – był moim kumplem, przykro mi, że zmarł... – posmutniał. Zrozumiałam, dlaczego mama mi nie mówiła. Po prostu nie chciała, żebym przypominała sobie o tacie... W końcu dotarliśmy do hotelu. Tam czekała na nas moja mama. Oczywiście chciała pobrać moją krew, aby sprawdzić, czy się nie zaraziłam.

– Nie będzie bolało – oznajmiła. Spojrzała na mnie, wyciągając igłę z szafki obok. Poczulałam lekkie ukłucie na rękę, po czym mama szybko zabrała się do sprawdzania. Tom wszedł do pokoju. Nagle mama jakby zamarła. Wyglądała na bardzo zaskoczoną, nie wiadomo z jakiego powodu, przestraszyłam się. Nagle zaczęła się śmiać, co jeszcze bardziej mnie zdziwiło. Wzięła kilka butelek ze swoimi eksperymentami, zaczynając do każdej dodawać kropelkę mojej krwi.

– Ha! Nie wierzę!! – zaczęła – kochanie, w twojej krwi był składnik, którego brakowało mi do zrobienia leku na zarazę! Moje podejrzenia się sprawdziły! Wszyscy wyzdrowieją!

Teraz to ja zamarłam. Zaczęłam myśleć, że to żart. Mama mnie przytuliła. Nawet nie wiecie, jakie to uczucie... Od teraz wszystko wróci do normy! Ludzie wyzdrowieją, a w tym moja ukochana babcia. Pomyśleć, że dzięki jednej kropelce wszystko się odmieni i wrócimy do normalności!

K O N I E C

Może być tylko początkiem...

*Wiktoria Kozłowska*



## **Dzień z życia**

Wchodzę, jazgot grzmiący przestrzeń wypełnia wokół całą i duszność, ciepło, oddechy głośne, alergica, ryje się przy ścianach śmiejące, z nieśmiesznych, prymitywnych żartów. Już tam szatnia gdzieś widnieje, ale nie do szatni, biegną i się tulą, że jak tośmy się dawno nie widzieli, a przecież my najlepsi jesteśmy przyjaciele, i co, że wczoraj wieczór pod jednym siedzieli monopolowym ze szlugiem w rękę, a teraz wycieczka, idą, a woźna wzrok odwraca poza tą intrygą, a wszystko bez ekspozycji żadnej i grzmi dzwonek, ale co z nim, po co on dzwoni, jak oni teraz o murek oparci wzajemnie sobie odpalają. Spodnie krótkie, choć zima, ale przecież niedaleko, więc wyjść można, gęsia skórka nieistotna, bo widzą to wszyscy przecież, że się tym wyróżnia, inny, że to imponuje. Później powrót z pielgrzymki, wraca eskapada, drzwi przekracza, na których plakaty dwa wiszą obmalowane, że obóz w dniach takich i takich kondycyjny, albo i nie kondycyjny, ale ogółem to dzień w dzień obok niego się przechodzi, a on tkwi i tkwi zapomniany i plakat jakiś, bo za chwilę szkolne do samorządu wybory, ale co z nimi, nieistotne. Krok za krokiem, do klasy drepczą, a tam persona, nauczyciel jakiś posuwicie się toczy, makijaż na twarzy, pod oczami najwięcej, rozmyty, nietrwały, od dni bodaj ten sam noszony, między włosami łupież, na głowie odrosty, i dlaczego wy nie na lekcji, ale dzień dobry, więc uprzejmie odchodzi. Do drzwi sali puka, jeden z drugim obok siebie się podśmiechują i wejść, toteż wchodzą, ilu ich tam, a czapki ściągnijcie, bo godło, flaga, powieszony Jezus Chrystus, pod okularami skóra się marszczy, i czego za spóźnienie nie przeprosili, to teraz przepraszają. Siadają. Ona coś mówi, o czymś opowiada, spójniki jakieś i zdania złożone współrzędnie, podrzędnie, ale co z tego, co z tym w związku. W ostatniej siedzą ławce, o podłogę odbijają się w rytm białe adidasy, i tylko okiem rzut co chwila w prawo w lewo, co by wyjść już tylko, na korytarzu dialogi, rozmowy, niewybredne pada między nimi słownictwo, a tam kujon skrzywiony przechodzi, na nich z pogardą patrzy, a tam dalej jakaś persona przechodzi, on dzień dobry, aparatem na zęby rzuca, oczy w zezie wykrzywione, wzroku od czytania wada, co on czyta, na cholerę czyta, bezsensu. Do wychodka szkolnego niby urynę oddać, ale tam już przy oknie stoją, czekają, szlugiem raczą, ale co by nikt nie wszedł, wchodzi jakiś pierwszak, wyzwiska co by nie wyrzekł nikomu, o niczym nie powiedział, ale on się cieszy, dziwnie szczerzy, jakby widok ich pod oknem ze szlugami w ustach, dłoniach, go radował. Co on się cieszy, za

ryja go, żeby szczał już, bo co tak stoi i umyka, dzwonek, męczarnie znowu, liczby na tablicy nieuchwycone się pałętają. Wzrok znudzony w ławkę wbity, a nie spyta może, pyta, nie wiem, kto wie, ktoś wie, zamyślenie, za oknem śnieg pada, ze sklepu kolejne wypadają staruszki, żeby za godzinę po pomidora wrócić, a później po ogórka jeszcze, a „szynki mi dej, i tego, i jeszcze tego”. Przed nimi w ławce jakos ponętnie siedzą, się obracają, to dialog jakiś komitywa, że nuda i ogółem bezsensu liczenie, bo po co to wszystko, fota jakaś na społecznościowe media, cytat tani z youtuba, z filmu depresyjnego dla nastolatek, w tle Billie Eilish, oczy sztucznie załzawione i koniec, wychodzą, ale nie jeszcze jedno, ich nauczycielka woła, zawołuje. Podchodzą i aby więcej się na lekcji skupiali, bo egzamin i liceum i technikum i szkoła branżowa, ale co to kogo teraz, to za cztery miesiące, się dopiero zbliża, nie czas teraz rozmyślać o tym, rzeczy ważniejsze. Wuefowa szatnia, drzwi załatane, w warstwach chyba piętnastu, bo co miesiąc nową dziurę kopniakiem wybijają, ustawka, dwaj się bez koszulek biją, reszta stoi, zakrzykuje, smartfonem to nagrywa i do innych wysyła i zaraz więcej się ich zbiera, dyżur, dyżurny ucieka do dyrektora goni, że chaos, nie sposób nad rzeczą całą zapanować, ale co zrobić, dzwonek znowu, tłum rozgonić do klas, a tam znowu cała rzecz nieistotna, a tutaj wuef w piłkę kopią, klną, do siebie przyskakują, ale w efekcie dobra jest, pograli, że koniec wkurzeni, ale na obiad pęd, bo kolejka i nie zdąży, chociaż jedzenie nie ucieknie. Soli do kompotu wsypać, ale śmieszne, hehehe, czego drugiej porcji nie dadzą, albo trzeciej nawet, bo głód, a kasy już nie ma, bo na browara w kieszeni trzyma, na później czeka. Na lekcje wraca, ale głód, zmęczenie, całość jakaś zmierzwiona. Masz czymś zapisać, mam, pod ławką kielicha strzelić, pod tablicą emerytka stoi ślepa, zmanipulowana, że nic nie było zrobić, i krzyki, że to ona na schizofrenię w takim cierpi wieku, i niech nie oszukuje tu nikogo, ale w pierwszej ławce znowu ten zez efekt cały psuje, ale co z nim, kielich leci, po nim drugi, od razu cieplej, różniej. Znowu przed nimi one się uśmiechają, obracają, na naukę obojętne, bo co nauka, skoro oni piją, jacy odważni, że to tak w publicznym miejscu, przed wiekiem lat osiemnastu, przy opiece nie prawnym, acz naukowym, co lekcję stara się prowadzić, jacyż hardzi i ogółem, to z nimi trzeba pójść, za nimi, tekst jakiś na podryw, związek przez Messengera, cały prawie cztery dni może potrwa, ale zabawa, czego by nie za tydzień z kim innym spróbować. Dobra, koniec. Jeszcze dwie chyba zostały, ale wyjść lepiej, uciec, dalej by w tej matni nie siedzieć, nie przestawać, nie tkwić, nie trwać. Z wprawą woźną minąć, bo do szatni znowu na cholerę zmierzać, plecakiem zarzucić, jedno tylko ramię, to samo zawsze, i co, że skolioza, kogo to teraz obchodzi, zlekceważyć należy

rzecz całą. Do siwego, starego podejść, co drży w kurtce brudnej pod monopolowym, i żeby sobie kupić coś ładnego, ale im też przy okazji, bo czego miałby nie, Wisła czy Cracovia, Wisła, j...ć pasy, dobre chłopaki.

Następnego dnia drzwi w szatni bez łąt już, ale czyste nowe, poprzednie widocznie z framugi uwolnione.

*Jakub Krok*

*Karolina Królak*

## **Pandemia**

Pandemia koronawirusa. To czas, w którym każdy z nas jest w grupie ryzyka. Musimy szczególnie na siebie uważać, czyli najlepiej izolować się. A na pewno nosić maseczki, dezynfekować ręce i zachowywać odstęp dwóch metrów od siebie. To ostatnie bardzo kojarzy mi się z jednym z ulubionych filmów pod tytułem „Trzy kroki od siebie”. Opowiada on o dwojgu ludziach chorych na mukowiscydozę, którzy mogą zbliżyć się do siebie tylko na odległość trzech kroków. Czuję, że przez epidemię bardzo się z tym filmem utożsamiamy. My również musimy zachować od siebie pewną odległość, ponieważ może to uchronić nas przed chorobą.

Jako młoda osoba czuję się tym faktem „przygnieciona”. Nie mogę normalnie chodzić do szkoły, spotykać się z przyjaciółmi, czy uczęszczać na zajęcia dodatkowe. Całe dni spędzam w domu przed telewizorem czy komputerem. Jedyną odskocznią od tego są czaty wideo z klasą i innymi znajomymi. Potrafimy rozmawiać ze sobą nawet przez kilka godzin. W takich właśnie chwilach czuję, jakbyśmy przez cały czas byli razem i nic się nie zmieniło. Jednak gdy się ze sobą żegnamy, moje myśli wracają do spraw, o których mówi cały świat – liczba chorych, zmarłych. Lecz gdy w końcu słyszymy o osobach, które wyzdrowiały, nasze humory chociaż na chwilę się poprawiają.

Moje myśli cały czas są z lekarzami, którzy codziennie narażają swoje zdrowie, a nawet życie, aby ratować innych ludzi. Według mnie to właśnie o nich powinno się mówić najwięcej. O tym, jak pomagają, poświęcają siebie i czas, który mogliby spędzić w domu ze swoją rodziną na grach i zabawach czy po prostu na zwyczajnej rozmowie. Całe dni spędzają w szpitalach w maseczkach, rękawiczkach i kombinezonach ochronnych. Właśnie wtedy zauważam pewien problem, który dotyczy wielu z nas. Chodzi mi o sposób, w jaki przestrzegamy

lub nie przestrzegamy obostrzeń. Niektórzy sumiennie dezynfekują ręce czy też zakładają rękawiczki, noszą maseczki w miejscach publicznych i zachowują odstęp między sobą. Są jednak też tacy, którzy mają to w nosie. Nie zakrywają ust, nie dezynfekują rąk, a co najgorsze „pchają” się na siebie nawzajem. Dokładnie odzwierciedla to sytuacja, której byłam wczoraj świadkiem. Z okazji Dnia Dziecka pojechałam z rodzicami, którzy chcieli kupić mi jakiś drobny upominek, do galerii. To, co tam zobaczyłam, nie boję się użyć tego słowa, przeraziło mnie. Widziałam mnóstwo ludzi bez maseczek, którzy stali bardzo blisko siebie. Jednak najbardziej zdziwił mnie fakt, że pewna kobieta krzyczała na ekspedientkę w sklepie z powodu zamkniętej przymierzalni. Nie ukrywam, że już naprawdę chyba zaczynam tracić wiarę w ludzkość.

W wiadomościach często słyszymy, aby pomagać starszym, chociaż przez pandemię i ryzyko z nią związane boimy się to robić. Ostatnio słyszałam pewną straszną historię dwojga starszych ludzi, męża i żony. Kobieta była przykuta do łóżka, a mężczyzna poruszał się z trudnością. Ich sąsiedzi kilkakrotnie prosili pracowników opieki społecznej, aby zainterweniowali i wezwali lekarza. Ośrodek zapewniał, że skontaktował się z małżeństwem, lecz nie chcieli oni pomocy. Kilka dni później z mieszkania pary sąsiedzi słyszeli dziwne odgłosy, jakby stukanie czy skrobanie w ścianę. Postanowili wziąć sprawę we własne ręce. Po dostaniu się do mieszkania zobaczyli zmarłych małżonków. Ta sprawa niezwykle mnie zdruzgotała. Przez cały czas zadawałam sobie pytania: dlaczego tak się stało, dlaczego ci ludzie byli sami, skoro oboje chorowali. Tak jak już powiedziałam, dużo mówi się o wzajemnej pomocy. Sąsiedzi niby zadzwonili do opieki społecznej, ale dlaczego sami nie poszli do tego mieszkania. Czemu nie zapytali, czy trzeba im w czymś pomóc, np. zrobić zakupy czy kupić leki. Takich pytań i odpowiedzi jest wiele, jednak one i tak już nie zwrócą życia tym ludziom.

Zauważyłam również, że nawet pomimo rozmów online z naszymi kolegami i koleżankami coraz bardziej się od siebie oddalamy. Rzadziej ze sobą rozmawiamy i nie mamy aż tylu tematów do wspólnych rozmów. Czasami siadam wieczorami na łóżku i przeglądam zdjęcia z przyjaciółmi i osobami z klasy. Właśnie wtedy wracają do mnie nasze wspólne najlepsze wspomnienia z wycieczek, różnych gier czy po prostu spotkań po szkole. Przypominam sobie, jak w każdy dzień wakacji siadaliśmy na ławce, na moim osiedlu i śmialiśmy się dosłownie ze wszystkiego. Mój kolega z klasy zawsze wymyślał różne nieprawdopodobne historie ze swojego życia, a my nigdy nie chcieliśmy mu wierzyć.

Czuję, że to właśnie w czasie pandemii każdy z nas zaczął doceniać te chwile spędzone z bliskimi sobie ludźmi. Dopiero teraz cieszymy się z zoba-

czenia chociażby przez Internet twarzy najlepszego przyjaciela, nauczyciela, czy po prostu kogoś z naszej rodziny. Ale czy naprawdę musiało dojść do czegoś takiego, abyśmy zaczęli doceniać to, co mamy i kogo mamy przy sobie? Zastanawiam się również, czy po powrocie do normalnego życia będziemy umieli rozmawiać ze sobą tak samo jak przed izolacją. Tak jak wspomniałam wcześniej, już teraz zauważyłam pogorszenie się naszych kontaktów. Nie wiem, czy będziemy mieli tyle samo tematów do dyskusji. Często gdy rozmawiam z koleżankami przez telefon, szczególnie na początku naszej rozmowy, mamy takie chwile niezręcznej ciszy. Dlatego właśnie sądzę, że ten czas oddala nas od siebie nawzajem.

Na koniec chciałabym poruszyć temat chodzenia, a raczej niechodzenia do szkoły. Wiem, że każdy z nas przed pandemią koronawirusa chciał, aby wakacje trwały dziesięć miesięcy, a nauka w szkole tylko dwa. Teraz na pewno jest zupełnie inaczej. Tak naprawdę nie można nazwać tej przerwy od zajęć w szkole wakacjami, ponieważ mamy lekcje online lub zadane prace domowe w dzienniku elektronicznym. Ale i tak uważam, że wszyscy chcieliby wrócić do szkoły, nauczycieli, pań bibliotekarek, a nawet groźnych woźnych. Myślę, że ten trudny czas zmienił każdego z nas, tak jak naszych rodziców i dziadków stan wojenny. Na pewno zapamiętamy go na całe życie.

*Karolina Królak*

*Aleksandra Krystian*

## **Pudełko z różową kokardą**

Cześć!

Jestem Mika.

Urodziłam się 17 września 2019 roku.

Razem ze mną na świat przyszli moi trzej bracia: Felek, Simba i Bąbel. Cała trójka miała piękne rude futerko. Wyglądali identycznie i nie mogłam ich odróżnić. Moja mama nie miała z tym żadnego problemu. Wiedziała, który z nich jeszcze nie zjadł i którego nie zdążyła wypielegnować. Bardzo nas kochała. Codziennie leżała z nami, dbała o to, żeby było nam ciepłutko i pilnowała, żeby nic nam się nie stało. Nasze brzuszki zawsze były pełne. Zasypialiśmy wtuleni w ciepłutkie futerko naszej mamusi. To były cudowne chwile. Najcudowniejsze w moim dotychczasowym życiu!!!

Pewnego dnia mama karmiła nas tak, jak zawsze, lecz nagle wstała i poszła sobie, chociaż żadne z nas nie najadło się jeszcze do syta. Od tego dnia dużo się zmieniło w naszym życiu. Mamusia już nie zajmowała się nami tak, jak do tej pory. Czasami nie było jej cały dzień i przychodziła na chwilę tylko wieczorem. Byliśmy głodni, było nam zimno i bardzo się baliśmy. Mieliśmy dopiero dwa tygodnie.

Leżeliśmy grzecznie sami w naszej leżance i czekaliśmy na naszą mamusię a ona, gdy wpadała, to tylko na chwilę. Szybko dawała nam jeść i nawet nie sprawdzała, czy sobie pojedliśmy i czy jesteśmy zdrowi. Nie czyściła nam futerka i tylko furczała na nas. Staraliśmy się być bardzo grzeczni i zawsze leżeliśmy cichutko, ale to nie pomagało. Nie wiedzieliśmy, co zrobiliśmy złego, że mamusia jest na nas ciągle zła i nas już nie chce...

Pewnego dnia zauważyliśmy, że Felek zrobił się cichszy i spokojniejszy niż zwykle. Był też dużo mniejszy od naszej trójki. W domu, w którym się urodziliśmy, mieszkały dwie dziewczynki z rodzicami. Oni widzieli, co się dzieje i próbowali uratować Felka. Dawali mu jeść z butelki, ale to nie pomagało. Felek chciał jeść tylko mleczko od mamusi. Ona jednak nie chciała go karmić. Gdy się do niej zbliżał, to strasznie na niego syczała i gryzła go po głowie. Chciało nam się płakać...

Ja płakałam chyba najbardziej. Było mi tak smutno, że nie miałam siły otwierać oczu, sama już nie wiedziałam, czy chce mi się jeść, czy nie. Było mi wszystko jedno. Z zimna wychodziliśmy jeden na drugiego i każdy chciał być na samym dole. Wtedy było trochę cieplej. Tak bardzo brakowało nam ciepłego i puchatego futerka naszej mamy, w które można było się wtulić.....

Tego wieczoru cała nasza czwórka poszła spać. Zasnęliśmy przytuleni do siebie. Chcieliśmy ogrzać Felka, bo było mu najzimniej. Gdy rano obudziliśmy się, Felek jeszcze spał. Wołałam go, ale nie wstawał. Próbowaliśmy szturchać brata, ale i to nie pomagało. Cały czas spał, i spał, i spał, i spał...

W końcu przyszła mamusia dziewczynek i zabrała Felka z leżanki. Zawinęła go w białą chusteczkę. Zaraz przybiegły dziewczynki z dużym pudełkiem i zapakowały do niego Felka. Po co? Nie wiem... Wiem tylko, że pudełko było śliczne, a kokarda precudna. Bardzo mi się podobało. Też takie chciałam.

Od dnia, kiedy zabrali Felka, zostaliśmy we trójkę tzn.: Ja, Bąbel i Simba. Wtedy też mama sobie o nas przypomniała. Leżała z nami, myła nas i karmiła. Już myśleliśmy, że wszystko będzie dobrze, jednak te zmiany nie trwały długo. Po kilku dniach opieka nad nami chyba jej się znudziła. Znowu przychodziła tylko czasami. Gdy mama była z nami, jedliśmy łąpczywie i tak szybko, jak tylko mogliśmy. Chcieliśmy się najeść na zapas. Nasze zachowanie bardzo

denerwowało mamę i uciekała od nas. Wołaliśmy ją bardzo głośno, ale to nie pomagało...

Wtedy Simba zrobił się jakiś słabszy niż my. Stało się to tak szybko, że nawet nie wiedzieliśmy kiedy. Gdy tata dziewczynek to zauważył, próbował go karmić, ale było ciężko. Simba nie umiał jeść z butelki. Nie chciał otwierać pyszczka i całe mleko spływało mu po futerku. Potem zasnęliśmy. Obudziliśmy się następnego dnia, ale Simba nie mógł już wstać. Wołaliśmy go na próżno. Braciszek się nie budził. Zrobiło mi się smutno....

Znów przyszła mama dziewczynek i tak jak Felka zawięła go w białą chusteczkę. Przyszły dziewczynki i zapakowały go do jeszcze piękniejszego pudełka, z jeszcze większą różową kokardą. Gdzie oni ich zabierają? Dlaczego moi bracia tak długo śpią? Nie wiem, ale może ktoś mi kiedyś wytłumaczy. Ja też byłam słaba, też chciało mi się spać i chyba też chciałabym to tajemnicze i piękne pudełko. Może tam jest mama?

Nie, nie, jednak nie ma tam mamy. Wróciła do nas. Popatrzyła na nas. Zauważyła, że mnie i Bąblowi nic nie jest, zorientowała się też, że Simby już nie ma. Powąchała nas, popatrzyła jeszcze raz, wyszła z domu i już więcej nie wróciła. Zostaliśmy sami. Ja i mój brat Bąbel.

Od tego dnia mama dziewczynek i jej córki codziennie, gdy tylko zawołały, karmią nas butelką i masują brzuszki, bo my nie bardzo radzimy sobie z toaletą. Upssss... to takie intymne, no ale przyznaję, że czasem trochę nabrudzimy. Na początku Bąbel nie umiał jeść i trzeba mu było wciskać kropelki do pyszczka. Wszyscy mu mówili: „Jedz! Dasz radę! Jak nie będziesz jadł, to pójdziesz do Felki i Simby! Chcesz tego?” Ja też mu powtarzałam, żeby jadł, bo już rozumiałam, że jak się nie je i jak się jest słabym, to się zasypia i nie można się obudzić. Potem przynoszą to pudełko z różową kokardą. Zmieniłam zdanie i już go nie chcę. Chociaż bardzo mi się podoba...

Czasami zastanawiam się, gdzie się trzyma takie piękne pudełka. Nie wiem też, dlaczego dziewczynki płaczą, gdy układają w nim jednego z nas... jestem za mała, żeby to zrozumieć i nie znam się na ludzkich uczuciach. Cieszę się tylko z tego, że moi bracia już nie płaczą...

Bąbel też zrezygnował z pudełka i w końcu zrozumiał, o co chodzi z nowym sposobem napełniania brzuszka. Po trzech dniach szło mu już bardzo dobrze. Ja nie chcę się chwalić, ale od razu wiedziałam, o co chodzi z tą butelką i radziłam sobie znakomicie! Teraz, gdy nam się chce jeść, to bijemy się z bratem, kto pierwszy!

Mama dziewczynek dała nam do leżanki coś, od czego jest tak przyjemnie ciepło. Mamy też takie futerko, które przypomina nam naszą mamusię. Miło

jest zasnąć z pełnym brzuszkiem. Teraz mamy dużo siły. Coraz więcej chodzimy i bardzo lubimy wspinać się po czyjejs nodze, aż do szyi. Gdyby nie dziewczynki i ich mama, to byłoby nam bardzo ciężko. Pewnie bylibyśmy teraz razem z Felkiem i Simbą. Nasza mama od tamtego dnia nie przyszła do nas ani razu.

Słyszałam, jak dziewczynki mówiły coś o żniwach kukurydzy... o kombajnie na polu... o myszach, na które polują koty... że może coś się stało... że może poszła i nie zauważyła...

Sama nie wiem, czy to o mojej mamusi, czy nie...

Wiem jedno! CHCIAŁABYM, ŻEBY JUŻ WRÓCIŁA!

W domu, gdzie mieszkamy, mamy też ciocię Melę. Pilnuje nas, gdy wychodzimy z legowiska. Jeśli za bardzo się rozbrykamy, to łapie nas za kark i odnosi do naszej leżanki. Nie wiem w sumie czy naszej, bo oddała nam swoją. Ona i tak woli spać w łóżku. Głośno szczełka, gdy grozi nam niebezpieczeństwo. W nocy, gdy się obudzimy i chce nam się jeść, to idzie obudzić mamę dziewczynek i przyprowadza ją do nas. My jeszcze nie potrafimy sami wdrapać się do łóżka, a nasz głosik jest za słaby, żeby kogoś obudzić. Ona ma swoje sposoby ☺ Dzisiaj ciocia Mela wymyśla nam główki i plecki! Ale to było suuuuuuuuperowe! Często bawi się z nami w „szarpanego”. To dobrze, bo przecież jako porządne koty musimy umieć polować i bronić się przed psami (ha! ha! ha!). Ciekawe, co o tym myśli nasza ciocia – rasowy maltańczyk. Nasze życie jest już w miarę poukładane. Niedługo nauczymy się same jeść, więc z pomocą pozostałych domowników damy radę! Pozostaje jeszcze kwestia nauki łowienia myszy. Ta sprawa nie została jeszcze rozwiązana. Może ciocia się podejmie? W końcu maltańczyki to psy, które kiedyś dawno temu wykorzystywano do polowania na szkodniki. Tak przynajmniej mówiły dziewczynki. A przecież myszy to też szkodniki. Chyba...

Trzymajcie za nas kciuki. ☺

*Aleksandra Krystian*

*Emilia Marciniak*

## **Dwa wirusy**

Na świecie od zawsze występuje dużo różnych mikrobów, bakterii, wirusów, chorób, powikłań, mutacji – niebezpiecznych, zakaźnych, groźnych, powodujących śmierć. Długo wokół mnie był względny spokój. Całe zło działa się gdzieś daleko i mnie nie dotyczyło. W tym roku stało się coś, co ten beztrioski



stan zakłóciło. Pod koniec 2019 roku wykryto w Chinach nietypowego wirusa – koronawirusa o symbolu COVID-19. Szybko okazało się, że jest bardzo niebezpieczny, bowiem może spowodować śmierć człowieka, a lekarze – mimo tak wysokiego poziomu sprzętu i możliwości – są w walce z nim bezradni. Nowy wirus wymknął się spod kontroli i połączył się z innym, równie groźnym – panikowirusem. Chcę opowiedzieć, jak te dwa wirusy wpłynęły na nasze życie.

Każdy z nas prowadził spokojne życie, nie spodziewając się niczego złego. Codzienne obowiązki, nauka, rutynowe czynności, czas spędzany z rodziną i przyjaciółmi, czyli „powtarzalność”, która dawała mi poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji. Niestety, 12 marca 2020 roku wszystko się zmieniło. Byłam wtedy w szkole. Czwartek podobny do innych czwartków. Pani prowadziła lekcje historii... Nagle zadzwieczał dzwonek szkolny, potem drugi i trzeci. Zbiegliśmy jak zwykle uśmiechnięci na apel, ale gdy pani dyrektor ogłosiła, że od jutra w Polsce wszystkie szkoły zostaną zamknięte, poczułam się niepewnie. To burzyło moją „powtarzalność”. Wszyscy w pierwszej chwili pomyśleli, że super! Okazało się jednak wkrótce, że wcale nie jest tak kolorowo. Ze świata dochodziły niepokojące wieści, a rząd wprowadzał coraz gorsze ograniczenia. Nie mogłam pójść do przyjaciółki. Mój świat skurczył się bardzo i zrobił pusty. Słuchając skrajnie różnych wypowiedzi dorosłych i obserwując rzeczywistość, zaczęłam zastanawiać się nad sensem i logiką wielu spraw. Dostrzegłam mnóstwo sprzeczności. Moim zdaniem ludzie za bardzo panikowali. Ktoś w Wiadomościach zapewniał, że maseczki chronią nas przed wirusem, a za chwilę ktoś inny temu zaprzeczał, twierdząc, że nie trzeba ich nosić, bo szkodzą. Zakładaliśmy je bez dyskusowania, bo złamanie nakazu groziło mandatem. Pewnego dnia w czasie trwania epidemii udało mi się cudem wejść do sklepu „Tesco”. Zapamiętam te zakupy chyba do końca życia. Jakby groziła nam wojna, a nie epidemia, z którą trzeba rozsądnie się zmierzyć. Wózki wypełnione po brzegi. Zabrakło podstawowych towarów, które zawsze w wielkich marketach są! Nawet mąka i cukier, nie wspominając o makaronach, wyparowały z półek i magazynów. Obserwując to wszystko, pomyślałam, że ludzie zwariowali. Ulegli panice i zachowują się nienormalnie. Zauważyłam m.in. kobietę, która miała w wózku tylko papier toaletowy! Z usłyszaney przypadkowo rozmowy dowiedziałam się, że „wkrótce nie będziemy mieli co jeść”. Każdy kupował jak szalony, bo zaraził się wirusem paniki. Dla właścicieli sklepów to było oczywiście bardzo korzystne, bo „towar poszedł”. Gorzej było w tym czasie z leczeniem. Ludzie zaczęli bać się chorować, bo dostęp do lekarza w czasie pandemii stał się bardzo trudny. Wiele osób nie wytrzymało izolacji i kwarantanny, bo przecież najgorszy w tym wszystkim był zakaz realnych spotkań z ludźmi.

Nie mogłam spotykać się z rówieśnikami, pójść do kina, do przyjaciółki. Chodzenie do szkoły stało się nie przekleństwem, lecz błogosławieństwem. Poza tym obrazy jak nie z tego świata! Na ulicach, autostradach, placach zabaw, w parkach, nawet w lasach zrobiło się cicho i pusto. Jakby wszyscy wymarli, jakby nikogo na świecie nie było. Zastanawiam się, po co to wszystko było i czy naprawdę miało sens.

Mam nadzieję, że najgorszy czas już za nami. Ostatnie miesiące obudziły w ludziach wiele dobrego, ale też wiele złego. Atakowały nas dwa bardzo niebezpieczne wirusy – koronawirus i wirus paniki. Teraz życie stopniowo wraca do normy. Widać większy ruch na drogach, w parkach, w galeriach handlowych. Wychodzę z domu i spotykam się z przyjaciółmi. Tylko szkoły mi brak, tej realnej, nie tej online! Chciałabym, żeby dwa wirusy – ten korona i ten paniki – przestały się rozprzestrzeniać i na świecie zapanował upragniony spokój.

*Emilia Marciniak*

*Aleksandra Miller*

## **Pasja kontra rodzice**

Zamożna, inteligentna rodzina, ojciec prawnik – właściciel prężnie działającej kancelarii w Londynie, matka znana lekarka i ja – nieszczęśliwy jedynek, osiemnastolatek, który ma spełniać marzenia rodziców.

W ogóle nie rozumiem ich świata, zawsze pragnęłam być jak najszybciej dorosły, a teraz boję się, że nie sprostaw oczekiwaniu rodziców. Chodzę do elitarnej szkoły, nie mam znajomych, właściwie to nawet nie wiem, jak to jest mieć przyjaciela i móc z nim pogadać o wszystkim. Po lekcjach odbiera mnie nasz prywatny kierowca i zawozi prosto do domu. Do pustego domu! Służąca podaje obiad, jem sam w ciszy. Rodzice cały czas pracują, mówią: pieniądze i kariera są najważniejsze, dzięki temu możemy żyć na takim poziomie. Ciągłe słyszę: „Robimy to dla ciebie, synku.” Jak słyszę te słowa, to myślę, że oni sami zapomnieli o sobie nawzajem. Wychodzą wcześniej rano, w ogóle nie rozmawiają ze sobą. Powrót późnym wieczorem i ciągle dyskusje o konferencjach, wyjazdach i sprawach służbowych. Gdzie w tym wszystkim jestem ja?

Najpierw płakałam, nie umiałem sobie z tym poradzić. Nie miałem z kim porozmawiać o zwykłych problemach nastolatka. Gdy próbowałam zacząć rozmowę z mamą lub tatą, ciągle słyszałam „później, potem” i tak dalej. Miałem

super telefon, komputer najnowszej generacji, ale to za żadne skarby nie zastąpi drugiego człowieka! Czasem zdarzało się, że spotykałem się z rodzicami podczas niedzielnego obiadu, a wtedy ojciec rozpoczynał swój monolog: „Już niedługo synu, pójdziesz na studia prawnicze, a później przejmiesz moją kancelarię.” Dla mnie to było szaleństwo! W ogóle mnie to nie interesowało, gdy próbowałem coś powiedzieć, sprzeciwić się, oponować, to ojciec mówił: „Jesteś zbyt młody, nie wiesz, co jest najważniejsze w życiu.” I tyle było naszych rozmów.

W tym zwykłym, szarym życiu była jedna rzecz, która sprawiała mi przyjemność, a mianowicie moja ukryta pasja – altówka, którą ukryłem głęboko w szafie. Dostałem ją od nauczyciela, prawdziwego pasjonata muzyki. To on odkrył mój talent i powiedział, abym go nie zaprzepścił. Szybko nauczyłem się grać, każdy nowy dźwięk był tak ciekawy, a jego brzmienie sprawiało, że byłem wniebowzięty. Muzyka pozwala mi zapomnieć o tym, że ciągle jestem sam. Dzięki niej mogę się przenieść do innego świata, pełnego miłości, harmonii i spokoju. Kilka miesięcy temu zacząłem „komponować” swoje pierwsze utwory. To jest takie niesamowite, że pod zapisywanymi na kartce nutami, kryje się melodia! Moje życie jest bardzo trudne, muszę spełniać oczekiwania rodziny, bo przecież „jestem z dobrego domu i muszę mieć dobrze płatny zawód, a ze sztuki nie wyżyję” – tak twierdzi mój tata.

Staram się bardzo dobrze uczyć, aby nie sprawiać kłopotów rodzicom, przecież oni się tak starają, żebym miał jak najlepiej. Szkoda tylko, że nie rozumieją i nie pytają, czego ja tak naprawdę chcę. Komponowaniem utworów zajmuję się w nocy, ćwiczę, gdy rodziców nie ma w domu. Marzy mi się uczelnia muzyczna, poznawanie sztuki, koncerty w filharmoniach. Wspiera mnie tylko nauczyciel muzyki, który zaproponował mi udział w konkursie młodych muzyków, gdzie główną nagrodą było stypendium na renomowanej uczelni. Serce zabiło mi mocniej, w głowie miałem tylko pojedyncze urywki różnych utworów. Już wyobrażałem sobie, jak odbieram nagrodę. Po chwili rozkoszy wróciłem do rzeczywistości. Jak i gdzie będę przygotowywać się do konkursu? Rodzice nie mogą się o niczym dowiedzieć. Poinformowałem ich, że chodzę na dodatkowe zajęcia przygotowujące mnie do studiów, a w czasie rzekomych „zajęć” ćwiczę w sali muzycznej pod okiem profesora: Byłem z siebie dumny, że w końcu robię to, co kocham – gram. Po kilku tygodniach byłem gotowy do występu. Z każdym następnym dniem nadchodziło kolejne kłamstwo, ale w szczytnym celu. Powiedziałem, że wyjeżdżam na wycieczkę szkolną. Rodzice bez zbędnych słów zaakceptowali i podpisali zgodę, nawet jej nie czytając. Pomyślałem, że to ich życie jest straszne, ja tak nie mogę. Chcę zachwycać się otaczającym nas światem, przyrodą, przebywać z ludźmi, rozmawiać, śmiać się.

Ogromna sala koncertowa, jury, pełna widownia. Czekałem na swoją kolej. Nie denerwowałem się, bo wiedziałem, że robię to, co kocham. Mój nauczyciel też był pełen spokoju, wierzył we mnie. Ciągłe powtarzał: „Zamknij oczy, słuchaj głosu serca i graj”. Tak też zrobiłem.

Po występie oczekiwanie na wyniki nie było takie łatwe. Bałem się, że jeśli przegram, zamkną się przede mną drzwi do wolności, że będę musiał do końca życia robić to, czego wręcz nienawidzę. Stałem na scenie pośród wielu uczestników. Nagle słyszę brawa, publiczność wstaje, a ogromny reflektor kierowany w moją stronę mnie oślepił. Przewodniczący jury trzymał w ręku nagrodę i zbliżał się do mnie, gdy ja stałem jak słup. Wziął mnie za ramię i wyprowadził na środek sceny. Cały się trząsałem, nie mogłem uwierzyć, że to prawda. Pełen euforii odebrałem nagrodę i zagrałem ponownie dla widzów.

Powrót do domu był dziwny, a jednocześnie cichy. W głowie miałem jedno – jak ja powiem rodzicom o tym, że po wakacjach rozpoczynam studia na kierunku muzycznym? Tak bardzo chciałem od razu po wejściu do domu się pochwalić, wykrzyknąć, że jestem szczęśliwy, ale tak nie było. Zgaszone światła świadczyły o tym, że znowu ich nie ma, są w pracy. Poczekałem do najbliższej niedzieli, kiedy po obiedzie zacząłem rozmowę o mojej przyszłości. Ojciec przerwał i zaczął: „Przecież to oczywiste, że przejmiesz moją kancelarię.” Niestety zaprzeczyłem i wyciągnąłem otrzymane stypendium. Rodzice zaniemówili, a po chwili wybuchła kłótnia. Byłem spokojny, wiedziałem, że pójde swoją drogą, będę spełniał swoje marzenia i pasje, czy im się to podoba, czy nie. Kolejny tydzień był zupełnie inny w naszej rodzinie, zamiast ciszy były ciągłe awantury, oczywiście dotyczące mojej kariery.

Pewnego wieczoru po raz pierwszy od nie wiem nawet jakiego czasu, mama przyszła do mnie i ze łzami w oczach powiedziała: „Synu, jestem taka dumna z ciebie, zagraj dla mnie.” Zrobiłem to, ale też opowiedziałem jej, co przeżywałem przez te wszystkie lata, będąc sam, bo dla nich praca była ważniejsza. Chyba zrozumiała, że się zapędzili w tym wszystkim, że pieniądze szczęścia i miłości nie dają. Po wielkim kryzysie rodzinnym lody zaczęły topnieć, rodzice zaczęli więcej czasu spędzać ze sobą, a ja grając i słuchając muzyki, mogłem przenieść się gdzieś daleko, w zupełnie inny świat. Ojciec z bólem zaakceptował mój wybór i przed moim wyjazdem stwierdził „że dzięki charakterowi – uporowi w dążeniu do celu, jaki posiadam, byłbym świetnym prawnikiem.”

Myszę, że ma rację, ale czy ta praca sprawiałaby mi taką radość jak gra...

*Aleksandra Miller*

## Strzykawka

Był sobie kiedyś pewien żółty dom jednorodzinny. Wyglądał całkiem zwyczajnie. Posiadał jeden pokój dla starszego syna i drugi – dla młodszego. Znajdowała się tam także sypialnia, łazienka na górze i na dole, kuchnia oraz salon. I to tym ostatnim, szarym pomieszczeniem się zajmujemy. Przy prostokątnym stole siedziała aktualnie cała rodzina, z wyjątkiem zaproszonej przez matkę teściowej. Wszyscy ubrani elegancko, oczekiwali gościa, jednak ten się nie pojawiał. Starsze z dwojga dzieci z nudów wyjęło komórkę i zaczęło coś na niej robić, a młodsze tylko westchnęło z zazdrości.

Ojciec, nieco spięty, stał przy swym krześle i nie do końca wiedział, co ma ze sobą począć. Jego żona spojrzała na niego i zapytała nerwowo:

– A ty co? Co się tak denerwujesz? Spóźnisz się na coś?

Na to czterdziestolatek energicznie podniósł głowę i odparł:

– Nie, to nie to. Po prostu zastanawiam się, jak szybko to ty wybuchniesz i zaczniesz się głowić, jakim cudem twoja matka ZNOWU się spóźnia.

Na to blondwłosa partnerka autora tych słów spojrzała z niedowierzaniem:

– Co powiedziałeś? Że niby ja wybuchnę? Czyżbyś już zapomniał, jak ostatnio powiedziałeś jej, że „nie ma nic do powiedzenia w tym domu, a drzwi są tam”?

Tata dwojki chłopców, znajdujących się przy stole i obserwujących sytuację, poprawił fryzurę i spokojnie wytłumaczył:

– Ja mówiłem tylko prawdę. Ona nie ma głosu, bo to nie jej dom, a drzwi znajdują się tam, gdzie wskazałem.

Nastąpiła cisza. Matka zamknęła na chwilę oczy i nagle wzdrygnęła się, jakby coś właśnie zrozumiała:

– Gdzie ona jest? – zapytała.

– Ale kto? – ojciec zmarszczył czoło.

Na to jego partnerka westchnęła, przewróciła oczami i odpowiedziała:

– Moja mama. Gdzie ją wysłałeś?

Mężczyzna, słysząc te słowa, zrobił wielkie oczy:

– A gdzie mogłem ją wysłać? Do Kanady? Norwegii? Australii? Uwierzy, sprawdzałem, nie udałoby się.

– Czyli jednak próbowałeś to zrobić!

– No raczej! Kto normalny by z nią wytrzymał!?

– Robert! To moja matka!

– Dla mnie mogłaby być nawet świętym Mikołajem. Nie dogadam się z nią za nic!

– Dobra, ale gdzie jest!? – krzyknęła kobieta.

W tym miejscu mężczyzna spojrział niechętnie na swoją małżonkę, następnie w stronę synów, którzy tylko rozłożyli ręce. Głowa rodziny została sama na polu bitwy:

– No... wiesz...

Widząc coraz bardziej czerwona twarz partnerki, postanowił szybko przejść do konkretów.

– Po ostatniej kłótni z twoją mamusią pomyślałem bardziej kreatywnie nad tą sprawą.

Kobiecie, rozmawiającej z mężczyzną, opadły ręce:

– Co ty masz na myśli?

Coraz bardziej zestresowany ojciec spojrział w sufit. Widząc to, starszy z braci podniósł głowę znad komórki i odezwał się:

– Mamo. Czy ty serio się nie domyślasz? Tata pewnie wystrzelił ją do innego wymiaru lub coś w tym stylu.

Na te słowa, jedyna odpowiedzialna osoba w domu, spojrzała na swego męża i powiedziała:

– Nie mów, że to prawda, bo...

– To spokojna rzeczywistość. Bez mięsożerców – przerwał jej mężczyzna, jednak reakcja żony go nie zachwycała.

– Ty sobie żartujesz! Jaka różnica, jak konkretnie ta alternatywna czasoprzestrzeń czy inne coś wygląda! Moja matka jest w mniej dostępnym miejscu niż głupi kosmos! Ściągniesz ją z powrotem, albo obiecuję, że następne obiady, jakie będziesz jadł do końca twojego życia, będą pochodziły ze źródła, które sam sobie załatwisz!

Ubrany w czarny garnitur małżonek wścieklej blondynki, przełknął głośno ślinę i oznajmił:

– To ja... Zajmę się tym... Teleportem do tego wymiaru i spróbuję ją wyciągnąć.

– I wyciągniesz...

– I wyciągnę – powiedział mężczyzna, wychodząc z salonu.

Czternastolatek za sprawą swej mamy postanowił zejść do piwnicy, gdzie jego tata właśnie otworzył przejście do wspomnianego przez siebie miejsca. Miał on na imię Piotrek i gdy zobaczył Roberta, głowę rodziny, odezwał się:

– Cześć. Dostałem zadanie, by cię pilnować podczas tej podróży, więc oto i jestem...

Zpracowany mężczyzna odwrócił się i odparł:

– Nie potrzebuję pomocy.

Na to jego syn uśmiechnął się:

– Pewna kobieta, która znajduje się aktualnie na górze, bez problemu by zaprzeczyła.

Czterdziestolatek spojrział w sufit, modląc się pod nosem i w końcu oznajmił:

– Dobra, ale jak spotkamy twoją babcię, to masz nic nie mówić o mojej kłótni z twoją matką.

– Niech ci będzie – powiedział chłopiec i obaj wskoczyli do portalu.

Kraina, w której się znaleźli, była dość urocza. Wszędzie znajdowały się kolorowe, słoniopodobne stwory, biegające po łąkach. Jedyne co zdawało się nie pasować do otoczenia to wielkie miasto.

– Moment, moment... Tego tutaj wcześniej nie było – zauważył dowódca wycieczki, wskazując na wielką aglomerację.

Następnie wyciągnął małe urządzenie, które wytyczyło trasę do jakiegoś punktu. Młodszy z dwójki zapytał:

– Co to jest?

Na to ojciec, jakby nigdy nic, odpowiedział:

– Urządzenie śledzące moją teściową.

Chłopiec otworzył usta, jednak po namyśle postanowił się nie odzywać. Po krótkiej podróży nasi bohaterowie dotarli do celu. To co wzbudziło w nich podejrzenia, to fakt, że sprzęt taty doprowadził ich do jakiejś wielkiej skrzyni za miastem. Starszy z przybyszów delikatnie dotknął drzwi, które powoli się otworzyły i uwolniły zwłoki starej kobiety. Obydwaj świadkowie tej sceny zaczęli krzyczeć. Piotrek chwycił swego tatę i zaczął wrzeszczeć:

– Mówiłeś, że to bezpieczne miejsce!!! Czemu ona nie żyje!!!

Na to Robert odepchnął od siebie swego potomka i wytłumaczył cały w nerwach:

– Nie jestem Bogiem!!! Nie mogę wyeliminować czynnika śmierci naturalnej!!! Patrz przynajmniej na plusy. To miasto i sarkofag wskazują na to, że dzięki twojej babce w tej wersji naszego wszechświata w końcu zaistniała cywilizacja. Niech to będzie dla ciebie dobra lekcja, młody. Nieważne, jak bardzo za Boga będziesz uznawany, w innych nieskończonych rzeczywistościach nikt nawet nie wie o twoim istnieniu.

Syn nagle zamilkł. Popatrzył na martwe ciało i zapytał:

– OK, to... Co zrobimy z tym faktem?

Tata namyślił się i odparł:

– Możemy trochę... Naciągnąć prośbę mamy...

Istnieje teoria, że są alternatywne wersje naszego kosmosu. Zgodnie z nią każdy ma swojego odpowiednika w innym wymiarze, co oznacza, że jest ich nieskończoność. Pomyślcie, co z tą wiedzą mogliby zrobić naukowcy, gdyby umieli się dostać do takich innych światów. Ile korzyści mogliby zyskać ludzie, którzy poznaliby całkowicie siebie i w końcu mogliby zacząć żyć bez walki ze sobą i z innymi. Posiadając możliwości Roberta, człowiek miałby o wiele piękniejsze życie. A jak on je wykorzystał? Udał się do kolejnego wszechświata, gdzie spotkał następną wersję swojej teściowej, z którą jak zwykle się pokłócił:

Mamo. Musisz iść z nami – poprosił.

– O mój Boże! Drugi, ten sam mąż mojej córki!? Nigdzie z tobą nie pójdę, sługo szatana! – krzyknęła starsza kobieta.

– Teresa! Bo nie dajesz mi wyboru...

– Nigdzie nie idę z takim łajdakiem jak ty! Widziałam, jak odprawiałeś tę swoją czarną magię w piwnicy!

– No dobra. Jak nie po dobroci, to po złości – wyciągnął swój modyfikator pamięci i zaaplikował jej wspomnienia swojej teściowej.

Następnie wrócił do domu z synem, który nie mógł pozostać w milczeniu:

– I co teraz? Mamy udawać, że to ona? – zapytał.

Na to znużony ojciec odparł:

– Pomijając fakt, iż od teraz, od czasu do czasu będzie potrzebowała zjeść dla odmiany jakąś jaszczurkę, to nie, nie ma powodu, by myśleć, że to ktoś inny.

Piotrek jednak nie był pewien.

– Słuchaj tato... Ja nie wiem, czy to etyczne... I nasuwa się pytanie... Czy ze mną było tak samo?

– Po pierwsze, etyka to coś, co wymyśliła ludzkość. Podobnie jak alkohol, nienawiść płciową, rasową, wyznaniową. Do tej listy można także doliczyć: broń nuklearną, ludobójstwo na masową skalę, kłusownictwo, marnowanie wody i wiele, ale to wiele więcej. Także nie kierowałbym się czymś, czego nie można określić inaczej jak pomysł prymitywnych stworzeń, które uważają, że są lepsze od małp, choć to oni mają gorsze pomysły. Nastąpiła krótka cisza, po której syn odezwał się:

– Wow. Nie spodziewałem się po tobie takiej filozofii... Wiesz... Masz rację... Mądry z ciebie gość.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Ta...

I w tym miejscu, dotąd uśpiony pasażer z innej rzeczywistości, postanowił się przebudzić. Na co Robert zareagował dość skrajnie:

– Chryste, to się rusza!!! Jak się tu obudzi, to jest po nas!



- To co mamy zrobić!? Przecież jej nie uderzymy!
- Szybko! Podaj mi zieloną strzykawkę!
- Tę!?
- Nie!! To przecież niebieska, dziecko!!!
- Dobra, to chyba ta!
- Tak! Szybko dawaj ją!

Ojciec sprawnie wstrzyknął teściowej substancję usypiającą i gdy ta zasnęła, obaj odetchnęli z ulgą.

Kiedy w końcu nasi „bohaterowie” weszli do salonu, obudzili starszą panią. Obaj usiedli przy stole i w odpowiedzi na pytanie ze strony mamy: „Były jakieś problemy?”, zgodnie stwierdzili, że „Nie było tak źle”. Obiad nie okazał się żadnym kłopotem, a nowy członek rodziny świetnie radził sobie w swej roli. Jedyną komplikacją była nienawiść wobec gadów, ale to też jakoś dało się wytłumaczyć.

Rodzinka, którą tu odwiedziliśmy, miała jeszcze sporo przygód, ale Rząd Galaktyczny zakazał ujawniania przebiegu tych zdarzeń. Miejmy nadzieję, że przynajmniej tata trochę zmądrzał i postanowił nie wysyłać swoich problemów w inną czasoprzestrzeń.

*Andrzej Ossowski*

*Zofia Piasecka*

## **Dziennik**

27 kwietnia 2020 – poniedziałek

Kolejny tydzień na kwarantannie. Zgubiłam poczucie czasu. Jaki dziś jest dzień, który mamy miesiąc? Chyba mam jakieś lekcje. Ojej, ile tego jest! Dziennik pęka. O jedenastej angielski, a o dwunastej polski! O Boże, nie wytrzymam! Może namówię mamę lub tatę na rower? Kto wie?

Bardzo tęsknię za spotkaniami z dziewczynami i za końmi. Tak długo nie widziałam Hafisa.

28 kwietnia 2020 – wtorek

Dziś jest pogrzeb mojej prababci Heleny, miła 95 lat. Jest mi bardzo smutno. Siedzę sama w domu, mama z dziadkiem pojechała na pogrzeb, a tata jest w pracy. Dzwoni co dwie godziny i mnie sprawdza, jakbym był małą

dziewczynką. Przez wirusa nie mogłam pożegnać się z prababcią – to niesprawiedliwe. Nie mogę skupić się na lekcjach. Wołałabym być z mamą. Godziny powoli mijają. Przyjechał tata, żeby ze mną pobyć. Nie był zadowolony stanem lekcji, ale szybko się dogadaliśmy. Już siedemnasta, mamy nadal nie ma. Zaczynam się trochę niepokoić. Słyszę szczekanie psa, pewnie mama! Potrzebuję się przytulić.

29 kwietnia 2020 – środa

Rano mam lekcje na Discordzie. Boże, ile zadań. Znów będę siedzieć cały dzień przy tych książkach. Chwilami mam tego dość. Fajnie, że mama kupiła mi kolejny tom przygód Neli. Wołałabym to czytać, niż uczyć się o mchach. Tego pisania jest tak dużo, że czasami boli mnie ręka. Przynajmniej dobrze że pada, nie muszę podlewać roślin. Wieczorem pogram z dziewczynami na Robloksie – namiastka kontaktu.

30 kwietnia 2020 – czwartek

Idę na trampolinę, wreszcie udało mi się przez chwilę stanąć na rękach. O jedenastej mam lekcję z polskiego, znów chłopaki będą przeszkadzać. Teraz będziemy mówić o Narnii. Była nawet ciekawa, choć wolę film. Kończę wiersz o kwarantannie. Jeszcze dziś muszę zrobić plakat na geografii. Muszę wypchać wszystkie ogonki (jak mówi mama), żeby mieć wolny weekend. Może spotkam się z koleżanką?

1 maja 2020 – piątek

Dziś jest 1 Maja – Święto Pracy. Ja odpoczywam. Moja mama robi przepyszny nugat z bakaliami. Kiedy skończy, pomogę zrobić jej obiad – łazanki. Jeszcze zmywarka – mój nowy obowiązek.

Idę skakać na trampolinie. (...) Było bardzo fajnie. Nudzi mi się strasznie, znalazłam fajną książkę – Brulion zabaw (chyba dostałam go pod choinkę). Są w niej różne zabawy, np: narysuj pingwina lewą ręką lub zamknij oczy i narysuj twarz aniołkowi. Robienie tych zadań to naprawdę fajna zabawa. Rodzice zgodzili się, aby Szymon do mnie przyszedł – było super, nawet upiekliliśmy sami muffinki z różnym nadzieniem.

*Zofia Piasecka*

## **Nic nie jest tym, czym się wydaje**

Las tak głęboki, tak cichy, tak spokojny. Głęboka noc rzuciła nań swój ciemny płaszcz przyozdobiony gwiazdami. Na małej polanie pośrodku mrocznej scenerii widać było jedynie stary namiot, którego sprany materiał jaśniał w świetle ogniska, palącego się kilka metrów dalej. Ognia doglądał dorosły mężczyzna w mundurze. Obok niego siedziała drobna dziewczynka, szczerze zawinięta różowym kocykiem. Jej brązowe oczy wpatrzone były w najciemniejszą część lasu.

– Wszystko w porządku, córeczko? – zapytał mężczyzna, zaniepokojony dziwnym spokojem tak energicznego dziecka, jakim była mała Amelka.

– Widzę cienie – odparła ze spokojem, nie odwracając wzroku.

– No tak, to nasze cienie – odparł ze śmiechem. W końcu mógł się tego domyślić. Jego córeczka miała tylko pięć lat, więc takie zjawisko mogło zainteresować jej rozwijający się umysł.

– Nie są nasze; ich jest więcej. Widzę, jak maszerują szeregiem – dodała cicho, przerzucając bystre spojrzenie na ojca.

– Co za cienie? – mężczyzna podszedł w stronę, wskazaną przez dziecko i zamarł...

Upalne, lipcowe popołudnie dało wszystkim w kość. Zmęczeni po rajdzie harcerze mogli nareszcie odłożyć napakowane plecaki i spocząć w cieniu drzewa.

– Hej, Amelia! Rzuć wodę, zaraz padnę – zawołała jasnowłosa dziewczyna, ocierając pot z czoła.

– Sama sobie weź, Brygido – Amelia przewróciła się na brzuch i odgarnęła z czoła ciemną zasłonę włosów. – Nie widzisz, że umieram?

Blond włosy druha westchnęła i sama zabrała koleżance wodę. Wypiwszy kilka łyków, położyła się obok.

– To miejsce wygląda bardzo znajomo – ciemnowłosa spojrzała na Brygidę i zabrała jej butelkę. – Więcej wypić się nie dało? – zapytała ironicznie i z trudem podniosła się z ziemi.

Dziewczyna wzięła butelkę i ruszyła na poszukiwanie dawcy. Wszyscy młodzi uczestnicy rajdu niemal bez życia zajmowali zacienione obszary, chcąc odpocząć przed dalszą częścią wyprawy. Jedynie starsi, doświadczeni harcerze gawędzili, ciesząc się kolejnym wyjazdem, a kadra sporządzała zwiad terenu, szukając miejsca na obozowisko.

– A ty nie w umieralni? – zapytała ze śmiechem drużynowa na widok młodszej harcerki. – Jak mogę ci pomóc?

– Ma druhna trochę wody? – zapytała nieśmiało Amelia, choć teraz znacznie bardziej niż życiodajny płyn interesowała ją polana, po której przechadzali się starsi druhowie. – Co to za miejsce? – zapytała po chwili wahania.

– Wiele lat temu w tym lesie stoczyli między sobą bój powstańcy styczniowi i Moskale – odpowiedziała drużynowa, podając dziewczynce bidon z wodą. – Opowiem wam o tym przy ognisku. Jak dobrze wiesz, nasza drużyna jest właśnie spod tego znaku – roku 1863.

– Tak, dziękuję bardzo – Amelia wróciła do koleżanki i podała jej bidon.

– Wszystko gra? Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczyła – Brygida podniosła się i położyła rękę na ramieniu Anielki.

– Jest w porządku... Po prostu znam to miejsce. To na pewno tu – powiedziała cicho zamyślona druhna.

Wieczorem odbyło się ognisko obrzędowe, podczas którego Amelia nie mogła się skupić. W pamięci cały czas widziała stary namiot, rozpromienioną twarz ojca i te cienie... Cienie, które ujrzała tu dokładnie siedem lat temu. Dziewczynka cały czas błędziła wzrokiem po ciemnej części lasu, w obawie przed ponownym spotkaniem. Słowa drużynowej były dla niej niejasne i ledwo słyszalne. W uszach jej szumiało, ciało przechodziły niemiłe dreszcze, a oczy upewniały jej najmroczniejsze wizje. Są tu... Te cienie nadal tu są.

Po ognisku wszyscy zajęli się przygotowaniami do snu, a kadra rozpisywała warty.

– Amelio, co się dzieje? – zapytała zmartwiona Brygida. – Od ogniska wyglądasz, jakbyś miała zejść na zawał serca.

Zanim młoda druhna zdążyła odpowiedzieć, do namiotu wszedł druh drużynowy z rozpiską wart.

– Brygida, pierwsza warta! Amelia, zaczynasz o 2:00. Druh Kajetan będzie ci towarzyszył. Teraz kładź się; cisza nocna – ostrzegł i wyszedł z namiotu.

Dziewczyny wykonały rozkazy, ale Amelia nawet nie zmrużyła oka. Z niecierpliwością i duszą na ramieniu wyczekiwała swojej warty. Nie mogła zrozumieć, co to za cienie i dlaczego tak bardzo się ich boi. Co mogło się wydarzyć, kiedy była tu z ojcem. Pamiętała jedynie, że one tu były... Gdy wybiła godzina, Amelia wyszła z namiotu i dołączyła do druha przy ognisku.

– Kajtek, cienie. Cienie idę szeregami przez las – powiedziała, wskazując mroczną stronę lasu.

– To cienie drzew, nie przejmuj się – powiedział i objął druhenkę ramieniem. – To tylko zwidy.

– To nie są zwidy, przyjrzyj się! Ich jest mnóstwo, idą szeregiem, jak skażący  
– powiedziała, nie odrywając od nich wzroku. – Może to duchy powstańców...

– Duchy nie istnieją. Prawda, był tu stoczony bój, ale to nie mogą być ich duchy – zapewnił, choć sam nie do końca wierzył w swoje słowa. – Po prostu się tym nie przejmuj.

– Jak mam się nimi nie przejmować, skoro tu są! Od chwili spotkania z nimi coś się stało mojemu tacie. Nie wiem co, ale wiem, że nic dobrego.

– Uspokój się, cię nic ci nie zrobi – młody druh spojrzął na dziewczynkę.  
– Zobacz, podejść tam i przekonasz się, że jesteśmy bezpieczni.

– Proszę, nie! – zaszlochała, ale Kajetan wszedł do lasu.

Po chwili dało się słyszeć jedynie przeszywający na wyłot krzyk, a tuż po nim rozległa się głucha cisza. Amelia zamarła ze strachu, ale wydawać by się mogło, że nikt prócz jej tego nie usłyszał. Kadra i uczestnicy spali jak zakłęci i żadne próby obudzenia ich nie skutkowały. Pomimo strachu, który ścisnął ją za gardło, ruszyła za Kajetanem. W duchu modliła się, żeby to był tylko zły sen, żeby Kajtek siedział przy ognisku, a te cienie okazały się jedynie żartem umysłu. Wszystko skomplikowało się, gdy druhna ujrzała nieprzytomnego towarzysza kilka metrów przed sobą. Pytanie, czy zemdlął ze strachu, czy coś lub ktoś mu w tym pomógł...

– Kajetan – zawołała cicho dziewczynka. – Jeśli to żart, to jest głupi!

Dziewczyna podeszła trochę bliżej, gdy za sobą usłyszała trzask gałęzi i kroki. Sparaliżowana strachem nawet nie pomyślała o ucieczce. W tym momencie szczytem jej sił i nerwów było powolne obrócenie się za siebie.

– Kimkolwiek jesteś, pokaż się! – rozkazała, cofając się o krok w stronę nieprzytomnego kolegi. Ku swojemu zdziwieniu, jej oczom ukazał się dobrze jej znany mężczyzna. – Tato? Tatusiu, jak dobrze, że tu jesteś!

Uradowana dziewczynka skoczyła na ojca, lecz przeniknęła przez niego, jak gdyby nie istniał. Dziewczynka spojrzała na niego i ze zdumieniem odkryła, że nie patrzy na nią ani na Kajetana, ale na ich cienie. Dziewczyna wyszła z lasu, ale na polanie nie było już nowych namiotów. Przy ognisku widniało jedynie różowe zawiniątko, a kawałek dalej na tle lasu odznaczała się stara gawra. Czy to możliwe, czy faktycznie mogła dostrzec swój cień? A skoro cień, to dlaczego nie ciało? Pozostawało jeszcze jedno pytanie, co aż tak przeraziło Kajetana?

– Tatusiu, co tam jest? – zapytała malutka Amelka. – Co to za cienie?

– Nie wiem, skarbie – odparł wyraźnie przestraszony mężczyzna. – Musimy wracać, już! – zakomunikował i zabrał się za składanie namiotu.

– Czyli przestraszyłam się swojego cienia – druhna patrzyła na to z niedowierzaniem, ale i spokojem.

Chwilę spokoju przerwał tupot stóp oraz rzenie koni. Dziewczynka obróciła się i zamarła ze strachu. Nie miała nawet na tyle odwagi, żeby krzyknąć. Kilka metrów od niej stacjonowali powstańcy. Każdy z nich milczał jak zakłęty i nerwowo rozglądał się na boki. Chwilę potem rozbrzmiał pierwszy wystrzał, a Amelia myślała, że zaraz zemdleje. Kula przeleciała przez nią, trafiając jednego z mężczyzn w bark. Młoda druha ruszyła w głąb lasu, aby tylko uciec z pola bitwy. Po kilku minutach męczącego biegu dziewczyna wpadła na przytomnego już Kajetana.

– Kajtek! – Amelia rzuciła mu się na szyję i spojrzała na polanę. Stały tam nowe, turystyczne namioty, wewnątrz których spokojnie spali uczestnicy wyprawy. – Te cienie, te – zaczęła, lecz chłopak jej przerwał.

– Szedłem za nimi, ale im głębiej w las, tym byłem od nich dalej. Gdy zawróciłem, te cienie mnie otoczyły... Widziałem, że próbowały mnie pochwyć, ale uciekłem. Film mi się urwał, gdy wbiegłem jakimś powstańcowi na bagnet...

– Zaraz, ale ciebie nie było tylko kilka minut – Amelka spojrzała na chłopaka ze zdziwieniem.

– Kilka minut? No co ty, chyba godzinę mnie nie było! – powiedział i zerknął na zegarek. – Co?! Wskazuje godzinę 2:00.

– Zepsuł się – podsumowała i wyciągnęła z kieszeni telefon. – A niech mnie... ten las żyje swoim życiem. W nim wszystko dzieje się teraz. Czas nie ma absolutnie żadnego znaczenia.

– Czyli, to my jesteśmy cieniami. Wszyscy gonimy własne cienie – druh wzdygnął się i wyszli z lasu. – Wniosek z tego jeden; nic nie jest takie, na jakie wygląda.

– Albo to my nie umiemy patrzeć... widzimy to, co chcemy widzieć – dodała i usiadła przy ognisku. – Widzieliśmy cienie, bo je chcieliśmy widzieć. Dopiero w chwili kryzysu otworzyliśmy się na prawdę.

– Snują się po lesie jakieś dziwne cienie. „Czy to sen czy mara?” dziwi się las. lecz tylko dorosłe, omszałe modrzewie wiedzą coś, czego żadne inne drzewo nie wie... – wyrecytował druh, który właśnie pojął sens tej starej sentencji...

*Emilia Pospieszny*



Londyn. Miasto pełne intrygujących miejsc i ludzi. Pogoda typowa dla tego miejsca – jest dość pochmurno, chłodno. W metrze jak zwykle siedzi wielu ludzi, którzy chcą dojechać rano do pracy. Jedną z nich jest młoda dziewczyna ubrana w płaszcz, na który opadają jej krótkie brązowe włosy. W ręce trzyma książkę. „The Adventures of Sherlock Holmes” – widnieje napis na okładce. Klasyk. Chyba każdy chociaż raz słyszał o przygodach Sherlocka i Watsona. Metro dojeżdża do stacji Oxford Circus. Brunetka chowa powieść do torebki i wysiada z wagonu. Wraz z tłumem wchodzi po schodach na górę. Kierując się Regent Street, zmierza do University of Westminster. Po chwili siada na ławce. Wyciąga wcześniej czytana książkę i kontynuuje. Mija pół godziny. Spogląda na zegar, jest godzina dziesiąta trzydzieści. Czas na wykład. W pośpiechu powieść zostaje na brzegu ławki. Uczniowie wchodzą do sali. Wykładowca sprawdza listę obecności.

– Nicholas Johnson? – zaczyna. Chłopak siedzący na końcu sali odpowiada.

– Mary Davies?

Brązowowłosa dziewczyna przytakuje, a następnie spogląda w okno. Krople deszczu kapią na parapet w nieokreślonym rytmie. Ludzie z zewnątrz rozkładają parasole lub kryją się pod dachem. „Kolejny nudny wykład” – pomyślała, wciąż wpatrując się w przestrzeń na zewnątrz.

Po ciągnącej się w nieskończoność godzinie studenci nareszcie opuścili salę. Mary ruszyła w stronę wyjścia. Jednak ktoś postanowił ją zatrzymać i podbiegł do niej, mówiąc:

– Hej, zdaje się, że to twoja książka – stwierdził chłopak, trzymając w ręce ulubiony kryminał dziewczyny.

– Rzeczywiście, musiałam zostawić ją na ławce. Dzięki – odpowiedziała z uśmiechem i wyszła na dwór. Trochę dalej, po drugiej stronie ulicy, znajduje się kawiarnia, do której wchodzi Mary. Siada przy jednym ze stolików i zamawia herbatę. Czekając na zamówienie, otwiera książkę, z której niespodziewanie wylatuje mała kartka. Wcześniej jej tam nie było. „Dziś wieczorem przy Big Benie” – widnieje na skrawku papieru. „Dziwne. Kto chciałby się ze mną spotkać? Dlaczego?” – myśli. Ma mętlik w głowie. „Czy to dobry pomysł? Cóż, jeśli nie pójdę, to się nie przekonam”. Bierze łyk herbaty i pogrąża się w myślach.

Po długim namyśle postanawia pojechać we wskazane miejsce. Zakłada buty, płaszcz, bierze torebkę i zamyka mieszkanie. Wychodzi na ulicę. Zapraco-

wani mieszkańcy Londynu kręcą się po ulicy, zapewne zmierzają do domu po pracy. Jest godzina siódma wieczorem. Mary idzie szybkim krokiem w stronę stacji metra. Przechodzi przez bramkę i biegnie do pociągu. Mija kilkadziesiąt minut. Dziewczyna wysiada na stacji St. James's Park i zmierza w stronę symbolu Londynu. Zatrzymuje się niedaleko mostu. Stoi i wpatruje się w Tamizę. Właściwie nie wie, co ma ze sobą zrobić. Nie wie, z kim się spotka i dlaczego. Zaczyna się ściemniać. Nagle czuje lekkie szturchnięcie. Obraca się, a jej oczom ukazuje się mężczyzna.

– Chodź, nie mamy czasu – stwierdza. Mary nie wie, co się dzieje, jednak nieznajomy ciągnie ją za rękę i oboje wsiadają do taksówki. Samochód rusza. Cisza. Nikt nic nie mówi. Mężczyzna pisze coś na swoim telefonie, ignorując obecność towarzyski. Pojazd mijają kolejne ulice Londynu. W końcu zatrzymuje się na Green Street. Widząc reakcję nieznajomego, Mary również wysiada z samochodu. Kierują się w stronę drzwi. Wchodzą do środka. Mieszkanie wydaje się być zaniedbane, może opuszczone. Mężczyzna prowadzi ją na pierwsze piętro, gdzie pali się światło. W pomieszczeniu stoi osoba. Obraca się i mówi w stronę Mary:

– John Smith – ściska rękę dziewczyny.

– Mary D... – chciała odpowiedzieć, jednak mężczyzna przerywa jej.

– Doskonale wiem, jak masz na imię. Dobrze, że jesteś już na miejscu.

– Przepraszam, ale to chyba jakaś pomyłka... Ja nie wiem, o co chodzi.

– Musisz pomóc nam znaleźć swoją siostrę – kontynuuje rozmówca, nie zwracając uwagi na komentarz dziewczyny.

– Nie mam z nią kontaktu, nie mam pojęcia, gdzie się znajduje.

– Ostatniej nocy zginął jeden z moich kolegów. Jestem prawie pewien, że to sprawka twojej siostry.

– Ale jak to?

– Sama ją spytasz. Tutaj jest jej numer – podaje zwiniętą kartkę – umówisz się z nią na spotkanie, a potem pójdziecie do jej mieszkania. Rozejrzyj się dobrze, chcę mieć pewność, że to ona.

Mary nie dowierza. Obraca się na pięcie i wychodzi z budynku. Mężczyzna, który wcześniej jechał z nią taksówką, pokazuje, aby do niej wsiadła. Samochód odwozi zszokowaną dziewczynę do domu. Otwiera mieszkanie. Zdejmuje płaszcz i siada na kanapie. Wyciąga telefon. Waha się, czy zadzwonić do siostry, z którą nie rozmawiała od lat. W końcu wybiera numer. Po kilku sygnałach po drugiej stronie słuchawki odzywa się kobieta, ma cichy i zmęczony głos. Siostra dziewczyny jest zaskoczona telefonem od niej. Umawiają się jednak na spotkanie następnego dnia. Mary kończy połączenie. Ma



mętlík w głowie. Dlaczego jej własna siostra miała by kogoś zamordować? Zawsze była normalną, inteligentną dziewczyną. Mary kładzie się do łózka, niestety nie może zasnąć. Cały czas dręcą ją myśli, dlaczego akurat ona musi pomóc nieznanym ludziom? „To wszystko nie ma sensu” – stwierdza w myślach. Zasypia.

Mary budzi się dość późno. Jest już prawie południe. Wstaje z łózka i idzie do kuchni, jednak po drodze jej wzrok przykuwa koperta pod drzwiami. Rozrywa ją i rozkłada kartkę ze środka. Ktoś napisał na niej, aby się pospieszyła, bo inaczej nie będzie z nią dobrze. Brunetka rozgląda się dookoła. Koperta nie jest podpisana, co oznacza, że ktoś osobiście musiał podrzucić ją tu w nocy. Niepokojące. Mija godzina. Pora wyjść z domu. Mary łapie taksówkę:

– Poproszę na Holland Street – rzuca w stronę kierowcy, samochód rusza.

Podróż nie trwa długo, w końcu docierają na miejsce. Dziewczyna wysiada z auta. Idealnie na wprost znajduje się dom. Jest ładny i zadbane, przed drzwiami stoją dopiero co posadzone kwiaty. Mary wchodzi po schodkach i puka do drzwi. Nie musi długo czekać na odpowiedź. Siostra otwiera jej i gestem zaprasza do środka. Brunetka rozgląda się dookoła, zgodnie z prośbą mężczyzny. Nie dostrzega nic nadzwyczajnego. Zwykły dom. Siadają w salonie. Amanda – bo tak ma właśnie na imię siostra dziewczyny – zostawia ją w pokoju i kieruje się do kuchni, by zrobić herbatę. Mary ma czas, aby dokładniej przyjrzeć się otaczającym rzeczom. Ściany, na których wiszą obrazy, wyglądają zwyczajnie, meble też nie przykuwają uwagi. Jednak pod ubraniami w roku stoi jakaś skrzynka. Dziewczyna podchodzi i ostrożnie zdejmuje rzeczy leżące na niej. Próbuje otworzyć. Niestety jest zamknięta na klucz. Gdzie on może być? Ponownie rozgląda się po pokoju. Na stole nie ma po nim śladu, na półkach również. Uwagę Mary przykuwa jeden z obrazów. Jest lekko przechylony. „Podejrzane” – myśli. Podchodzi do niego i delikatnie, by nie narobić hałasu, odsuwa go od ściany. „Jest!” – cieszy się, uśmiechając pod nosem. Bierze klucz do ręki. Jest czysty, brak na nim śladów kurzu, co oznacza, że niedawno był używany. Ponownie podchodzi do skrzynki i otwiera ją. W środku leży pistolet zawinięty w jakiś szalik. I w tym momencie Mary orientuje się, że Amanda stoi tuż za nią. Wystraszona obecnością siostry wstaje i tłumaczy się:

- Przepraszam, ja nie wiedziałam, co tam jest.
- Mów, kto cię tu przysłał!
- Nikt. Naprawdę – skłamała.
- Nie kłam!
- Ktoś wczoraj powiedział mi, że mam tu przyjść i się rozejrzeć...

– Wiedziała! Cholera!  
– Dziś rano dostałam kartkę, ktoś mi groził. Zrozum, musiałam tu przyjść.  
– W porządku, ale od teraz uważaj na siebie, a jeśli znów będą coś od ciebie chcieli, to udawaj, że nic nie widziałaś. Jasne?

– Tak, ale musisz powiedzieć mi, o co w tym wszystkim chodzi.

– Wygląda na to, że chyba muszę. Ponad pół roku temu zamieszałam się w pewne sprawy związane z tymi ludźmi... niezbyt legalne sprawy. Pomogłam im zdobyć trzy miliony funtów z banku. Niestety po pewnym czasie zorientowali się, że nie otrzymali pełnej kwoty. Tak – wzięłam sobie trochę dla siebie. W końcu zaryzykowałam, prawda? Miałam nadzieję, że się nie zorientują. Na moje nieszczęście myliłam się. Tydzień temu w nocy jeden z nich przyszedł tutaj, włamał się do domu i groził, że mnie zabije. Zapomnieli tylko o pistolecie, który dali mi wcześniej. Pod wpływem strachu wzięłam go i strzeliłam w jego stronę. Trafiłam. Byłam tak bardzo przerażona tym, co zrobiłam, więc w afekcie wzięłam ciało, schowałam do bagażnika i pojechałam za miasto. Zostawiłam je, przykryłam, czym tylko się dało i wróciłam do domu... – tłumaczenia Amandy przerwał głos rozbitego okna.

Ktoś się włamał. Obie od razu pobiegły na dół, do piwnicy, gdzie, jak się okazało, jest wyjście, o którym prawdopodobnie niewiele osób wie. Wybiegły na zewnątrz, rozejrzały się. Pod domem stało kilka czarnych samochodów. Nie było czasu na zastanawianie się, zaczęły biec. Jeden samochód ruszył. Jechał za nimi. Przyspieszyły. Samochód coraz bardziej się zbliżał. Mary, trzymając w dłoni znaleziony wcześniej pistolet, obróciła się i strzeliła w stronę kierowcy. Nie trafiła. Pojazd po kilku minutach wyczerpującej ucieczki dogonił siostry. Ktoś zakrył im usta chustką, w wyniku czego straciły przytomność.

Mary obudziła się w ciemnym pomieszczeniu. Siedziała przywiązana do krzesła. Jedyne światło w pomieszczeniu dochodziło z małego okienka z kratami. Z daleka dało się usłyszeć kroki, które stawały się coraz głośniejsze. Mężczyzna wszedł do pomieszczenia, świecąc latarką w twarz dziewczyny.

– Dlaczego nie zrobiłaś tego, o co cię prosiłem? – spytał wściekły.

– Zrobiłam. Po prostu nic nie znalazłam.

– A niby skąd miałaś pistolet? – na to pytanie Mary nie umiała odpowiedzieć. „Czy warto dalej kłamać?” – spytała samą siebie w myślach.

– Dobrze, skoro nie masz mi nic do powiedzenia, to posiedzisz sobie tutaj jeszcze kilka dni – wyszedł z pomieszczenia.

Brunetka nie wiedziała, co robić. Znów się rozejrzała. Spojrzała na krzesło, do którego była przywiązana. Dostrzegła dużą drzazgę wystającą tuż obok

liny, która ścisnęła jej dłonie. Zaczepiła jedną z nich o ostry element i ku jej zdziwieniu bez problemu przecięła sznur. Tym samym sposobem odcięła resztę. Wstała i wyszła za drzwi. Skręciła w lewo. Rozległ się alarm. Zaczęła biec. Goniło ją pięć osób. I nagle padły strzały. Mary upadła, uderzając głową w ziemię. Kula trafiła prosto w serce.

*Zuzanna Rybarczyk*

*Michalina Ryńska*

## **Pogoda ducha**

Krople deszczu bębniły o szybę. Strugom płynącej wody wtórowały lzy spływające po moich policzkach. Dobrze, że pada. Przynajmniej chmury przykryły podobno jeden z najpiękniejszych widoków – szczyt Giewontu i Kasprowego Wierchu. Oprócz mnie wszyscy zachwycają się górami. No właśnie. Oprócz mnie. Jedyne skojarzenie, jakie mam z górami, to ból. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby szpital dla dzieci wybudować wśród górskich szczytów? Do tego szpital ortopedyczny. Żeby pacjentom było bardziej żal, że o własnych siłach nigdy nie pójda w góry?

– Witaj córeczko – słyszę głos mamy. Widzę, że próbuje się do mnie uśmiechać, ale znam ją dobrze, to nie jest szczerzy uśmiech. Martwi się o mnie. Martwi, bo wie, że jutro mogę umrzeć. Oczywiście zapewnia mnie, że wszystko będzie dobrze, że operacja się uda, ale przecież nikt, absolutnie nikt nie ma takiej pewności. Powinam się już do takiej sytuacji przyzwyczać, bo to moja szósta operacja, ale do bólu przyzwyczać się nie można. Możemy przywyknąć do pięknych zapachów, codziennych obowiązków, uśmiechu, koloru tapety na ścianie, do wszystkiego, ale nie do bólu. Nigdy nie zaakceptuję choroby, bólu i mojej odmienności.

– Niepotrzebnie przychodziłaś tak wcześniej – odpowiadam. – Chcę być sama.

– Wiem, ale ja nie chcę być sama. Jestem tu, żeby ci pomagać, wspierać cię. Oczy mamy robią się szklące, ale udaję, że tego nie widzę. Siada przy łóżku, coś opowiada, próbuje ze mną rozmawiać, ale ja milczę. Niech przyzwyczą się do ciszy. Kiedy umrę, zostanie tylko cisza.

– Zejdźmy na dół do baru, ty coś zjesz, a ja napiję się kawy – z zamyślenia wyrывa mnie propozycja mamy.

– OK.

W szpitalnym barze zauważam chłopaka. Nie, nie chłopaka, bóstwo! Niesamowicie przystojny, kruczoczarne włosy opadały mu na czoło, rysy twarzy Adonisa. I ten uśmiech... Chyba przez chwilę stałam wpatrzona w niego. Chyba, bo tak naprawdę mój mózg przestał rejestrować, co się wokół dzieje. On siedział przy stole i zjadał hamburgera. Otrzeźwienie przyszło jednak szybko – przecież on nawet nie spojrzy na dziewczynę taką jak ja. Nawet długimi włosami nie przykryję blizn po operacjach, zresztą... dzisiaj to może być ostatni dzień mojego życia. Szkoda, bo w takim ciachu mogłabym się nawet zakochać.

Aż do wieczora przed oczami widziałam postać przystojniaka z baru. Jedyny miły akcent w ponurym, szpitalnym dniu. Jeszcze jedna noc i...

– Myszko, musisz być silna, musisz walczyć o siebie, po prostu musisz. Jesteś fantastyczną dziewczyną, wierzę w ciebie, wierzę, że dasz radę – mama głądziła mi za uszami cały wieczór.

I nadszedł kolejny ranek. Deszcz bił o szyby tak, jakby chciał powybijając wszystkie okna. Świat płacze. Ja już nie. To nic nie da. Tylko mama znów jest zapłakana. Jeszcze godzina... pół godziny... minuta.... I zawiozą mnie na blok operacyjny...

Jednak żyję. Obudziłam się. Podobno operacja się udała. Tylko po co mam żyć? Co dalej będzie? Jak długo muszę jeszcze znosić ten rozrywający moje ciało ból? Mama siedzi przy moim łóżku wpatrzona we mnie jak w obraz. Zapłakana, sina ze zmęczenia, drżącym głosem mówi:

– Będzie dobrze, dasz radę. Teraz już wszystko będzie dobrze....

Kolejnej doby nie pamiętam. Może to działanie leków, a może po prostu mój umysł wypiera wszystkie złe wspomnienia. Nie, nie wypiera, w mojej pamięci miejsce z napisem "koszmar" jest już wypełnione po brzegi, nic już się tam nie zmieści.

Próbuję stanąć na nogi, przejść kilka kroków... Wiem, że mojemu życiu już nic nie zagraża, ale jak długo dam jeszcze radę walczyć z chorobą?

– Mamo, idź sobie, nie chcę, żebyś się nade mną litowała. W końcu to ty mnie tu przywiozłaś, to przez ciebie teraz cierpię, ty... – nie muszę kończyć zdania, bo mama wybiega z płaczem. Przecież powiedziałam jej prawdę. I tak mnie nie zrozumie. Wiele razy zastanawiałam się, co byłoby lepsze – wózek inwalidzki i w konsekwencji śmierć czy ciągła walka, operacje, ból, rehabilitacja. To nie jest normalne życie.

Po kilku dniach jest już lepiej. Ból mija, ale moja wściekłość nie. Za kilka dni wyjście ze szpitala. Mama powiedziała, że przynajmniej przez miesiąc muszę

zostać w domu, ale niech sobie gada, co chce. Wracam od razu do szkoły. Nie mogę zawalić nauki. W tym przynajmniej jestem dobra.

Zza ścian skalnych wyłoniło się słońce. Mamy taką niepisaną umowę – ja cierpię – ono znika, jest lepiej – nieśmiało wychodzi sprawdzić, czy już może zaświecić. Przynaję, jest lepiej. Dałam radę, chociaż tak naprawdę nie pamiętam wszystkiego, co działo się przez ostatnie dni.

– Cześć, kochanie. Widzę, że jest odrobinę lepiej – głos mamy odbija się echem od ścian szpitalnej sali. Przyglądam się jej i jedyne, co w tej chwili chcę jej powiedzieć to:

– Przepraszam mamusiu. Martwię się o ciebie, źle wyglądasz. Odpocznij, proszę i....obiecuj mi, że wszystko będzie dobrze. Nie, nie kiwaj głową, tylko powiedz, że będzie dobrze. Idziemy na dół na kawę.

– Cześć, Misia. Bo chyba tak masz na imię, prawda? – słyszę męski głos za plecami. Odwracam się i.... spostrzegam mojego Adonisa, to znaczy chłopaka, którego kilka dni wcześniej widziałam w barze. Nie, on... siedzi... na wózku. Ale... jak to możliwe... Byłam w szoku.

– Cześć – wyjąkałam nieśmiało.

– Podobno za kilka dni wypuszczają cię na wolność? – odpowiedział nieznajomy, układając usta w najpiękniejszy na świecie uśmiech. – Ja niestety jeszcze trochę tu posiedzę. I to dosłownie, bo jak widzisz, z chodzeniem mam problemy. Podobno jest jakaś szansa, ale...

– Musisz wierzyć, że będzie dobrze – przerywam mu.

– Jestem Marcin, miło cię poznać. Musisz wiedzieć, że wszyscy tutaj ci kibicowali, żebyś jak najszybciej wylizała się z ran.

– Jak to wszyscy? – zapytałam nieśmiało.

– No wiesz, jesteś tu stałą bywalczynią, więc dzieciaki, lekarze, nawet „pi-guły” mówiły o tobie. Podobno jesteś silną babką z charakterkiem.

No teraz to mnie rozśmieszyl.

– Szkoda, że nie widziałeś mnie trzy dni temu, nie byłam silna, tylko bezsilna.

– Ale jak zawsze dałaś radę. Słyszałem, że jesteś prymuską, piszesz opowiadania, masz wiele nagród na koncie. No, no, zazdroszczę ci – taka ładna dziewczyna i do tego zdolna...

Czułam, że rumienię się aż po uszy.

– Nie przesadzaj, jestem zwyczajna, taka jak inni.

– I skromna – dodał, śmiejąc się w głos.

Zauważyłam, że mama dopija kawę przy stoliku obok. Mamuś, pij ją jak najdłużej, zostanmy tu... – powtarzałam w myślach.

Marcin za kilka dni ma operację. Teraz to ja go wspierałam, pocieszałam i dodawałam otuchy. Życie jest niesprawiedliwe. Chłopak o tak niezwyklej urodzie, miły, inteligentny i... na wózku. Mnie to nie przeszkadza, ale innym... Kto wie. Zaprzyjaźniliśmy się, a ja poczułam, że to może być coś więcej niż tylko przyjaźń. Marcin uświadomił mi, że jestem szczęściarą. To dzięki moim rodzicom, a szczególnie mamie, która zawsze jest przy mnie i mnie wspiera. On jest w szpitalu sam. Jego rodzice prowadzą własną firmę i są zbyt zajęci, żeby być przy nim. Pojawiają się raz w tygodniu, przywożą, o co poprosi i jak gdyby nigdy nic zostawiają go samego. Jak tak można? Poprosiłam mamę, żebyśmy zostały w Zakopanem kilka dni dłużej, do czasu kiedy Marcin będzie już po operacji. Zgodziła się bez wahania. Przecież w szpitalu nikt nie powinien być sam.

Wieczorami siadałam przy jego łóżku i godzinami rozmawialiśmy. Pomagało to również mnie, zapominałam o moim bólu i jak mi się wcześniej wydawało – wielkich problemach. Okazało się także, że kiedy kilka dni wcześniej stałam jak słup soli zapatrzona w nieznanego chłopaka jedzącego hamburgera, on także mnie zauważył. Od tego momentu wypytywał o mnie i muszę przyznać, że udało mu się zebrać mnóstwo informacji na mój temat.

Dzięki niemu zaczęłam nieco inaczej patrzeć na innych ludzi i otaczający mnie świat. Byłam zdziwiona, że Marcin zazdrości mi tak wielu rzeczy: szóstek w szkole, wspaniałych rodziców, przyjaciół, moich pasji. I tego, że... pomimo tak ciężkiej wady kręgosłupa chodzę. Zwykłemu człowiekowi może to się wydawać śmieszne. Jak można cieszyć się z tego, że się chodzi? Przecież to normalne, nikt się nad tym nie zastanawia. Nastolatki pragną modnych ciuchów, najnowszych smartfonów, laptopów, imprez, a nie zwracają uwagi na to, co najważniejsze, na zdrowie. Często przez własną głupotę sami je niszczą. Nie potrafią zrozumieć, że inni pragną, np. chodzić, jeździć na rowerze albo spędzać święta z rodziną, a nie w szpitalnych salach. Patrząc na innych pacjentów na oddziale, nie widziałam już chorych dzieciaków, ale bohaterów walczących o każdy dzień życia. Zdeteminowanych i odważnych.

Moja mama bardzo polubiła mojego nowego kolegę, pomagała i opiekowała się nami, jak tylko umiała najlepiej. Ja w końcu dostrzegłam jej zmęczenie, stres, strach o moje życie. Nigdy więcej nie będę dla niej niemłą. Przecież ona to wszystko robi dla mnie. Teraz ja zadbam o nią i codziennie będę powtarzała, jak bardzo ją kocham.

Operacja Marcina udała się, ale na ostateczne rezultaty trzeba będzie poczekać. Po długiej rehabilitacji ma szansę stanąć na nogi. To najcudowniejsza wiadomość pod słońcem. Powoli docierało do mnie coś jeszcze – użalałam

się nad sobą, chciałam się poddać, umrzeć, żeby uwolnić się od bólu. Ale są ludzie, których życie dotknęło większymi problemami. Ja chodzę, mogę tańczyć, uprawiać większość sportów, dobrze się uczę, a użalałam się nad sobą jak jakaś ofierma. Nigdy więcej!

Kasprowy i Giewont też jakby wypiękniały. Zawsze będą mi przypominały, że tak jak góry same w sobie są potęgą i pięknem, tak każdy człowiek ma w sobie i piękno, i niezwykłą siłę do pokonywania problemów. A krople deszczu z „łez nieba” zamieniły się nagle w kropelki wody, mieniające się kolorami tęczy. Bo przecież po każdym deszczu, każdej burzy, kiedyś wychodzi słońce...

*Michalina Ryńska*

*Olga Skrzeczowska*

## Spotkanie po latach

– Czekoladki, cukierki i inne frykasy marki „Wedel” – tylko u mnie! W najkorzystniejszej cenie, na przedświątecznej promocji! Prawdziwe rarytasy, które sam, osobiście, dostarczę pod wasze drzwi! Nie przegapcie takiej okazji, sprawcie swoim bliskim prezent na święta! Serdecznie zapraszam do złożenia zamówienia! – rozbrzmiewał wesoły głos młodzieńca na zasypanym śnieżnym pyłem Mokotowie.

Ludzie spieszyli do domów, nie patrząc na przemarzniętego mężczyznę. Każdy myślał o rozgrzewającym dźwięku brzozowych gałązek trzaskających w płomieniach kominka. Zima 1950 roku była naprawdę sroga. Skute lodem drogi i nieprzystający sypać śnieg przyćmiły obraz słonecznej Warszawy. Zrezygnowany chłopak zaczął powoli pakować swoje klamoty, bowiem za kwadrans kończyła się jego zmiana. Tymczasem w antykwaracie u przemiłej starszej pani, półkę z widocznym szyldem „Geograficzno-przyrodnicze”, penetrowała Basia, spragniona jakiegos czasopisma na dzisiejszy wieczór. „Poznaj świat” brzmiało ciekawie i intrygująco, więc dziewczyna sięgnęła do kieszeni po monety i za chwilę uradowana pobiegła do domu. Los chciał, że wpadła na szczupłego młodzieńca o smutnym wyrazie twarzy. „Skądś kojarzę to oblicze” – pomyślała. Kawalerowi twarz dziewczyny również wydała się znajoma...

– Przepraszam, nie chciałem! Spieszę się do domu i... – zaczął zakłopotany.

– Nic się nie stało – odrzekła. – Czy my się przypadkiem nie znamy? – zapytała po chwili niezręcznej ciszy.

- Basia? – oczy chłopaka zabłysnęły z radości.
- Wesoły? To znaczy Zygmunt? – dziewczyna zarumieniła się.

Po krótkiej wymianie słów, którym towarzyszyły niezwykle emocje, Basia zaprosiła Wesołego na podwieczorek. Chłopiec z chęcią przyjął tę propozycję i razem ruszyli na spacer ulicą Wierzbno, gdzie znajdował się dom dziewczyny. Po kilku minutach byli już w środku. W powietrzu unosił się słodki zapach jabłka z cynamonem, a w pokoju panował porządek. Na kredensie widniały starannie poukładane książki, bombonierka, kwiaty w wazonie i zdjęcia Alka, ukochanego Basi, którego u jej boku nie było już siedem lat. Jakże bolesna dla tej wrażliwej dziewczyny była strata narzeczonego.

- Co u ciebie? – zaczęła rozmowę Basia.

– Nadal pracuję jako akwizytor u „Wedla”. Dodatkowo kształcę się, aby w przyszłości zostać testerem czekolady! Jak wiesz, słodczyce zawsze były i będą moją słabością – Wesoły nieco się rozmarzył. – Teraz opowiedz mi coś o sobie.

– W czerwcu 1943 r. zdałam maturę na tajnych kompletach Gimnazjum Haliny Gepnerówny i jesienią wstąpiłam na zakonspirowany Wydział Lekarski Uniwersytetu Warszawskiego. Moim marzeniem jest jednak wydać własną książkę. Próbowałam już swoich sił w czasopiśmie „Na przełaj”, pisząc kilka opowiadań, ale wolałabym wydać coś pokaźniejszego, coś, co wywarłoby na czytelnikach duże wrażenie. Jak wiesz, kocham świat i chętnie poznałabym każdy jego zakątek, ale chciałabym, żeby tematyką mojej pierwszej, prawdziwej książki były czasy okupacyjne, dobrze nam zresztą znane. Spisuję wspomnienia ludzi, którzy twarzą w twarz stanęli z wrogiem, walczyli w małym sabotażu i brali udział w licznych akcjach konspiracyjnych. Pragnę, aby przyszłe pokolenia pamiętały, kim był mój Aluś, „Rudy” czy „Zośka” i aby wiedziały, jak ciężką walkę stoczyli ich rodacy. Niech te piękne, a zarazem straszne wspomnienia, pozostaną zapisane na kartach historii. Takie jest moje marzenie...

– Czy chciałabyś poznać moje doświadczenia konspiracyjne? – zaproponował Zygmunt.

– Pewnie! Każda informacja jest dla mnie cenna, zwłaszcza, że sama nie brałam udziału w powstaniu – ucieszyła się Basia.

Dziewczyna wygodnie usiadła w fotelu, sięgnęła po gruby, nieco dotknięty czasem notes, który znajdował się pod ławą i zaczęła zadawać pierwsze pytania.

- Jak to się wszystko zaczęło? – zapytała.

– Któregoś dnia dowiedziałem się, że należę do Armii Krajowej. „Dobrze” – pomyślałem. – „Ale co to właściwie jest?” Nikt nie miał czasu mi tego wyjaśnić. Dostałem pierwsze zadania. Szpiegowanie Niemców, obserwowanie adresów, to były dopiero początki. Później zaczęły się prawdziwe akcje. Któregoś



dnia razem z kolegami wybraliśmy się do kina. Nie miało to nic wspólnego z rozrywką. Poszliśmy tam, aby wpuścić gaz na salę i wykurzyć ludzi. Lubiłem wypisywać hasła, gdzie się tylko dało. Każdy z nas wiedział, że „Tylko świnie siedzą w kinie”, a „Führer powiedział...”. Mimo że nigdy nie grzeszyłem talentem plastycznym, żółwie propagujące powolną pracę w zakładach wychodziły mi całkiem przyzwoicie. Na tym skończyła się moja służba w małym sabotażu. Zostałem zaciągnięty do pracy jako akwizytor u „Wedla”. Na rozkaz naczelnika Szarych Szeregów rozpocząłem ryzykowną próbę dostania się do gmachu gestapo przy alei Szucha jako dostawca czekoladek i cukierków. Udało się i dzięki temu dołożyłem swoją cegiełkę do akcji odbicia Rudego, która zakończyła się powodzeniem.

– Pamiętam to! Aluś mi o tym opowiadał podczas jednej z naszych ostatnich rozmów... – wtrąciła się Basia. – Tak, bardzo mi go brakuje! – po jej policzku spłynęło kilka łez.

– Wiem, co to znaczy stracić kogoś bliskiego. Sam podczas powstania straciłem ważną dla mnie osobę – moją babcię. Byliśmy nierozłączni. To ona zajmowała się mną w dzieciństwie, kiedy rodzice się mnie wyparli... – nastroj, który towarzyszył dwójce młodych ludzi, przybrał nieco ciemniejsze barwy.

– Mam coś, co może ci się przydać. Z wielkiej torby Kaczyński wydobyl pokaźną księgę. – To pamiętnik „Zośki”. Myślę, że znajdziesz tu dużo cennych informacji. Dostałem go od siostry Tadeusza po jego śmierci, ale myślę, że tobie bardziej się przyda – zakończył.

– Dziękuję! – wykrzyknęła Basia podniecona podarunkiem i rzuciła się w ramiona Wesołego.

– Na mnie już czas. Dochodzi szósta i powoli się ściemnia. Muszę wracać do domu.

– Dobranoc, droga Basieńko – szepnął i wyszedł.

Basia jeszcze długo siedziała i czytała wspomnienia „Zośki”. Przytoczone przez niego historie niekiedy wywoływały na jej twarzy uśmiech, przypominały ukochanego, a niekiedy doprowadzały do łez, jak w opisie bólu, który Tadeusz odczuwał po stracie przyjaciela.

Mijały lata. Do 1987 roku Basia pracowała jako stomatolog w państwowej służbie zdrowia, jednak nigdy nie pozostawiła ukochanej literatury. Młoda pisarka lub, jak kto woli, dentystka spotkała na swojej drodze jeszcze wielu wartościowych ludzi, którzy udzielili jej informacji o powstaniu i akcjach konspiracyjnych. Na rok przed śmiercią, w 2007 roku wydała swoją upragnioną książkę zatytułowaną „Wspomnienia okupacyjne”, którą zadedykowała wszystkim poległym w czasie Powstania Warszawskiego. Publikacja okazała

się prawdziwym bestsellerem, po który sięgali czytelnicy w każdym wieku: od młodzieży szkolnej, spragnionej wiedzy o historii, przez ich rodziców – dojrzałych Polaków, dla których lektura stanowiła odskocznnię od współczesnej rzeczywistości i zagłębienie się w dziejach swoich przodków, po najstarszych mieszkańców naszego narodu, być może rówieśników opisanych bohaterów. Jedno jest pewne. Marzenie Basi zostało spełnione. Wspomnienia z czasów okupacyjnych zapisały się na kartach historii i każdy już wiedział, kim był Alek Dawidowski czy Zygmunt Kaczyński (któremu Basia była dozgonnie wdzięczna za prezent, jaki dostała podczas ich spotkania), a pojęcia „małego sabotażu” czy „Szarych Szeregów” znane były nawet wśród najmłodszych czytelników.

*Olga Skrzeczowska*

*Maja Stanclik*

## **Bunt IV kręgu**

Niewielu słyszało o piekle Dantego Alighieri, lecz wielu do niego trafiło. Każdy do określonego kręgu, by cierpieć już zawsze.

Mogłoby się wydawać, że krąg IV nie wyróżnia się zbytnio spoza innych. Przypomina on puszcze; gorącą, duszną i wilgotną. Stale panuje tu upał, przez co z dnia na dzień, cierpiące tu dusze dostają coraz gorszych bólów głowy. Do tego cały las przypomina rzeźnię. Wszędzie krew, narzędzia i krzyki. Oni się tu ze sobą biją. Każdy z każdym. Nie można przestać. Pluton... To on jest strażnikiem tego kręgu. Pilnuje ludzi, którzy za życia byli niewdzięczni, skąpi i nigdy im nic nie pasowało, choćby świat stanął na głowie, by im dogodzić.

IV krąg jest również moim piekielnym domem.

Wszyscy z mojej rodziny tu trafili. Za życia byłam bogata, obrzydliwie bogata. W dodatku bardzo źle wychowana. Cieszyły mnie drogie rzeczy, a nie te od serca. Może brzmie trochę pospolicie, ale nie nauczono mnie nawet dobrze o czymś opowiadać. Najważniejszą wartością w moim życiu były pieniądze. Rodzice płacili nauczycielom, żebym miała dobre oceny... To nie było normalne życie.

Nic dziwnego, że trafiłam tutaj.

Zaraz po śmierci zostałam zaatakowana. Wtedy doszłam do wniosku, że tutejszą torturą jest nieustanna walka. Każdy cios ma być śmiertelny. Walki nie przerwiesz, chociażby twoje oczy wisały na nerwach. A gdy już jest się

w stanie, w którym nie można walczyć, to twoje ciało wraca do swojej początkowej formy. Mnie zdarzyło się to 1003 razy, od kiedy tu trafiłam, a minął rok. Jakoś po pierwszym razie zaczęłam liczyć...

Nie ma tu czasu na odpoczynek, nie można odpoczywać. Pluton jest odpowiednikiem Hadesa, tak mi się zdaje. Przynajmniej tak wygląda. Spotkałam się z nim i z jego nieprzyjemnie ostrym ogonem parę razy. Chciałam na chwilę odetchnąć. A on pojawił się znikąd, chwycił mnie ogonem i cisnął, jak ja za życia swój telefon za okno, prosto w tłum przeciwników. Znow byłam zmuszona do walki.

Zapomniałam jeszcze dodać, że na środku kręgu znajdują się schody. Ciągną się tak wysoko, że nie widać ich końca, schodzą pod ziemię, w głąb leja. To jedyna droga ucieczki w górę (do kręgów I, II i III) lub zejścia niżej, do większych cierpień. Mój krąg jest prawie na środku... Nie chcę wiedzieć, co przeżywają ci na najniższym poziomie leja. Niektórzy próbowali uciec schodami. Udało się to jednej osobie, ale została znaleziona dwie godziny później. Co się z nią stało? Nie wiem... Myślę, że coś bardzo złego.

To miejsce jakoś kojarzy mi się z obozem koncentracyjnym Auschwitz.

Trzeciego dnia po śmierci stwierdziłam, że muszę odnaleźć rodziców. Jak już mam obrywać, to od nich. Może zada mi to mniejszy ból... Błądziłam parę miesięcy, starając się odeprzeć ciosy. Szłam i rozglądałam się za znajomymi twarzami. Nie wykluczone, że parę razy minęłam jakiegoś kuzyna lub ciotkę... To przerażające widzieć, ile osób chciwych i niewdzięcznych chodziło po tym świecie.

Koniec końców znalazłam moją mamę. Walczyła z jakimś facetem. Właśnie skręcił jej kark, by mogła zaraz powstać.

Przez parę miesięcy nauczyłam się całkiem dobrze walczyć, więc gdy zostałam zaatakowana po dwóch sekundach patrzenia na matkę, szybko powaliłam przeciwnika i już miałam skręcić mu kark, gdy zorientowałam się, że to tata... Czyli jednak się znaleźli. Pewnie szukali mnie, tak jak ja ich.

– Cześć, córciu... – jego głos był ledwo słyszalny pośród tego krzyku, w dodatku pełen załamania.

– Tato.... – zaczęłam płakać albo raczej próbowałam. Byłam odwodniona. Nawet się nie pociłam. Normalnie w moim stanie by się umarło, ale nie można przecież umrzeć na serio dwa razy.

W międzyczasie wymieniałam z moim ojcem ciosy. Faktycznie były... przyjemniejsze niż wszystko, co mnie spotkało w piekle. Po chwili dołączyła do nas mama i we trójkę walczyliśmy ze sobą.

Tego piekielnego dnia moja dusza zrozumiała, jak bardzo będzie cierpieć już na zawsze. Złe życie, dobra śmierć, złe życie po śmierci... Będę tutaj. W świe-

cie, który choć powinien być niematerialny, jest aż za bardzo, lecz nie w tym samym znaczeniu, co na Ziemi. Każdy centymetr mojego nowego domu jest skąpany we krwi. Wiatr przenosi smród gnijącego ciała, choroby i ludzkie krzyki. Drzewa są jak potwory, ślepe zaułki. Przyparci do niego muszą się odrodzić... Co się tu właściwie dzieje? Czy to wszystko to nie szaleństwo? Łamię się tu nie tylko kości, ale także ludzką psychikę.

Nienawidziłam mojego domu za życia, bo mi się nie podobał, tego nienawidzę, bo wcale nim nie jest.

Miałam opowiadać o buncie, a chyba trochę za bardzo skupiłam się na całej reszcie. To ja byłam jego początkiem. Od znalezienia rodziców (czyli z parę miesięcy minęło) starałam się nie walczyć z nikim innym. Przeważnie się udawało. Dni spędzałam na rozmowie z rodzicami lub wpatrywaniu się w ich załamane, obłąkane oczy. Opowiadali mi o latach spędzonych w piekle, o Plutonie i dziwnych walkach, jakie stoczyli. Okazało się, że piekło jest podzielone na dystrykty. W zależności od położenia, Pluton bywa tam częściej lub rzadziej. Z tego co wiem, to jesteśmy w jednym z najrzadziej odwiedzanych. Nikt się tu nie objaja. Drugim w kolejności najczęściej odwiedzanym dystryktem jest ten, w którym znajdują się schody.

Mówili też o tym, dlaczego Pluton przybywa do tych, co nie walczą. Chodzi o odpoczynek. Dusze cieszą się z jakiegokolwiek wytchnienia, a radość w piekle jest czymś zakazanym. Zbyt wiele radości mogłoby zachwiać całym piekłem. Ja cieszyłam się, gdy znalazłam rodziców. Na to jednak Pluton nic nie mógł poradzić.

Cholera, znów odchodzę od tematu... To cecha, która została mi z życia ziemskiego. Zawsze, gdy z kimś rozmawiałam, to (najczęściej nawet nieświadomie) przekierowywałam tok rozmowy na mnie i moje odczucia... Eh, tak bardzo żałuję zmarnowanego życia.

Po parudziesięciu opowieściach rodziców, wpadłam na pomysł. Sama świadomość, że ktoś, taki jak ja, wymyślił coś takiego, dawała mi jakieś szczątki szczęścia. Możliwość marzenia... Tęskniłam za tym. Przedstawiłam go rodzicom. Najpierw martwiłam się, że Pluton mógłby usłyszeć, o czym rozmawiamy, ale on czuje tylko odpoczynek, jak rekin krew. Zresztą pewnie wielu próbowało już się buntować.

W moim pomysle chodziło o to, by przekazać osobom dookoła wiadomość, że gdy usłyszą słowa: „stop, odpoczynek”, to mają przestać walczyć. Kto to usłyszał, też miał krzyknąć, jeśli był w stanie. Do tego trzeba dodać, że jeśli odpowiednio dużo osób, a nawet całe piekło przestanie toczyć walki, to Pluton nic z tym nie zrobi, a może i zburzymy IV krąg. Każdy kto to usłyszał, miał przekazać to dalej.

Pamiętam dobrze taki jeden moment... Jak skończyłam mówić. Moja mama się uśmiechnęła. Nie widziałam jej uśmiechu od dobrych paru miesięcy. Czułam jak pomimo całego cierpienia, sama też się uśmiecham.

– To może się udać... – powiedziała. – Piekło, piekło, piekiełko... Idzie twój koniec, a nosi on imię Martha.

Jak ja dawno nie słyszałam swojego imienia. Zawsze zwracano się do mnie „córca”.

Wcieliłam pomysł w życie. Powiedziałam okolicznym duszom o całym planie. Każda przekazała to dalej. Osoby poinformowane mnożyły się jak bakterie. W dwa dni wiedziało całe piekło. Dodatkowo kazałam unikać tematu, gdy Pluton jest w pobliżu.

Oczywiście niektórzy mieli duże wątpliwości, lub byli w takim stanie, że rozumieli tylko dwa słowa – odpoczynek i walka. To pierwsze na nich działało jak zakłęcie.

Ten dzień, kiedy rozpoczął się bunt... Piekło wtedy wydało mi się mniej straszne. Pamiętam idealnie, jak czułam siniaki i odciski, jak paliło mnie gardło z pragnienia. Nadal czuję, jak wciągnęłam głęboko powietrze i krzyknęłam najgłośniej jak mogłam.

– STOP! ODPOCZYNEK!

Przestałam walczyć. Moje mięśnie nie wiedziały, jak mają się zachować. Były przyzwyczajone do wysiłku. Ja jednak nie skupiłam się na nich. Zamknęłam oczy i słyszałam, jak odgłosy walk zamieniają się na te dwa, wyzwalające słowa.

Cały piekielny krąg krzychał. Ból uszu był przyjemny. Sama wykrzykiwałam raz po raz te słowa. Oznaczały one wygraną wszystkich potępionych dusz. Piekło ogarnął spokój. Usiadłam. Za mną podążyli wszyscy inni.

Nagle znikąd pojawił się Pluton. Patrzyłam intensywnie na to ogromne, powykręcane cielsko, zakończone ostrym ogonem. Jak zwykle roztaczał wokół siebie aurę niepokoju, rządy krwi i... Strachu? Tak, jestem pewna, że wtedy to był strach.

– Radość – powiedział. Jego głos był zimniejszy niż serca wszystkich żyjących skąpców razem wzięte. – Czuję odpoczynek. A zaczął się on tu.

Z prędkością światła, sięgnął po mnie ogonem, krzyknął i cisnął w inne dusze. Zazwyczaj robił tak z tymi, co się objali. Nikt jednak nie zareagował. Po chwili jakaś kobieta pomogła mi wstać. Pluton nie wiedział, co zrobić. Rzucił się w tłum siedzących dusz i machnął ogonem, zmiatając wszystkich w okolicy. Inni siedzący pomogli rannym. Demon krzyknął jeszcze raz głośniej niż wszystkie dusze w piekle. Czułam, że chce wpłynąć na naszą wolną wolę. To jest jednak jedna z rzeczy, która została nam z życia na ziemi. Mamy wybór...

Po chwili Pluton zniknął. Chyba poszedł do schodów, by ich pilnować. W takim momencie potępione dusze mogłyby uciec wyżej.

A my znów usiedliśmy na ziemi. Chwyciłam moich rodziców za ręce. Oni zaś wolną rękę podali osobie obok, ona kolejnej i tak dalej... Całe piekło. Czułam jak IV krąg się cieszy. Gdzieś słyszałam śmiech, gdzieś łyż szczęścia. Odpoczynek. Wywalczony. Czy to możliwe? Wreszcie jest spokój. Przepływa przez moje zmęczone ciało. Cierpiałam długo. Miało być tak już wiecznie.

Wszystkie zamknięte (a może nie?) tu dusze trzymały się za ręce. Już wystarczająco żałowały za grzechy... Pomimo strachu i zagrożenia ze strony Plutona, przestały walczyć. Czy to czegoś nie dowodzi?

Poczułam, jak krew, która nasączyła grunt tego kręgu już wiele tysięcy lat temu, wydostaje się z podłoża. Widziałam, jak krople łączyły się w kałuże. A kałuże paliły się... Rozświetlając wszystko dookoła. Zaczęliśmy krzyczeć. To było piękne. Razem, jak rodzina. Potępiona na wieki, nieustannie walcząca, aż do teraz rodzina. Upał nie był już straszny. Krąg się chwiał. Czułam to. Krew w gruncie wymieniła się na łyż radości tych, którzy jeszcze mogli płakać.

Ludzie rozmawiali ze sobą. Na każdy temat. Głównie jednak o odpoczynku. O tym, jak są szczęśliwi, że się udało. Dziękowali mi...

A ja tylko siedziałam i szeptałam.

– Już nigdy, nigdy więcej...

*Maja Stanclik*

*Oliwia Szymaniak*

## **Telefon do mamy**

*Opowiadanie to – jeśli można je tak nazwać, pragnę dedykować moim Rodzicom za ogromne wsparcie i wiarę we mnie. Dziękuję za długie rozmowy i pokazywanie świata takiego, jaki jest. Uczenie wartości oraz tego, co w życiu powinno się liczyć.*

*Historia, którą opisałam, jest połączeniem kilku historii, toku wydarzeń, z którymi spotkały się rodziny w naszym mieście, a zwłaszcza rodziny pielęgniarek.*

*Czytając nowelę do końca, dowiadujemy się, że wszystko kończy się dobrze, co napawa nadzieją, że „zła godzina minie”.*

*Zbliżała się siedemnasta, kiedy spojrzałam na zegarek. W radiu zaczęła lecieć ulubiona piosenka mojej żony. Zamyśliłem się, słońce tak ładnie świeciło.*

Wracalem z pracy szczesliwy, bo kontrola dobrze przebiegla i wreszcie bede mógł więcej czasu poświęcić swoim dziewczynom. Mialem wyrzuty, że Aśka tyle czasu spędziła na zwolnieniu, aby móc zajmować się naszą młodszą córką, a ja tylko wpadałem do domu, jadłem i zamykałem się w pokoju, opracowując swój system. Nawet mała Madzia zasypiała beze mnie i bez moich czytanek na dobranoc. Dobrze, że teraz chociaż moja mama może z nią zostać. Starsza zaś, Ola... właśnie! Olka ma maturę, a raczej nie wiadomo, kiedy będzie ją miała. Nic nie wiemy. Wszędzie tylko straszą, każdego dnia przybywa zarażonych na koronawirusa. Że też takich czasów wszyscy doczekaliśmy!

Niedługo nasza rocznica ślubu. Powinienem pomyśleć o prezencie dla Asi. Nie byłem ostatnimi miesiącami dla niej wsparciem. Zostawiałem ją z tym wszystkim, a ona nawet się nie skarżyła. Cudowna i wyrozumiała kobieta. Jeszcze chwila i zaraz będę na miejscu. O Ola dzwoni...

– Tak, Oleńko? Co tam, skarbie?

– Tato! Szybko! Mama zadzwoniła, że na jej oddziale wykryto koronawirusa. Nie wróci dziś na noc. Prosiła, bym szybko skontaktowałem się z tobą. Babcia jest już u siebie w domu. Jestem tylko z Magdą. Halo? Tato? Jesteś? Tato?

Nie wiem, jak dojechałem do domu. Nie wiem, jak wszedłem nawet. Pamiętam, że Ola z Madzią na ręku podbiegła, wtuliła się, a ja stałem i nie mogłem wydobyć z siebie słowa. Tego wieczora zrozumiałem, jak bardzo życie może być przewrotne. I jak może być śmieszne planowanie człowieka, skoro opatrność ma na to inny plan.

Madzia usnęła. Nawet bardzo nie dopytywała o Asię. Wystarczyło jej to, że mama musiała zostać dłużej w pracy. Nagle do pokoju weszła Ola...

– Tato, śpisz?

– Nie śpię, Olu – odpowiedziałem, podnosząc się z łóżka. – Wątpię, że dziś w ogóle zasnę.

– Rozmawiałeś z mamą? Wiesz coś więcej? – spytała zmartwiona.

– Tak, rozmawiałem. Mama jest przerażona. Pacjentka przyjechała na oddział i nie powiedziała, że miała kontakt z zarażoną osobą. Zrobili jej test i wyszedł pozytywny. Kobietę przewieźli do szpitala zakaźnego, a mama z koleżankami i panią doktor musi zostać i poddać się kwarantannie. Z obawy o nas nie mogła wrócić do domu.

– Tato, a co będzie jak mama... No wiesz... – zapytała drżącym głosem Ola.

– Ciii... nie myśl teraz o tym. Wierzę, że mama była dobrze zabezpieczona i nic jej się nie stanie. Musimy w to wierzyć, Olu. Nie można przecież inaczej? – próbowałem ją uspokoić, chociaż sam czułem przerażenie.

– Tato, boję się. Kocham was tak mocno. Boję się, że Madzia będzie za nią tęsknić, że nie wytrzyma tak długiej rozłąki.

– I ja się tego boję. Nie znam się na tych wszystkich rzeczach, jakie mama ogarniała w domu. Pomożesz mi?

– Jasne, tato! Będzie też babcia. Poradzimy sobie. Najważniejsze, aby mama była zdrowa i mogła jak najszybciej do nas wrócić.

– To prawda, kotku. Napiszę jej zaraz esemesa. Połóż się już i spróbuj zasnąć.

– Dobrze. Ty też spróbuj zasnąć. Dobranoc.

– Dobranoc. Kocham cię.

Pisałem z Asią do trzeciej w nocy. Po ostatnim moim esemesie już nie odpisała. Może zasnęła? Każda jej wiadomość, to były dla mnie łyzy. Nie mogłem uwierzyć, że piszę z żoną, zamiast być obok niej. Z każdą minutą docierało do mnie to, że Asia może być zarażona i co wtedy? Jak zniesie tego wirusa? Czy przeżyję? Nie będę mógł nawet być przy niej – to bolało mnie najbardziej. Madzia jest jeszcze mała i bardzo z nią związana. Wszystkie myśli nie dawały mi spokoju.

Nastał ranek. Dochodziła szósta, kiedy usłyszałem:

– Mamusiu, to ja, Madzia. Chcę ci powiedzieć, że zrobiłam siusiu, a Ola śpi. I kto mi teraz pomoże? O... nawet do kapciuszków naleciało. Mamusiu, przyjedź szybko. To papa, czekam.

Poczułem, jakby mi ktoś gardło ścisnął. Zerwałem się i wszedłem do pokoju córki.

– Dzień dobry, śliczna królewno! Kto to już nie śpi?

– Tatusiu mam mokrą piżamkę! O zobacz! Łóżeczko też...

– To nic, kochanie. Chodź, zdejmemy piżamkę, umyjemy się i włożymy czyste ubranka, dobrze?

– Taaaak!

– Madziu, a gdzie masz ubranka?

– O tutaj! Mamusia mi kładzie ubranka w tej szafeczce.

– To założymy dziś to. Może być?

– Tato! W tym, to ja chodzę do przedszkola, ale już chyba na mnie za małe, może sukienkę tą czerwoną mi założysz?

– Madziu, ależ to jest bardzo elegancka sukienka i myślę, że w takiej sukieneczce będzie ci niewygodnie, wiesz?

– Ta sukieneczka jest bardzo wygodna i bardzo ładna. Chcę ją założyć, no proszę, proszę, proszę... – nalegała Magda.

Myślałem, że oszaleję. Sukienka tiulowa na specjalne okazje, a nasza mała księżniczka będzie teraz rano w niej chodzić i jeść śniadanie. Oj, gdybyś tu była, Asiu...

– Tato! Ty pozwoliłeś Magdzie bawić się w tej wyjściowej sukience?! – pyta poirytowana Ola.



- Chwilowo nie miałem wyjścia... – odpowiedziałem.
- Acha... Już to widzę! Tato, nie możesz jej na wszystko pozwalać! Przecież ona będzie cię teraz wykorzystywać.
- Olu, nie pleć bzdur. Madzia jest mała i lubi pobawić się w księżniczkę. No, niech dzisiaj ma frajdę z tego. Nie chciałem jej robić przykrości.
- Tato, ja wiem, ale to mała sprycula. Jest mądrzejsza od nas wszystkich. Uwierz mi. Wiem, co mówię – to powiedziawszy, poszła do swojego pokoju.
- Zrobiłem dziewczynkom śniadanie. Próbowałem też dodzwonić się do Asi, ale bez skutku. Nie odbierała. Denerwowałem się. Może coś się stało? Po chwili dzwoni telefon. Szczęśliwy, że to Asia, patrzę... A tu moja mama...
- Synku, nie mogę do was przyjść. Mam wysokie ciśnienie. Wzięłam tabletki i zaraz muszę ponownie zmierzyć. Poradzicie sobie? – zapytała z niepokojem mama.
- Tak mam, nic się nie martw. Wzięłem urlop. Zajmę się dziewczynkami – odpowiedziałem pewnie.
- Dobrze, to w takim razie do usłyszenia. Proszę, koniecznie zadzwoń, jak będziesz miał jakieś wieści od Asi.
- Tak, jasne, zadzwonię. Zdrowiej mam!
- Rozłączyłem się. Usiadłem na kanapie i patrzyłem przez długi czas na nasze zdjęcie ze ślubu. W tym czasie rozległ się łomot. Zerwałem się z kanapy i biegłem na górę. Słyszę, jak Ola krzyczy na Magdę. Wchodzę do łazienki i przecieram oczy ze zdziwienia... Madzia postanowiła zmienić fryzurę... Nałożyła sobie na głowę moją piankę do golenia, a potem nawinęła swoje cieniutkie kosmyki włosów na wałki Oli. Chciała sięgnąć jeszcze po jej lokówkę, ale na szczęście ta spadła na podłogę. Strach pomyśleć, co mogło by się dalej wydarzyć.
- Na litość boską, Magda! Co ty, dziecko, robisz? Przecież tak nie wolno! To pianka do golenia a nie do włosów! Mogłaś sobie krzywdę zrobić. Nie wolno samej włączać urządzeń elektrycznych! – grzmiałem wściekły po tym, co zobaczyłem.
- Nie bierz moich rzeczy, smarkulo! Zobacz, co zrobiłaś! – Ola krzyczała rozwścieczona.
- Spojrzałem na Magdę, myślałem, że zacznie płakać. Może to było za ostro dla niej? Stała dumnie, robiąc te swoje minki i rozpoczęła swój wywód:
- Tak? Nie można pokjęcować (czyt. pokręcić) włosów? Nie widzicie, że mam nie takie włosy? Sama wszystko muszę robić, nikt mi nie pomoże! Nie można wychodzić z domu, to jak miałam się wybrać się do fryzjera?
- Stałem jak osłupiały. Patrzyłem, to na Olę, to na Magdę. Po kim ten dzieciak jest taki wygadany? Po chwili mówię:

– Magda, jesteś małą dziewczynką i nie możesz tak sama brać lokówki! Zobacz, całe włoski masz ulepione od pianki. Chodź, umyjemy.

– Ale tato, ja chcę mieć pokjęcowane (czyt. pokręczone)! – Nie dawała za wygraną mała terrorystka!

– Madziu, umyjemy włoski i może uda nam się je pokręcić? – odpowiedziałem spokojnie.

– Na mnie nie licz! – krzyczy Ola. – Ja ci nie będę pomagać!

– To nie! Zaraz zadzwonię do mamy i jej wszystko powiem! Jesteś niemiła i na mnie krzyczysz! Taka jesteś niedobra! Zaraz wszystko mamie powiem! – pobiegła po swój zabawkowy telefon i mówi do słuchawki:

– Mamusiu, to ja, Madzia. Jest mi bardzo przykro! Chciałam sobie pokjęcować (czyt. pokręcić) włosy, a Ola na mnie brzydko nakrzyczała. Mamo, przyjeźdź do mnie szybko! To papa.– odłożyła telefon i nad wyraz spokojna patrzyła na Olę i na mnie.

Umyłem Madzi włosy, wysuszyliśmy je i zaczęliśmy się bawić we fryzjera. Śmiała się, kiedy nie wychodziły mi kucyki i jak nie znałam imion jej wszystkich zabawek. Siedziałem, cesałem, upinałem i rozmyślałem o tym, jak wiele mi umknęło. Ja prawie wcale nie wiedziałem nic o swojej najmłodszej córce – w co lubi się bawić, jak nazywają się jej koleżanki z przedszkola i co najbardziej lubi nosić z ubrańek? Widziałem teraz, jak wiele poświęcała Asia, by móc pogodzić pracę i nasze życie domowe.

Po zabawie z Madzią zajrzałem do pokoju Oli. Siedziała i czytała książkę. Powtarzała jeszcze historię do matury. Pocałowałem ją w czoło i powiedziałem, że bardzo ją kocham i że nie wiem, kiedy mi tak szybko urosła. Uśmiechnęła się, przytuliła do mnie. Zapytała o Magdę, czy już wszystko OK i dalej zaczęła się uczyć. Wszedłem, wziąłem telefon i próbowałem się dodzwonić do Asi. Po kilku wykonywanych połączeniach nagle usłyszałem ochryple:

– Adam, to Ty? – zapytała niepewnie.

– Tak, Asiu. Gdzie jesteś? Jak się czujesz, kochana? W ogóle nie mogłem się dodzwonić. Co się dzieje?

– Adasiu, muszę zostać na obserwacji, ponieważ wirus może dać objawy po kilkunastu dniach. Wykonałyśmy testy i czekamy. Trochę jestem osłabiona. Mamy bardzo dużo pacjentów. Martwię się o was, jak dziewczynki?

– Asiu, wziąłem urlop. Zajmuję się nimi, domem. Ola pomaga mi przy Madzi. Mała bardzo tęskni i my też. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę! Przywieźć ci jakieś rzeczy?

– Nie, nie trzeba. Radzimy sobie. Najważniejsze, abyście wy byli zdrowi. Adam, uważaj na siebie i dziewczynki. Nie wychodźcie nigdzie. Pod żadnym pozorem nie przyjeżdżaj tutaj do szpitala, proszę.

– Asiu, kocham cię. Dopiero teraz widzę, ile wspaniałych rzeczy wykonywałaś i jak świetnie radziłaś sobie ze wszystkim. Czekamy na ciebie z dziewczynkami. Odzywaj się, kiedy tylko będziesz mogła. Będzie dobrze.

– Ja was też kocham. Boję się, Adamie. Boję się, że jak będzie pozytywny to... – nie dokończyła.

– Asiu, nie mów... nie mów! – odpowiedziałem przerażony.

– Trzymaj się, muszę już kończyć – to mówiąc, rozłączyła się.

Łzy kapwały mi niczym deszcz ulewny z naszego dachu. Nie pozwoliłem jej dokończyć, bo... bo nie chcę o tym myśleć, bo chcę wierzyć, że moja żona będzie zdrowa i wróci. Bo nie radzę sobie bez niej... tak zwyczajnie, po prostu.

Każdy dzień mijał nam w podobny sposób. Asia dzwoniła, kiedy tylko mogła, częściej pisaliśmy esemesy. Pewnego wieczora, kiedy chciałem sprawdzić, czy Madzia zasnęła, na korytarzu przed jej drzwiami do pokoju usłyszałem rozmowę. Pomyślałem z początku, że pewnie znów dzwoni do Asi i się skarży na nas... podchodzę bliżej i przysłuchuję się:

– I proszę cię, aniołku stróżu, opiekuj się moją mamusią, aby szybko do nas wróciła i byśmy znów byli razem w domku.

Czułem, jak coś zaciska mi serce z żalu. Moja córka potrafiła powiedzieć tak piękne słowa, które mnie ciężko nie raz przychodziły na myśl. Bałem się prosić.

Tej nocy niewiele spałem. Myślałem o Asi, o tym co robi i jaki będzie wynik. Lecz ciągle w głowie miałem słowa cichutko wypowiedziane przez moją małą córeczkę. Pragnąłem, aby stało się tak, jak prosiła Madzia.

W drugim tygodniu Magda przechodziła samą siebie. Ostatnio wpadła na pomysł, by posypać proszkiem moje koszule i poprasować je. Chwała, że Ola znów w porę zareagowała, kiedy ja na dole w kuchni starałem się ugotować dziewczynkom obiad – no może obiad to dużo powiedziane... ale starałem się bardzo. Zupełnie jak na początku naszego związku, kiedy to chciałem Asi zaimponować i zacząłem śledzić przepisy kulinarne i z większym bądź mniejszym sukcesem, wyczarowywać jej dania kuchni włoskiej, śródziemnomorskiej... ech, to były czasy...

– Tato, możesz przyjść na górę? – spojrzałem, a tu Ola z nietęgą miną. Myślę sobie, co znowu? Nie, tylko nie Magda i znów jej wspaniałe pomysły! A jednak...

– Tato! Musisz z nią porozmawiać! W tym domu nie da się przygotować do matury! Zobacz, wyszłam na chwilę do łazienki. Przychodzę, a tu Magda siedzi przy moim biurku. Wzięła czarny marker i wymazała nim pół książki do historii. Mało tego! Zaczęła rysować nim po ścianie.

– Co? Magda, co ty wyprawiasz?! Co to ma znaczyć?! Nie wiesz, że twoja siostra musi się uczyć, bo ma egzamin i ta książka jest jej bardzo potrzebna? Dlaczego pomazałaś ją markerem?

– Tato! Chodź, powiem ci coś na ucho.

Kucnąłem i zbliżyłem się do Madzi, objąłem ją, a ona tym swoim przebiegłym, milutkim głosikiem mi szepcze:

– Tato! Ja też się muszę uczyć! Też mam egzamin w przedszkolu. I nie wiem kiedy? Więc musiałam trochę się pouczyć i już wszystko wiem!

– Madziu, nie masz żadnego egzaminu. Jeśli chciałaś się pouczyć, to trzeba było powiedzieć Oli. Jestem pewien, że dałaby ci inną książkę. A dlaczego jeszcze ścianę pomazałaś? Chciałabyś, żeby Ola też tak ci pomazała?

– I zaraz tak zrobię! – straszyla Ola, która puszczając mi oko, szła do pokoju Magdy, by pomazać jej ścianę.

Jak nagle zerwał się krzyk: – Nie rusz mojej kochanej ściany! To mój pokój! Ja się w nim uczę do egzaminu! – krzyczała Magda i pobiegła za Olą. Zaczęła ją ścisnąć, szczytać. Wkroczyłem do akcji i skończyło się tak, że Ola zamknęła się w u siebie w pokoju obrażona. Magda zaś zaczęła płakać i jak zwykle – zadzwoniła swoim różowym telefonikiem do Asi.

– Mamusiu, jest mi bardzo przykro. Ola nie pozwala mi się uczyć do egzaminu, który będę miała w przedszkolu. Chciała mi jeszcze pomazać ściany markerem, a tata na mnie nakrzyczał! Mamusiu, proszę cię, już nie pracuj! Nie zarabiam pieniędzy, tylko przyjedź już do mnie. Bardzo tęsknię do ciebie. Jest mi smutno. Mamusiu, słyszysz? Proszę, powiedz pani doktor, że musisz już iść do domku, bo ja, Madzia dzwonię i to bardzo pilne. Mamusiu...

– Słucham, kochanie... – Nagle odezwał się głos Asi.

– Jezu! – krzyknąłem przestraszony i wychodzę na przedpokój, a tam w drzwiach stoi Asia, moja kochana Asia. Nie wierzyłem w to, co zobaczyłem. Pisk był ogromny! Magda zaczęła płakać, całować Asię, przytulać. Podejrzewam, że sama była zdziwiona tym, że dzwoniła do mamy, a mama jest już w domku. Ola wybiegła na powitanie. Tuliła się również mocno do Asi. Zaproponowałem, żeby przenieśli się z tymi czułościami na kanapę, a ja pownoszę rzeczy z samochodu.

Gdy tylko wyszedłem z domu, usiadłem na schodach. Rozpłakałem się jak małe dziecko. Wróciła... Test okazał się negatywny. Znow będziemy razem. Modlitwy Madzi zostały wysłuchane. Patrzyłem na niebo. Dziękowałem. Cuda naprawdę się zdarzają. Może potrzeba nam w życiu takich rozstań, byśmy potem, już razem mogli doceniać to, co mamy najważniejszego w życiu?

Może nie wymyślę nic nowego, kiedy powiem, że zdrowie i kochająca się rodzina, to najcenniejszy dar, jaki może nas w życiu spotkać, ale tak uważam. To największe szczęście!

*Oliwia Szymaniak*

*Lena Urbaniak*

## **Jest jeszcze czas...**

Urodziłam się w XXI wieku, w czasach, gdy wszyscy myśleliśmy o dobrobycie, zdrowiu, rozwoju nauki i przemysłu. Każdy dzień mojego życia był szczęśliwy, pełen miłości rodziny, beztroski. Jedynymi problemami, jakie miałam, to sprawdziany w szkole, małe konflikty z koleżankami oraz to, czy będę mogła pojeździć konno, czy dostanę wymarzony gadżet (czyt. nowy telefon lub coś podobnego). Myślę, że nie odbiegałam w tym swoim życiu od większości nastolatków na świecie. Chciałam więcej, szybciej, lepiej. Aż nagle cały świat się zatrzymał, wszystko się zmieniło.

Na początku tego roku zaczęły dobiegać do nas wiadomości o jakimś tam chińskim wirusie. Wielu z nas śmiało się, że pewien Chińczyk zjadł nietoperza czy łuskowca i zaraził się wirusem, który nazwano koronawirusem. Internet obiegały śmieszne filmiki z Chin i memy związane z nieznanym wirusem. Wszyscy je oglądaliśmy z uśmiechem na twarzy.

– Ha, mają, co chcieli! Po co jedzą te świństwa! – mówiliśmy.

Stopniowo jednak wirus się rozprzestrzenił, ale ciągle nas nie dotyczył. Obejmował kolejne kraje, zaczęło chorować i umierać coraz więcej osób. Nawet na początku marca nikt nie myślał o najgorszym. Kiedy ogłoszono zamknięcie szkół, urzędów, sklepów, zrobiło się nieciekawie. Okazało się, że coś abstrakcyjnego, odległego dotarło i do nas. Początkowo byliśmy zadowoleni z zamknięcia szkół, bo nie zdawaliśmy sobie sprawy, że to potrwa tak długo, że będzie ciężko i niebezpiecznie. Z jednej chorej osoby zrobiły się tysiące, z jednej zmarłej, setki. Zmieniły się ulice, nasze domy, podwórka. Zrobiło się cicho i smutno. Słyszałam tylko złe informacje. Telewizja, radio i internet przekazywały wyłącznie informacje o liczbie zakażonych i kolejnych zgonach. Dziesiątki, setki i tysiące... Zaczęłam uważniej śledzić ten temat i zastanawiać się, dlaczego tak się dzieje, jak szybko wirus objął cały świat, jak od tej pory będzie wyglądało nasze życie i co się w nim zmieni.

Coraz bardziej zaczął nam doskwierać brak kontaktu ze znajomymi, kolegami i koleżankami. W pewnym momencie pojawiła się też tęsknota za szkołą i nauczycielami. Zobaczyłam, jak ciężko mi poukładać dzień, usystematyzować przesłane lekcje, odrobić je, a jeszcze trudniej nauczyć się ich i zrozumieć. Uświadomiłam sobie, że w szkole zupełnie inaczej to wygląda, jest mi łatwiej. Bezpośredniego kontaktu z nauczycielem nie zastąpi komputer i nawet najlepiej opracowana pisemnie lekcja. Dotarło do mnie, jak wielką pracę wkładają nauczyciele w to, abyśmy zrozumieli pewne tematy, przyswoili sobie wiedzę. Dla nich ta zdalna forma zajęć też pewnie nie jest prosta. My mamy tylko kilka przedmiotów i nauczycieli, a oni dziesiątki dzieci, do których muszą dotrzeć, ocenić pracę, wytłumaczyć. Dla każdego z nas to trudne i nowe. Mam nadzieję, że uświadomimy sobie, że jesteśmy wspólnie, dla siebie, że bez jednej strony nauka nie ma sensu, że nasza i nauczycieli praca jest tak samo ważna, że wszyscy mamy lepsze i gorsze dni.

Zaczęłam odczuwać też brak bezpośredniego kontaktu z koleżankami. Śmiech na korytarzu, przepychanki, obrażanie się, dźwięk dzwonka na przerwę – jakie to wydało mi się miłe.

– Tęsknię za tym – pomyślałam. Zaczęłam dzwonić do najbliższych mi koleżanek z klasy. Do niektórych towarzyszko, do innych z prośbą o pomoc w rozwiązaniu problemu z jakimś zleconym, szkolnym zadaniem. I ten czas zweryfikował, kto jest wart mojej przyjaźni, kto jest po prostu dobrym kumplem. Niektóre osoby, mimo że uważałam je za przyjaciółki, nawet nie oddzwoniły. Było mi przykro, bo ja nigdy nie pomijam czyjeś prośby milczeniem, ale postanowiłam skupić się na tych relacjach, które okazały się być czegoś warte. Ile radości teraz sprawia nam (kilku koleżankom z klasy) rozmowa przez telefon albo na skype. Słyszemy się i widzimy, zwierzamy się sobie, radzimy, wspólnie odrabiamy lekcje, pomagamy sobie. To ma dla mnie wielkie znaczenie. W takich sytuacjach poznaje się dobrych, wartościowych ludzi. Czy to wirus musiał mi zwrócić uwagę na te kwestie? Pewnie nie, ale niestety, wcześniej tego nie doceniałam.

Przeczytałam gdzieś, że w końcu nauczymy się prawidłowo myć ręce i kichać w chusteczkę lub rękaw, nie dotykać pieczywa, warzyw, owoców bez rękawiczek ochronnych. I uważam, że to prawda. Bo ile razy widziałam, że po wyjściu ze szkolnej toalety nie wszyscy myją ręce, ale większość niestety je potem kanapkę, że przeziębiona Marysia kicha na cały regulator na szkolnym korytarzu, śmiejąc się potem z tego. A sama niejednokrotnie kupując jabłka w sklepie, przewracałam je gołymi rękoma, próbując wybrać te najładniejsze. Każdy z nas ma coś na sumieniu i myślę, że każdy z nas mógł przyczynić się do rozpowszechnienia tej strasznej choroby.

Jest wiele chorób, bólu i śmierci na świecie, ale nie pamiętam takiej sytuacji, aby jedna choroba, w tak błyskawicznym tempie objęła cały świat, była tak zakaźna, ciężka do wyleczenia, aby tylko na nią umierały dziennie setki, a nawet tysiące ludzi. Powinno nam to uzmysłwić, jak mały jest świat, jak wszyscy jesteśmy ze sobą związani, jaki łańcuszek istnień tworzymy. Nie ma lepszych ani gorszych, nie ma bezpiecznych miejsc. Ziemia to tylko mała wysępka w oceanie kosmosu. Czy jesteś na półkuli północnej, czy południowej, w Europie, czy Australii, jesteś związany z każdym człowiekiem na tej planecie. Powinniśmy zwrócić uwagę, na to, co źle robiliśmy i zmienić już na zawsze nasze nawyki. Czy to koronawirus musiał nas nauczyć mycia rąk, zakrywania ust przy kichaniu? Może mogliśmy tego wszystkiego uniknąć? Niestety dopóki nie wydarzy się coś, co nas dotyka, na niektóre sprawy nie zwracamy uwagi, nie uświadomiamy sobie skutków swoich zachowań, ich konsekwencji. Może się zmienimy, może będziemy lepsi, dostrzeżemy swoje błędy i uświadomimy sobie, że nie jesteśmy sami, że to, co dzieje się na świecie, zależy od nas?

Ziemia się przed nami broni, bo zniszczyliśmy ją. Staliśmy się zachłanni na pieniądze, władzę. Chcieliśmy więcej. W naszych czasach, zaczęło się liczyć tylko to, ile masz, a nie, kim jesteś. Bo byłeś kimś, jeśli miałeś. A czy tak powinno być? Zatruciliśmy się w tej swojej gonitwie za czymś, jak myśleliśmy, dla nas lepszym, za pieniędzmi, władzą, uznaniem, nagrodami. A w tym wszystkim niszczyliśmy wszystko dookoła... To my zatruiliśmy Ziemię, jej atmosferę, wody, zniszczyliśmy wiele gatunków roślin i zwierząt. Wtargnęliśmy do ich świata. Tak, to nie one pchały się do ludzi, tylko my weszliśmy w ich świat, wycinając lasy, osuszając bagna, udomawiając dzikie zwierzęta. Człowiek myślał, że jest najważniejszy, że może wszystko i jeszcze więcej. Próbowaliśmy nawet zawładnąć kosmos – dobrze, że to dotąd się nie udało! Ale Ziemia się nie daje i próbuje w ten sposób wołać o pomoc:

– Opamiętajcie się, bo zginiecie! – tak to słyszę.

Koronawirus to kara za nasze postępowanie, zachłanne, bezwzględne, materialne. Powinniśmy się opamiętać i zjednoczyć siły, aby zwalczyć tę nieznaną chorobę, nie snuć teorii spiskowych, że niby celowo wirus wyciekł z laboratorium, że koncerny farmaceutyczne chcą na tym zarobić, że Ameryka chce zniszczyć chińską gospodarkę. Tego się i tak nie dowiemy. Ale możemy walczyć, zastosować się do nowych zwyczajów, dostrzec drugiego człowieka, zadbać o naszą matkę – Ziemię.

Uświadomiłam sobie, jak mała jestem na tym świecie, ale jak wiele ode mnie zależy. Chcę ratować naszą planetę, chcę, żeby żyła i oddychała swoimi zielonymi płucami, karmiła nas czystą wodą, pięknymi widokami. Ale chcę,

aby obok mnie była domem dla innych ludzi, roślin i zwierząt, aby każdy czuł się na niej bezpiecznie. Nie możemy tylko brać, lecz musimy zacząć dawać. Małe kroki uczynią naprawdę wiele. Opamiętajmy się i zmienmy swoje życie, zauważmy w nim innych, bądźmy życzliwi. Postępujmy tak, aby następne pokolenia cieszyły się tym, czym nam dano się cieszyć, aby mogły zobaczyć to, co my zobaczyliśmy, aby coś wartościowego po nas zostało. Wykorzystajmy dobrze złe doświadczenia, nauczmy się czegoś na błędach, które popełniliśmy. Jest jeszcze dla nas szansa, a koronawirus jest ostrzeżeniem i jednocześnie wołaniem Ziemi o ratunek.

*Lena Urbaniak*

*Gabriela Wcisło*

## Towarzyszka życia

Cała historia zaczęła się w chłodny, jesienny poranek. Zobaczyłem wówczas przez okno swojego domu piękną, szylkretową kotkę o szmaragdowych oczach. Była jak z obrazka, jej sierść lśniła w słońcu. Mój koci instynkt podpowiadał mi, że wydarzy się coś niezwykłego, a ona sama zostanie moją towarzyszką życia.

Postanowiłem, że wyjdę z domu i pójde się z nią przywitać. Gdy podszedłem bliżej, wydała mi się jeszcze piękniejsza.

– Jak się nazywasz? – zapytałem.

– Jestem Mgiełka – odpowiedziała kotka.

– Bardzo ładnie. Ja mam na imię Felek.

– Miło mi cię poznać, Felku – zamruczała Mgiełka. – Może zapolujemy razem na jakąś zwierzynę? W okolicy jest stodoła. Tam roi się od myszy.

– To bardzo dobry pomysł – powiedziałem.

– No to na co czekamy? Chodźmy! – wykrzyknęła radośnie kotka.

Gdy zapełniliśmy nasze żołądki, Mgiełka zaproponowała:

– Może spotkamy się jutro? O północy, wtedy ludzie śpią i nikt nas nie zauważy.

– Tak! Ale gdzie? W pobliżu kręci się dużo psów – odpowiedziałem smutno.

Mgiełka chwilę się nie odzywała, ale nagle wpadła na jakiś pomysł.

– Na dachu starej kamienicy – mruknęła.

Pokiwałem głową na zgodę i udałem się w kierunku domu.



W nocy nie mogłem spać. Łapy pociły mi się, a głowa bolała. Nie mogłem przestać myśleć o Mgiełce. Co będzie, jeżeli ona się nie zjawi? Zmęczony pytaniami zasnąłem.

Następnego ranka czułem, że czas stanął w miejscu. Wciąż myślałem o Mgiełce i o spotkaniu. Kiedy wreszcie wybiła północ, szybko pobiegłem w umówione miejsce. Gdy tam dotarłem, Mgiełki jeszcze nie było. Zjawiła się piętnaście minut później.

– Przepraszam, że się spóźniłem. Byłeś tu kiedyś? – spytała.

– Nie. Dlaczego pytasz? – zapytałem zdziwiony.

– Naprawdę? To musisz wszystko dokładnie obejrzeć! – krzyknęła.

Mgiełka weszła przez rozbite okno do budynku, a ja podążyłem jej śladem. Szliśmy długim, ciemnym korytarzem prowadzącym do dużych schodów. Były śliskie i strome, dlatego prawie trzy razy się przewróciłem. Tymczasem Mgiełka szła po nich tak lekko i precyzyjnie, jakby robiła to miliony razy. Nagle zauważyłem czyjeś przekrwione oczy, migoczące w ciemności.

Przed nami stał bardzo gruby, czarny kocur z naderwanym uchem i blizną na pysku.

– Kim jesteście? – zapytał strażnik.

– Opal! To ja, twoja siostra – odpowiedziała szybko Mgiełka i pobiegła w głąb budynku. Już miałem do niej dołączyć, lecz kocur zatarasował mi drogę.

– A ty, pieszczocho ludzi, dokąd się wybierasz? – zapytał z nutą drwiny w głosie.

– Idę do środka – odpowiedziałem pewnie.

– Domowych kotów tu nie wpuszczamy – warknął. – Pożegnaj się z życiem, mały!

Strażnik naprężył mięśnie i zaatakował mnie. Próbowiałem nie dać się zwalić z łap, jednak jego waga okazała się powalająca. Poczulem straszny ból i zobaczyłem strużkę gęstej, lepkiej krwi na futrze. Instynktownie zrzuciłem go z pleców i powaliłem na zimną, brudną podłogę. Z całej siły chwyciłem go pazurami za kark. Nagle przeciwnik znieruchomiał. Odsunąłem się od niego na kilka kroków. Leżał rozciągnięty na podłodze, prawie nie oddychając. Na początku myślałem, że stracił przytomność albo, co gorsza, nie żyje. Udawał jednak martwego, aby zyskać na czasie. Naprężyłem mięśnie i mocno oparłem się o żółtą, odrapaną ścianę. Napastnik wstał i z impetem ponownie mnie zaatakował. Wysunąłem ostre pazury i wyszczerzyłem białe kły. Kiedy moja łapa dosięgła jego głowy, upadł znowu na posadzkę. Nie szukał dalszej konfrontacji, lecz uciekł z podkulonym ogonem. Dopiero teraz rozejrzałem się wokół siebie. Naszej walce przyglądała się niezliczona liczba kocich oczu.

Koty podchodziły do mnie i gratulowały mi zwycięstwa. Wśród nich była też Mgiełka.

– Walczyłeś jak wojownik – mruknęła z uznaniem. – Prawdziwy z ciebie bohater.

– Tylko się broniłem... – odpowiedziałem zdyszany.

Mgiełka postanowiła oprowadzić mnie po obozie dzikich kotów, mimo że nie miałem na to siły. Szybko spostrzegłem, że panują tam surowe zasady. Rządy sprawują najsilniejsze i leniwe koty, a słabe głodują, zdobywając pożywienie dla pozostałych. Wyczerpane ciężką pracą zwierzęta chorują i umierają w samotności. Przyglądałem się temu z przerażeniem.

– „Wirus obojętności i strachu” zaraził całą społeczność – pomyślałem.

Chciałem udać się do swojego domu, lecz okazało się to niemożliwe. Kto raz wkroczy do królestwa dacholazów, ten już nigdy nie powróci do dawnego życia.

Skręciliśmy wąskim korytarzem i doszliśmy do dużego pomieszczenia, gdzie na lekko zniszczonym fotelu siedziała długowłosa kocica. W jej oczach dostrzegłem dziki obłęd. Poczułem, że jest kimś ważnym. Wokół niej siedziały „wypięknione” koty.

– Co cię tu sprowadza, domowy pupilu? – zapytała.

– Ja... – onieśmielony nie mogłem wydusić z siebie słowa.

– Przyszedł za mną – odpowiedziała szybko moja towarzyszka.

– Bardzo dobrze, że go tutaj przyprowadziłaś – zwróciła się do Mgiełki – potrzeba nam nowych żołnierzy. Jestem Lilia, dowodzę tymi kotami.

– Proszę, nazywaj mnie Felek – miauknąłem.

– Witaj Felku. Musisz wiedzieć, że mamy wrogów – oznajmiła. – Bezpańskie psy rozpanoszyły się w okolicy. Roznoszą zarazki, przez które chorujemy. Wkrótce odbędzie się z nimi walka. Ty również weźmiesz w niej udział.

– Mogę się jeszcze nad tym zastanowić? – zapytałem niepewnie.

Lila odwróciła się i razem ze swoim dworem odeszła, bez odpowiedzi. Zostałem sam z Mgiełką. Nie wiedziałem, co zrobić.

– Wasza przywódczyni chce, bym bił się z psami o wasz teren? – spytałem, nie wierząc w to, co się przed chwilą wydarzyło.

– My nie walczymy o nasz teren. My zabieramy psom ich ziemię...

– Ja nie chcę nikogo krzywdzić. Tym bardziej bić się dla grubych i złych kotów – powiedziałem smutno. – Ucieknijmy dziś z kamienicy?

– Z tobą pójdę wszędzie, gdzie mnie łapy poniosą. Masz rację, to wszystko nie ma sensu, ta cała wojna... Jeszcze dzisiaj wymkniemy się – odparła Mgiełka.

Wpatrywałem się cudne oczy kotki, ciesząc się, że będziemy nareszcie razem, wolni. Nie wiedziałem, że naszej rozmowie przysłuchuje się żądny zemsty Opal.

– Do przywódczyni! Straż do mnie! Brać ich! – krzyknął. Poszliśmy wystraszeni za nimi, byliśmy w pułapce.

– Musimy porządnie porozmawiać – oznajmiła Lilia. – Ponoć planujecie uciec? Po wyrazie pyska można było stwierdzić, że jest bardzo zdenerwowana.

– Nie będziesz nam mówić, co mamy robić – warknęłam odważnie.

– Po kocie domowym spodziewałam się tchórzostwa, lecz zdrady po tobie Mgiełko? Nie!

– Nie chcę przelewać krwi bezbronnych kociąt! – odrzekła Mgiełka, tuląc się w moich ramionach. – Prosimy o wygnanie...

– Dla przykładu, nie zostaniecie wygnani, lecz zabici – rzekła przywódczyni dzikich kotów. – Wasza egzekucja odbędzie się przed wielką wojną z psami.

Zostaliśmy zamknięci w ciemnym, zimnym lochu, bez jedzenia i wody. Karą za próbę ucieczki było zrzucenie z mostu „straceńców” nad rzeką o bardzo silnym nurcie. Leżeliśmy więc zwinięci w kłębek po przeciwnych stronach celi, nie odzywając się do siebie ani słowem. W końcu zebrałem się na odwagę i powiedziałem:

– Mgiełko, muszę cię przeprosić. Ja tylko chciałem dla nas normalnego życia bez lęku i niepewności...

– To nie ma znaczenia, w końcu jutro zginiemy – odrzekła.

– Dobranoc – powiedziałem smutno.

Błądym świtem strażnicy zaprowadzili nas na most. Tuż na krawędzi wydusiłem z siebie:

– Mgiełko... Kocham cię!

W tej samej chwili koty popchnęły nas w stronę przepaści. Przez chwilę widziałem tylko ciemność. Miałem wrażenie, jakby całe moje życie stanęło w miejscu, jakbym był gdzieś między zaświatami. Czułem się wolny jak ptak, wszystkie moje troski nagle się uwolniły i zaczęły szybować jak motylki w letni dzień. Ujrzałem moją kocią mamę, ludzkich domowników, Mgiełkę, która spadała obok mnie. Po paru sekundach wszystko się jednak zmieniło. Poczulem się bardziej zziębnięty, niż byłem... Poczulem się jeszcze bardziej głodny, niż byłem... Brudna woda wlała mi się do ust. Zacząłem się miotać w białej kipieli, lecz szybko opadłem z sił. Prąd rzeki pchał mnie dalej i dalej.

Gdy się obudziłem, leżałem na kamienistym brzegu. Obok mnie siedziała nieznaną psina. Była chuda, miała krótkie futro i wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Gdzie ja jestem? – zapytałem.

– Topieś się w rzece i ja cię uratowałam – odrzekła. – Leżysz tak bez tchu od trzech dni.

– Widziałaś szylkretową kotkę o bursztynowych oczach? – szepnąłem zmartwiony.

– Może... Nie jestem pewna, po strasznej walce kotów z psami wiele zwierzaków uciekło w popłochu. Ludzie strzelali z pistoletów, łapali w siatki wściekle, bezpańskie zwierzęta... To była rzeź...

– Dziękuję za wszystko, żegnaj – rzekłem. – Muszę odnaleźć swoją przyjaciółkę, żywą czy martwą...

Ruszyłem przed siebie w kierunku zachodzącego słońca.

– Znajdę cię, Mgiełko, obiecuję... – przyrzekłem sobie.

*Gabriela Wcisło*

*Anna Węgrzyniak*

## **Za późno...**

Anna siedziała na fotelu bujanym i robiła na drutach. Nie wychodziło jej to zbyt dobrze, ale się nie poddawała. Jednak po chwili odłożyła robótkę i zamknęła oczy. Nagle poczuła, że coś kopnęło ją w brzuch. Otworzyła oczy i na niego spojrzała. Był bardzo duży. Kobieta spodziewała się dziecka. Anna uśmiechnęła się i spojrzała za okno. Świeciło jasne, kwietniowe słońce. Nagle kobieta usłyszała przeraźliwy krzyk. Przestraszona wstała i ślamazarnie pobiegła do sąsiedniego pokoju, z którego dochodziły krzyki. Oczom Anny ukazała się starsza kobieta w koszuli nocnej. Kobieta stała na otwartym oknie i krzyczała wniebogłosy:

– Czego ode mnie chcecie?! Co ja wam takiego zrobiłam?! – krzyczała kobieta.

– Mamo? Mamo, zejdź, bo zrobisz sobie krzywdę – powiedziała Anna.

– Och, Anno! Oni nie dają mi spokoju!

– Kto?

– Anioły!!!

– Ależ mam... to nie anioły tylko ptaki.

– A czy ptaki wyglądają jak ludzie?

Anna ukradkiem sięgnęła po strzykawkę, która leżała na stole i podeszła do swojej matki.

– Dobrze, mam... zaraz te „anioły” sobie pójdą. A teraz zejdź i napij się herbaty.

Niczego nieświadoma kobieta zesza posłusznie z okna. W tej samej chwili Anna z całej siły pchnęła matkę na łóżko i wbiła strzykawkę w jej rękę.

– Niiieeeee! – wrzasnęła kobieta i zaczęła się szarpać.

Jednak Anna przytrzymała ją i spięła pasami. Pot płynął strużkami po jej twarzy.

W kołysce leżało małe dziecko i cichutko płakało. Po chwili podeszła do niego Anna i zakotyssa łóżeczkiem. Dziecko gwałtownie się uspokoilo. Anna uśmiechnęła się i pogłaskała niemowlę po główce. Kobieta po cichu wyszła z pokoju i skierowała się do kuchni. Na stole leżał plik kartek. Wzięła go i przeczytała:

Marianna Sowna-Kotarowska:

Stwierdzono ciężki przypadek schizofrenii. Kobieta zmarła.

Anna odłożyła kartki i zalała się łzami. Nadal słyszała w głowie słowa lekarza:

– Niestety schizofrenia w tym przypadku jest dziedziczna i jest 95% szans na to, że pani córeczka – Ewa, ją odziedziczy.

Anna zaczęła jeszcze głośniejsz płakać. Nie chciała nawet o tym myśleć. Jednak ten temat nie dawał jej spokoju. Nie chciała dopuścić do siebie tej myśli. Nadal była wstrząsnięta niedawną śmiercią swojej matki. Kobieta wstała i wyszła na dwór.

Mała dziewczynka siedziała w piaskownicy i bawiła się. Nagle usłyszała łopot skrzydeł i ujrzła pewną istotę ze skrzydłami idącą ku niej. Dziecko przestraszyło się i zaczęło cofać.

– Spokojnie, Ewuniu. To ja, babcia Marianna – powiedziała istota.

Dziewczynka spojrziała na babcię i powiedziała:

– Babciu, a czemu ty masz skrzydełka?

– Ponieważ jestem aniołem, skarbie.

– Aniołem? Ojejku! Muszę zawołać mamę. Mamó! Chodź szybko! Babcia tutaj jest.

Zaniepokojona Anna wyszła na taras. Jednak tylko co zobaczyła to Ewę stojącą w piaskownicy z uśmiechem na twarzy wskazującą paluszkami kąt ogrodu.

– Babcia. Widzisz mamusiu to babcia. Jest aniołkiem.

Anna z przerażeniem patrzyła na córkę. Podbiegła do niej i wyciągnęła z piaskownicy.

– Ewo. Nic ci nie jest? Co ty sobie myślisz? Nie wolno tak oszukiwać.

– Ale, mamó, ja mówię prawdę! – zaczęła płakać Ewa.

– Dość już tego. Idziemy do domu.

– Ale... ale ja chcę się pobawić z babcią.

– Babcia nie żyje! – krzyknęła Anna i zaciągnęła płaczącą Ewę do domu.

Anna od razu poszła do pokoju i zadzwoniła do lekarza, umówić się na wizytę. Następnego dnia razem z Ewą udały się do lekarza psychiatry.

– Dzień dobry. Byłam umówiona na 16.00.

– Dzień dobry, już sprawdzam. Tak. Doktor już na państwa czeka.

– Mamo... A babcia może z nami wejść? – spytała Ewa.

– Emm. Dobrze, niech wejdzie – rzekła niepewnie kobieta.

– Dzień dobry, panie doktorze.

– Dzień dobry. Proszę usiąść. Więc przysłała pani do mnie w sprawie córki.

– Tak panie doktorze... myślę... myślę, że ona odziedziczyła chorobę po mojej matce.

– Mhm. A na co była chora?

– Schizofrenia – odparła krótko Anna.

– A czy lekarz to potwierdził?

– Tak. Jest 95% szans na to, że Ewa może być chora.

– Dobrze... Witaj, Ewo. Nazywam się Mariusz Konolaski.

– Dzień dobry. A pan widzi moją babcie?

– A gdzie ona jest? – zapytał doktor.

– Stoi tam. Przy drzwiach – odparła dziewczynka.

– Rozumiem. A jak ona wygląda?

– To pan jej nie widzi – powiedziała ze smutkiem Ewa.

Po dwóch godzinach rozmowy z Ewą lekarz powiedział.

– Niestety podejrzewam schizofrenię

– Nie... Wyszeptała ze łzami w oczach Anna.

– Mamo. A co to jest schizofrenia? – spytała Ewa wyraźnie zaniepokojona płaczem matki.

– Nie, nic kochanie – rzekła roztrzęsionym głosem kobieta.

– Idź... idź do babci, dobrze? – dodała niepewnie.

– Dobrze, mamusiu... i nie płacz już. Wszystko będzie dobrze – zapewniła i odbiegła.

Lekarz spojrział zdziwiony na Ewę.

– Ona wie, co to jest schizofrenia albo w ogóle choroba psychiczna? Ona ma dopiero pięć lat.

– Sama nie wiem. Już od początku była jakaś inna. Długo nie chodziła i nie mówiła. Jak pan myśli, czy da się ją z tego wyleczyć?

– Nie jestem tego pewien. Skoro pani matka miała tą chorobę i nie wyleczono jej, to raczej nie mamy szans.

– To co ja mam zrobić?! Tyle się wycierpiałam z chorą matką. Nie zniosę ponownie tego bólu – Anna coraz głośniejsz płakała.

– Możemy przepisać leki, które mogą zahamować rozwój choroby, ale niewiele to da. W tym przypadku możemy się tylko domyślać.

– Ale ona jest taka mała. Nie, to niemożliwe.

Po dotarciu do domu Anna poszła do swojej pracowni, dokończyć rzeźbę. Ewa poszła do ogródka, pobawić się w piaskownicy i ku jej radości spotkała babcię.

– Dzień dobry, babciu.

– Witaj, skarbie.

– Babciu?

– Tak?

– Dlaczego inni ciebie nie widzą, a ja tak? I mówią, że jestem chora.

– Och, Ewo. O mnie też tak mówili. A my tak naprawdę mamy dar...

– Jaki dar?

– Dar nieskończonej wyobraźni.

– A co to takiego?

– Widzisz. Twój umysł jest bardziej rozwinięty. Widzisz rzeczy, których zwykli ludzie nie potrafią pojąć.

– Czyli to choroba?

– Nie choroba. Dar.

– I co teraz się ze mną stanie?

– Nie jestem pewna. Na razie nic, ale myślę, że inni będą chcieli cię zabrać...

– Zabrać? Dokąd? Kto?

– A spójrz w górę.

Dziewczynka zadarła główkę do góry i ujrzała istoty latające po niebie.

– Skoro ja też taka jestem... to ja też chcę latać – odparła Ewa.

– Jeszcze nie teraz, słonko.

– To kiedy?

Na to pytanie babcia nie odpowiedziała, tylko wzbiła się w powietrze i pomachała Ewie.

– Wrócisz jeszcze? – krzyknęła Ewa.

– Postaram się.

W tym samym momencie Anna wynurzyła głowę przez okno.

– Ewa. Nie krzycz tak! Co ty robisz?

– Żegnam się z babcią – odparła.

Mama Ewy tylko pokręciła głową.

Tydzień później babcia znów odwiedziła wnuczkę.

– Witaj. Co się u ciebie działo przez ten tydzień?

– Ach nic, babciu. Tylko...

– Tylko?  
– Pan doktor powiedział, że muszę iść do szpitala.  
– Co?  
– Mama powiedziała, że tak będzie dla mnie najlepiej. Zresztą ona już się mną nie interesuje...  
– Nie rozumiem?  
– Przez ostatni tydzień tylko siedzi w swojej pracowni i rzeźbi.  
– Posłuchaj, kochanie. Nie możesz tutaj mieszkać i... lepiej zabiorę cię do siebie...

– Ojejku, naprawdę?  
Nagle nie wiadomo skąd, pojawiła się Anna.  
– Córeczko. Chodź, musimy jechać... na zakupy.  
– Dobrze, mamusiu. Babciu, niedługo wrócę. Pa.  
Jednak Anna nie chciała zabrać Ewy na zakupy. Pojechały do szpitala psychiatrycznego dla dzieci. Ewa nie chciała tam zostać, a gdy zobaczyła, że matka ją zostawia, zaczęła głośno płakać i krzyczeć.

– Mamusiu! Gdzie idziesz? Nie zostawiaj mnie tutaj, boję się!  
Jednak Anna wyszła ze szpitala i skierowała się na cmentarz, na grób Marianny.

Gdy tam dotarła, załała się łzami.  
– To wszystko twoja wina! Przez ciebie moje dziecko jest chore! Ty potworze! – krzyczała.  
– To nie ja jestem potworem, lecz ty, córeczko – odezwał się ktoś za plecami Anny.

Ona sama nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Koło niej stała jej matka ze skrzydłami jak u anioła.

– Byłaś taka sama jak ja, tylko nie chciałaś uwierzyć. Twój dar po prostu uleciał jak powietrze z balonika.

– Mamo... ja...  
– Zabieram Ewę.  
– Nie! Nie możesz mi tego zrobić! To moje jedyne dziecko!  
– To kara za to, co zrobiłaś mnie. Myślisz, że byłam ślepa? Kiedy wlewałaś mi truciznę do herbaty?  
– Mamo, przepraszam.  
– Teraz jest już za późno.

Anna zaczęła krzyczeć. Nie chciała tego słuchać. Nawet nie zauważyła, gdy jej matka zniknęła. Gdy tylko to spostrzegła, pędem pobiegła do szpitala, gdzie była Ewa. Jednak było już za późno...



– Ewuniu. Zabieram cię do siebie.  
– A mama?  
– Posłuchaj. Twoja mama mnie zabiła.  
– Co? Mama?  
– Tak. Nie jesteś z nią bezpieczna... bo jak nasza przepowiednia mówi: Kto wyprze się daru swojego... nędzne i czarne będzie życie jego...  
Wtem do sali wpadła matka Ewy. Była cała brudna, a jej oczy czerwone.  
– Zostaw moje dziecko – wycedziła przez zęby i rzuciła się na Ewę. Jednak ta odskoczyła w ramiona babci.  
– Ewuniu. Musisz skoczyć przez okno. Tylko wtedy mogę cię zabrać ze sobą – powiedziała Marianna.  
– Ale ja umrę, babciu...  
– Nie umrzesz. Nasze dusze żyją na ziemi i pomagają innym. Szybko!  
Ewa trochę się bała, ale skoczyła. Poczula silny ból, ale szybko przeszedł. Otworzyła oczy i zobaczyła swoje zakrwawione ciało. Ona zaś miała skrzydła i była o wiele piękniejsza. Po chwili do jej ciała podbiegła Anna. Jednak zamiast je przytulić, zaczęła je kopać...  
Minęło pół roku. Ewa była szczęśliwa. U jej matki stwierdzono chorobę psychiczną. Ktoś doniósł, że Anna otruła Mariannę. Okazało się to prawdą. Anna żałowała tego, co zrobiła, ale było już za późno...

*Anna Węgrzyniak*

*Małgorzata Wierchatek*

## **Mała Księżniczka**

Na asteroidzie B-612 Mały Książę oglądał właśnie ostatni z zachodów słońca tego dnia. Był zmęczony, ale szczęśliwy – zrobił dziś tyle pożytecznych rzeczy! Nakarmił Baranka, powyrywał baobaby, wyczyścił wulkany i zajął się Różą. Właśnie, Róża. Mały Książę powrócił myślami do dnia, kiedy z pomocą żmii powrócił na swoją ukochaną, malutką planetę i ją zobaczył:

W jego główce pojawiło się tysiąc myśli. Jedne były przepełnione ulgą, inne radością, że nic jej nie jest. No może nie do końca... Gdy się do niej zbliżył, nie popatrzyła na niego z wyższością, jak to miała w zwyczaju ani nie zaczęła narzekać. Nawet się do niego nie odwróciła. Wtedy Mały Książę

wszystko rozumiał. Rozumiał, jak wielki błąd popełnił, zostawiając ją samą bez słowa. Niepodlewana miłość więdnie – Róża straciła kilka ze swoich pięknych, czerwonych płatków, które Mały Księżę tak podziwiał. Osoba zraniona wytwarza bardzo często wokół siebie tarczę – Róża nie miała już tylko kilku małych i cienkich cierni. Jej zgrabną łodygę pokrywała warstwa grubych kolców, które bez problemu mogły zranić innych. W tamtej chwili Mały Księżę zwątpił, czy uda mu się wszystko naprawić.

Wydawało mu się, że już prościej byłoby ściąć wszystkie baobaby na Ziemi, niż porozmawiać z Różą, a jednak nie mógł się poddać. Nie mógł z niej tak po prostu zrezygnować, więc zgromadził całą swoją odwagę i ją przeprosił.

Róża mu przebaczyła i wszystko wróciło do normy, a nawet było lepiej. W końcu dzięki podróży zrozumiał dużo więcej. Na jego twarzy pojawił się szczery uśmiech: jutro czeka go kolejny wspaniały dzień z Różą i Barankiem. Może nawet coś go zaskoczy? Nikt nie wie, co może się wydarzyć w przyszłości...

Następny poranek zaskoczył Małego Księcia. Zamiast promyków złocistego słońca, które miały w zwyczaju padać na jego twarz, obudził go wstrząs jego planety oraz dźwięk głuchego uderzenia. Natychmiast otworzył oczy, aby zobaczyć, co się stało. Może nie wyczyścił dostatecznie dobrze któregoś z wulkanów, a on wybuchł? Mały Księżę nie miał pojęcia, co to mogło być. Gdy chwilowe otępienie wynikające z zaskoczenia minęło, poderwał się na nogi, założył szalik, upewnił się, że Róży i Barankowi nic się nie stało i ruszył na obchód swojej planety. Minął pierwszy wulkan, potem drugi. Żaden z nich nie był przyczyną tego zdarzenia, więc winny musiał być ten trzeci. Jednak kiedy był już w jego pobliżu, do uszu chłopca dotarł wysoki pisk. Od razy pobiegł do źródła dźwięku – chciał dowiedzieć się, co się stało. Nie był dorosłym, który pewnie nawet by się nie obudził. Tak, dorośli mają dziwną przypadłość ignorowania ważnych wydarzeń. Na swoje nudne spotkania w pracy przychodzą z zegarkiem w rękę i nigdy nie pomyśleliby, że można na nie nie przyjść, bo nie są ważne, ale za to na kochanego przez wszystkie dzieci Mikołaja nie zwracali uwagi. Mały Księżę wątpił w to, że jakikolwiek dorosły czekał z ciasteczkami i mlekiem na tacy na świętego Mikołaja. Chociaż nie, może Pilot by tak zrobił. Nie znał go wprawdzie długo, ale on nie był zwyczajnym dorosłym. Podobnie jak latarnik. Może gdyby nie miał rozkazów, aby zaświecać i gasić latarnię, czekałby na Mikołaja. Tak, na pewno by czekał...

Gdy Mały Księżę zbliżył się do źródła dźwięku, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Jego planeta zderzyła się z inną! Pod względem wielkości była niemal identyczna jak asteroida B-612. Wtem zza horyzontu nieznannej planety wyszła mała postać. Nie wyglądała jak dorosły. Czyżby Mały Księżę spotkał pierw-

szy raz inne dziecko? Upewnił się, gdy zobaczył całą jej postać. Była to mała dziewczynka. Miała dosyć długie, sięgające trochę poniżej ramion hebanowe włosy, które rozwiewał wietrzyk. Oprócz ślicznych włosów, nieznamoma miała niesamowite oczy. Były duże i tak bardzo niebieskie, że Mały Książę myślał, że wpatrując się w jej oczy, patrzy na prawdziwy ocean. Cała ta mała osóbka wyglądała dla Małego Księcia cudnie. Gdy przestał ją obserwować, zauważył, że on również wydał jej się niezwykły. Ciekawe, co o nim myślała? Nie wiedział, ale postanowił zacząć rozmowę i dowiedzieć się, dlaczego się tu pojawiła.

– Witaj, skąd jesteś? – zapytał z ciekawością w głosie, bo nie mógł się doczekać jej odpowiedzi.

– Stąd. To znaczy... to jest moja planeta, asteroida C-612. Nie mam pojęcia, co się stało. Zasnęłam, a przed chwilą obudził mnie ten huk, gdy nasze planety się zderzyły. Mam nadzieję, że nic ci się nie stało.

Bardzo przepraszam, jeżeli coś zepsułam.

– Nic mi się nie stało.

– Moja planeta też nie ucierpiała, więc nie musisz się martwić. Jestem Mała Księżniczka, a ty? Jak się nazywasz?

– Mały Książę.

Gdy się przedstawił, na ramieniu Małej Księżniczki zniemacka pojawiła się duża, szaro-czarna sowa, która ujrawszy Małego Księcia, przekrzywiła śmiesznie główkę.

– To moja przyjaciółka. Wykluła się na mojej planecie i znam ją od pisknięcia – powiedziała ze szczerym uśmiechem, widząc zaciekawienie w oczach nowego znajomego.

– Jest śliczna i ma bardzo ładne piórka. Powiedz mi, proszę, gdzie dokładnie się wykluła – Małego Księcia ciekawiła ta kwestia. Wiedział, że ptaki gnieźdzą się na drzewach, ale widział ich mało, bo baobaby wyrwał, zanim urosły do jego kolan. Zaledwie kilka na Ziemi.

– W gnieździe, które zauważyłam na moim baobabie. Chodźmy na nie. Siedząc na jego gałęziach, można oglądać wspaniałe widoki. Mały Książę nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Ta dziewczynka z własnej woli pozwoliła, aby baobab, który bez problemu mógł rozsadzić jej planetę, urosł do takich rozmiarów, żeby ptaki mogły się na nim gnieździć! Nie mógł odrzucić jej propozycji. Chciał ją zrozumieć, bo zachowywała się dla niego bardzo dziwnie. Niemal tak jak dorośli, ale w przypadku dorosłych Mały Książę mógł stwierdzić, że ich postępowanie jest niezrozumiałe. W Małej Księżniczce wszystko wydawało mu się dziwne, ale w dobrym znaczeniu tego słowa. Jej tok myślenia był dla Małego Księcia jedną wielką zagadką, którą chciał rozwiązać i dzięki

niej więcej zrozumieć. Bez wahania odpowiedział, że bardzo chętnie zobaczy ten baobab. Mała Księżniczka posłała mu piękny uśmiech i razem ze swoją sową, która dalej czujnie obserwowała Małego Księcia, przechylając śmiesznie główkę, poszła na drugą stronę swojej planety, asteroidy C-612. Gdy przeszli już na drugą stronę planety, ich oczom ukazał się wysoki, potężny baobab. Miał bardzo gruby pień, a jego koronę przykrywała masa zielonych listków. Może nie było to prawdą, ale Małemu Księciu wydawało się, że to największa rzecz na świecie. Nie mógł wyjść z podziwu dla tego drzewa, że udało mu się tak wyrosnąć na stosunkowo małej powierzchni i dla dziewczynki, że nie bała się o swoją planetę. On sam zawsze uważał, że baobaby to jedna z najgorszych rzeczy, jakie mogą go spotkać, ale Mała Księżniczka najwyraźniej tak nie myślała. Postanowił ją o to zapytać. W końcu kto lepiej wie, co siedzi w jej głowie, niż ona sama. Dorosłym zdarza się o tej kwestii zapominać. Myślą, że wiedzą najlepiej, co kto myśli. Jest to czasem bardzo frustrujące, ponieważ nie da się im wytłumaczyć, że się mylą. Zresztą niech myślą sobie, jak chcą. Czasami warto sobie odpuścić. Poddanie się nie zawsze świadczy o porażce... Czasami jest przejawem mądrości...

– Nie boisz się o swoją planetę? – Mały Książę zapytał, gdy weszli na gałęzie baobabu.

– Nie. Czemu miałabym?

– Baobaby to przeogromne drzewa. Mają wiele korzeni, które mogą rozetrwać planetę. Nie boisz się, że stanie się tak z twoją?

– Nigdy nie patrzyłam na to z tej strony. Gdy się coś lubi, zwykle nie zauważa się wad. Dziękuję, że mnie uświadomiłeś, ale i tak ten baobab pozostanie nietknięty. Za bardzo się do niego przywiązałam. Zresztą... widziałeś, jakie są z tego miejsca widoki?

To akurat Mały Książę musiał przyznać. Widoki z gałęzi tego niebezpiecznego drzewa były cudowne. Wydawało mu się, że sam jest jedną z gwiazd dryfującą po oceanie nieba. Takie uczucie jest jednym z najlepszych, jakich może doświadczyć człowiek. Wydaje mu się wtedy, że wszystkie smutki pozostają na dole, a na górze utrzymują się tylko radosne wspomnienia, które nie ciążyą nam na sercu, a wręcz je odciążają, aby wleciało na wyżyny szczęścia. Tak, to zdecydowanie jest jedno z najlepszych uczuć.

– Czy mógłbyś mi pomóc? – to pytanie Małej Księżniczki wyrwało Małego Księcia z objęć jego myśli.

Jednak nie miał jej tego za złe. W końcu, gdyby chciał być sam, poszedłby oglądać zachody słońca na swojej planecie. Teraz był u Księżniczki, aby spędzić z nią czas.

- Oczywiście. Chętnie ci pomogę. Tylko w czym?
- Mam problem z chwastami. Rosną dosłownie wszędzie i kilka razy już się przez nie skaleczyłam. Nie wiem, co robić, ale może ty masz jakiś sposób.
- Ja traktowałem baobaby jak chwasty. Gdy byłem na Ziemi, pewien Pilot narysował mi ślicznego Baranka, który po prostu zjadał je, gdy jeszcze nie urosły. A jak się nazywają twoje?
- Moje chwasty to róże.
- Róże? Róże są chwastami? Przecież to piękne kwiaty. Nigdy bym nie pomyślał, że mogą być szkodliwe. Skaleczyły cię kolcami? Wystarczy o nie dbać, a wtedy kolce będą niegroźne.
- Dziękuję za wskazówkę. To w sumie tak samo jak z moim baobabem. Nie zrobił mojej planecie krzywdy, bo o niego dbałam. Oboje musimy nauczyć się jeszcze wielu rzeczy...

Te słowa trafiły w sedno. Obojgu wydawało się, że wiedzą wszystko o chwastach żyjących na ich planetach, ale okazało się to nieprawdą. Na szczęście dalej byli dziećmi. Gdy zobaczyli, że się mylą, nie wyklócali się, tylko potraktowali tę sytuację jako szansę dowiedzenia się czegoś nowego. Później oboje wyciągnęli z tej sytuacji jeszcze inne wnioski. Mała Księżniczka uświadomiła sobie, że jeśli o coś zadbamy, staje się to lepsze i piękniejsze. Mały Książę natomiast nauczył się, że czasami łatki, które przyczepiamy rzeczom czy ludziom, są dla nich krzywdzące i że kiedy mamy wyrobione zdanie o czymś, trudno jest je zmienić.

Po wymianie zdań zapadła między nimi cisza. Nie była ona niezręczna czy też przygnębiająca.

Każde z nich potrzebowało po prostu czasu na przemyślenie słów, które padły podczas rozmowy. Cisza trwałaby pewnie jeszcze dłużej, gdyby pomiędzy Małym Księciem a Małą Księżniczką nie usiadła sowa.

- Mówiłaś, że znasz ją od pisklęcia. Na pewno jesteście do siebie bardzo przywiązane.
- Z pewnością tak. Dla nas nie istnieje bariera człowiek – zwierzę, rozumiemy się bez słów.
- To trochę tak, jak ja z Różą. Chociaż ona potrafi mówić.
- To nie jedyna moja przyjaciółka. Ten baobab jest na tyle duży, że mieści wiele ptaków, którymi się opiekuję.
- Musisz je bardzo lubić, skoro poświęcasz im tak wiele czasu.
- Kocham je. Nawet, gdy nie potrafią mnie do końca zrozumieć, zawsze czuję się przez nie wspierana. Dzięki nim czuję się potrzebna... Chcę, żebyś wiedział, że jesteś jedynym człowiekiem, z którym tak szczerze porozmawiałam. Wiele to dla mnie znaczy... Nie wiem, czemu akurat ty. Może wydałeś mi

się bardzo podobny do mnie samej? Nie wiem... Tak czy inaczej, dziękuję ci. Słuchałeś mnie uważnie i chwyciłeś każde moje słowo. Nie oceniałeś ani się ze mnie nie śmiałeś. Osób, które to potrafią, spotkałam niewiele. Umiejętność słuchania jest jedną z najtrudniejszych do opanowania, a tobie przychodzi to tak naturalnie. Mam szczęście, że cię spotkałam. I... nadzieję, że przynajmniej trochę mnie polubiłeś i że nie uważasz mnie za jakąś nienormalną osobę. A nawet jeśli... i tak ci dziękuję. Czasami krótka wymiana zdań czy nawet jedno zdanie jest ważniejsze od całej rozmowy czy książki. Najważniejsze jest to, aby wszystkie zdania i wszystkie wypowiedziane czy napisane słowa trafiały prosto do serca i były szczere.

Tobie się to udało. Dziękuję...

Mały Księżę nie wiedział, co powiedzieć. Nigdy nie uważał swojej osoby za aż tak ważną. Był przecież jedynie ziarenkiem piasku pośród miliona innych, będących na tej samej pustyni co on. Nie miał naukowych tytułów, popełnił wiele błędów, a Mała Księżniczka uważała go za osobę ważną. Nie tak jak Król czy Biznesmen. Mały Księżę był osobą ważną dla niej. Dla Małej Księżniczki z asteroidy C-612, która kochała ptaki.

– Nic nie powiesz? – to pytanie wytrąciło Małego Księcia z zamyślenia.

– Chciałbym, ale nie wiem, co. Nie umiem się ładnie wysławiać. Nawet nie wiesz, ile znaczy dla mnie to, co powiedziałaś. Ja tobie również dziękuję. Dzięki tobie wiem, że baobaby nie są aż takie złe i mogą sprawiać wiele radości. No i wiesz... Nikt jeszcze mnie tak nie pochwalił. Do takich słów nie umywają się żadne nagrody czy tytuły, które nadają sobie dorośli. Jest tylko jedna rzecz, która może się z nimi równać.

– Jaka to rzecz?

– Twój uśmiech. Jeśli uśmiech jest szczery, można dzięki niemu zobaczyć to, co jest niewidoczne dla oczu, a myśli, uczucia i emocje to największe skarby człowieka.

W tym momencie oboje się przytulili. Było to ich pierwsze spotkanie, ale czuli się, jakby znali się od lat, bo gdy spotka się człowieka podobnego do siebie oraz szczerze i dobrze zacznie się z nim przyjaźnić, ona bardzo szybko rozkwitnie, a gdy będzie się ją regularnie podlewać, nie uschnie. Będzie mocna i przetrzyma wszystko, a dodatkowo będzie ogromnym wsparciem. Na asteroidzie B-612 Mały Księżę oglądał właśnie ostatni z zachodów słońca tamtego dnia. Tym razem nie był tylko z Różą i Barankiem. Obok niego siedziała dziewczynka z dosyć długimi, sięgającymi trochę poniżej ramion, hebanowymi włosami, które teraz rozwiewał wietrzyk. Gwiazdy śmiały się do nich, a oni siedzieli razem i nie potrzebowali słów do zrozumienia siebie nawzajem. Oboje widzieli to, co niewidoczne dla oczu i dzięki temu byli radośni. Do pełnego

szczęścia trudno dojść samemu, za to o wiele łatwiej, gdy trwają przy nas bliskie nam osoby. Wtedy do szczęścia nie musimy nawet iść, ponieważ stoi ono tuż obok nas...

*Małgorzata Wierchalek*

*Julia Wojciuch*

## Tutusie

Był październik. Przyjechałam do moich dziadków, którzy mieszkają w bardzo ładnej okolicy, w otoczeniu pól, łąk i lasów. Zaraz za płotem ogrodu rosną ogromne akacje, które, jak twierdzi babcia, sadzili jej pradiadkowie.

Kiedy spacerowałam z dziadkiem pod lasem, nagle coś ogromnego przeleciało nam nad głowami. – Co to może być? – zapytałam dziadzia.

– Wiesz co, to na pewno będzie puszczyk – oznajmił. – Od trzech lat w tej grubej akacji odchowują swoje młode. O tej porze, czyli w październiku puszczyki szukają miejsc na gniazdowanie. I wiesz, puszczyk jest ptakiem drapieżnym, lecz bardzo pożytecznym, bo jego pokarmem są przede wszystkim myszy i nornice. Jest więc sprzymierzeńcem rolników w walce ze szkodnikami. W ciągu dnia ukrywa się w dziuplach lub wśród gałęzi. Wylatuje o zmierzchu i zamienia się w Batmana. To odważny łowca. Zobaczmy, jak będzie sobie radzić w tym roku... – zakończył tajemniczo swoje wyjaśnienia dziadzio.

Pomyślałam, że muszę jeszcze czegoś dowiedzieć się o tych niezwykłych ptakach. Zaczęłam szukać informacji w książkach przyrodniczych i Internecie. Im dłużej czytałam, tym bardziej moja fascynacja rosła. Nieocenionym źródłem wiadomości był oczywiście mój dziadzio, który jest z zamiłowania przyrodnikiem. Dowiedziałam się wielu niezwykłych rzeczy o puszczykach. Okazało się, że chętnie zasiedlają duże budki lęgowe, załomy dachów a nawet strychy. W lutym lub w marcu pani puszczykowa składa 3–4 okrągłe, białe jaja, które wysiaduje przez 28–30 dni. Młode rodzą się ślepe, widzą dopiero po ośmiu dniach. Przez pierwszy okres rodzinę karmi tata puszczyk, potem oboje rodzice dbają o potomstwo. Zima minęła mi na zdobywaniu wiadomości i snuciu planów na bliskie spotkanie z ptakami.

Bardzo czekałam na przedwiośnie. Miałam wielką nadzieję na podglądanie życia puszczyków. Myślałam, jak to będzie u sowsiej rodziny. Doczekałam się. Pewnego marcowego dnia babcia zadzwoniła:

– Julka, przyjeżdżaj, bo nasze sowy już siedzą w dziupli!  
Ale się ucieszyłam! Nareszcie!

Gdy przyjechałam na Podlesie, dziadzio już przygotował lornetkę i fotel na tarasie. Wspólnie oglądaliśmy jak sowa mama cierpliwie siedzi w dziupli. Teraz trzeba było tylko czekać na wykluć się maleństw. Wiedziałam jednak, że nie zobaczę ich od razu, lecz dopiero wtedy, gdy wystawią swoje puchate główki z dziupli.

Wiosna była deszczowa i zimna. Mama sowa wytrwale siedziała w dziupli i grzała złożone jajka, a samczyk umiłał jej czas swoim sowim śpiewem, czyli pohukiwaniem. Niestety, wydarzyło się nieszczęście. Dziadzio znalazł pod akacją rozbite trzy białe jajka. Prawdopodobnie kuna przyczyniła się do zniszczenia lęgu. Wszystkim było bardzo przykro. Sowy odleciały.

W domu zapadła więc decyzja o budowie „willi” dla naszych sów. Babcia i ja wyszukiwałyśmy informacje na temat budy dla sów. Narysowałyśmy na kartce, opisałyśmy, dodałyśmy wymiary. Dziadzio został głównym wykonawcą. W dwa wieczory spod jego rąk wyszedł przepiękny ptasi domek. Miał solidne „mury” z desek, spadzisty, okazały dach i duże okno z przodu. Nie mógł być pomalowany, ponieważ ptaki tego nie lubią. Został wykonany z sosnowych desek. Trzeba go było zawiesić co najmniej pięć metrów nad ziemią. Zabraliśmy długą, rozkładaną drabinę, którą ustawiliśmy przy starym dębie w pobliżu akacji z dziuplą. „Willę” powiesiliśmy i przyglądaliśmy się, jak pięknie wyglądała. Tylko czy spodoba się naszym socom?

Znowu nadszedł październik. Nie mieliśmy pewności, czy sowy wybiorą starą dziuplę, czy nowy domek. „Głuptaskami by były, gdyby wołały dom bez dachu” – pomyślałam. Miało się to wyjaśnić dopiero na wiosnę.

W marcu z niecierpliwością spoglądaliśmy w stronę starego dębu. Nic jednak nie zapowiadało dobrych wieści. Długo była cisza. Może poleciały gdzie indziej? Może znalazły lepsze miejsce? Aż pewnego razu usłyszałam w słuchawce telefonu:

– Julka, są sowy! Tylko piórka przez otwór wystają!

Oczywiście przy najbliższej okazji odwiedziłam dziadków. Wszystko się zgadzało, sowa siedziała w budzie, tylko jej piórka z ogona wystawały przez „okno”. Śmiesznie to wyglądało. Buda z ogonem! Codziennie dziadkowie relacjonowali mi, co robią sowy i jak się mają. Po 28 dniach wiedziałam, że może są już maluchy. Tylko ile ich będzie? W niedługim czasie zobaczyliśmy, jak mama sowa siedzi w pobliżu swojego domu. To był znak, że wykluły się już dzieci. W budzie coś chrobotać i pischać. Czekaliśmy na powitanie sówek. Cieszyliśmy się, bo deszcz nie moczył im delikatnego puchu, którym były



pokryte. Pewnego razu z „okna” budki wyjrzała prześmieszna puchata główka z wielkimi oczami. Mrużąc je zabawnie, ciekawie spoglądała na otaczający ją świat. Czas płynął, a sowie dziecko, pod troskliwą opieką rodziców, dorastało. W końcu nadszedł dzień, gdy szkrab wygramolił się z budki i usadowił się na grubych konarach dębu. Wtedy w okienku pojawił się następny maluch, który też szykował się do wędrówki po dębie. Tak dwie dorodne sówki opuściły rodzinny dom. Rodzice bardzo ich pilnowali. Wieczorami było głośno. Maluchy wrzeszczały i piszczały, ciągle chciały jeść. To co potem nastąpiło, zdziwiło nas wszystkich.

– Co ta sowa tak siedzi przy budce? Przecież małe już powędrowały w las...  
– zastanawiał się dziadzio.

Nie musieliśmy długo czekać. Z okienka sów wyjrzała nieśmiało mała puchata główka najmłodszego dziecka. Ale się cieszyliśmy! Trzy! Trzy Tutusie! Tak nazwałam nasze sowy. Maluch jeszcze kilka dni siedział w ciepłym domku, dokarmiany i otaczany opieką przez rodziców, po czym odważnie wdrapał się na konary dębu. Rodzeństwo było w komplecie i coraz lepiej sobie radziło. W końcu zobaczyliśmy, jak małe sówki latają. Wiedzieliśmy już, iż pomysł podarowania im budki to był strzał w dziesiątkę. Od tej pory jesienią czyścimy budkę i czekamy na nowe pokolenie puszczyków, a one chętnie co roku wracają do swojej „willi”.

Cieszę się, że mogę przeżywać coś tak niesamowitego jak obserwowanie życia i zwyczajów puszczyka – pięknego chronionego ptaka, który wybrał stary las i naszą budę na swoje mieszkanie.

*Julia Wojciuch*

*Magdalena Wyszomirska*

## Fajny gość

Nazywam się Monika i mam 14 lat. Chodzę do normalnej szkoły i nienormalnej klasy. Pewnie się zastanawiacie dlaczego? Otóż bardzo, ale to bardzo nie znoszę chłopaków! Są okropni! Cały czas podrywają nas, bekają i zachowują się jak nieokrzesane prostaki. Myślą, że są tacy fajni, bo mają koszulkę z Calvina Kleina i żadna dziewczyna im się nie oprze. Błąd – ja się oprę. Jedynym normalnym z 12 chłopaków jest Wiktor. On może nie jest zupełnie inny, ale przynajmniej ma wyczucie i jest mądry. Z naszej klasy nikt go nie lubi oprócz mnie.

– Sie ma, mała! – palnął głupim tekstem Maciek. – Wiesz, jesteś fajną laską, a ja fajnym gościem, więc może się umówimy?

– Że niby... my razem?! – byłam tak zdumiona tym, co wygaduje, że aż mnie zatkało. – Chyba cię głowa boli!

– Czemu? Jesteś niezłą lasencją.

– Co ty bredzisz?!

– Ja nie bredzę. Przecież jestem mega przystojny.

– Według mnie nie!

– OMG! Jaka ty jesteś dziwna!

– Spadaj na drzewo, banany prostować! – tak mu przygadałam, że w końcu zamknął ten swój dziób.

To była jedna z mnóstwa nieudanych prób podrywu, ale ja nie o tym. Był całkiem normalny dzień. Przyjechałam autobusem do szkoły. Dzień zapowiadał się dobrze. Przypomniał mi się mój dziwny sen. Był o tym, że jestem dziewczyną Wiktora i inne gamonie są zazdrosne. Dziwny sen, prawda? Minęła okropna biologia ze „Ślimakiem”. Tak, „Ślimakiem” – nazywamy tak panią Bożenę Krepę. Wygląda jak ślimak i porusza się jak ślimak, dlatego tak ją nazwaliśmy. Potem szybko zleciała matma, a po niej angielski. Na przerwie podszedł do mnie Wiktor.

– Hej, Monika. Co tam? – zapytał tak zestresowany, że prawie się trząśł.

– A dobrze, czemu pytasz? – zabrzmiałam bardzo miło i naturalnie.

– A no tak po prostu. Znaczy nie, że bez powodu – od razu zaczął się jąkać. – Nie, bez powodu! Czekaj, pogubiłem się!

– Spokojnie. Czym się tak denerwujesz? – spytałam, jakbym była jego dobrą przyjaciółką.

– Bo chciałem z tobą pogadać.

– Aha. No to rozmawiajmy – po mojej zachęcie nie zastanawiał się długo.

– Widziałaś ten nowy film o fantastycznych zwierzętach?

– Nie, ale siostra była i bardzo się jej podobał...

Tak się zagadaliśmy, że nawet nie słyszeliśmy dzwonka. I tak nam minął cały dzień. Gdy wyszliśmy ze szkoły, spytał:

– Co robisz dziś po szkole?

– W zasadzie to nic.

– To może pójdziemy do kina? – spytał pełen nadziei.

– No, spoko.

– Fantastycznie! Spotkamy się za dwie godziny pod szkołą?

– Super pomysł! Do zobaczenia!

– Pa!

Gdy wróciłam do domu i wszystko opowiedziałam mamie, byłam bardzo podekscytowana. Cieszyłam się, bo żaden chłopak nie był dla mnie taki miły i uprzejmy. Zanim dobiegła 17:00, byłam już pod szkołą.

– O, cześć! Przyszłaś? – zdziwiło go to, że się pojawiłam.

– No, a czemu to tak cię dziwi?

– Bo żadna dziewczyna, z którą dotąd się umówiłem, nie przyszła. Na następny dzień śmiały się ze mnie i mówiły, że jestem frajerem i nigdy nigdzie ze mną nie pójdą – przez chwilę zrobiło mi się go żal.

– Serio? Przecież jesteś fajnym chłopakiem – jak już zrozumiałam, jak to zabrzmiało, zarumieniłam się i szybko dodałam: – W porównaniu z Maćkiem.

– Chodźmy już do tego kina...

Wieczór w kinie z ogromnym popcornem, litrem pepsu i Wiktoorem minął wspaniale. Gdy seans się skończył, poszliśmy na krótki shopping. Potem Wiktor odprowadził mnie na autobus i sam wrócił do domu. Przez cały wieczór „rozmawiałam” z nim. Jakoś dziwnie się wtedy czułam, tak jakby mi się podobał. Pod koniec naszej esemesowej rozmowy napisałam mu: „Wiesz co, Wiktor, jesteś naprawdę fajnym chłopakiem”, a on na to: „Ty też jest bardzo fajną, mądrą i ładną dziewczyną”. Czytając to, poczułam się dowartościowana. Od tych głąbów z naszej klasy niczego nie można wymagać, nawet podstaw dobrego zachowania czy szacunku dla kobiet. Przykładem tego jest sytuacja ze stołówki: dekiel Krzysiek grzebie widelcem w ziemniakach, potem rozmazuje je na całym talerzu i mówi:

– Dobra, idę odnieść to jedzenie, przecież jest ohydne i nieestetycznie podane.

– Byłaby beka, gdybyś dał ten talerz Monice i powiedział, że jeśli się z tobą nie umówi, to świadczy jedynie o jej genach żebraczki – wymyślił Bartek, po czym zaczął rzeź jak koń i dodał: – Może w końcu uda ci się ją poderwać!

Słyszając to, powiedziałam:

– Zachowujecie się jak głupie bachory, które nie wiedzą, jak zagadać dziewczynę i wymyślają wieśniackie próby podrywu! – kompletnie nie wiedzieli, co mają powiedzieć i zamknęli w końcu swoje dzioby.

Minął miesiąc, a ja wciąż przyjaźnię się z Wiktoorem. Nie wszystkim moim koleżankom się to podoba.

Ten dzień byłby bardzo miły, gdyby nie one! Zastanawiacie się, kim są te one? Te one to moje okropne koleżanki. Od 4 klasy cały czas się ze mnie śmieją i upokarzają. Wyśmiewają mnie, bo mam ojca alkoholika. Nie wiem, co jest dla nich takie śmieszne? Zobaczyłam, jak rozmawiają ze Staśkiem, Kacprem i Maćkiem. Od razu na ich widok przeszły mnie dreszcze. Stasiak mnie zauważył i wskazał na mnie palcem. Podeszły do mnie i zaczęły się słowne zaczepki.

– Boże, jak ty wyglądasz?!  
– Kiedy myłaś włosy, wyglądają jak makaron!  
– A te spodnie skąd masz, z darów dla powodzian?!  
– Matko, o co wam chodzi? – spytałam bardzo zdenerwowanym głosem.  
– O ten tramwaj co nie chodzi!  
– Aha, już wiem. Jesteście zazdrosne o Wiktora? Wyśmiewałyście się z niego, ale jak ja się z nim zaprzyjaźniłam, to jesteście zazdrosne. Serio? Mega żalosne – rozpracowałam je i kompletnie nie wiedziały, co mają powiedzieć.  
Nie wiem, skąd się wziął obok mnie Wiktor:  
– To co, dzisiejsza matma dalej aktualna? – dziewczynom aż szczęki opadły, a jak już się otrząsnęły, znowu zaczęły:  
– O, potrzebujesz korków? Za mały mózdzek?  
– Na pewno większy niż twój. – A potem dodał: – Zaraz po matmie idziemy do kina.  
Gdy to usłyszały, były tak zazdrosne, że wyglądały jak buraki. Świetna wypowiedź Wiktora zakończyła ten dialog i okropny dzień.

*Magdalena Wyszomirska*

*Klaudia Żurawska*

## **Koronadziennik**

**środa, 10.03.2020 r.**

Co za sytuacja! Jestem cała w strachu i pełna niepokoju. Może zaczęła od tego, że od tygodnia mamy w szkole specjalne apele oraz dokładne instrukcje dotyczące mycia rąk, zachowania czystości oraz dezynfekcji. Jest to związane z COVID-19. W kraju jest już około dwadzieścia przypadków tej bezwzględnej choroby. Wszyscy w niepewności! Mimo to myślę, że sytuacja w Polsce wydaje się w miarę stabilna. Chyba do nas ta zaraza nie dotrze.

**czwartek, 11.03.2020 r.**

Dziś sporo się wydarzyło. Tyle skrajnych emocji, że trudno je wszystkie opisać. Rano normalnie wstałam, ubrałam się i wyruszyłam do szkoły. Mieliśmy pierwsze cztery lekcje. Nikt nie przypuszczał, że na piątej lekcji odbędzie się apel i usłyszymy decyzję o zamknięciu szkoły. Tak! Od dzisiaj szkoły zamknięte aż na dwa tygodnie, a może i na dłużej. Wszyscy byliśmy w szoku.

W pierwszej chwili radosna myśl, że to drugie ferie. Radość. Jednak zaraz uświadomiłam sobie, że taka decyzja nie zapada bez powodu, że naprawdę jest to bardzo poważna sytuacja. Niczym w stanie wojennym! Odtąd, choć byśmy chcieli nie wiadomo jak bardzo, nikt nas do szkoły nie wpuści. Totalne rozbitcie. Przypominają mi się opowieści mojej prababci na temat wojny. Też wszystko działo się nagle i niespodziewanie. Ludzie ukrywali się w domach i żyli w strachu, co będzie jutro. Wtedy walczyło się z wrogiem, a teraz lekarze walczą ze śmiertelnym wirusem. W zasadzie to każdy z nas na swój sposób z nim walczy. W mediach społecznościowych ogłaszają nawet zbiórki na zakup potrzebnego sprzętu medycznego, bo nasza polska służba zdrowia jest biedna i kiepsko wyposażona. Nie mają nawet maseczek. Ludzie muszą im chyba zacząć szyc... Dawniej też panowała bieda. Brakowało broni do walki, odpowiedniej odzieży. W czasie wojny czy stanu wojennego szkoły tak samo zostały zamknięte jak dziś, a dzieci – mimo pragnienia zdobywania wiedzy – też nie mogły tego robić. Znaleźli rozwiązanie – tajne nauczanie. Młodzież spotykała się nielegalnie na kompletach. Nie tylko zdobywali potajemnie wiedzę ogólną, ale też przygotowywali się do walki z okupantem, do powstania. Dziś na szczęście nie ma wojny, ale rośnie we mnie lęk, czy kiedyś to do nas nie wróci. Kładę się spać, bo jest już dosyć późno. Może w następnych dniach sytuacja się poprawi?

**wtorek, 14.03.2020 r.**

Koronaferie! Tak mówią prawie wszyscy. Wcale mi się to nie podoba. Paskudne określenie! To nie są wakacje! Umierają tysiące, może miliony osób. Nie można tego tak lekceważyć! To naprawdę poważna sprawa! To nie jest zwykła grypa! Media oszalały, gdzie tylko spojrzeć, jeden i ten sam temat – WIRUS. Jest pełno fałszywych i absurdalnych wiadomości. Nie wiadomo, w co i komu wierzyć. Przede wszystkim poszła fama, że sklepy w niedalekim czasie będą zamknięte. Co za absurd! Wszyscy ludzie ruszyli do marketów po to, by gromadzić zapasy, np. makaronu czy papieru toaletowego. Jak można kupować aż tyle papieru toaletowego?! Na półkach zaczyna powoli wszystkiego brakować. Chyba na dłuższy czas zostaniemy zamknięci w domach. Jak ja to wytrzymam?

**środa, 24.03.2020 r.**

Od dzisiaj oficjalnie trwają lekcje online. Jestem ciekawa, jak to będzie wyglądać. Jeszcze nigdy w taki sposób się nie uczyliśmy. Po pierwszym dniu czuję się dziwnie nieswojo i zaczynam tęsknić za normalną szkołą. Mam na-

dziękuję, że lekcje online trwać będą jak najkrócej. Może to i fajna alternatywa? Głównie po to, by się nie nudzić, bo od siedzenia w domu i wykonywania ciągle tych samych czynności można naprawdę oszaleć. W kraju ciągle rośnie liczba przypadków zachorowań, a sprzętów medycznych nadal brakuje. Ludzie szyją maseczki i przekazują służbie zdrowia. Strach wychodzić z domu, więc nie wychodzę. Co z nami będzie? Zachorujemy... Umrzemy...

#### **czwartek, 16.04.2020 r.**

Właśnie niedawno skończyły się Święta Wielkanocne. Diametralnie różniły się od poprzednich. Zawsze co roku chodziło się z całą rodziną poświęcić koszyczek wielkanocny, a na drugi dzień jedliśmy pyszne świąteczne śniadanie w dużym gronie rodzinnym. Jeździliśmy w odwiedziny do bliskich w innych miejscowościach. To były cudownie spędzane chwile, a teraz los nam to wszystko odebrał. Staram się nie pograżać w smutku. Cieszę się, że mam zdrową i kochającą się rodzinę. Kiedy pomyślę, jak czują się osoby zarażone koronawirusem oraz ich bliscy, robi mi się słabo. To osoby często zamknięte w małym pomieszczeniu, samotne, bez kogoś bliskiego obok. Chyba jestem szczęściarą w tym całym wirusowym szaleństwie. Mam dom, rodziców, dziadków, rodzeństwo, ogród i świeże powietrze!

#### **poniedziałek, 25.05.2020 r.**

Dawno mnie tu nie było... Nie miałam czasu, bo dużo nauki, zadania, wypracowania, obowiązki. Moje życie się zmieniło, ale przyzwyczałam się do nowej sytuacji. Lubię uczyć się zdalnie. Nie czuję już takiej niepewności, jak w marcu czy kwietniu, bo wiem, że w kraju liczba zachorowań spada. W sklepach wszystko można kupić. Życie wraca chyba do normy. Dzięki Bogu! Wszystko powoli zaczyna się układać. Nadal uważam na siebie i unikam zbędnych wypadów i przypadkowych spotkań. Nie chodzę do szkoły, mimo że jest możliwość uczestniczenia w konsultacjach z nauczycielami. Mam nadzieję, że już za kilka miesięcy będzie w miarę normalnie. Wrócimy do szkoły zadowoleni i pełni energii. Do tego jeszcze długa droga, ale wierzę, że tak będzie. Ten niespokojny czas epidemii wiele mnie nauczył. Będzie dobrze!

*Klaudia Żurawska*



**Wiersze uczniów  
szkół średnich**





*Magdalena Bąk*

## **Uległość**

Stoję pośrodku burzy kłamstw,  
Bezbronna, naiwna.  
Miliony obrazów, tysiące słów...  
Trafiają w czuły punkt.  
Poddaję się...  
Upadam do ich stóp.

*Magdalena Fila*

## **Pauza**

Zatrzymaliśmy się  
Niezdolni do ruchu  
Do jakiegokolwiek zmiany  
Pozbawieni wszystkiego  
Co do tej pory znaleźliśmy  
Ale może to tylko moment  
Chwilowa pauza  
Naciśnięta przez palec Boga

*Ada Galant*

## **Szklani ludzie**

codziennie widuję  
tyłu szklanych ludzi  
żyją obok mnie  
oplatając się  
szklaną ciszą  
chyba tylko ja  
słyszę ich wołanie  
mimo to nie podchodzę  
z obawy  
że ich roztrzaskam

*Hanna Gołąb*

## **Obecność**

Im mniej Twojej obecności  
tym więcej Ciebie we mnie

kiedy wyganiam Cię z salonu  
Ty już panoszysz się w kuchni

wśród innych brudnych naczyń, noży  
w szufladach, o których wolę nie pamiętać

gdy patrzę w sufit  
kłębisz się pod stopami

im mocniej zaciskam powieki  
tym wyraźniej Cię widzę

im częściej Cię wypraszam  
tym częściej przychodzisz

a ja już nie wiem,  
które zamknąć drzwi

*Natalia Gontarczyk*

## **Wiersze i demony**

fortuna wróży mi z tarota  
dla poetów nie używa zwykłej talii  
dla nich na kartach wypisane są wiersze  
ich własne szczere wersy

i tak oto po raz kolejny deja vu  
wraca do mnie ten sam wiersz  
jak przekleństwo jak wyrok jak koszmar  
i po raz kolejny nic się nie zmienia  
jedynie te wiersze z każdym ponownym przeżywaniem  
puchną i nabrzmiewają wyzerają i ćwiartują bardziej

władczyni losu katuje mnie moim własnym dziełem  
piszę pociski przepowiednie zaklęcia i podaję  
do jej celującej we mnie ręki

zbyt często się lecę słowem swoim zatrutym  
wiersze schodzą mi z dłoni jak stare odwłoki  
i tracę siły gdy do mnie wracają  
i rozlążę się jak włos dzielona na czworo

mój demon zna się na poezji  
dlatego moją rzucać mu nie żal  
mój demon zna nie tylko moje imię  
ale też na pamięć wszystkie wiersze

*Kaja Hatłas*

## Palma

Nic nieruszone  
grzbiety historii nadal ułożone według wzrostu.  
Storczyk już dawno przekwitł.  
Zawsze zauważam  
przekrzywione zdjęcie  
z lat twojej młodości,  
patrzysz na mnie łagodnie,  
wiesz, ile mam przed sobą.  
Już nie roznosi się zapach kawy,  
nie rozbrzmiewa głęboki dźwięk  
rozstrojonego pianina,  
młotki od miesięcy nieruchome  
niecierpliwie na mnie czekają.  
Nie przekraczam progów.  
Zimny fotel  
złożone okulary  
ułożona serwetka  
jakbyś była w pełni przygotowana do wyjścia.  
Czuję, że to tylko na chwilę.  
Przecież zaraz wrócisz.  
Jednak wiem, że kiedyś  
podlewając palmę,  
zamknę za sobą drzwi  
z nadzieją,  
że na zawsze.

*Kornelia Jakszta*

## **ołów**

papierowe łyzy, papierowe miasta  
papierowy oddech, papierowe marzenia  
z papieru sny, z papieru nasze serca  
papierowe też gwiazdy na niebie  
i papierowe kwiaty na łące  
a słowa nadal cięższe  
niż z ołowiu

*Agata Kankowska*

## **Miejsce, które kocham**

ściany krzyczą  
pięść się zaciska  
łyzy cisną się do oczu  
tłuczone szkło rozsypuje się po podłodze  
serce na moment staje  
pulsuje piekący policzek  
witamy z powrotem w domu

*Liwia Karakula*

## **Z czasem**

Włosy troszeczkę dłuższe,  
Obcasy odrobinę wyższe,  
Podejście ciut bardziej realistyczne,  
Obowiązków minimalnie więcej,  
Wymagania troszkę wyższe,  
Ale czy w środku coś się zmieniło?

*Małgorzata Kleiber*

## **Rutyna**

Dojrzałym ludziom nie wypada  
Być niedojrzałymi w dojrzałych sytuacjach  
Mylić Sokratesa z Platonem  
I chodzić w wygniecionych koszulach  
Wolno im za to czynić to  
Czego etykieta nie zabrania  
Ale tylko do dwudziestej drugiej  
Potem cisza nocna uśpi ich myśli  
Które wstaną równo o piątej trzydzieści  
Razem z nimi do pracy tylko po to  
By ten sam dzień przeżyć raz jeszcze

*Ellen Kuźma*

## **Titanic**

zakotwiczona w przeszłości trwam  
fale tęsknoty objijają się o mnie  
z wolna rdzewieję

w niespokojnej tafli wody  
zachwiane me odbicie  
traci teraźniejszość

zapomniałam wypłynąć na czas  
nikt nigdy nie powiedział mi  
że to jest wyścig

zderzyłam się z rzeczywistością  
gdzieś w połowie drogi  
do nieznanego celu

grzebię w mule wspomnień  
dlatego pewnie mówią na mnie  
wrak człowieka

## **Dłonie**

nazwać mnie możesz swoją dłonią  
bliznami i bruzdami ozdobioną  
tą ręką od pióra i broni  
pierwszym gestem pojednania  
zaciśniętych palców –

położonych na stole w pozycji dyskusji  
owiniętych wokół rur w autobusie  
dłonie wskazujące palce wyciągnięte –

adamie o nadgarstku leniwym  
jak lubisz swoje dłonie z rana?

Nazwij mnie swoją dłonią  
Tą nieodłączną częścią Ciebie  
Związaną z Tobą związaną ze Mną  
Związaną za Twoimi plecami –

Dumnymi nawet gdy się garbisz  
Stojąc w autobusie wśród ludzi co  
Nie widzą blizn po sznurach –

panie palców nerwowych  
panie pięknych żył pierścieni i gestów  
Chcę być twoją dłonią

## **Modlitwa matki**

zmiłuj się, mateczko, zmiłuj się nade mną  
ześlij w dom zarazę, w złoty język radę  
nie każ mi, mateczko, nie każ jej całować  
poczęłam anioła, powiłam szkaradę

cóż mi teraz, cóż mi, gdy dziecię nosiłam  
pod sercem, na duszy, jak dar i jak kamień?  
wstyd mi, matko, wstyd mi – błagałam o córkę  
dostałam zwierciadło z grubymi udami

*Julia Perzyńska-Wydrych*

## **Konfesjonał**

kiedyś dbałam o sekwencję słów  
bardziej niż o estetykę upadku  
ale tysiące spadających gwiazd później  
jak czarna dziura pochłonęły mnie  
galaktycznie ogromne zmartwienia  
czy wraz z dotarciem do połowy zeszytu  
dotrę do połowy życia  
kiedy ja wciąż nie wiem  
czy Bóg mnie także stworzył  
na swoje podobieństwo  
czy tylko takie stwarza  
pozory

*Wiktoria Pichola*

## **Choroba dzisiejszych czasów**

Brak miłości  
Brak ciepłych słów  
Brak rozmów  
Brak empatii  
A cierpią tylko osoby zdrowe

*Wiktoria Pytlarz*

## **Szklany obraz**

Bez troskie życie  
pękło jak bańka mydlana  
puszczana w blasku słońca  
w miejscu dom – w miejscu ziemia,  
w miejscu tak zwana planeta zielona.

Powieki opadają,  
obraz się rozmywa,  
jakbym chciała cofać czas,  
jakbym chciała tyle zrozumieć.

I już nie będzie tak samo,  
choć nie jest za późno,  
choć kończy się w tym momencie,  
choć zielonym płucem brak tchu.

Jesteśmy winni.  
Jesteśmy sprawcami,  
których zgubiła  
miłość nieokazana.

Jeszcze nie jest za późno.

Jutro będzie za późno,  
by ułożyć posypany obraz  
w całość.

*Wiktoria Pytlarz*

*Olga Różańska*

## **Wszechświat**

Zostań morzem,  
abym mogła utopić w Tobie żal.

Zostań światłem,  
abym mogła rozpraszać Tobą mrok.

Zostań powietrzem,  
abym mogła zawsze mieć Cię przy sobie.

Zostań ziemią,  
abym mogła wrócić do Ciebie.

Zostań,  
tak zwyczajnie,  
po prostu  
nie odchodź...



## **Jak tu być dorosłym**

każdą nocą kołaczę do furty  
kwiecistego raj  
moje niepewne kroki  
są jak głuchy oddech przyszłości  
wyczekuję lepszego jutra  
moja dusza zagnana podmuchem  
nadziei w pajęczą sieć  
drży niepewnie  
chyba  
pragnę miłości...

I zakwitam  
w ogrodzie dorosłości  
nęcona jego zapachem  
a ON  
zatapia swe palce  
w moich myślach  
rozczesuje te nieuczესane  
czasem  
dotyka kolorem smutku  
przytłacza obowiązkiem  
onieśmielone marzenia

zbieram okruszki szczęścia  
pożyczone od aniołów  
w srebrnym blasku księżyc  
na aksamitnych skrzydłach  
trzepocze się ukochanie  
zmysłowość budzi mój  
zachwył  
zasmarkane lata młodości  
obdarte z dzieciństwa  
znikają wśród mglistego szeptu

i tylko moje  
przesolone łzy  
są zbyt nieśmiałe  
by wyjść na świat...

*Maciej Szkróbka*

## **Czekając na świt**

Świt zapomniał wstać  
Smutni ludzie na ulicy  
Parząc ręce woskiem świecy  
Chcą swój znaleźć czas  
Zatopione twarze w mroku  
Mówią sobie „Daj mi spokój”  
Uśmiech budzi strach  
Uciekł nawet stróż podwórza  
Gdzie prowadzą ślady stróża  
Nie wie nawet on  
W szarych domach szare twarze  
Nikt już nie wie o czym marzył  
Nim ów zapadł zmrok  
Kościół pełen aż po brzegi  
W każdym rzędzie inne śpiewy  
Bóg popełnił błąd

*Dagmara Szopińska*

## **Nowoczesny świat**

Żyjemy w nowoczesnym świecie  
Z samochodem, ciepłym domem i czystym sumieniem  
Dzień za dniem, noc za nocą.  
Czas jedynie przyspiesza.  
Gdzie chcesz pracować? Jak chcesz żyć?  
Gdzie zamieszkać? Co robić?  
Nigdy nie będę gotowa.

Żyjemy w nowoczesnym świecie  
Z technologią i spokojnym sercem.  
Nie słyhać strzałów ani krzyków,  
Ale istnieją, prawda?  
I gdy dotrze do nas, że nie ma ucieczki,  
Czy przyspieszy ci puls?

Żyjemy w nowoczesnym świecie  
I nie możemy tego zmienić.  
Nie widać głodu i strachu,  
Jedynie uśmiechnięte twarze  
I gdy dotrze do nas, że nie ma ucieczki,  
Co zrobisz?

*Joanna Szymyślik*

## **Drobne zmiany**

W pokoju ze śmiercią jest tylko trochę bardziej duszno.  
Ciepłe światło zachodu wpada do środka.  
Ciszę przerywa podmuch wiatru,  
wpuszczony przez uchylone okna.  
Dziadek leży w łóżku,  
na wyciągnięcie ręki od mojego fotela.  
Śpi, z wpełotwartymi oczami,  
rozchylonymi wargami,  
odrobinę bledszy,  
odrobinę chudszy.  
Ściskam w ręce kubek stygnącej herbaty.  
Na ścianie od lat wisi moja laurka.  
I tylko jednej rzeczy nie rozumiem,  
bo czy przez sen się nie oddycha?

*Marta Świetlicka*

## **Strach**

zapytali mnie czy się z nim zmierzyłam  
czy go pokonałam

a ja go po prostu  
poczułam

## Jak skutecznie jajko

Obejrzę w nocy DIY, jak naprawić jajko  
Wpiszę w wyszukiwarce:  
„czy da się...”,  
„jak radzić sobie z...”  
„czy Frida Kahlo też...”  
Wejdę do łazienki.  
Wezmę wszystkie żele napakowane lawendą.  
Stanę się kroplą w wodzie i bąbelkach.  
I gdy zacznę się myć, przypomnę sobie, że gąbka leży pod umywalką.  
Położę się w nowej pościeli, w wywietrzonej sypialni.  
Włączę telewizję, by obejrzeć oscarowy film, skończę na „Przyjaciółkach”.  
Znużona, zamknę w końcu oczy z pilotem w dłoniach.  
A po fазie rem zdam sobie sprawę, że  
jajko zostało zjedzone na Wielkanoc.

## Patrycja Wikaryczak

### Podobno

Podobno  
Z rodziną najlepiej na zdjęciach.  
Ale czy ktoś wie,  
Jak to jest nie mieć rodziny?  
Podobno  
Słoneczna pogoda jest najlepsza,  
Ale co by było,  
Gdyby nie deszcz?  
Podobno  
Umieranie jest chwilą,  
Ale czy to znaczy,  
Że życie jest wieczne?  
Podobno  
Życie samemu jest trudne,  
Ale czy w takim razie  
Zawsze jest łatwiej z kimś?  
Podobno...  
Ale czy „podobno”  
To zawsze prawda?

## **Nie uciekaj**

Nie uciekaj  
Pozwól nacieszyć się widokiem miłości  
Ukrytej wśród gałęzi

Nie uciekaj przerażony  
Szelest podmuchu z południa niedługo ucichnie  
Radosne promienie światła roztopią igły szadzi  
Zanim obejrzysz się na przeszłe dni  
Nadejdzie wiosna

Nie uciekaj  
Tak szybko jak jeleń, gdy się podejdzie zbyt blisko  
Gdy ostrzonym węchem wyczuje woń ludzkiej winy  
Gdy usłyszy strzał morderczy  
Lub łamane lekkim krokiem gałązki i kwieciste łądygi

Nie uciekaj  
Zostań mimo lęku  
Tak długo cię goniłam, o złoty





**Proza uczniów  
szkół średnich**





## Korespondencja życia

Drogi mój.

Nie jestem pewna, czy powinnam do Ciebie pisać. Obawiam się, że mnie nie wysłuchasz, wyśmiejesz albo podrzesz kartkę. W najgorszym przypadku ją połkniesz. Tak, wiem, że jesteś do tego zdolny.

Okej, jeśli jesteś już przy tym fragmencie, to pewnie się zastanawiasz, do czego zmierzam. Otóż... wszyscy mają już Ciebie dosyć. No wiesz, wtrącasz się w nie swoje sprawy, kierujesz nami, rozkazujeś... Musi być tak, jak ty chcesz i już, i kropka. Jednym odpuszczasz, drugich bardzo męczysz, trzecich próbujesz nawet... no wiesz. Wolę nie pisać tego słowa. Kombinujesz, jak tu doprowadzić do depresji, zrezygnowania, smutku, braku pracy. Trzeba siedzieć w domu i patrzeć na to, co się dzieje. Po prostu okropieństwo. Przez Ciebie często boli mnie brzuch i muszę cały czas latać do... nieważne! Nie mam apetytu, zamykam się w sobie, nie chce mi się rozmawiać z ludźmi i takie tam inne sprawy. No... ja chyba zwariuję. Powiedz, czy coś Ci zrobiliśmy? Obraziliśmy? Może nie podobają Ci się nasze zwyczaje, sposób życia, stosunek do środowiska, ilość towarów w sklepach, szacunek, więcej siedzenia na komputerze... I tu się trochę z Tobą zgodzę. Nie jesteśmy idealni, ale coraz więcej konstruujemy... chcemy coraz więcej. Ach, w sumie co ja wiem. Lepiej żeby za bardzo, no wiesz, nie krytykować, bo wyjdzie na to, że jestem mądrała i w ogóle. No... To fajnie by było, gdybyś już trochę odpuścił. Choć troszeczkę. Proszę.

Jak doszedłeś do końca – Brawo! Może jednak obchodzi Cię, co mamy do powiedzenia – my wszyscy. Okej, to tyle jak na razie.

Buziaki – Ta co prosi

PS: Nie oczekuję, że odpiszesz na papierze. Po prostu działaj.

Za oknem nie było już jasno. Niebo pokrył ciemny koc z wyszytymi małymi świecącymi punkcikami. Jednak Mela nie zwracała na to uwagi. Przyglądała się chwilę swojemu dziełu. Odłożyła list na parapet za oknem i odetchnęła z ulgą

Ta co prosi,

Dopiero ja uczę się pisać. Powiedzieć krótko. Nie potarfiuć ja przestać bbo uzależnić się od.... Od tego. Przykro, że ty mieć gorszy czas.... Hahahaha żartt. To zabawne być. Fajnie jak ty prosić, lubić ja to. Ty pamiętać – to wy mnie stworzyć, to nie moja wola. Fajnie, że ktoś potraktować mnie po ludzku. Napisać ty do mnie jesczew.

Ten co lubić gdy prosi ty

PS: Co to znaczyć – buziaki

Drogi W.

Teraz tak będę się do Ciebie zwracać, Oki? Po pierwsze niewiarygodne, że odpisałeś. No wiesz, nie spodziewałam się. Tak serio mogłabym powiedzieć Ci po prostu, spadaj, albo użyć mniej ładnego słownictwa. Jednak nie zrobię tego, bo jestem kulturalna. No widzisz, to może ty też zachowasz się, jak na dżentelmena przystało i odpuścisz? Nie rozumiem – jak to nie możesz? No... to ile to jeszcze potrwa?

Na ogół to ostatnio częściej jest mi niedobrze. Moja terapeutka twierdzi, że to przez stres. Sorki, ale niezbyt Cię lubię. Jednak inni chyba Cię nienawidzą. Hahaha, jak możesz nie dbać o reputację? Jakby co, to twoje słownictwo nie jest takie złe, ale cały czas wstawiasz bezkoliczniki... ach te teorie. Nieważne.

M

PS: buziaki to takie... no wiesz, pozdrowienie.

Gdy skończyła, zaczął padać deszcz. To dobrze. Lubiała tego koleżkę. Pomyślała o tym, co jutro ją czeka i zaczęła się śmiać i płakać.

Zabawnaś M,

Buziaki! Jak ty dużo zadawać pytań! Ja nie wiedzieć, ja nie wiedzieć ile potrać. Jeojku, nie, ja na razie jeszcze zostać. W jakim ty świecie żyć dziewczynooo. Ciebie boleć brzuch? Bywać gorzej czassami. Wiedzieć ile wy ludzie przetrwać? Wy być silni. Wy mnie nie lubić to być normalne. Dziwić bym się gdyby być inaczej. Wiesz co? Spróbować wy ludzie mniej się smucić. Ja wiedzieć, że to trudne, ale wy tego nie potrzebować

Drogi W.

Mela schowała list do zeszytu i położyła się na brzuchu, obejmując mięciutką poduszkę. Zastanawiała się, czy to prawda, czy ludzie są silni? Czy na pewno dużo przetrwiają... Pewnie tak... Tylko warto doceniać to, co się ma, choćby fajne książki, piękne lasy, tak? Chciała już zasnąć, ale zrobiła jeszcze coś najzwyklejszego na świecie. Uśmiechnęła się i podziękowała za brak wymiotów, co ostatnio często się jej zdarzało.

Drogi W.

Myślałam o tym, co napisałeś. I może faktycznie za dużo się martwimy? Wiesz, życie jest czasem skomplikowane. Jednak to nie powód, żeby być niemłym tak jak ty. W sensie, że robić takie okropne rzeczy. Jednak z drugiej strony nawet mądrze piszesz. Nadal jest dużo strachu i zachorowań, ale przynajmniej można wychodzić z domu. Już można. Mama wczoraj dzwoniła i powiedziała, że dzieci najprawdopodobniej nie wrócą w tym roku do szkoły. Smutno mi,

bo mogę już nigdy nie pójść... Tak dużo rzeczy przepadło... Ale tyle piękna kryje w sobie świat. Hahaha, ale staję się poetycka.

M

PS: Nie miałam zbytnio pomysłu, co napisać. Jestem trochę osłabiona. Smutnaś M,

Ja dzisiaj być wkurzony! To może być twoja winaa. Zaczynamć ja wątpić w cel swojego istnienia czasami. Nie być mi smutno, że ludziom jest źle bo nie mieć ja uczuć. Jednak fajnie by było gdybym ja może je miał? Jednak ja chce żeby mnie zaakceptować. Ty w sumiew, ty to robiszsz. Ja się gubić. Ja bym chciał żyć ć jak człowiek. Żyć napradę. Głupli świat.

Drogi W

PS: Coraz lepiej mówię ja po polskiemu!

Dziewczyna czytała list z zaciekawieniem. Cała ta korespondencja z W była dla niej czymś nowym, niesamowitym aż zaskakującym. I coraz częściej przychodziła jej do głowy dziwna myśl. Czasami się nawet za to karała, ale... ale może to prawda? Może to wszystko ma swoje plusy i nie jest całkowicie takie, jakie się wydaje?

W, W, W,

Też często jestem wkurzona, aż wnerwiona. To normalne. Widzę, że jednak coś już masz z naszego świata. No wiesz, złość to też uczucie. Ja też często się wkurzam.. Zawsze będzie coś, co nas nie będzie zadowalać. Zaczynam już dojrzewać, ale tak... no wiesz w umyśle. Ostatnio słyszałam, że w trakcie tego czasu jak jesteś, wzrosła liczba samobójstw. Ludzie chyba ze strachu odbierają sobie – życie. To smutne... Powiem Ci, że ja bym bardziej bała się to zrobić, niż nadal żyć. Bo strach nie jest zły. No widzisz, już chyba czas odpuścić na serio. Jak ja tu filozofuje... no ok., przemyśl sprawę jak najszybciej i daj znać.

Buźka – M

Mądraś M,

Co ja mieć z tą twoją dobrocią, haha, naprawdę uważam, że jesteś zabawna. Nie mogę ja odejść tak po prostu. A do tego to wy mnie stworzyli. Eh, ale chyba ty miesz troche racji. Ja nie chce być okrutny, nie... chce? Nie wiem ja. Mam doła, bo ty masz doła, ja mieć doła bo smutek dookoła. 0, Ja rrym zrobiłem.

W

PS – Zaczynam tracić swóją grozna postać.

Mela również zaczęła coś tracić, ale... była to po prostu złość. Nigdy by nie pomyślała, że ktoś taki okrutny może czuć się dziwnie, inaczej. Może się zastanawiać. Poglaskała obolałą rękę i kiwnęła lekko głową na „tak”.

Zdołowany W.

Ty i depresja? hahahahaa... Mogę Cię trochę pocieszyć. Zaczynam dostrzegać też plusy.... Nie wiem dlaczego. No, ale trzeba w końcu wziąć się w garść. Ostatnio zadzwonił do mnie tata. Wydaje się normalne, prawda? Tylko na ogół rzadko mnie odwiedzał i dzwonił. To chyba przez pracę... A odkąd przyszedłeś, to... on znajduje dla mnie... no czas. Kochany tatuś. Jak ja bardzo go potrzebuję.

M

PS – Czy to nie dziwne? Ten co powoduje depresję, sam zaczyna ją mieć? Dobraś M,

Chyba ludzie już coś rozumieją. Chyba zaczynają mnie akceptować. Pomagają sobie. Ja zaczynam umierać. Pewnie się ucieszysz. To co dalej zależy od was. Fajnie się z tobą pisało ludzka dziewczyny.

PS – No... ja po polskiemu to już piszę jak mistrz W

Drogi W.

Z tego co wiem, faktycznie już ustępujesz. No wiesz, tak po swojemu. Naprawdę dużo się zmieniło... Nie wiem, co będzie dalej, nie wiem, czy jeszcze wrócisz. Beznadziejnie to wszystko rozegrałeś, ale no cóż. To, co się stało, to się nie odstanie i już. Ja też... no nieważne.

M

Tak dużo rzeczy wydaje się smutnych i wesołych. Tyle rzeczy może się jeszcze wydarzyć. Nawet nie można sobie wyobrazić dokładnie co. Mela o tym wiedziała. Wiedziała również, że zaczyna dobiegać koniec opowieści. I choć tego chciała czy nie – coś się w niej zmieniło. W – nie był już dla niej tylko plotką i wyobrażeniem. Istniał, a to pozwalało łatwiej pogodzić się z jego obecnością. Świadomość.

*Jagoda Burekowska*

*Patrycja Gotfryd*

## **Światła naszych dusz**

Niektórzy wierzą w karmę, dobro lub Potwora Spaghetti. Ilu ludzi stąpa po ziemi, tyle wierzeń błąka się za nimi. Ktoś wierzy w Boga, ale nie wierzy w kościół, drugi czyta Torę, ale nie zamierza nigdy dotknąć Biblii. Dla niej religijność nigdy nie była mocno połączona z wiarą, mimo że większość ludzi nie wyobrażała sobie, by mogło „to” istnieć jako dwa oddzielne byty. W takim razie, w co wierzyła? Przede wszystkim pokładała ufność w kartach i dawała

się pochłoniąc wszelkiego rodzaju przesądom, nawet gdy często jedno wykluczało drugie.

– Wybierz już te dziesięć kart, Zuza... ile się można guzdrać? – rozbrzmiał znudzony, ale wciąż miękki i przyjemny głos. – Nie mam dziś czasu na ciebie, jutro mam wykłady od rana – dodała niezadowolona i chrząknęła, by wybudzić koleżankę z transu. Dziewczyna przygryzła język i z zamkniętymi oczami, kurczowo zaciskając powieki, wybrała dziesięć kart z talii, po czym podała je przyjaciółce, która ułożyła wróżbę w piramidę na stoliku, Zuza nawet nie musiała otwierać oczu, by to widzieć. Wciąż zagryzając język na szczęście, oczekiwała werdyktu przyjaciółki. Sugestywne pomruki wydostawały się z pękających ust brunetki, nie świadcząc o niczym dobrym.

– Wydajesz dźwięki jak Wandal, gdy zapomnę dać mu przekąski. Chyba nie chcę wiedzieć, co mówią te karty... – powiedziała niepewnie i wstała, robiąc kilka kroków w tył. Spojrzała w bok, gdzie znajdowało się okno. Świeciło słońce, a dzieci biegały po ulicy za piłką, co było dość częste w trakcie lata i doprowadzało kierowców do szału (piłka częściej niż powinna, znajdowała się na jezdni). Bukszpanowe żywopłoty ciemniały w promieniach słońca, niczyj pies obwąchiwał kontener na śmieci, ktoś wygrzewał się na starej, zielonej ławce, z której schodziła już farba. Znała ten widok, nie przepadała za nim – według niej był monotematyczny, niespecjalny i wzbudzał u niej jedynie odruch wymiotny. Była osobą, która chciała czerpać z życia garściami i widzieć piękne, nieszablonowe rzeczy, a polskie brukowisko nie imало się jej wizji.

– Siadaj, dzieciaku, siadaj i nie porównuj mnie do tego sierściucha – krzyknęła po dłużej się ciszy, na co Zuza wyrzuciła oczami i padła na starą kanapę, z której wzbilo się trochę kurzu. Kichnęła. – Zawsze miałaś cztery asy, teraz masz tylko asa pik, więc będziesz zdrowa jak ryba, ale masz też dziewiątkę pik, która jest zła dla naszych planów... Razem oznaczają żalobę. To nie koniec, nie przerywaj mi – westchnęła, gdy blondwłosa otworzyła usta. – Walet pikowy i treflowy mówią o kłótni w związku, ale ty nikogo nie masz, więc karty chcę ci przekazać, że w kwestii uczuciowej nic ci się nie polepszy, skarbie, ewentualnie pogorszy... Reszta kart ci służy; zdrowie, docenią cię w pracy, przydarzy ci się coś dobrego i zaskakującego...

Zuzanna przełknęła ślinę i zmarszczyła brwi, kierując spojrzenie na błądzącą ścianę. Zaciśnięła swoje zbiegłe usta i tkwiła w ciszy, próbując przeanalizować wróżbę. Alicja spojrzała na nią wyczekująco, z lekką niecierpliwością szturchając nogą o nogę tej drugiej. W końcu z ust dziewczyny wyszło stanowcze:

– Losuję jeszcze raz.

– Nie ma mowy, zasz zasady... – warknęła Alicja układając karty w równy stosik i odłożyła je jak najdalej od rąk blondynki. Karcąco uderzyła ją w dłoń, gdy ta próbowała sięgnąć po talię – raz na pięć tygodni mogę jeszcze tylko przeczytać twój horoskop.

– Dobra – mruknęła i schowała twarz w dłoniach, czekając, aż przyjaciółka znajdzie jej znak zodiaku w książeczce. Włosy spłynęły jej po ramionach niczym złote fale, a srebrne bransoletki zaświergotały, zsuwając się z nadgarstka.

Alicja miała dwadzieścia trzy lata i od kilku lat lubiła bawić się we wróżby, (chwilowo tylko Zuza była jej stałą klientką, ale wierzyła w rychły sukces przyjaciółki). Znały się od prawie czterech lat, a to za pośrednictwem ich mam, które uwielbiały razem piec i czynnie uczęszczały na spotkania osiedlowego kółka cukierniczego. Aktualnie były w trakcie otwierania własnej cukierni.

– Strzelec na ten tydzień: Na początku przyszłego tygodnia niespodziewanie przyjdzie ci wrócić myślami do wydarzeń z przeszłości – choć wydawało się, że etap życia związany z nimi został już zamknięty na cztery spusty. Wspomnieniom towarzyszyć będzie przygnębiający nastrój.

– Dziękuję. Idę udawać, że mnie tu nie było i że tego nie słyszałam – burknęła, po czym wstała, otrzepując spodnie. Zarzuciła plecak na pięcie i ruszyła w stronę szarych, oklejonych kolorowymi naklejkami drzwi.

– Dziewczyno, każdemu się zdarza zły horoskop czy złe karty... Za długo pozytywnie ci wróżyłam – zaśmiała się brunetka, znacząco pukając palcem w czoło. W jej niebieskich oczach czaiło się rozbawienie. – Może następnym razem będzie lepiej!

– Może. Wywróż sobie teraz pieniądze na nowe karty, bo te ci się zepsuły – mruknęła, niezbyt przekonana słowami Alicji. – Idę do domu, Wandal pewnie pozdzierał mi już wszystkie zasłony, nieznośny kocur!

– Odkąd go masz, mówię ci, że jest przeklęty! – wyrzyczała za zbiegającą po schodach zielonooką i zachichotała, chowając karty w szufladzie.

Znalazły Wandala trzy lata temu w opuszczonej szopie przy granicach miasta, jako małego i spokojnego kocurka. Był sam, pewnie zabłąkał się albo ktoś go tam zostawił. Niesamowicie głośno miauczał, gdy dziewczyny w końcu go złapały, ale był bardzo potulny. Jego czarna sierść błyszczała w świetle zachodzącego słońca, a ciche pomruki brzmiały jak wyrazy wdzięczności. Dopiero gdy się oswoił, ujrzały w nim wcielenia diabła, ale Zuzka kochała go całym sercem (a on czasami kochał ją, pewnie głównie dlatego, że go karmiła), mimo że często po prostu robił jej na złość.

Przeszła szybkim marszem kilka przecznic i zatrzymała się dopiero przed osiedlowym sklepikiem. Biały tynk odpadał z budynku, a stary szyld wisiał przekrzy-

wiony, bardziej odstraszać potencjalnego klienta, niż zachęcając go do wejścia. Mimo to weszła do niego, słysząc cichutki dźwięk dzwoneczka. Radio trzeszczało w kącie, nie mogąc złapać stacji, a znudzona ekspedientka piłowała paznokcie, żując gumę. Zuza szybko podeszła do stoiska z przysmakami dla zwierząt i zaczęła poszukiwać wzrokiem ulubionych łakoci Wandala. Musiała chwilę zastanowić się nad tym, które kupowała ostatnio, a które kocur lubi bardziej. Chwyciła woreczek kulek mięsnych i odwróciła się w stronę kasy, chcąc załatwić to jak najszybciej. Złapała ciekawskie spojrzenie, które paliło ją od kilku chwil, należące do chłopaka stojącego kilka metrów dalej i raptownie zatrzymała się w pół kroku. Potknęła się o wystającą płytkę i poleciała w stronę półki z papierem toaletowym, wymachując rękami. Nienawidziła swojej wrodzonej niezdarności. Złapała się metalowego szkieletu sekundę przed katastrofą. Przymknęła oczy i z nosem wepchniętym w opakowanie papieru, policzyła do trzech i wycofała się z przekąskami w jednej ręce, drugą unosząc, by zasłonić spłonione policzki. Nie chciała otwierać oczu, zwłaszcza że chłopak chichotał, ale zrobiła to, by nie wpaść na coś jeszcze, albo nie skończyć na brudnych kafelkach. On naprawdę chichotał, wpatrując się w nią jeszcze intensywniej. Kordialny uśmiech uwidaczniał jego ostre rysy twarzy i dołeczki w policzkach, a opalona skóra promieniała z rozbawienia. Sytuacja była zbyt żenująca nawet na to, by otworzyć choć jedno oko. Odwróciła się i szybkim krokiem podeszła do kasy dłuższą drogą, między innymi półkami, by nie słyszeć chichotu, który i tak dudnił w jej uszach. Zapłaciła i wybiegła ze sklepu.

Dopiero wbiegając po klatce schodowej, Zuzanna zrozumiała, że czeka ją bardzo długi i pechowy miesiąc. Głupie, głupie karty. Przeklęte gwiazdy.

Każdy w życiu ma moment, w którym kwestionuje swoją wiarę, zwykle jednak do niej wracając, czasami odwrotnie – na stałe ją porzucając, by skupić umysł na czymś logiczniejszym i bardziej przemawiającym. Pierwszą dziurę w całym Zuza dostrzegła, gdy w środku lata złapała paskudną grypę i czuła się, jakby ktoś wyciął jej dwa tygodnie z życia, gdzie przecież jej karty wyraźnie mówiły, że będzie zdrowa i w tej kwestii nie ma powodu do obawy. Od razu zasypała zalem Alicję, naciskając na ponowne wróżenie, bo z tamtym było totalnie coś nie tak. Starsza jednak nic sobie z tego nie robiła i jawnie ignorowała osiemnastolatkę, trochę stroniąc od jej towarzystwa (głównie po to, by się nie zarazić).

Punktem kulminacyjnym jej zwątpienia, było jedno, sierpniowe popołudnie. Nastawiona niechętnie do wszystkiego, co ją otaczało i nieprzekonana do istnienia jakiegokolwiek formy szczęścia, nie za bardzo miała ochotę na opuszczanie swojego ciasnego, dusznego pokoju, w którym niewiele brakowało, by zakwitła. Myślała dużo o duszach i tym, jak jej babcia zwykła powtarzać, że każdy na świecie ma swojego bratniego ducha. Mówiła również o tym,

że prędzej czy później los połączy ze sobą dwie snujące się dusze, by mogły resztę życia spędzić obok siebie i nigdy nie będzie to oczywiste, ale zawsze stanie się w odpowiednim momencie naszego życia. Świadomość dwojga ludzi jest jak mniej zabójcza wersja świeczki i ćmy; potrafią bytować samodzielnie, ale koniec końców lądują w swoich ramionach. Dwa dopasowane do siebie światła, tworzące swoisty kalejdoskop wrażeń...

Tego popołudnia poczuła impuls. Coś kazało jej wstać, wsunąć stopy w tenisówki i wybiec przed blok. Docelowo chciała usiąść na spróchniałej ławce i spojrzeć w błękitne, bezchmurne niebo. Przeskakiwała kilka schodków naraz, chcąc odetchnąć świeżym powietrzem, jak najszybciej i do przewidzenia było to, że nie wszystko może pójść po jej myśli. Jej stopy zaplątały się w długie, niezawiazane sznurówki i runęła u spodu schodów, uderzając ręką o ciężkie drewniane drzwi, o które ostatecznie oparła się, gdy otrząsnęła się po upadku. Rozmasowała obolałe kolano i łokieć, głowę wspierając o zimną strukturę drzwi. Oddychała ciężko, próbując dojść do siebie, jednak nie było jej dane – drzwi otworzyły się z rozmachem i wpadła do mieszkania, jej plecy przywierały do nieprzyjemnie chłodnych kafelek, a wzrok wbiła w sufit, czując, jak jej policzki dorodnie pąsowieją. Spojrzała w bok, od razu żałując, że spadając ze schodów, nie straciła przytomności, bowiem nad nią stał, dosłownie z identycznym wyrazem twarzy – chłopak, który widział jej walkę z grawitacją w sklepie.

– Byłem przekonany, że ze schodów zleciał worek ziemniaków – powiedział, wyciągając w jej stronę dłoń, którą niepewnie przyjęła. Dłoń, przez którą poczuła milion iskierek idących wzdłuż jej kręgosłupa i ujrzała przed oczami miękkie, jowialne światło. Pomógł jej wrócić do pionu i uśmiechnął się, uwydatniając dwa, głębokie dołeczki. O ile to możliwe, był opalony jeszcze bardziej, tym razem jednak na jego twarzy gościł niepokój. – Wszystko w porządku? – zapytał z przejęciem. Powoli poruszyła głowę, wypuszczając ciche „Tak” z ust i rozejrzała się dookoła. – Chcesz może żelka? – wyciągnął w jej stronę opakowanie słodkości, szczerząc się zachęcająco. Poczęstowała się słodyczem i odwzajemniła uśmiech, czując, jak jej serce wypełnia spokój. Zaskakujące było dla niej wrażenie, że znajduje się na miejscu i to właśnie pod te drzwi prowadziły ją jej niezdarne nogi.

Tego popołudnia i przez wszystkie następne w jej głowie nie było już gwiazd i kart, którymi warunkowała swoją egzystencję. Widziała za to światło, bijące od dwóch złączonych dłoni, których nie przewidywały przecież wróżby, ani nie grzmiał o nich horoskop.

*Patrycja Gotfryd*



## Księgarnia na rogu

Przystając przed oknem wystawowym, poczuła się jak bohaterka jednej ze smętnych dziewiętnastowiecznych powieści, tych, w których dzieci głodowały i umierały, zdążywszy jednak przedtem przekazać czytelnikowi zbawienny morał. Ich nudny realizm mimo wszystko tchnął nieodpartym czarem – może dlatego, że realizmem dla niej już nie był.

Dziecko z nosem przyklejonym do szyby piekarni. Chmurka ciepła rozstapiająca się na szkle; powoli, prawie niezauważalnie, ale wytrwale poszerzająca swoje terytorium. Nieregularny obrys zamykający w sobie okno do innej rzeczywistości. Kontrast, na którym opiera się odczuwanie świata: szczypiący w policzki mróz i ciepły zapach chleba.

Albo: dziecko uparcie zapierające się nogami o szarą płytę chodnika, wykręcające głowę, ciągnące za rękę matkę w szarej sukience, zbyt zmęczoną, żeby odwrócić się albo zaprotestować gwałtowniej. Codzienna walka, z góry przesądzony rezultat. Kilka chwil, w trakcie których oczy dziecka chłoną kolorowy świat nierzeczywistych lalek, koni na biegunach i drewnianych pajacyków. Zwisająca bezwładnie z dłoni dziecka stara szmacianka, symbol pragnień, które zawsze sięgają o krok dalej.

Może faktycznie nie była już dzieckiem – podejrzewała siebie o to, odkąd nie tylko nie czekała na pierwszy śnieg, ale myślała o nim z niechęcią, jako zwiastunie opóźnień na dworcach i przemokniętych skarpetek – ale z drugiej strony, nie była przecież dorosła. Nie, na pewno nie była dorosła.

Nie całkiem dorosła osoba, przed drzwiami księgarni na rogu, zamkniętej do odwołania.

Wpatrując się w okładki na wystawie, półświadomie zmrużyła oczy, tak, by cień jej kruczoczarnych rzęs położył się smutnym cieniem na bladych policzkach smukłej dziewczyny, odzianej w... No cóż, na dżinsach jej romantyczny realizm się kończył, niestety, wszystkie dziewczęta naszej epoki zaprzepaściły bezpowrotnie szansę na zostanie kobiecą sylwetką klasyki literatury z chwilą, gdy włożyły na siebie ordynarnie nowoczesne niebieskie spodnie.

Książki prężyły z dumą swoje grzbiety, zdawały się kusić ją w milczeniu swoich tysięcy słów, zakneblowane lśniącymi okładkami.

Wolałaby majestatyczne płótno, zbyt dumne, by wabić kogoś wdziękami, zbyt pewne swojej wartości, gwarantowanej przez niepodważalny autorytet kilku liter nazwiska autora i powagę statusu książki. Ale nabłyszczana tektura,

zabarwiona krzykliwymi plamami, też miała swoje zalety, obiecywała pyszną rozrywkę bez zbędnego wysiłku (nawet gdy, na nieszczęście, okrywała dzieła Platona). Westchnęła, cicho żałując, że postęp, przyniósłszy egalitarność pisarstwa i czytelnictwa, stratował w swym bezładnym pędzie część ich kunsztu i poetyki, należnych majestatowi słowa.

Zastanawiała się właśnie, jakim gestem wycofać się z pola tej bitwy o z góry przesądzonym rezultacie – jak zarządzić odwrót tak, aby nie wypadł zbyt melodramatycznie, ale jednocześnie nie pozbawiać go tych subtelnych nici połączenia z bogatą galerią poprzedzających go scenek rodzajowych, dzieci, szyb i szarych sukienek – kiedy nagle ukłucie autoironii kazało jej się uśmiechnąć.

Musiała przyznać, że nie istniało wiele bardziej prozaicznych sytuacji niż ta, gdy kogoś nie stać na zakup czegoś, co posiadłby z chęcią w świecie nieograniczonym prawami kupca i nabywcy. Owszem, bywały i tu kategorie, które niosły ze sobą obiecujący romantyzm, te nierozłączne pary: „chleb i głód”, „zabawka i dzieciństwo”, docierające bezbłędnie do cichego, niezmaconego cynizmem zakamarka serca. Tragizm zawsze przecież niesie ze sobą możliwość romantyzmu, o ile obędzie się go z życia.

Jej tragizm, jak zwykle – jeśli jakiś w ogóle – był dużo późniejszego gatunku, tego, którym określa się kilka łez uronionych z irytacji nad obrazami kiedyś pewnych wizji z przyszłości, które stały się majakami nieziszczonej przeszłości.

Albo przez pewien rodzaj równania: zamknięte biblioteki i stracona dorywcza praca, z których w niezawodnym akcie dodawania wychodzą książki oglądane na wystawie i „Dżuma” czytana po raz trzeci.

Zrezygnowała ze znaczących gestów, bo puste ulice nie są wdzięczną publicznością. Odwróciła się szybkim ruchem i skręciła w swoją ulicę, szarpnąwszy siatką z zakupami. Ale nie mogła nic poradzić na nagłą tęsknotę, która podstępnie wkradła się na puste wcześniej, wyjałowione rutyną miejsce.

Tęskniła nawet za tym pytaniem „Czy pani kupuje tę książkę?”, które było jak „akuku, mam cię” księgarnianej gry. Głos szorstki, przynaglający, nutka pogardy – ten rodzaj znaku zapytania na końcu zdania, który wyraża niczym niezmaconą pewność odpowiedzi. Tęskniła za tymi rzadkimi okazjami, kiedy mogła odpowiedzieć, podnosząc wzrok bez rumieńca wstydu – „tak, dziękuję, gdzie są kasy?” (oczywiście, że wiedziała; ten znak zapytania również nie prosił o odpowiedź, był słodką niewinną zemstą nowo nabytej władzy – bo władza nabywca jest całkiem potężną mocą, i ona również, jak każdy rodzaj władzy, opiera się na złocie).

Niebo było szare i nieciekawe, lepiej zostać w domu, zdawały się mówić kłęby mętnie burch comulonimbusów. Uśmiechnęła się.

W mieszkaniu ustawiła na stole wszystkie książki, które wyznaczały rytm jej ostatnich dwóch miesięcy. Nawet nie zauważyła, kiedy zaczęły one dla niej oznaczać rzeczywistość pełniejszą, barwniejszą i bardziej obiecującą niż ta za oknem. Literatura przypominała przecież życie, pełna zawrotnie różnorodnych przeżyć na wyciągnięcie ręki, których jedyną wadą jest immanentna nieosiągalność, to, że nigdy się ich nie dotknie, nie wyjdzie poza ledwie wyczuwalną granicę nieziszczonych możliwości.

Wyrównała brzegi stosiku rękami, chłodny dotyk śliskiego papieru był przyjemnie uspokajający. Słowa przesywały się jej przez palce, każde o innej ciężkości, smaku i zapachu. Swojskie jak kakao w kubku z oberwanym uchem, niepokojące jak daleki grzmot, bolesne niczym krótkie pchnięcie lśniącem ostrzem. Słowa w różnych językach, książki, które straciły swoją świeżość przekonywania, zaprzęgnięte w mozolną współpracę ze słownikiem. Grube powieści, poplamione kiślem i okruciami herbatników, które nie przestają zaskakiwać zdaniem, które domagają się koniecznie grubej linii ołówka, udokumentowania zachwyty.

Podręczniki, odłożone z niechęcią na potem. Egzemplarz „Dżumy” jak kiepski żart z kiepskiej lekcji „co literatura o życiu nauczyć potrafi”. Cytaty klasyków, każdy pretendujący do bycia tym jedynym. Style wulgarne, proste, poetyckie, awangardowe i klasyczne, erudycyjne, przeładowane przymiotnikami, składające się z samych czasowników. Poszatkowana składnia, kropki i przecinki w nieładzie.

Podróże na piórze i *viajes literarios*.

Była senna i znudzona, znużenie przychodziło z góry jak ciężki walec, z którym nie warto walczyć. Zgasiła światło, miękka ciemność proponowała zapomnienie.

\* \* \*

Szła z cięższą niż zwykle siatką, nieforemna butelka mleka co krok uderzała ją w udo, uczestnicząc w jej codziennej wędrówce tym wahadlowym ruchem. Lekka mżawka zaciniała czasem ostrzejszym podmuchem wiatru. Oddech stał się krótki pod zwilgotniałym kawałkiem materiału. Lubiłam kiedyś maj, pomyślała z irytacją.

Tylko z przyzwyczajenia, w ostatniej chwili, odgarnęła mokry kosmyk włosów z oczu, żeby spojrzeć na wystawę.

Połowa książek zniknęła. Inne leżały w beładnych stosach, pozbawione dawnej pewności siebie, figlarności i połysku. Wyglądały jak liście na jesieni,

podeptane zabłoconym butem. Pogwałcona świetność królestw, które upadają w przeciągu nocy.

Księgarnia na rogu, swojsko zaadoptowany kawałek wszechświata, zakończyła swoje istnienie, bez zapowiedzi, przemowy pożegnalnej i ostatnich odwiedzin.

*Monika Gurak*

*Dorota Haręźlak*

## Zwierciadło

Puk, puk, puk. Słyszysz?

Spoglądasz przez ramię i patrzysz w lustrzane odbicie swoich oczu. Są pochmurne i nieruchome, kryje się w nich ten sam niepokój, który kłębi się w twojej klatce piersiowej. Kiedy omiatasz spojrzeniem całe odbicie, nie uważasz nic nowego. Ten sam wieszak na płaszcz, przytwierdzony krzywo do ściany na poziomie ramion, ta sama żarówka zwisająca prosto z sufitu, ten sam zestaw ubrań na twojej sylwetce. Wszystko jest identyczne jak było wcześniej, a jednocześnie nic nie jest takie samo.

Puk, puk, puk. W powietrzu znów rozlega się ten sam dźwięk. Odwracasz się i taksujesz wzrokiem skąpany w półmroku przedpokój. Wiszący w kuchni zegar tyka smętnie, ale masz go wystarczająco długo, aby wiedzieć, że nie brzmi on ani trochę jak odgłos, który właśnie usłyszałeś. Przełykasz ślinę z nerwów, co okazuje się błędem – słyszysz niczym przez megafon, jak przesuwa się ona po twojej krtani i spływa przełykiem, odbijając od jego ścian. Wzdrygasz się ze wstrętem i odwracasz na pięcie, aby zbadać drugą część mieszkania w poszukiwaniu źródła dźwięku.

Puk, puk, puk. Twoje odbicie opuszcza rękę, którą ty trzymasz w kieszeni żółtej bluzy.

Oblewa cię zimny pot, a tobie robi się gorąco. Nie jesteś pewien, czy potrafisz podnieść wzrok z odbicia twojej bluzy, nie jesteś też pewien, czy chcesz to robić. Pozwalasz powiekom przysłonić ci obraz i pozostajesz na chwilę sam na sam z ogłuszającym biciem twojego serca. Czujesz, jak panika narasta ci w piersi i kiedy bierzesz głęboki wdech, prawie się nim krztusisz.

Puk, puk, puk. Ktoś tu się niecierpliwi. Zaciskasz w pięści dłonie schowane w kieszeni luźnej bluzy, zatrzymujesz oddech i gwałtownie otwierasz oczy.

Twoje spojrzenie krzyżuje się z identycznym spojrzeniem szarych oczu zwierciadła. Są pochmurne i nieruchome, i przez sekundę wydaje ci się, że

wszystko jest takie samo, ale wtedy odbicie twojej twarzy krzywi się w upiornym uśmiechu, podczas gdy twoje blade usta zaciskają się w ciekłą kreskę. Krew odpływa z twoich policzków.

– To tylko ja – mówi odbicie głosem, który brzmi jak twój, ale jest kompletnie inny. Masz wrażenie, iż coś go zniekształca, tłumi – być może szkło – ale jednocześnie jest on tak ostry i wyraźny, że masz wrażenie, iż przekłuwa ci bębenki w uszach. Odbicie wyjmuje dłoń z kieszeni.

Puk, puk, puk. Potrójny dźwięk zaczyna doprowadzać ciebie i twoją nowo powstałą migrenę do szewskiej pasji.

– Nie sądziłem, że nadejdzie ten dzień, kiedy w końcu usłyszysz moje pukanie – wyznaje twoje odbicie i przekrzywia głowę, a ty przenosisz wzrok na jego dłoń, zwiniętą teraz w pięść i unoszącą się milimetry od tafli dzielącego was szkła. – Stałem przed tym lustrem dniami i nocami, stukałem i pukałem, a ty nigdy nie reagowałeś. Zaczynałem myśleć, że jesteś po prostu głupi.

Puk, puk, puk.

– Przestań! – z twojego gardła wydziera się przeraźliwy skrzek, który rozbrzmiewa echem po pustym mieszkaniu. Łapiesz się za głowę i zatykasz uszy dłońmi, ale pulsowanie nie ustaje. Masz wrażenie, że wręcz nabiera na sile. Twoje odbicie taksuje cię pogardliwym spojrzeniem i uśmiecha się jeszcze szerzej – nie sądziłeś, że to w ogóle możliwe.

– Nie wiem, czy zwrócenie twojej uwagi miało sens – wzdycha. – Jak patrzę teraz na ciebie, to wydaje się kompletnie bezcelowe. Nie sądziłem, że twoja strona lustra jest taka... Taka... – odbicie rozgląda się i krzywi twarz w wyrazie niesmaku. W jego oczach widzisz nieskrywany wstręt i niemal czujesz się urażony, ale twoja głowa nie pozwala ci na głębsze przemyślenia. Masz ochotę oderwać ją i rzucić w kąt, jak najdalej od siebie.

Puk, puk, puk. Szlag cię zaraz trafi.

Na twarz odbicia powraca szeroki uśmiech pełen białych zębów. Wbrew twoim założeniom nie są zaostrome – chyba naoglądałeś się za dużo horrorów. Są zaokrąglone i błyszczące, dokładnie takie jak twoje, ale coś w nich cię niepokoi. Nie wiesz co, ale coś na pewno.

– Jesteś niesamowicie sztywny, wiesz? Musimy cię rozruszać.

Twoje złe przeczucia spełniają się, kiedy odbicie unosi drugą rękę i sięga w stronę włącznika światła, który wisi na ścianie po jego stronie tafli, w dokładnie tym samym miejscu, w jakim wisi twój identyczny włącznik. Ale nie naciska on swojego włącznika.

Nie, naciska twój. A potem zapada mrok.

W powietrzu obok czujesz czyjaś obecność.

## WIERSZ

Nie spotkałem w swoim życiu kobiety najpiękniejszej, a sporo osób mówi o takiej przynajmniej raz na kwartał. Do niej samej to mówią. Że najpiękniejsza. Ja bym tak do ciebie w życiu nie powiedział. Każdy mężczyzna i każda kobieta ma ten jeden gorszy profil i w tej kwestii nie jesteś żadnym wyjątkiem. Znajomość bliższą z tobą rozpoczynam przede wszystkim ze względu na ciekawość siebie – ciekawość zmian, które u mnie nastąpią, kiedy będziemy już nie w pojedynkę, ale w uporczywe „dwoje”, „wspólne”, „razem do grobowej deski i wysuszenia szkieletów”. Bo będę chciał z tobą coś stworzyć, jakąś trzecią postać, która wyniknie z naszych stanów nie do pogodzenia. I ona, ta trzecia, będzie szkaradztwem i zemści się na nas za swoją brzydotę, irytującą niekonsekwencję. I będziemy zapominać siebie nawzajem, i nie wrócimy już nigdy do dawnych dyskusji, używek (niepotrzebne skreślić). Tak rozwiódłem się z tobą, zanim jeszcze cokolwiek z siebie wydusiłem. A w życiu bym ci czegoś takiego nie powiedział, przecież wiesz.

W I E R S Z

Wchodzi do mieszkania, na które, owszem, sam zapracował, ale i tak wstyd. Wstyd zwyczajnie tu kogokolwiek zapraszać, dlatego lwia część dnia spędza na spacerach. Mój właściciel – stokrotny nieudacznik, płynie mu oblicze niczym źle przechowywany fresk Michała. Przewraca się chrystusowo na wykładzinach, gnieździe niezliczonych schorzeń, a wstając, za każdym razem, uderza głową w za nisko powieszony żyrandol. Głowa boli go przez to jeszcze bardziej, a mowa płynie jeszcze bardziej spazmowo: „Psie, kochany mój, drogi mój psie, obroń mnie przed rzeszą najeźdźców chowających się w mydelniczkach.” Dostrzegam, że nie zamknął drzwi wejściowych. Wybiegam więc prędko na klatkę schodową, zostawiam pana i słyszę, jak znów potyka się o jedną z wykładzin. Niech nie wstaje tym razem. Proszę.

W I E R S Z

„Drodzy rodzice, oświadczam. Od dziś jestem w relacji z bardzo nieodpowiedzialną kobietą. Jesteśmy, w zasadzie, oboje bardzo nieodpowiedzialni. Uprawiamy seks wolny od waszych o nim wyobrażeń. Stosujemy narkotyki. Dużo. Twardych. Mieszkamy poza miastem, na jakiejś pustyni... błędowskiej (?), bo błądzimy tam bez przerwy, jemy tylko piasek. Pijemy z rzeki, odpływ zna-

leżliśmy, a nawet nie wiemy, czy rzecz jest zdatna do picia. Gdybyście słyszeli głośną muzykę, musicie wiedzieć – to my. Oczy krwawią nam od buntu. Bardzo was nie lubimy, a nocami, na potęgę plotkujemy o was. Nie wracam, rodzice.”

W I E R S Z

Posiwały pan Szeneton miewa często nieczyste sny. W wielu z nich występuje jego własny ogrodnik. *W standardowym śnie przyłapuje ogrodnika na kradzieży, po czym nadyma się nad nim trzymając pejcz – Szeneton zaczyna kuriozalnie: „wiem doskonale, co masz w kieszeniach, co chowasz w swoich obłoconych spodniach.”* Orodnik odpowiada mantrą: *„od czterdziestu lat pracuję tu, dwadzieścia pięć lat zaś doglądam sadu.”* „Milcz węzowniku” – to znów Szeneton mówi – *„lepiej patrz, co teraz zrobię z twoją córką”*. Warto dodać, że w momencie, gdy ta kwestia pada, rzeczona córka ogrodnika stoi już w pobliżu. Szeneton śni i ściska mocno pościel, niezwykle mocno ściska obok śniącej żony. A właśnie pani Szenetonowa bardzo martwi się o męża. Gdy bowiem prowadzą razem jakąś akcję charytatywną, jakąś audycję uświadamiającą lub aukcję dla potrzebujących, mąż na dłuższą chwilę oddala się i oddaje się wolnemu, cichemu spacerowi. Żona podejrzewa u męża starczą apatię, a mąż w tym czasie ulega fantazji:

„To zabawne, bo wydaje mi się, że ten przerośnięty pejcz był na długość całego sadu.”

W I E R S Z

Literat żył stosunkowo krótko. Słabł przy świetle zgaszonym i po ścianach ciskał myślami w gryzmołonym konturze. Tchnień momentów dotykał, one dyszały i parzyły, aż musiał cofnąć w końcu zimno-białą dłoń. Słabł bardziej, a słabły także jakiegokolwiek cienie, w ciele słabym pisał wiersze – słabe sromotnie, nie czytałem nigdy gorszej poezji. Zwracał się on z uprzejmą prośbą o zaprzestanie dźwięków, prosił w zamian za to o dyktat ciszy stepowej. Uznawał myślotok za mrowie, w którym pełno elementów nieistotnych, w którym goreje natura skryta, w każdym zbrodniarz, sadysta, papież w kościele własnej pychy, zwolennik szybkiej miłości. Te wszystkie postawy kuszące – zwłaszcza podczas nudnego bezruchu w poczekalni do dentysty – musiały ponoć zginać, niestety, zostawione przed progiem Raju, gdzie ponoć skup zwrotnych butelek i wykrzyk na przemiał. Literat słyszał same wykrzyki na przemiał.

## Trzy Słowiki

W samym środku starego lasu mieszkały trzy słowiki. Szary słowik latał z gałęzi na gałąź, śpiewając wszystko, co mu wiatr do ucha przywiał. Inne ptaki z radością słuchały szarego słowika, śpiewając wraz z nim chwytliwe melodie. Słowik zielony śpiewał tylko po zmroku, gdy promienie księżycy przedzierały się przez liście najwyższych drzew. Jego pieśni były długie i zawile. Gładki świergot sprawiał, że inne ptaki zatrzymywały się i nasłuchiwały, zamyślając się, jednak po chwili trzęsły łebkami i leciały dalej. W tym lesie mieszkał też błękitny słowik. Zawsze nasłuchiwał pilnie wiatru, jednak ciągle był niezadowolony. Nie mógł znaleźć melodii, która porwałaby jego stare, słowicze serce. Inne ptaki nie zwracały już uwagi na błękitnego słowika, który całymi godzinami siedział na najwyższej gałęzi, nasłuchując najcichszych nawet westchnień wiatru.

Dni mijały, minęła jesień, zima, nadeszła wiosna, a wraz z nią wieść o przybyciu do lasu dawno niewidzianego Puchacza. W okolicy wrzało. Ptaki zdobyły swe gniazdka, straszyły piórka i przygotowywały leśne ostępy na przybycie znamienitego gościa. Mówiono, że Puchacz ma niesamowity słuch, że słyszy wszystko, co się dzieje w lesie, postanowiono więc urządzić specjalnie na jego cześć konkurs ptasiej piosenki. Zdecydowano wspólnie, że zwycięzcę wybierze sam Puchacz. W lesie zawrzało jeszcze bardziej. Wszystkie ptaki śpiewające, kraczące, a nawet brodzące ćwierkały, krakały i klekotały całymi dniami. Słowiki latały w najdalsze zakątki, by w ciszy słuchać wiatru. Słowik szary pochwycił pierwsze dźwięki niesione przez wiatr i po niedługim czasie był już gotowy. Słowik zielony długo słuchał wiatru, kolejne dźwięki zgrywały się w frazy, które świergotał tak długo, by powstała harmonijna całość. Był gotowy. Słowik błękitny czuł powiew różnych wiatrów, z różnych stron, jednak to wciąż nie była ta jedyna, wspinała melodia, która poruszyłaby zarówno serce Puchacza jak i wszystkich mieszkańców lasu. Błękitny słowik rwał wyblakłe piórka z piersi, ale melodia wciąż nie była idealna, nie była gotowa.

Nadszedł długo wyczekiwany dzień. Ptaki od rana były gotowe na powitanie Puchacza. Słońce wysoko wisało na niebie, a Puchacz się nie zjawiał. Nadszedł wieczór i większość ptaków powróciła do swych gniazd, by utulić pisklęta do snu. Zapadła noc. W lesie panowała całkowita cisza. Po chwili zza chmur wyłonił się księżyc i nieśmiało przebijał się przez gęste gałęzie. Zielony słowik popatrzył w niebo i z cicha zaświergotał:



*Gdzieś za górą złotą  
Gdzie nie sięga wzrok  
Rośnie piękna jabłoń  
Rozświetlając mrok*

Jego dźwięczny, delikatny głos rozchodził się echem po całym lesie. Wiatr zamarł. Wtem bezdźwięcznie na drzewie obok wylądował Puchacz. Zielony słowik był tak pochłonięty śpiewem, że nie zauważył wyczekiwanego gościa i śpiewał z przejęciem dalej, coraz śmiej rozwierając dziobek:

*Tam możesz się schronić  
Troski porzucić swe  
Jak tylko zaśpiewasz  
Zmieni się życie twe.*

*Liii lili laj  
Jabłoń rośnie blisko  
Lili lili laj  
Wyśpiewaj jej wszystko...*

Puchacz zmrzążył oczy z zachwytu. Odetchnął głęboko, rozluźnił się i spokojnie nabrał oddechu. Popatrzył w dal i zamyślił się.

Wtem na sąsiednią gałąź wyfrunął szary słowik, wystukał nóżką skoczny rytm, po czym ćwierkał pełną piersią;

*Rano wstaję  
Gdy słońce po oczach daje  
Myję pióra  
Obok biegnie wiewióra*

Zaciekawione ptaki wyjrzały z dziupli. Szary słowik, zachęcony takim zainteresowaniem, zaczął tupać głośniejsz i ćwierkał dalej;

*Już gotowy?  
A teraz w górę głowy  
Razem zaśpiewajmy  
Ćwir ćwir kra kra kra*

*Mocno się bujajmy  
Ćwir ćwir kra kra kra  
Wszyscy bez wyjątku  
Ćwir ćwir kra kra kra  
A teraz od początku*

Ptaki powylatywały z gniazd i dziupli, dobrze znały tę melodię, tyle razy słyszały ją w lesie. Otoczyły szarego słowika i razem z nim zaczęły powtarzać kolejne wersy. Wróble skakały, dzięcioły wystukiwały rytm dziobami, a inne ptaki bujały się do rytmu. Cały las wypełnił się głosami ptaków różnych gatunków. Nawet małe pisklaki ruszały do taktu puchatymi główkami. Szary słowik ćwierkał coraz głośniej i głośniej. Ptaki bujały się coraz bardziej i bardziej.

Puchacz rozłożył skrzydła i bezgłośnie uniósł się w powietrze. Przeleciał nad roztańczonym lasem. Na skraju leśnych ostępów dojrzał tylko bładoniebieskiego ptaka siedzącego na czubku sosny. Puchacz wzbił się ponad chmury i pohukiwał cichutko:

*Tam możesz się schronić  
Troski porzucić swe  
Jak tylko zaśpiewasz  
Zmieni się życie twe.*

*Lili lili laj  
Jabłoń rośnie daleko...*

*Dominika Kocot*

*Dominika Kraska*

## **Młodym trzeba mecenatu, czyli jak wyjść poza formę?**

Nie chcę pisać tego felietonu. Nie teraz, nie dziś, nie o tej godzinie. Może w innym miejscu będzie lepiej. Może przeniesienie z punktu do punktu sprawdzi tę monumentalną wenę, teoretycznie mającą zrobić wszystko za mnie. Weno, proszę... Łzy mi płyną, ręce się trzęsą, w głowie pustka. A ty, głupiutka weno, nadal nie pukasz do drzwi. Albo chociaż w szybę... Nawet małym

kamyczkiem o nią uderz, to od razu sto słów wpadnie do głowy; no, może bardziej na kartkę, bo czy cokolwiek z nich zostanie głębiej?

Szesnastolatka wybiera nowe biurko. Ze smakiem, w stylu minimalistycznym, acz cieszącym oko. Mebel ma tylko jedną wadę, którą owa młoda osoba zauważa. Miesza to jej uczucia. Kilka zbędnych szuflad, w ogóle nie wpasowujących się w jej wizję i, prawdę mówiąc, po prostu niepotrzebnych. Po co szuflady w biurku, skoro pierwsza wizja opierała się na minimalizmie? Niechciany zapychacz, złodziej przestrzeni, gość, dla którego nie przewidziano nakrycia. Cóż; w imię reszty, niezastąpionej przez żadną inną opcję, zgadza się na nie, choć tak czy inaczej doskonale wie, że wszystkie rzeczy schowa do stojącej obok komody. Myśli: może przydadzą się na jakieś papierki. Tego przecież zawsze dużo, a nie wiadomo właściwie, gdzie to wszystko podziać. Uznaje je za bonusowy koszt na śmieci; śmieci paradoksalnie potrzebnych, chcąc nie chcąc – koniecznie gromadzonych, bo zawsze mogą się przydać, choć nikt nie wie kiedy i w jakim celu. Kartkówka z matematyki z poprzedniej klasy – bo względy sentymentalne, miło wspomnieć dawną nauczycielkę i przypomnieć sobie o wartości jej pracy; nieprzeczytany regulamin – bo może kiedyś będzie trzeba powrócić do drobnego druku na samym dole strony; instrukcje obsługi dołączane do produktów – bo nieumiejętność może dopaść nawet w kontakcie z najprostszym urządzeniem. Mija kilka miesięcy, szuflady się zapełniają, może jednak znajdując bardziej konkretne przeznaczenie. Owszem, lądują w nim stopy skrawków papieru, czasami wypełniony zeszyt, wydruki... Ale to wszystko twórczość właścicielki biurka. Stało się czymś więcej niż nie do końca satysfakcjonującym meblem; okazało się odbiorcą, tym najbardziej cierpliwym, tym przyjmującym bez zbędnej krytyki, nigdy nie mającym przesytu. Papierki wypełniały się literkami, czasami barwnymi plamami. Wrzucone do szuflad, zlewały się w całość. Miały się tam dobrze, przytulne wnętrza szuflady zachęcało i wcale nie chciało wypuszczać ich na wolność. Paradoksalnie, niepotrzebne półki stały się istną klatką dla właścicielki, nie mieszczącą w sobie jej skrzydeł; dlatego musiała zwinąć je w nieregularną kulkę, do złudzenia przypominającą zgniataną kartkę. Dorastająca kobieta, jej własny wybór i brak propozycji modyfikacji mebla ze strony odpowiedzialnych za jego sprzedaż, to dzisiejszy świat młodych. Młodych, którzy albo nie chcą próbować, albo zniechęcają się, zostawiając wszelkie wychodzenie poza konwenanse w granicach, co najwyżej, własnego pokoju.

Dzisiejszy świat nie rozumie. Dzisiejszy świat to formalista. Dzisiejszy świat opiera się na „mieć”, a nie „być” i wcale nie chce tego zmieniać. Era hybrydowych paznokci i bezprzewodowych słuchawek zawładnęła, wlatując ponad

wszystko to, co mogłoby ludzkość uduchowić. Dzisiejszemu światu brakuje ducha. Jaką właściwie mamy teraz epokę? Epokę wszechobecnego epigoństwa czy może epokę ideologicznego agnostycyzmu? Dzisiejszy świat to miejsce, gdzie nie ma miejsca na choć krztę metafizyki. Tylko forma, forma, forma... Ale gdzie źródło?

Źródło pojawia się w skazie fundamentu. Nie zwraca się uwagi na to, czy jest pęknięty, skruszony, nawet może wybrakowany. Stawia się kolejne kondygnacje, by z parteru wyrósł drapacz chmur. Dzisiejszy świat chce dążyć do tego, co niezdobywalne, ale brak temu ducha. Zegarek, dźwięk pantofli uderzających o posadzkę, nerwowo poprawiany krawat i neser pełen ważnych dokumentów. Tak wygląda wieżowiec. W mojej subiektywnej, może nieco naiwnej i wyidealizowanej wizji, brakuje tam naprawdę dobrego zegarmistrza, zmiany eleganckich butów na ciepłe skarpetki, szczypty zwykłego, ludzkiego luzu i trochę innego charakteru papierków. Może na przykład tych, które młodzi gromadzą w swoich biurkach, niechcianych szufladach? Nie sięga się po nie, bo to wysypisko śmieci. Trzeba będzie w końcu opróżnić szuflady na rzecz niebieskiego kontenera. I opróżnić głowy młodych, żeby przypadkiem nie odważyli się marzyć. Bo po co dawać możliwości, po co silić się na duchowy mecenat wobec ich działań, skoro można wlać ich w formę? Nie ma potrzeby poszerzania horyzontów. Zdłudny rozwój opiera się na tym, by dać młodemu podręcznik, kilka dodatkowych źródeł i wymagać od niego wiedzy. Trzeba po prostu, kolokwialnie mówiąc, olać wszystko. Zniszczyć chęci na sięganie dalej, bo to za trudne i czasochłonne. A w tym wszystkim, wymagać teoretycznego formowania, nabywania mądrości, nie dając żadnego wsparcia. Tego rodzaju wsparcia wzmagającego w młodych potrzebę tworzenia, potrzebę podlegania konstruktywnej krytyce, ale też słowu pokrzepienia. Po co niewymierna ocena działania młodego człowieka, fundamentu przyszłego świata, milczenie i brak reakcji na działania wyzwalające z powszechnej formy? Lepiej docenić formalistów, a nie tworzących nowy świat, własny świat. Dlatego, jeśli ktoś się na to sili, jest zmuszony zamknąć go w szufladzie. Dzisiejszy świat zdominował brak prób lub próby spełzające na niczym, niecenione przez tych wyższych. Po co młodym działanie, skoro w nikim nie znajdują prawdziwego autorytetu? Skoro każdy, chociażby mimowolnie, hamuje w nich prawdziwy rozkwit, przycinając gałązki, z których w przyszłości wyrosłyby najpiękniejsze kwiaty? Same chwasty zostają. Tworzy się tylko system autonomiczności, każdego zamyka się za nieprzekraczalną granicą, co jest blokadą dla rozwoju tych, którzy swoich pięciu minut jeszcze nigdy nie mieli. Sama należą do swojego rodzaju społeczności, gdzie sięga

się po potrzeby nie tylko czysto pragmatyczne. To nieliczna społeczność na jednym z serwisów medialnych, poszukująca swoich dróg w poezji. Śledzę ją, w pewnym sensie uczestniczę też, już ponad rok. A mechanizmy nie zmieniają się w ogóle. Ci, którzy docierają do najszerzego grona, traktują pozostałych z góry, szanując tylko podobnych sobie. A pozostali to po prostu pozostali, drugi krąg z marginesu. Nie da się przekroczyć tej granicy, bo każdy z wymienionych kręgów stroni od interakcji z drugim, choć, wydawałoby się, to rodzaj społeczności potrzebujący takiej wymiany.

Młodzi potrzebują głosu zachęty, pozytywnej motywacji, prawdziwego, nie tylko złudnego poszerzenia horyzontów. Można byłoby rzec, że to przecież łatwe. Ale młody umysł zniechęca się, nawet do przeczytania książki o kilkuset stronicach, jeśli widzi, że nikt nie pogłaszcze go po głowie, kiedy już dobrnie do końca. Kiedy wie, że nie będzie mógł zwrócić się z tym do nikogo, ponieważ znajomi już znudzeni są, kolokwialnie mówiąc, „artystycznymi odlotami”. Szukają autorytetów... Tylko jak? W ostatnich dniach małopolska kurator oświaty Barbara Nowak poprosiła, by w ramach zakończenia roku szkolnego i nagród otrzymywanych za dobre wyniki, uczniowie dostawali książki wielkich Polaków i o wielkich Polakach. Tym samym, wzburzyła się na słowo o Tokarczuk. Skąd więc młody weźmie autorytet, skoro polska noblistka nie zalicza się, w umysłach osób podejmujących decyzje o całym narodzie czy nawet głowy państwa, w poczet wielkich rodaków? Może, w takim razie, ustąpi w podręcznikach miejsca tylko klasycznemu, niewspółczesnemu tekstom, by wzbudzić w młodych świadomość o braku możliwości sięgania dalej w dzisiejszym świecie? Niektórzy raczą się lampką wody, a niektórzy wino piją ze szklanki. Bo co to za różnica, skoro czy kieliszek, czy filiżanka – to jedno szkło? Młodemu trzeba wewnętrznego mecenatu. Pokazania, że filiżanka może być porcelanowa, a nie prowadzenia w konwenanse owocujące złudnym sukcesem. Pokazania, że współcześni też kiedyś będą tworzyć przeszłość, minione epoki dla potomnych. A przecież nikt nie chce, by historię czy osiągnięcia czasów współczesnych uznawano za kolokwialną ciemnotę, by zamykano ją w szufladzie, kreując osobliwy ciemny punkt? Nie można traktować młodych łopatologicznie; trzeba wesprzeć, by wiedzieli, że ktoś rzeczywiście czeka na ich działanie. To jedyna droga, która pozwoli nam, młodemu, na ich podejmowanie. Inaczej będziemy skazani na czekanie na wenę, tę osobliwą i mityczną inspirację, która sama i tak nigdy nie przyjdzie. Bo czy w ogóle cokolwiek można definiować jako wenę? Wątpliwe. „Weną” powinno być w młodym człowieku wewnętrzne przekonanie, iż nawet jeśli nie chce czegoś robić, musi zacząć, ponieważ może wpłynąć na własny los.

Ale skąd wyrzesać to przekonanie, skoro brak zwykłego, codziennego słowa poparcia działań od tych, którzy może sami kiedyś go nie dostali? Czy to nie tak, że człowiek powinien uczyć się na błędach, spoglądając chociażby na pokolenie wstecz? Chyba się tak nie da, skoro próby zamyka się w mikro-wysypiskach, kosztach na śmierci, w szufladach biurka.

Nie chcę pisać tego felietonu. Ale właśnie stawiam pod nim ostatnią kropkę.

*Dominika Kraska*

*Katarzyna Krzykawska*

## Ona

Wiecznie niezadowolona dziewczyna z piwnymi oczami. Postrzegała życie jako obraz namalowany przez jedynego w swoim rodzaju artystę, w którego dziele każdy widzi to, co chce. A jej ukazuje się zestawienie tych najciemniejszych barw, które pozbawiają ją możliwości spojrzenia na drugą część arcydzieła. Chwyliła szczotkę i podeszła do lustra, by doprowadzić krótkie brązowe włosy do ładu. Wpatrywała się w swoje odbicie znużona, aż nagle delikatnie uniosło kąciki ust i przyjaźnie zapytało:

– Jak się spało?

– Co jest? – wydusiła przerażona, upuszczając szczotkę i odsuwając się od lustra.

– Pozwól, że wyprzedzę twoje pytania. Jestem tobą z równoległego świata, pozornie niczym się nie różniącego od twojego, ale jak powszechnie wiadomo – pozory mylą. Ludzie tutaj postrzegają życie inaczej niż wy, ich charaktery często kontrastują z waszymi. Nie dotyczy to jednak wszystkich, zdarzają się zasadnicze wyjątki.

– Co za brednie – przerwała zdenerwowana Łucja.

Gdy miała opuszczać pokój, odbicie pstryknęło palcami, co poważnie ją zaniepokoiło.

Teraz to ona – Łucja, prawie szesnastoletnia odwieczna pesymistka, stała się swoim odbiciem. Zaczęła uderzać w lustro i prosić o wybaczenie, przeproszać i żałować wypowiedzianych słów. Gdy pogodziła się z zaistniałą sytuacją, dostrzegła, że za oknem słońce wręcz kusi do wyjścia i skorzystania z urokliwego poranka. Wyszukała ubrania, oczywiście stylowe, po czym wyruszyła do szkoły.

Gdy dotarła na miejsce, jej piorytetem stało się znalezienie Basi, swojej przyjaciółki i podzielenie się z nią najnowszymi wydarzeniami. Jej klasa wyglądała jak zwykle w poniedziałkowe poranki. Z tyłu sali były miejsca zarezerwowane dla dziewczyn niestrzymających się zasad, a w życiu kierujących się sentencjami z najgorszego możliwego źródła – rapu. Tuż obok, swoje królestwo miały szkolne gwiazdeczki, zawsze ubrane schludnie, wymalowane i uczesane w wymyślne fryzury. To były dwa najważniejsze ugrupowania całej zbiorowości klasowej. Resztę stanowiły jednostki, które często starały się zintegrować klasę lub żyć, jakby tych ugrupowań wcale nie było. Gdy Łucja zajęła swoje miejsce, ujrzała rudą dziewczynę wchodzącą do klasy, którą okazała się oczekiwana Basia. Prędko zajęła miejsce przed Łucją, nie witając się z nią. Zawiedziona dziewczyna zaczęła przyjaciółkę i rzekła: – Hejka!

Rudowłosa odwróciła się z uniesionymi brwiami i zmierzyła wzrokiem nastolatkę.

– Hejka? – odparła wymownie. – Od kiedy pałamy do siebie miłością?

Tym samym pozostawiła Łucję z myślami kotłującymi się w głowie na czterdzieści pięć minut, których rzetelne odmierzanie rozpoczął dźwięk szkolnego dzwonka. Podczas lekcji dziewczyna dostrzegła znaczne zmiany w zachowaniu swoich koleżanek. Dawne miłośniczki rapu dziś zachwycały się geniuszem Szekspira i nie ukrywając wzruszenia, patetycznie odczytywały fragmenty „Romea i Julii”. Łucja zaczęła się zastanawiać, czy to możliwe, aby jej odbicie nie myliło się co do życia „po tej stronie”. Po ukończonych lekcjach, wychodząc z budynku, w gwarze klas, które odbywały wf. na boisku, próbowała zebrać myśli. Były zakłócone przez głośny śmiech dziewczyn, jakże irytujący gwizdek trenera, odbijanie piłki i cichutki śpiew ptaków, który w połączeniu z powyższym stanowił już tylko wisienkę na torcie, tak niezbędną do napawania się harmonijnym pięknem, bo przecież wszystko jest na swoim miejscu. Próby analizy zostały brutalnie przerwane przez piłkę, która z impetem uderzyła ją w głowę. Dziewczyna, łapiąc się za nią, prędko się odwróciła, a jej oczom ukazał się wysoki brunet z czarującym uśmiechem, który stopniowo zniknął, gdy ten zbliżał się do poszkodowanej. Ona w momencie dostrzegła, że coś jest nie tak. To Olek, jej chłopak. Przeszedł obojętnie obok dziewczyny, zupełnie tak, jakby jej nie zauważył. Łucja poczuła nagłą pustkę, jakby ktoś zabrał jej wszystko, co dotychczas w sobie trzymała, a pod zastaw oddał gorycz, której ewidentnie jej nie żałował. Nie oszczędził także kotłującej się złości, która po wymieszaniu z goryczą stanowiła mieszankę wybuchową.

– Olek, o co chodzi? – zapytała, chwytając odchodzącego chłopaka za rękę.

Nastolatek spojrzawszy na nią, oswobodził się z uścisku i parsknął śmiechem, co dla bohaterki stało się ostatecznym ciosem.

- Nagle zachciało ci się ze mną rozmawiać? – zapytał sarkastycznie.
- O czym ty mówisz?
- Oszczędź sobie tych gierek – odparł.

Gdy opuściła teren szkoły, w oddali dało się słyszeć cichutki grzmot. Niebo stało się ciemniejsze, ponadto, z delikatnie zarysowanych na nim chmur, zaczęły spadać pojedyncze kropelki deszczu. Przyśpieszyła w nadziei, że wyprzedzi pędzącą i zdecydowanie wiodącą w tym starciu, zuchwałą pogodę, jednak to, co się działo, mówiło samo za siebie. Krople padały coraz bliżej i bliżej siebie, a upadając na liście drzew, sprawiały wrażenie, jakby usilnie dopingowały matkę naturę w tym wyścigu. Coraz głośniej i głośniej, i częściej i częściej. Przegrała. Łucja zaczęła biec, pragnąc uniknąć dotarcia na metę grubo za przeciwniczką, jednak przez oklaski skierowane do jej wroga, poślizgnęła się na środku drogi, a upadając, zraniła w kolano. Już jest wystarczająco pogrążona. Zabawne, że chcąc uniknąć zmieszania z błotem, sama do tego doprowadziła. Jej spodnie i dłonie były pokryte mokrą ziemią, a padający deszcz coraz to bardziej moczył jej włosy. Wtem poczuła, jak ktoś pomaga jej się podnieść, chwytając ją pod ramionami. Przez tę całą sytuację zupełnie zapomniała, że zaliczyła upadek na środku niezbyt ruchliwej drogi.

- Wstań, dziecko – odparła starsza pani.

Poczuła, że deszcz przestał na nią padać litrami, odwróciwszy się, ujrzała panią Marię, sąsiadkę. Kobieta poprowadziła ją do pobliskiej kawiarni i poleciła, aby zaczekała, aż zadzwoni po jej rodzicielkę, by ją stąd odebrała. Wygodny fotel, na którym siedzi, jest najlepszym podziękowaniem za udział w tej rywalizacji. Pani Maria pożegnała się z nastolatką, tłumacząc, że musi nakarmić koty swojej koleżanki, toteż nie ma czasu na pogaduszki, ale z chęcią ulegnie im po niedzielnej mszy.

Dziewczyna nie była już tak zaskoczona, jakby mogła być wcześniej. Uznała, że byłoby to bardzo miłe, gdyby jej stosunki ze zgorzkniałą kobietą z sąsiedztwa właśnie tak wyglądały. Uśmiechnęła się pod nosem i właśnie wtedy zdała sobie sprawę z bólu nogi. Jakby uśmiech był oznaką, że jej samopoczucie weszło na wyższy poziom, niż jest to dopuszczalne. Straciła już nadzieję na jakąkolwiek poprawę sytuacji, w której się znalazła, na domiar złego, odebrać ją przyjechał ojczym. Znienawidzony przez nastolatkę mężczyzna. Pomyśleć tylko, że przez ostatnie minuty utwierdzała się w myśli, iż gorzej być już nie może. Właściwie to nigdy nie zastanawiała się, dlaczego nie darzy go sympatią. Dlatego, że znosi jej humorki i niemiłe odzywki? Czy dlatego, że jest taki



pogodny i pozytywnie nastawiony do każdej możliwej sytuacji? Dlaczego jej światopogląd był tak skrzywiony? Wielka gula stanęła jej w gardle, próbowała głęboko oddychać, żeby łzy nie popłynęły same. Gdy wracała do domu, niebo było całkiem spokojne. Przyjęło wygraną z pokorą i postanowiło pozostać takim, jakim jest. Nie ulegać zmianom, a w spokoju odpocząć, by móc oświetlić noc tysiącem gwiazd. Przez uchylone okno samochodu dobijały się najnowsze piosenki ptaków, które dopiero teraz zajęły godne siebie miejsce.

Po powrocie do domu Łucja postanowiła, że pójdzie wcześniej spać. Dalej przepełniona była goryczą i żalem, ale teraz ustąpiły one nieznacznie miejsca innym emocjom.

Dziewczyna powoli podniosła się, chwyciła telefon. Trzy nowe wiadomości! Czy powinna je odczytać? Podniosła z ziemi szczotkę, prędko rozczesła włosy, wyciągnęła z szafy najprostsze ubrania, zapięła psu smycz i opuścili razem mieszkanie. Mijając kolejne piętra, spotkała panią Marię, sąsiadkę, której grzecznie się ukloniła. Ta zmierzyła wzrokiem nastolatkę i pewnie swoje pomyślała, choć jej kamienna twarz nie pozwoliła tego dostrzec. Dziewczyna otworzyła drzwi, za którymi stała postać o dobrze znanej jej posturze.

– Cześć, słodka – odparł Olek, uśmiechając się.

Łucja poczuła zmieszanie, ale i niewytłumaczalny przypływ adrenaliny, który dotknął ją, mimo gwałtownego zmierzenia z chłodnym, zimowym powietrzem.

– Hej – rzekła z ulgą, rzucając się ukochanemu na szyję i głośno się śmiejąc.

– Coś ty taka radosna? – zapytał miło zaskoczony.

– Piękny mamy poranek, świeci słońce, przyszedłeś towarzyszyć mi podczas spaceru z psem, wystarczające powody do szczęścia! – wykrzyknęła. – Przepraszam, że nie odpisałam na twoje wiadomości.

– Kim jesteś i co zrobiłaś z moją wiecznie nieszczęśliwą dziewczyną? – zapytał roześmiany, obejmując Łucję.

Nastolatka ugięła nogę, a na jej twarzy odmalował się wyraz cierpienia.

– Co jest?

– Trochę boli mnie kolano – powiedziała.

*Katarzyna Krzykawska*

## Strunki nie było...

Strunki nie było. Po roku zmagani i walk odeszła na jesieni. Zamek stał się pusty i cichy, a echo odbijało się w każdym lodowym kącie. Królewicz przestał ją kochać, chyba nawet nigdy tak naprawdę nie kochał... Strunka odeszła w ciszy. Nikogo nie ostrzegła, nikogo nie uprzedziła. Zabrała co swoje i wyszła w nocy, gdy nikt nie patrzył. Wyjechała daleko. Nie była tam szczęśliwa, ale udawała, że jest, że nic się nie dzieje, że jest zdrowa. Spotkała mędrca, który jej powiedział:

– Strunko, miłość, którą darzysz Królewicza, to miłość z wyparciem. Miłość to nie uczucie. To decyzja, której mogą towarzyszyć pewne uczucia, ale samo w sobie nigdy nie może być uczuciem. – Od tamtej pory Strunki nie było. Strunka zniknęła.

Po bliżej nieokreślonej liczbie dni pojawiła się Biedronka. Zmartwychwstała, odrodzona, niczym boski renesans z siłą i odwagą w rękę. Biedronka mieszkała w gitarze, pięknej dębowej gitarze, gitarze należącej do Mata, jej nowego przyjaciela. Biedronka nie czuła nic z ciepła. Czuła strach, że każdy jej krok może być tym nieostrożnym, tym niewłaściwym. Biedronka nie chciała być już typem gniazdownika, obiecała też sobie, że już nigdy więcej nie pokocha żadnego mężczyzny, będzie żyć na chwałę jutra i palić gałązki sosnowe na znak oddania i ukojenia. Nie wychodziło jej to, a każda jej porażka pogarszała stan jej zbolącej duszyczki, lecz nie mogła unieść się ku górze, nie dotknąwszy wcześniej dna.

### KONTROLA

Biedronka nienawidziła, gdy traciła nad czymś panowanie. Wytrącało ją to z równowagi, szarpała się i krzyczała, znów czuła się najgorsza. Tworzyła milion planów, każdy z założeniem zrealizowania w stu procentach. Świadomie pragnęła perfekcjonizmu, tego perfekcjonizmu, przez który raz została zjedzona przez smoki o ośmiu głowach i ośmiu uszach. Ale wciąż czuła, że tylko jako pani idealna będzie panią kompleta. To perfekcjonizm miał ją wyleczyć ze wszystkich jej ułomności i krzywizn umysłu, które zafundowało jej życie, nieobecna mama i jazgoczący tata. Biedronka musiała czuć, że wszystko trzyma w swoich rękach, że to ona rozdaje karty, bezczelna chciała być Bogiem w przebraniu w kropki. Gdy wysiadała na ostatniej stacji zjazdu cierpień, zaczęło ją małe dzieciątko, goły bobas z ludzkim odruchem miłosierdzia i empatii, i zadało jej pytanie:

– Dlaczego myślisz, że jest źle? – przekrzywiło główkę i usiadło po turecko na bizantyjskim betonie peronu.

– Bo nic nie poszło tak, jak miało pójść – odpowiedziała Biedronka buńczucznie, gotowa wdać się w kłótnię z biednym dzieckiem.

– Wiesz, że to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Więc pytam raz jeszcze, dlaczego myślisz, że jest źle? – dziecko z tych spokojnych i cierpliwych, tych nierealnych.

– Bo nie wyglądam tak jak chciałabym wyglądać, dziś nie było progresywne. Każde dziś musi być progresywne.

– Bzdura! O moja biedna Biedronko, kto cię tak skrzywdził i włożył ci to do twojej głowy. Dziś nie było progresywne. I to jest dobre. Jutro też nie musi być progresywne. I to też jest dobre. Biedronko, mówię ci, bądź dla siebie dobra. Proszę cię moje dziecko, bądź dla siebie dobra...

## IZOLACJA

Bajki o przyjaciółach to tylko bajki. Biedronka zawsze najlepiej czuła się w swoim towarzystwie. Bała się ludzi, bała się ich odrzucenia, ich opinii, ich czasu i ich uczuć. Jej introwertyczna dusza skakała z radości, gdy mogła cały dzień spędzić sama ze sobą. Wino samotnie smakuje najlepiej, nikt nie wmawia ci, jak powinno smakować i kiedy jest ten moment, gdy należy odstawić boską czarkę z magicznym płynem odwagi. Płacz jest najefektywniejszy, gdy robi się to w ukryciu przed ludzkim wzrokiem, nie naraża się wtedy na ochłapy litości i fałszywe dłonie oferujące pomoc. Słabość okazywana tylko przed samą sobą nie jest tak haniebną porażką, jak przed gronem bliskich, prawie tych najbliższych.

Łatwo jest zbudować swoją bańkę i nie potrzeba aż tak dużego wysiłku, by przypadkiem nie pękła. Wystarczy nie wpuszczać do niej mężczyzn na jedną noc, apodyktycznych matek i biednych Piotrusiów Panów. Ścianki elastyczne, klasycznie z chitynowym blaskiem, dość wytrzymałe, żeby odbić od siebie efekt cieplarniany i wszelkie drobnoustroje zagrażające życiu lub zdrowiu. Pojemna bardzo, mieści cały egoizm i frustrację wdowy, która nigdy nie wyszła za mąż. Wysoko zawieszona w próżni, daleko od ziemi, zatłoczonych przychodni i przeludnionych autobusów na linii Warszawa–Berlin.

Każdy swoją bańkę ma, bywają nieszczęśnicy, którzy ją zgubili, biedni muszą naprawdę starać się żyć i użerać z gadającymi głowami... no cóż, nikt nie przypuszczał, że dojdzie do czasów, kiedy terapia będzie wyzwaniem, bo w każdej chwili może zaszczekać kojot zza okna. Ale każdy radzi sobie tak, jak umie, bo będzie przecież jeszcze dobrze, prawda?

## **TRAUMA**

– Tak, pamiętam, jak postawił mi ultimatum, jak krzyczał, że albo ja zabiję, albo on odchodzi.

– Jak się wtedy pani czuła?

– A jak ja się mogłam czuć, wzięłam swoją lokówkę i wyszłam z domu, po cholere ja tam miałam dalej z nim siedzieć.

– Przepraszam, czy...

– Niech Pani nie przeprasza, nie jest mi wcale przykro – Biedronka zdobyła się nawet na cień uśmiechu, zostawiając czerwony ślad na małych ząbkach.

– Przepraszam, czy może pani zgasić papierosa?

– Bez papierosa to głupio, papieros, wie pani, dodaje takiej nostalgii, a dym taki mglisty klimacik tworzy – teraz Biedronka była już rozbawiona do granic jej transparentnych skrzydełek.

– W takim razie – krótka przerwa na chrząknięcie – wychowała Pani, tak?

– A jak pani myśli? – przekąs, tylko na to mogła się wysilić o tej porze.

– Myślę, że tak, widać po rozstębach, które wystają zza paska spodni i za krótkiej bluzki.

– No to bardzo dobrze pani myśli. Oliwka przestała działać w czwartym miesiącu, w końcu przestałam z nimi walczyć, i tak już nie muszę być więcej atrakcyjna.

– Dlaczego pani tak uważa? Wie pani, w psychologii nazywamy to wyparciem.

– W życiu nazywamy to przegraną.

– Jak się nazywa?

– Jonasz, dwa i pół kilo, pięćdziesiąt osiem centymetrów, dziesięć na dziesięć oczywiście, na pewno nie po ojcu, po babci pewnie, bo przecież wszystko co najlepsze, to po babci.

– Dlaczego go pani oddała?

– Bo nie umiałam go zabić...

## **BŁĘDNE PRZEKONANIE**

Czymś, czym Biedronka zajmowała się z zawodu, to zagładanie w cudze głowy. Mało tego, ona to wprost uwielbiała. Ona kochała się sabotażować. Nie mogła stworzyć zdrowej relacji z osobnikiem płci przeciwnej, który był mądry, dobry i – nie zapominajmy – bogaty, co jest szalenie ważne przy wyobraźni Biedronki. Ona musiała się zamęczać, uwielbiała, jak on odpisywał przez trzy dni. Wtedy ze spokojem sumienia mogła zapalić długie świece z pszczelego wosku, włączyć smutne melodie wystukiwane na skorupie

zółwia i z nieskrywaną przyjemnością ułożyć się na swoim pościeliu z mchu i niczym średniowieczna księżniczka z książki mogła zacząć ronić rzewne łzy, a jej pukle świętej Marii Magdaleny mogły swobodnie opadać na jej białe niczym mleko obojczyki. Wtedy był czas na przypalenie obiadu spowodowane zamyśleniem, ciągle westchnięcia i zamyślony wzrok zapatrzony w bliżej nieokreśloną dal. Do tego jakiś Aperol, ewentualnie herbata rumiankowa i w takim stanie Biedronka mogła być brana prosto do nieba. Ale wtedy w magiczny sposób biedny zainteresowany postanawiał wcale nie być skończonym głupkiem i odpisywał, okazywał zainteresowanie i sensownie się tłumaczył, czasem szczerze, a czasem nieco mniej. I w tym momencie Biedronce już nie zależało. Ona potrzebuje faceta, który będzie nią poniewierał, upokarzał i miał ją za nic. Wtedy Biedronka czuje, że żyje, że coś się dzieje, że może nie spać po nocach i nic nie jeść. Bo Biedronka zawsze najlepiej wie, kto co o niej pomyślał, dlaczego powiedział to, co powiedział i ona niczym kolejny Freud, doskonale wie, kto co myśli. Wystarczyło odbyć trzy terapie, z czego dwie grupowe i od razu można się uważać za eksperta z zakresu psychologii i mózgu ludzkiego. Przecież zdrada w związku to coś absolutnie normalnego i powszechnego, ignorancję ślubuje się wraz z wiernością, a niepewność, czy on faktycznie kocha, dostaje się w pakiecie, tak jak niepewność, czy jutro będzie padał deszcz, czy wyjdzie jednak słońce.

Biedronka była błędnie przekonana, że nie zasługuje na miłość, że to uczucie przekłete, napiętnowane bólem i kłamstwem. Dopóki nie zjawiał się Pan Doktor w tokańskim kitlu... wtedy biedronka była już niezbędnie przekonana, że miłość może być piękna, ale tylko wtedy, gdy nie miesza się w to japońskich bajek.

## **WIERSZ ZABRANY**

Nie wróci on, nie wróci tamto lato i nie wróci już strach o niechciane życie. Nie wróci już osiem testów robionych w łazience miejskiej galerii handlowej, nie wróci niewygodna wizyta i wykrakany komentarz. Nie wróci upadek na torach i natarczywy typ, który całą noc chwycił za szerokie jak na Biedronkę biodra. Nie wróci chłód kolei miejskiej i dezaprobatyczny wzrok matki. Nie wróci osiemnaście dni spóźnienia i ogromny apetyt na krewetki z masłem orzechowym. Nie wróci zasypianie na lekcjach i płacz z powodu zabicia niechcącego muchy. Nie wróci poranne trzaskanie drzwiami od łazienki i zamykanie lodówki tak szybko, jak się ją otworzyło. Nie wróci wymyślanie imion typu „Grażka” i nie wróci największy płacz w życiu. Bizony dały, bizony zabrały. Na początku genialny plan, wykonanie średnie, on i tak odszedł. Mocne postanowienie

poprawy i życie w habicie przynajmniej do pięćdziesiątki. Spowiedź szczerą, zadziwiająca wielebego, prawie zamieniająca go w słupek soli i wprawiająca w stan osłupienia w jednym.

Obrączki z papieru po etykietce butelki, urząd w liczbie setek, oprawa muzyczna nieco nowoczesna i dudniąca można by rzec, goście nieświadomi, czas nie ten, miejsce nie to, para młoda też nie ta... Zabawa w dom, stara i definitywnie przereklamowana.

*Oliwia Lejman*

*Wiktoria Nowakowska*

## Świat się zmienia

Przyglądał się jej twarzy z zainteresowaniem, jakiego nie było u niego widać już od wielu lat. Powiadali, że to kwestia czasu spędzonego razem, że są już zbyt przyzwyczajeni do swojej obecności, żeby zwracać na siebie większą uwagę. Zmarszczki na jej twarzy przestały być już możliwe do zakrycia makijażem. Plamy wątrobowe, początkowo obecne tylko na skórze dłoni, teraz zaczęły pokrywać również resztę jej ciała. Włosy, niegdyś o pięknym kolorze gorzkiej czekolady, teraz coraz bardziej zbliżały się do odcieni jasnych szarości, a niebieskie oczy okrywały grube okulary do czytania. Co jednak wzbudziło w nim największy szok, to kąciki jej ust, a raczej fakt, że niegdyś wygięte w wiecznym uśmiechu, teraz zdawały się ciężyc i ciągnąc w dół. Kiedy to się stało? – zastanawiał się. Spojrzał na siebie, na swoje stare i zmęczone ciało i nagle poczuł przesywającą go złość. Siedzieli we dwójkę na tej starej kanapie już od wielu godzin i tak dzień w dzień. Gdzie się podziały ich plany z młodości, zakładające ciągłe podróże po świecie? Był pewien, że wycieczki do supermarketu się nie liczą. Złość przemieniła się w determinację, a ta sprawiła, że swoją większą, pomarszczoną dłonią nakrył jej mniejszą i delikatniejszą, zwracając na siebie uwagę żony. Ta przeniosła swój wzrok znad krzyżówki i spojrzała na niego, a widząc jego poważną minę zmarszczyła brwi i wpatrywała się w niego wyczekująco.

– Jedźmy gdzieś, Zośka! – powiedział zachrypniętym od wieloletniego palenia papierosów głosem – bo na razie siedzimy tutaj, jakbyśmy już kupili trumny i tylko czekali na śmierć.

Kobieta uśmiechnęła się, a w jej oczach zatańczyły iskierki rozbawienia.

– Przecież to ty niecałą godzinę temu marudziłeś, że chyba zaraz umrzesz przez to kolano – odparła ze śmiechem – i nalegałeś na napisanie testamentu, bo, cytuję, „z tym starym ciałem już się do niczego nie nadaję”.

Mężczyzna zmarszczył brwi i próbował szybko zdusić w sobie urazę. Zośka miała przecież rację, faktycznie to powiedział. Przelknął ślinę, a następnie nabierając głęboki wdech, ponownie podjął temat.

– Nie musi być to daleko – zaczął – ale wyjdźmy chociaż z tego domu. Zrobmy coś, cokolwiek. Nie tak wyobrażałem sobie naszą starość, mam dosyć ciągłego siedzenia w tym fotelu. Widząc jej twarz wykrzywiająca się ze zdziwienia, ujął jej dłoń w obie swoje ręce i uśmiechnął się delikatnie.

– Pamiętasz, jak przed ślubem obiecaliśmy sobie co trzy miesiące jeździć pod namiot?

– Och, Kaziu – westchnęła kobieta tonem zwiastującym sarkastyczną uwagę – to było tak niedawno! Tylko czterdzieści pięć lat temu!

Kazimierz zacisnął usta w wąską linię, jednocześnie próbując powstrzymać się od śmiechu. Sarkazm ten był niegdyś powodem, dla którego zwrócił uwagę na swoją żonę.

I pomimo prób zduszenia go przez jego nieżyjącą już teściową, pozostał on w niej tak samo żywy i przekazany w genach wnuczce.

– Poza tym, jutro nasz wnuk ma urodziny – kobieta ciągnęła dalej, patrząc na niego już trochę poważniej – i raczej nie mamy szans na żadną daleką podróż.

Mężczyzna popatrzył na nią z zdziwieniem pomyślał, że aktualnie ma pomysł, jak to rozwiązać. Uśmiechnął się szeroko, a jego policzki przyzwyczajone do ciągłego utrzymywania tej samej ponurej miny, zaprotestowały z bólem.

– Przecież nie musimy iść nigdzie daleko. Jeśli po tych czterdziestu pięciu latach i pięciu razach, gdy prawie spaliłem kuchnię, wciąż mi ufasz, to ubierz się, wychodzimy – Zośka wyglądała na sparaliżowaną zaskoczeniem, ale w jej oczach widział wyraźnie, że właśnie obudził w niej ducha ryzyka. Nie bez powodu przecież nie zakazała mu wstępu do kuchni po tym pierwszym razie. Wstała tak szybko, jak pozwalały na to jej stare kości i z zaskakującą prędkością poszła się przebrać, a Kaziu już wiedział, że jeśli kiedykolwiek w życiu powiedział coś mądrego, to było to na pewno teraz.

Jechali swoim samochodem. Zośka co chwilę odwracała wzrok od drogi, patrząc z niezadowoleniem na jego dłoń trzymającą drążek od skrzyni biegów, a Kaziu odplącał się jej jedynie drwiącym uśmiechem. Pojazd ten był ich nowym nabytkiem, opłaconym miesiącami kłótni między małżonkami. Zośka, jako bardziej nastawiona na nowoczesność i wygodę, chciała automatyczną skrzynię biegów. Kazimierz za to był bardziej przyzwyczajony do jeżdżenia

na manualnej i jego wrodzony upór nie pozwolił mu zmienić zdania. Wygrał oczywiście, przypominając żonie, że to on będzie częściej korzystał z samochodu, dojeżdżając do pracy, kiedy ona jest na emeryturze. W końcu jednak ich podróż dobiegła końca, a mężczyzna nie odzywając się nawet słowem do żony, wysiadł z samochodu. Zapach krów, siana i świeżego powietrza uderzył go niemal natychmiastowo, a Kaziu się nim głęboko zaciągnął. Lata mijały, a ich rodzinna wieś wciąż pachniała tak samo, pomyślał z czułością. Usłyszał trzaśnięcie drzwi samochodowych, a gdy się odwrócił, zobaczył swoją żonę. Głęboka zmarszczka między brwiami, która pojawiała się zawsze, gdy kobieta usiłnie się nad czymś zastanawiała, nie zapowiadała nic dobrego. W jej oczach widział nieme pytanie, po co tutaj właściwie są? Uśmiechnął się i wskazał brodą na stary budynek.

– Pamiętasz tę świetlicę? – Zośka tylko skinęła głową, wciąż nie rozumiejąc, o co mu chodzi – tam się poznaliśmy. Do tej pory pamiętam, jak razem wieszaliśmy prześcieradła, żebyśmy w końcu mogli obejrzeć coś zabawnego z resztą dzieciaków. Ta grupa, która wtedy przyjechała z bajkami, pamiętam jak nas chwaliła – kobieta uśmiechnęła się na wspomnienie z rozmarzeniem na twarzy – po czym ty się potknęłaś i wszystko zniszczyłaś.

Widząc urażony wzrok swojej żony i rumieniec wstępujący na jej policzki, roześmiał się, przypominając sobie jak dobre to uczucie.

– Tylko że to ty – zaczęła kobieta – postawiłaś to durne krzesło za mną, żeby się pogapić na Baškę. Kaziu zamrugał z zaskoczeniem i popatrzył na nią poważniej.

– To ty wiedziałaś, że to ja to tam postawiłem? – zapytał, a Zośka tylko skinęła głową. – Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Bo mi się podobałaś i byłby to kiepski początek znajomości – odparła zdenerwowana, po czym spojrzała jeszcze raz na budynek i westchnęła. Jej głos wyraźnie złagodniał i nabrzmiał smutkiem. – To było miejsce tak pełne życia, tak kolorowe. A teraz nic, tylko się rozpada.

Mężczyzna ujął rękę żony, po czym poprowadził ją za budynek, gdzie kiedyś znajdowała się żwirowana droga prowadząca do lasu, a później do małego stawu na jego obrzeżach. To miała być radosna podróż, pomyślał, nie dołująca, jakby to określili ich wnukowie.

– Tutaj też się spotkaliśmy całą grupą umówieni na biwak – zaczął lekkim tonem. – Pamiętasz te kielbaski z ogniska? Wziąłem kilka ze sobą, możemy je...

Przerwał, zdzwiony tym, co przed sobą ujrzał. Droga za budynkiem nie była już ze żwiru, tylko betonu i była zdecydowanie większa. Co jednak uderzyło go najbardziej, to brak lasu. Tam, gdzie wcześniej były tysiące drzew, teraz



było kilkadziesiąt domków jednorodzinnych, a pola przed nimi pięćdziesiąt lat temu pełne dzieci, teraz nie istniały.

– Jak ten świat się zmienia – westchnął z bólem – czasem żałuję, że nie mógłby pozostać taki jak kiedyś.

Na pierwszy rzut oka Kaziu mógłby przysiąc, że to niespodziewane osiedle jest całkowicie wyludnione, gdyby nie stojące samochody i dobiegająca z jednego z domów muzyka. Spojrzał ze zdziwieniem na żonę, a ta na niego. Kiedy to się stało? – wyszeptala cicho i pociągnęła go do przodu. Kaziu zaczął się rozglądać, dostrzegając coraz więcej szczegółów. Jedno pole było teraz boiskiem, choć bez zaskoczenia, stwierdził, że nikogo na nim nie ma. Mimowolnie pomyślał o jego najmłodszym wnuku, który niedawno poprosił go o nauczenie gry w piłkę, bo jego syn nie miał czasu. I jak mu odmówił, bo zbyt bolały go plecy. Na werandzie jednego z domów zauważył jakiegoś nastolatka, pochylonego nad telefonem i ze słuchawkami na uszach. Kaziu z niezadowoleniem zmrużył oczy, pamiętając, jak on w jego wieku spędzał tak piękne dni, uprawiając sport. Niemal cisnęły mu się na usta słowa, z których jego wnuczka ostatnio tak bardzo się śmiała: ach, ta dzisiejsza młodzież. Nagle, jak za pstryknięciem guzika chłopak wstał i schował telefon do kieszeni, a następnie ruszył w kierunku, w którym kiedyś był staw. Mężczyzna mimowolnie ruszył za nim, zauważając, że Zośka również go obserwowała. Gdy po pięciu minutach drogi zauważyli zbiornik wody, uśmiechnęli się z ulgą.

– Chociaż jedna rzecz pozostała taka sama – powiedziała kobieta, jednak zbliżając się coraz bardziej mężczyzna pomyślał, że chyba nie mogłaby się bardziej mylić. Kiedyś było to spokojne, niemal tajemnicze miejsce, prawie całkowicie wyludnione. Teraz znajdował się przy nim parking, na nieistniejących wcześniej ławkach siedziały tłumy ludzi, a po kwiatkach dokoła stawu nie było nawet śladu. Czuć było za to zapach grillowanego mięsa. Chłopak, za którym szli, przysiadł na kocu obok młodej dziewczyny, w której rozpoznali własną wnuczkę. Nastolatek objął ją ramieniem, a ta się w niego niemal automatycznie wtuliła. Podchodząc bliżej, słyszeli ich rozmowę i widzieli wyciągnięte telefony w ich rękach.

– ...powiedział, że tęskni. Szczerze mówiąc, nie wiem, co zrobiłbym bez telefonu, chyba zapomniałbym jak brzmi w ogóle jego głos! – powiedział ze śmiechem i wyczuwalnym jednocześnie smutkiem. – Dziadki mi powiedzieli, że za ich czasów nie było takich możliwości.

– Fakt, słyszę to cały czas – odparła ich wnuczka. – Świat się zmienia i myślenie, że używam telefonu tylko do gier, zrobiło się nudne już jakiś czas temu. Nie wiem, czy dostałabym to stypendium za granicą, gdyby nie Internet

– westchnęła, po czym popatrzyła chłopakowi w oczy. – A propos, moglibyśmy zrobić sobie zdjęcie? Chciałabym mieć co wspominać za granicą. I obiecaj, że będziemy do siebie dzwonić!

– Obiecuję – odparł nastolatek i ze śmiechem nachylił się do zdjęcia. Kaziu popatrzył na Zośkę i po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuł spokój. Zośka również na niego spojrzała i pocałowała go w policzek.

– To fakt, świat się zmienia – powiedział.

Ale to chyba nawet lepiej.

*Wiktoria Nowakowska*

*Paulina Orzeł*

## **Kwas chlebowy**

– Zjesz z nami śniadanie wielkanocne? – to obsesowe pytanie obudziło Dorotę. Mama oblała ją zimną, śmigusowo-dyngusową rzeczywistością. Niestety, nie był to żart na pierwszego kwietnia.

– Która godzina? – wyleciało z Dorocianych ust mechanicznie. Uważała, że w święta powinna spać co najmniej do 10:30. Obudzenie jej przed magiczną porą oznaczało bezpowrotne zepsucie humoru. Uratować go mogło tylko lenistwo, którego tak bardzo nie znosiła.

– Dziewiąta. Jesz z nami śniadanie czy nie? Karol chciał zjeść, to ja mu dotrzymam towarzystwa. Ty nie musisz. Pytam, żeby ci przykro nie było.

Ludzko mówiąc, Dorota nie wiedziała, co się dzieje. Jedyne, czego była pewna, to, że sen koi dusze strapione.

– Wolę spać...

– Ale na pewno? Żeby ci przykro nie było, pytam.

W tej sytuacji (jak pewnie w wielu innych), nie można było dojść do stanu pełnego zadowolenia. Dorota nie była zadowolona, że ją obudzono. Nie podobała się jej wizja śniadania rodzinnego. Czy lepiej było nie burzyć dotychczasowego porządku? Kto wie, może Dorocie byłoby smutno, że jej rodzina nie jest rodzinna, jak wszystkie inne. Sytuacja bez wyjścia. Niektórzy mówią, że to tendencyjne narzekanie na każdą sytuację. A może jesteśmy bytem tragicznym...

W jednym momencie zamknięto drzwi i oczy. Powrót do snu okazał się powstaniem listopadowym. Wybrzmiewał hymn rodzinny – przewracające się szklanki

w zlewie, grane zawsze w godzinach porannych. Hymn budził w Dorocie poczucie grozy i gotowość do walki (niezwykły patriotyzm). W jednej chwili była gotowa postawić się każdemu wrogowi. Jednak zwykle stawiała się swoim. Przeklęła pod nosem w swoich czterech zielonych, uspokajających ścianach. Frustrował ją brak poszanowania dla snu wiecznego. Pełny, nienaruszony spokój zaburzyła mama:

- Zostawię ci śniadanie na stole, weźmiesz co i kiedy będziesz chciała.
- Dobrze.
- A może zjesz z nami? Pytam, żeby nie było.
- Wczoraj zdecydowaliśmy, że nie jemy wspólnie śniadania, skąd ta zmiana?
- Bo twój brat stwierdził, że w sumie on to by zjadł ze mną.
- Brat tradycjonalista – pomyślała.
- A tata na kromkę chleba, powiedział.
- Zaangażowanie się taty wymaga ponownego rozpatrzenia problemu.

Może warto dać im tę radość wspólnej chwili? – pomyślała. – Dobrze, przyjdę i zjem razem.

W piżamie noszonej już kolejny dzień i w ręczniku na głowie przyszła do kuchni. Uroczystość stroju odpowiadała poziomowi śniadania. Dziwnym trafem, impreza odbywała się w sypialni mamy. W końcu pokój był nieco odświeżony, można rzec, że prawie wyremontowany. Zmieniło się tylko łóżko, które mama odkupiła niedawno na promocji od koleżanki. To pierwsze łóżko z materacem w tym domu. Okaz ekskluzywny i egzotyczny. Dorota chciała zająć na nim swoje miejsce.

- Tu siedzi twój brat, Dorota.

Z miną w kształcie odwróconej litery „u” przesiadła się na dostawione krzesło. Przyglądała się kielbasom na stoliku kawowym. Mama obrała ze skórki wszystkie mięsne walce, poza jedną, tą dla taty. O męża nie musiała dbać. Tata doniósł sobie krzesło. Dla niego rzadko kiedy było coś przygotowane. Wiecznie wykluczony, ale on się tym nie przejmował. Żył w swoim świecie dwóch wartości: pracy w czasie przeznaczonym i pracy w czasie nieprzeznaczonym. Może praca oddala od samotności...

– Dorota, trzeba to jakoś zacząć, możesz odmówić tę modlitwę, co zawsze mówisz przed świątecznymi posiłkami – zaproponowała mama.

- A czy ktoś w tym domu jeszcze wierzy? – odpowiedziała.

Mama uśmiechnęła się. Nie do końca wiadomo, jakiej kategorii był to uśmiech. Czy rozumiejący, ale smutny, czy raczej „głupi śmieje się do sera”...

– Pobłogosław, Panie Boże, nas, pobłogosław ten posiłek i tych, którzy go przygotowali i naucz nas dzielić się chlebem i radością ze wszystkimi. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen – powiedziała jednym tchem.

Nie była zadowolona z aktualnej sytuacji. Doskonale wiedziała, dokąd prowadzi sztuczny początek. Pierwszy akord wyznaczył tonację – *niezręczność*. To tonacja nietypowa, niektórzy nie potrafią dopasować do niej swojej gamy, jest poza skalę ich głosów. Gdy wszyscy usiedli przy swoich pulpitych, wybrzmiała cisza pełna napięcia. Muzycy zapomnieli ze stresu, jak się czyta nuty. A podobno takich umiejętności się nie traci. Zabrakło języka w gębie, oddechu w przeponie.

Jedynym pragnieniem każdego stołownika stolika kawowego, było włączenie telewizora. Ktoś musiał mówić. Cudem odpalił się ksiądz. Dorota ucieszyła się, może to szansa na nawrócenie. Pandemia przeniosła kościół do telewizji. To nie tak, że chrześcijanie zdominowali Rzeczpospolitą. Dla komfortu psychicznego tych prawdziwych Polaków, wykluczono transmisje telewizyjne innych religii w jakiegokolwiek dni...

– Jak idealnie! Śniadanie wielkanocne, msza w telewizji – szczerze zachwyił się ojciec. Wybrzmiał pierwszy ojcowski wokół. Biskup powoli prowokował rozmowę. Gdyby nie on, waltornistka straciłaby wiarę, już drugą. Z niemocy muzycy poddali się improwizacji. Wewnętrzny niepokój narastający jak crescendo, doprowadził orkiestrę do punktu kulminacyjnego. Wszystkie instrumenty się rozstroiły. Żaden muzyk nie grał do rytmu. Waltornistka odłożyła instrument.

– Jak to możliwe, że inne zespoły nie fałszują? Czy mój zespół nauczy się kiedyś grać? – zastanawiała się Dorota, jedząc. Nie była głodna, ale coś musiała robić podczas tego śniadania.

– Ten ksiądz pewnie czuje się dziwnie, skoro nikt mu nie odpowiada.

– Mamo, on mówi kazanie.

Brat tradycjonalista parsknął, a Dorocie znów nasunęło się pytanie o poziom wiary w tym domu. Zbliżenie kamery na księdza zdemaskowało trójkąt z okiem w środku na jego ornacie.

– Dorota, a co znaczy ten symbol? – zapytał tata.

– Opatrzność.

– Widziałem ten symbol na okładce płyty Pink Floyd.

– Chodzi ci o tę płytę z pryzmatem? Tam nie ma oka. Chyba, że inna?

– Nie wiem, może. Oko Boga. Wielki Brat patrzy. Żółw zasnął – dołożył w niewiadomym celu.

To był najdłuższy zapis na pięciolinie tego utworu. Dorota odwróciła się w stronę akwarium.

– Rzeczywiście, przynajmniej on może teraz spać – pomyślała.

Tata schylił się po pastę jajeczną.

– To jest na chleb.

Protest mamy zawiesił ojca z łyżeczką w przestrzeni. Teraz miał okazję zjeść przysłowiową kromkę chleba. Kromkę, dla której Dorota zgodziła się na kwaśne wydarzenie.

*Paulina Orzeł*

*Katarzyna Owczarek*

## Metanoja

Bieg, bieg, bieg. Stopy pieką, płuca krzyczą *proszę, stop!*, ale mnie to nie rusza, bo jedyne, co się liczy, to bieg. Szaleńczy, chociaż czoło mokre, plecy mokre, nawet policzki mokre, ale to bardziej od łez niż od śmierdzącego potu. Nie można stanąć, nawet na moment, bo liczy się każdy milimetr, każda nanosekunda, bo przecież świat nie ma zamiaru zatrzymać się na życzenie.

Pod nogami mam asfalt, czasem rozżarzone węgle, czasem kamienie, czasem tłuczone szkło. Czasem mam trampki, czasem buty do biegania za trzysta złotych, czasem bose stopy, ale wtedy trzeba biec dalej, chociaż nogi płoną żywym ogniem. Razem ze mną biegną szczury i kładą mi długie ogony pod nogi, byleby przeszkodzić, byleby tylko zwalić mnie z nóg. Ale jestem twardym człowiekiem i nie grozi mi nic, nawet mur mający dwa metry.

Głęboki oddech, wdech i wydech. Właśnie wbiegam na asfalt, a obok mnie truchta szara mysz. Popiskuje cicho, wydaje się taka mała i bezbronna pośród tych wszystkich innych gryzoni, które próbują ją zdeptać. Jest słodka i miła i dotrzymuje mi towarzystwa. Biegnie obok mnie, nawet kiedy pod stopami mamy gruz. To bardzo kochane, bo nie mam innego towarzysza.

Asfalt jest twardy, biegnie mi się dobrze i stabilnie, do momentu, w którym szara myszka gryzie mnie boleśnie w kostkę. Jej ogon wydłuża się i zawiązuje dookoła mojej nogi. Próbuję biec, próbuję uciekać od fałszu i bólu, ale nie tego fizycznego. Ten dziwny rodzaj pulsowania rozdziera mi serce, chociaż to bardzo, bardzo niecodziennie uczucie. Zachwiana równowaga, ból, upadek, jeszcze większy ból. Chyba leżę na tłuczonym szkłe. Serce bije mocno, kiedy wszystko spowija ciemność.

Otwieram oczy i natychmiast zaraz je zamykam, bo oślepia mnie jasne światło. Próbuję wyczuć, gdzie jestem. Wszystko jest suche, ciepłe, miłe w do-

tyku. Chyba leżę, to bardzo niedobrze. Nogi są na czymś miękkim, co lekko łagodzi promieniujący ból w kostce, ale wcale nie sprawia, że moje serce jest zszyte po zdradzie. Wzdycham ciężko na myśl o tym, że tracę czas, dużo czasu. Jak długo już tu jestem? Czy w ogóle jestem w stanie biec dalej? Iść? Robić cokolwiek, aby nie dać innym przewagi w tym wyścigu szczurów? Przymknięte oczy znów wypełniają się łzami.

– Boli cię noga? – Oczy szybko zostają przetarte. Unoszę się na łokciach i patrzę na Postać stojącą w progu. Bije od niej ciepło, twarz ma pogodną, głos łagodny i miły. Podchodzi bliżej i siada na krawędzi łóżka, obserwując mnie bacznie. Przelykam ślinę.

– Muszę iść – mówię szybko. – Dziękuję za pomoc.

Postać siedzi, spokojnie patrząc na moje żalosne próby wstania. Nogi nie da się ruszyć w żaden sposób, ból skutecznie to uniemożliwia. Zaczyna zbierać mi się na wymioty, dlatego z powrotem opadam na poduszki z ciężkim westchnieniem. Gula smutku ciąży mi w gardle.

– Leczenie trochę zajmie. Masz złamaną kostkę i trochę innych obrażeń. Ale nie martw się.

Postać głaszcząc mnie po głowie. Ten dotyk jest tak delikatny, tak ujmujący, że nawet nie strącam obcej dłoni. Zamiast tego napawam się ciepłem i bliskością. To dziwne uczucie. Obce. Nieznane. Dotykające najwrażliwszych strun serca, o których nikt nie wiedział, że istnieją. Nawet przez chwilę mam ochotę na nieruszanie się z tego miejsca. Nie chcę biec dalej.

I potem przychodzi fala rozgoryczenia. Brakuje mi sił, aby biec dalej, wspinać się na szczyty możliwości. A przecież moim przeznaczeniem była Wielkość, w każdym tego słowa znaczeniu. Wielkość, która zapewni mi najlepsze możliwe życie. Wielkość, która da mi szacunek i poważanie. Wielkość, która będzie moją chlubą po wsze czasy, która zapisze mnie na kartach historii. Tymczasem z każdą chwilą Wielkość ucieka, stając się mrzonką, ulotną mgłą mającą zaraz opaść, po której nie zostanie ani śladu.

– Nie złość się – mówi Postać. – Masz czas, nic ci nie ucieknie. Przecież to nie bieg jest głównym sensem twojego życia, prawda?

Milczę. Co to w ogóle za stwierdzenie? Oczywiście, że jest. Biegnie się po to, żeby wyprzedzić ich wszystkich, być liderem, jako pierwszemu sięgnąć po blask chwały, kąpać się w nim, aż do pomarszczenia każdego kawałka skóry i jeszcze dłużej. Krok, który nie prowadzi naprzód, prowadzi w tył. Zawsze tak było. Zawsze ta zasada kierowała moim życiem. I zawsze była prawidłowym punktem odniesienia.

– No cóż, w każdym razie chyba masz przed sobą mur nie do przeskokowania. Wielką górę, na którą musisz wejść i z której musisz zejść. W końcu na pewno się przystosujesz.

Od tej pory zaczyna się proces leczenia. Noga jest unieruchomiona i smarowana maścią, a na serce Postać przykleiła mi rozgrzewający plaster i dała dużo ciepłej zupy na poprawę humoru. Budzę się codziennie i oddycham, próbując oddalić wyrzuty sumienia. Wieczorami pijam kawę i rozmawiam, długo, wyczerpująco. Postać staje się Przyjacielem. Jest dobrze. Jest bezpiecznie.

Szara, zdradliwa myszka wyznaczyła granicę w moim dotychczasowym życiu. Nie sposób było znaleźć początek biegu, który teraz powoli stawał się tylko mglistym wspomnieniem niemożliwego wysiłku. Noga czuła się coraz lepiej, na sercu pozostała tylko jedna, malutka blizna, która tylko czasem, przy złej pogodzie, dawała o sobie znać. Bliskość zasklepiła ranę i w pewien sposób uwiązała mnie jak na smyczy przyczepionej do mojego miejsca rehabilitacji. Nikt nie wspominał o powrocie do dzikiej pogoni za Wielkością, która teraz kojarzyła się z bólem, presją i uciskiem. Kojarzyła się ze wszystkim, co nigdy nie pozwoliłoby mi się zatrzymać i odetchnąć.

Noga stanęła bezproblemowo na ciemnym drewnie, przyjemnie nagrzanym od świecącego przez szybę słońca. Kroki były płynne, skoki nie stanowiły przeszkód. Można było ruszać. Można było biec dalej, po szkle, po rozżarzonych węglach, po gruzie i po asfalcie. Można było biec w specjalnych butach z miękką podeszwą, w trampkach, boso i nawet w chodakach. Można było znów wyprzedzić wszystkich tych, którzy nie radzili sobie z biegiem do Wielkości.

Głęboki oddech, wdech i wydech.

Tylko po co to wszystko?

Zejście z ogromnej góry i powrót na stabilny teren nie było wcale łatwiejsze od wspięcia się na szczyt. Z werandy było widać drogę, która prowadziła na tor. Było słycać piski szczurów, które przeganiały się, gryzły, ciągnęły wzajemnie za swoje długie, obslizgłe ogony.

– Dojdiesz do wielkich rzeczy – Przyjaciół lekko klepnął mnie w ramię.

– Wcale nie chcę dochodzić do wielkich rzeczy. Chcę tu zostać.

Coś przewróciło się w moim żołądku, w gardle znów urosła gula smutku i żalu. Bo pozostanie nie było wyjściem. Było jedynie sposobem na ukrycie się przed światem, w którym kiedyś najwyższą dla mnie wartość miało zwycięstwo w wyścigu szczurów.

– Chodź – Przyjaciół podał mi rękę i poprowadził mnie ścieżką. – Dasz radę, ja wiem, że dasz. A jeśli nie, to stań na moment. Odpocznij. Pamiętaj o mnie i idź dalej, powoli. Prawdziwej Wielkości nie można zdobyć szybko i łatwo.

Otarliśmy lzy, stanęliśmy do siebie plecami. Ostatni dotyk, ostatnie ciepło, ostatnia sekunda bezpieczeństwa. Pierwszy krok, potem kolejny, bardzo spokojny. Wdech. Wydech.

W ten sposób rozpoczął się spacer.

*Katarzyna Owczarek*

*Zofia Pankowska*

## **Winiarnia ze szkła**

– Dwie butelki wina poproszę – krzyknął siedzący przy szklanym stoliku młody biznesmen Tomasz.

– Oraz jakieś kwiaty, te są niedostatecznie modernistyczne. Niech mnie pani zaskoczy – dodała złotowłosa Zofia, która z nim była.

Kelnerka kiwnęła głową i ruszyła żwawo w stronę baru.

– Czemu to wszystko jest ze szkła? – mruknęła Zofia niepytana o zdanie. – Czy to nie jest bez sensu? Przecież szkło już nie jest w modzie. To kamień jest przyszłością, on nie wyróżnia się na tle naszego miasta i normalni ludzie by tu chodzili, a tak, zobacz, tylko wariaci odwiedzają tę winiarnię. Niepotrzebnie mnie tu zabrałeś! Wolałabym już spotkać mojego byłego męża, niż tu siedzieć. Och... Gdybym tylko ja zarządzała tym miejscem, zrobiłabym z tej speluny luksusową winiarnię. Wystarczyłaby mi odrobina władzy.

Tomasza nie interesowały jej słowa, siedział z nią, ponieważ była piękna, czekał na butle wina, aby otwarły mu się usta i zaczął mówić w jej języku. Zza lady wynurzyła się postać całkowicie bezbarwna – kelnerka niosąca trzy butle wina. Tomasz uśmiechnął się, pomyślał, że zostanie wyróżniony za swoją obecność tutaj i w ramach podziękowania za przybycie otrzyma dodatkową butlę.

Kelnerka miała nieobecny wzrok, patrzyła jakby w przestrzeń, a usta jej były rozchylone. Położyła bezdźwięcznie dwie butle wina na szklany stolik, a trzecią wzięła do ręki i z rozmachem rozbiła ją o... wyszczerbiony kant stolika. Całość wina rozlała się na nią. Ani kropla nie wylądowała na gościach, czy na podłodze. Zanim zdążyli zareagować, ciało kelnerki, a dokładniej twarz była zalana winem i wyglądała, jakby lepiała się od krwi. Nie powiedziała nic. Goście nie byli w stanie zareagować. Część butli od strony jej otworu wciąż trzymała w dłoni. Butla była pęknięta w pół i cała poszczerbiona. Włożyła ją w wazon pośród kwiatów, które już tam były.



– Tulipan – powiedziała poważnym tonem. Jeśli przyłożą państwo głowę dostatecznie blisko, to poczują woń bordowych winogron. Tylko proszę uważać, aby się nie skaleczyć, swoją krew właśnie przelałam, dokonała się transfuzja. – niebawem odeszła, nie mówiąc nic więcej.

Z kuchni wybiegł gruby szef, który zaczął wrzeszczeć do kelnerki. – Eliza! Co to do cholery miało być? Chciałaś nam wszystkim udowodnić, jak popaprana jesteś? Wynoś się stąd!

Kelnerka nie miała na twarzy żadnych emocji. Popatrzyła tylko na gości, którzy byli przerażeni. Zobaczyła, że Zofia, która zawsze wtrącała swoje trzy grosze do sprawy, teraz była sparaliżowana, jakby przestała oddychać, jakby nie było jej już na tym świecie. Tomasz natomiast był wściekły, że ta akcja zniszczyła jego plany wobec Zofii na dziś wieczór. Eliza zdjęła fartuch, delikatnie go odwiązując, zabrała tulipana i wyszła na zewnątrz.

Powoli zaczynało zachodzić słońce. Gdy odeszła parę metrów od winiarni, popatrzyła w stronę szklanego budynku, trzymając w ręce rozbitą butelkę wina. Uśmiechnęła się, gdyż dopadły ją wspomnienia. Wiedziała już, że to był jej ostatni raz w tym miejscu, które sama stworzyła, to był jej szklany ogródek, który został zniszczony. Rozejrzała się wokół. To, co widziała, było jedynie kawałkiem całej Wietrznej Doliny, w której żyła. Zobaczyła niemal puste uliczki, na których byli jedynie obleśni żebrzący i smutne prostytutki, dla których nie było miejsca w burdelu.

Winiarnia tak bardzo wyróżniała się na tle rynku, pośrodku którego się znajdowała. Wszystko było z szarego kamienia: deptaki, domy, sklepy, nawet ozdoby kwiatowe. Jedynie gdzieś tam pośród kamiennych chodników próbowały rosnąć zielone chwasty. Na próżno. Ilekroć rośliny wyrastały, to albo ktoś je zdeptał, albo władze miasta wynajmowały ludzi do pozbywania się ich. To były jedyne oznaki naturalności w tym mieście, które i tak natychmiast były tępione.

Eliza zaczęła się zastanawiać nad tym, co robić dalej, spacerując po Wietrznej Dolinie. Myślała o tym, że Wietrzna Dolina niegdyś faktycznie była wietrzna, ale dziś dzieli ją wielki kamienny mur od reszty świata. Zastanawiała się nad opuszczeniem miasta, ale coś ją tutaj trzymało.

Spacerując, zauważyła dwóch mężczyzn w czarnych szatach i cylindrach, którzy ewidentnie się skradali. Poszła za nimi, nie czując strachu. Dotarła do zaułka uliczki, gdzie mogła usłyszeć rozmowę mężczyzn.

– Do jasnej cholery, gdzie są moje pieniądze!?! – krzyknął starszy z mężczyzn, którego skóra była bardzo pomarszczona. Nawet w półmroku widać było w jego rysach twarzy zmęczenie.

– Nie mam! Przysięgam! Myślałem, że chcesz porozmawiać o interesach, że dlatego mnie tutaj zabrałeś! Myślisz, że po tylu latach przyjaźni mógłbym cię oszukać?

– Nie wiem, zacząłem wątpić w naszą relację, gdy moja żona zdradziła mnie z tobą. Jesteś obleśny – splunął pod nogi swojemu byłemu przyjacielowi.

Eliza zauważyła, że młodszym z mężczyzn jest Tomasz. Nie chciała już tego słuchać. Brzydziła się ludźmi władzy, tymi, którzy byli obrzydliwie bogaci, lecz nie potrafili zadbać nawet o swoich najbliższych. Ci ludzie myśleli tylko o swoich pieniądzach. Na samą myśl o tych mężczyznach Eliza miała odruch wymiotny. Zaczęła oddalać się od nich.

– Zofia i tak ciebie nie kochała! Kiedy to w końcu zrozumiesz? – słyszała jeszcze tylko z daleka.

– Czy to istotne? Tego nie robi się przyjacielowi!

Wygłuszała te głosy o tyle, o ile potrafiła. Zbliżała się noc, a ona była sama w niebezpiecznej dolinie bez możliwości noclegu w zadaszonym miejscu. Wciąż lepiła się od wina, jej włosy były splątane i poklejone, a ubrania w kolorze krwistej czerwieni. Dobrze wino – pomyślała, wachając swoją koszulkę, po czym wyruszyła dalej.

– Wiesz – mamrotała Eliza do zbitej butelki, zbliżając się do końcówki wzgórza.

– Jesteś źródłem zbrodni. To przez ciebie... ale to nieistotne, życie tutaj i tak nie ma sensu. Zobacz! Tylko demoralizacja! Wszyscy, absolutnie wszyscy tutaj myślą o pieniądzach. Zresztą, łącznie ze mną. Jak mam nie myśleć o nich, jeśli tylko dzięki nim mogę przeżyć? Nie mam nikogo. Nieraz myślę o tym, jakby to było, gdyby ktoś inny mnie wychował... Nie, to wszystko moja wina. Jedyne, co daje mi przyjemność, to wino i szkło. Jak to się dzieje, że mimo że wiem, że za murami jest lepsze życie, to przyzwyczajenie nie pozwala mi opuścić tego miejsca, gdzie pieniądze to jedyny cel? Władze zrobiłyby mi łaskę, wyrzucając mnie stąd. Sama nie mogę odejść, sama nie potrafię... Jestem taka młoda, a nie mam nikogo. Kocham naturę, choć nie wiem, jak naprawdę wygląda. Pragnę pieniędzy, choć się nimi brzydzę. Zabijam, choć kocham życie. Ten świat jest pełen sprzeczności.

Nagle Eliza poczuła, że ktoś się zbliża. Usiadła na ławce, która znajdowała się na samym końcu wzgórza – pod nią była przepaść. Poczuła, że wybranie tego miejsca w obliczu zagrożenia, to była najlepsza, lub najgorsza, decyzja w jej życiu. Niebawem poczuła męskie perfumy i usłyszała głos.

– Mogłaś mnie zabić tą butelką – powiedział Tomasz, który załamany swoją sytuacją, usiadł na ławce obok Elizy. Gdybyś mnie zabiła, to zdobyłabyś sławę, ludzie nic by ci nie zrobili. Nikt tu nikogo nie lubi, nikt tu nikogo nie kocha.

Nie ma żadnych zasad poza forszą. Ukradłem te cholerne pieniądze i co? Co mam zrobić? Mogę jedynie przez ten błąd czekać do końca życia w strachu albo zginąć. Widzisz, od początku mówiłem, że miejsce bez zasad to gówno, a nie pomysł. Nic tu nie daje radości. Chwilowe miłości są przyjemne, ale, niestety, są chwilowe. Nie ma tu nic takiego jak trwała miłość. Co to za miejsce, gdzie rządzą pieniądze? Lepsze by były prawa tyrana niż bezprawie, to nienaturalne. I co mam teraz zrobić? Siedzę tu obok wieśniaczki i myślę o tym, że chciałbym skoczyć z tego wzgórza – kontynuował swój wywód coraz bardziej się męcząc. – Zobaczyć jedyne miejsce, które nie jest otoczone murem. Miejsce, w którym jest wolność. Ty nie znałaś wolności, ale mi tęskno do niej – nagle przerwał i po chwili ciszy dodał, przełykając ślinę. – Chce mi się pić, tak bardzo chce mi się pić.

Eliza poczuła się lepiej po tych słowach. Poczwała, że nie jest sama. Poczwała męskie perfumy, których nie czuła od lat. Ten zapach papierosów, wina i złości... Wzięła rozbitą butelkę do ręki, rozcięła sobie usta o krawędź szkła, wypełniła trochę tulipana i podała Tomaszowi, który od razu wypił trunek.

– Widzisz, historia zawsze się tak kończy w miejscach, gdzie nie ma ładu – dodała. – Władza, która brzydzi się poddanych, pije ich krew, a ona okazuje się dla nich trująca.

Zabiły świeckie dzwony.

– Dobranoc, Tomaszu – wsparła swoją głowę o jego ramię i tak zasnęła na ławce, patrząc na naturę, o której marzyli. Spali, śniąc o tym, że murów nie ma. Śniąc o tym, jak wstrętna muzyka ich na zawsze usypia. Śniąc o tym, jak za pomocą kilku kropli krwi społeczeństwa umierają wszyscy z miasteczka. Spełniło się bowiem ich marzenie – uspił ich wysoki dźwięk upadających dzwonów i hałas walących się murów.

*Zofia Pankowska*

*Sara Piekut*

## **Tak blisko**

Słońce powoli kryło się za horyzontem. Nieliczne kłębiaste chmury lekko zasłaniały ostatnie promienie ciepła, tworząc na nieboskłonie różowe i żółtawe prześwity. Ogromne korony drzew w parku miejskim przy ulicy Świętego Antoniego przepuszczały ledwie wąskie wiązki światła padającego

z nieba. Zaniedbana, żwirowa dróżka przywodziła na myśl cmentarną uliczkę. Drewniane ławeczki, położone wzdłuż trasy nie zachęcały do odpoczynku. Spróchniałe drewno, porozbijane butelki po alkoholu i robactwo przemyskające po niemalże każdej powierzchni odpędziłyby każdego mądrego człowieka, który szanuje swoje zdrowie i bezpieczeństwo. Jednak mimo tego ponurego nastroju panującego dookoła, miejsce to nadal znajdowało wielu swoich amatorów, a to wszystko za sprawą najlepszej budki z naleśnikami, jaka kiedykolwiek powstała.

Budka ta została postawiona na skraju niewielkiego parku, więc ludzie czyszem z czystej ciekawości zapuszczali się wśród drzew. Wędrując po żwirowych uliczkach, znaleźli stary plac zabaw. Nie przedstawiał się może tak, jak najlepsze wesołe miasteczko i brakowało mu trochę do wyglądu tych nowoczesnych pokojów zabaw, które otwiera się w przedszkolach, jednak nadal pozostawał on jedynym placem zabaw mieście i był wprost oblegany przez najmłodszych. Dzieciom nie przeszkadzała odpryskująca farba, skrzypiące huśtawki, brudne ogrodzenie czy karuzele pokryte rdzą. Wręcz przeciwnie, gdy tylko zobaczyły to miejsce, od razu je pokochały, a każda wizyta w małej naleśnikarni zawsze wiązała się dla nich z szaleństwem na placu zabaw.

Tamtego dnia, gdy zachodzące słońce tworzyło na niebie artystyczną paletę barw, mieszając się z puchowymi chmurami, rozwiewanymi przez lekkie powiewy wiatru, Julek i Amelka po raz pierwszy odwiedzili nową budkę z naleśnikami, a tym samym po raz pierwszy bawili się na opuszczonym placu zabaw, o którym ostatnio było tak głośno w całej podstawówce.

Burza kędzierzawych włosów w kolorze brudnej miedzi lekko podskakiwała z każdym krokiem Julka, który ciągnąc lekko swoją młodszą siostrzyczkę za rączkę, zmierzał truchtem po żwirowanej dróżce wprost do niskiej, metalowej furtki, zagrządzającej wejście na plac zabaw, i wykrzykiwał radosne *Dobrze, mamo!* do rodzicielki, wykrzykującej ostatnie przestrogi pod ich adresem. Gdy rodzeństwo dobiegło do bramki, Amelka chwyciła za aluminiową klamkę i pociągnęła ją do siebie, odsłaniając wejście do ich krainy marzeń. Dziewczynka, niewiele myśląc, wskoczyła na teren placu i pobiegła w stronę huśtawek, a jej starszy brat był tuż za nią. Z dumną miną odpychał plecy swojej siostry, bujając ją tak wysoko, jak tylko potrafił.

Z daleka był to naprawdę piękny widok. Różowa sukieneczka dziewczynki, falowała z każdym przelotem. Jej mysie włosy, spięte jedynie małą spinką z boku głowy, powiewały za nią, gdy Julek popychał ją do przodu. Cichy łoskot łańcuchów huśtawki był zagłuszony przez donośne, dziecięce śmiechy. Ich chichot był doskonale słyszalny nawet z odległości stu metrów. Byli sami na

placu zabaw, pewnie ze względu na to, że pobliska naleśnikarnia za chwilę kończy pracę. Rodzeństwo z daleka wyróżniało się na tle zaniedbanego terenu i *cieszyło oko*. Obserwowanie tej dwójki *napawało takim ciepłem, trudnym do opisanego podekscytowaniem*.

W pewnym momencie śmiech dzieci na moment ucichł, było widać, że coś między sobą ustalają. Nagle oboje pobiegli w przeciwne strony. Dziewczynka zakryła oczy i zaczęła powoli odliczać, a chłopiec w tym czasie ukrył się pod zjeżdżalnią. Kiedy z ust Amelki padło *...dziesięć! Szukam!*, Julek zachichotał cicho i zakrył usta, w napięciu czekając na kolejny ruch siostry. Nie minęło dużo czasu, gdy blondynka znalazła jego kryjówkę i zamienili się rolami.

Zabawa trwała w najlepsze. Raz chował się chłopiec, raz dziewczynka. Obserwowanie tego wszystkiego z pewnej odległości było niezwykle pasjonujące. Bez troska i niewinność małych dzieci zawsze roztopia lód w sercu nawet najbardziej zgorzkniałych osób. Rodzeństwo wydawało się idealnym przykładem dziecięcej nieświadomości i szczerości. Uroczy widok, wprost inspirujący.

W pewnym momencie, gdy zaczęło brakować kryjówek w obrębie placu zabaw, przesuwali się coraz bliżej jego granic. *Byli już tak blisko*. Jeszcze nie wiedzieli... nie czuli tego, co ich spotka.

– Jeden... – krzyknął chłopiec, zaczynając odliczać i zaciskając mocno oczy.  
– ...dwa...

W tym czasie Amelka zaczęła się desperacko rozglądać po okolicy, szukając miejsca, w którym jeszcze żadne z nich się nie ukrywało. Podeszła do ogrodzenia i idąc wzdłuż niego, wypatrywała jakiegokolwiek krzaczka, wału ziemnego lub zwykłej, dużej gałęzi, za którymi mogłaby się schować. Pochłonięta lustrowaniem terenu, nie zauważyła człowieka, który powoli sunął obok niej, po drugiej stronie niskiego ogrodzenia.

*Tak blisko. Na wyciągnięcie ręki.*

– Też się tu kiedyś bawiliśmy w chowanego z kumplami – odezwał się nieznanym osobnik zachrypniętym głosem, spoglądając na dziewczynkę z dziwnym błyskiem w oku.

Amelka uniosła gwałtownie głowę do góry i zmierzyła go niepewnym wzrokiem.

– Znam dobrą kryjówkę. Mogę ci ją pokazać – rzucił luźną propozycją i pociągnął nosem, jakby miał katar.

*Mógłby przysiąc, że czuje jej zapach. Już jest tak blisko.*

Dziewczynka nie odpowiedziała. Przygryzła lekko usteczka i zmarszczyła brwi, rozważając wszystkie za i przeciw. Na jej twarzy odbijało się wahanie.

– On zaraz skończy liczyć. Musimy się pospieszyć – powiedział jakby „od niechcenia”, wzruszając lekko ramionami.

Amelka delikatnie skinęła główką, przyjmując propozycję nieznajomego.

*Na wyciągnięcie ręki.* Kolejny błysk w oku. *Tak blisko.* Pochylił się, podniósł ją, by pomóc jej przejść przez ogrodzenie. *Takie ciepłe i drobne ciało.* Postawił ją na ziemi obok siebie i złapał jej małą rączkę, nieświadomie zaciskając ją coraz mocniej w wyniku podniecenia, które nagle ogarnęło całe jego ciało. *Taka miękka i gładka skóra.*

– ...dziesięć! Szukam! – rozległ się już z oddali głos Julka.

Słumiony tupot jego stóp szybko ucichł, podobnie jak jego radosne okrzyki i nawoływania siostrzyczki. On nadal nie wiedział, ale Amelka chyba właśnie rozumiała. Było już za późno. *Teraz była zbyt blisko.*

*107 dni 13 godzin 44 minuty później*

### **AMELKA KALIŃSKA ZNALEZIONA!**

*Wieczorem dnia 17 listopada br. w gruzach opuszczonego hotelu LIDIA znaleziono zmasakrowane zwłoki 7-letniej mieszkanki naszego miasta, Amelii Kalińskiej, zaginionej w wakacje podczas zabawy ze swoim starszym bratem Julianem Kalińskim (10). Jak wtedy mówił chłopiec, ostatni, który widział ją żywą, nie zauważył niczego ani nikogo podejrzanego. Dzisiaj policja podaje, że dziewczynka prawdopodobnie padła ofiarą niejakiego Huberta L, skazanego wcześniej wielokrotnie za rozpowszechnianie dziecięcej pornografii, a także nadużycia wobec uczniów szkół, w których początkowo prowadził zajęcia wychowania fizycznego. Mężczyzna poszukiwany jest już od kilku lat. Ciało Amelki obecnie przechodzi sekcję zwłok w zakładzie medycyny sądowej. Zdaniem specjalistów, siedmiolatka miała liczne otarcia, siniaki, złamania i inne obrażenia, będące najprawdopodobniej wynikiem gwałtu. Policja nie chce podawać innych szczegółów ze względu na dobro prowadzonego postępowania oraz stan psychiczny członków rodziny ofiary.*

Julek zacisnął mocno palce na gazecie, z obrzydzeniem wpatrując się w tytuł artykułu. Ostatni, który widział ją żywą. Ostatni, który miał jeszcze nadzieję. Ostatni, który mógłby się nazwać bratem. Zaniedbał swoją siostrę. Stracił ją przez swoją nieuwagę.

*Kap... kap... kap...*

Nierównomierny odgłos rozpadających się słonych kropelek, odbijał się głuchym echem w jego mózgu. Wraz ze łzami, rozpryskującymi się na cienkich

stronach magazynu, wypływała z niego cała niewinność, którą miał w sobie jeszcze kilka miesięcy temu.

On stracił nie tylko swoją siostrę. Wraz z jej odejściem stracił bezpowrotnie swoją dziecięcą ufność. A przecież był przy Amelce *tak blisko...*

*Sara Piekut*

*Marcin Płonka*

*Nie tak bowiem, jak człowiek widzi, widzi Bóg,  
bo człowiek widzi to, co dostępne dla oczu, a Pan widzi serce.  
1 Księga Samuela 16, 7*

## Dzień drogi

Każdy na swój sposób wita rozpoczęty dzień. Czasem wyjście spod za-grzanej kołdry wiąże się z pokonaniem ogromu lenistwa. Kiedy czeka coś niespotykanego, utęsknionego, nawet nie orientujemy się, w której sekundzie nasza stopa dotknęła podłogi. Ktoś pada na kolana, aby Bogu złożyć dzięki za minione mroki. Inny odruchowo sięga po telefon bądź pilota, żeby być na bieżąco. Żona rzuca czułe spojrzenie na męża i wychodzi z sypialni z największą delikatnością, aby nie zmacić jego odpoczynku. Jakiś nastolatek błaga półprzytomnie chociażby o jeszcze jeden malutki kwadransik drzemki...

Tego dnia on wstał jakoś tak bezwiednie. Przetarł zaspane oczy i usiadł na skraju łóżka. Dom wypełniała cisza – najmłodsza z córek od rana do wieczora siedziała w biurze, pozostałe założyły już własne rodziny, a jej nie było – „od ilu to już lat? Chyba dziewiętnastu, tak, dziewiętnastu, bo odeszła kilka dni przed trzecimi urodzinami Zośki”. Rozejrzał się po swoim pokoju. Ten wyglądał jak zawsze: na stole ustawione radio, obok rozsypany tytoń, kartonik z bibułkami, zapalniczka i kilka niedbale otwartych kopert. Na oparciu krzesła zawieszona granatowa kurtka, a pod nią jaskrawa, ocieplana kamizelka odbłaskowa – zapewniająca bezpieczeństwo nawet w najciemniejsze, bezksiężycowe noce. Pod ścianą szafa z wiecznie uchylonymi drzwiczkami. W niej ubrania niepo-chodzące z najnowszych kolekcji, ale schludne, zawieszzone na wieszakach bądź dokładnie poskładane w kostkę. W kącie telewizor – starej generacji, „krupka” – służył dzielnie, ale od kilku dni prezentował jedynie monotonne „mrówki”; był jednak takich gabarytów, że idealnie mieściła się na nim ramka ze zdjęciem pierwszych – i jak na razie jedynych – wnucząt. Po lewej stronie było okno; widać, że niemyte od co najmniej miesiąca – spoglądając przez nie

na zewnątrz można było się oburzyć: nic nie widać! Ale on na nie nawet nie spojrział. Skoncentrował swoją uwagę na drzwiach i na kalendarzu. Wyteżył wzrok, aby dostrzec datę. Równocześnie czuł, jak mocno biło mu serce, można powiedzieć, że w tej ciszy nawet je słyszał. „21 grudnia... może to dziś?” Założył kurtkę, chwycił mocno reklamówkę, którą trzymał obok poduszki, mruknął pod nosem: „*W d r o g ę!*” i wyszedł.

Na zewnątrz czekała na niego Mucha. Był to kundelek, niby najzwyczajniejszy w świecie, ale dla niego „oczko w głowie”. I tym razem, widząc swojego pana, dwukrotnie zaszczekała z radości i nastawiła grzbiet, oczekując na podrapanie. „*Faktycznie, Muszunia.. przecież nie mogę o tobie zapomnieć. Jadę do sklepu, kupię ci trochę karmy, żebyś nie musiała być głodna*” – mówił trochę do siebie, a trochę do swojej czworonożnej przyjaciółki.

Drogę na zakupy pokonywał w tradycyjny dla siebie sposób – rowerem. Nigdzie się nie śpieszył. To sprzyjało przemyśleniom. *Może wystarczyłoby zwrócić się do kogoś o pomoc? Tylu ludziom zbywa; pożyczylbym, oddał łub odpracował. Udałoby się odbić od dna i zacząłbym jakoś od nowa. Bym, bym, bym... Pożyczyłem już nieraz, najgłupsze dwadzieścia złotych. Dawali, ale patrzyli spode łba, że przecież mam pracę, no to co robię z kasą?! – pewnie wszystko przepijam.. W zasadzie mieli rację – piłem, bo piłem, a nikt nie zauważał, że byłem.*

Jechał, jak gdyby zapomniał o całym otaczającym go świecie. Pchała go jakaś tajemnicza siła, niewidzialna, nieprzybierająca najstraszniejszych wcieleń rodem z horrorów, bez piany na ustach, bez klów błyskających purpurą krwi, bez piekielnego ognia; to była obojętność. Nawet nie nienawiść, nawet nie wrogość, ale ignorująca jego dramat, lekceważąca jego potrzeby – o b o j ę t n o ś ć.

Nim odzyskał świadomość, znalazł się przy bramie cmentarza. „*To chyba nie przypadek!*” Podjął wędrówkę po stromych alejkach „miasta umarłych”. Trasę znał na pamięć. Nie minęła minuta, a stał już nad grobem swojej matki. W oczach wzbierały łzy, a zarazem – jakby wbrew samemu sobie – przyciskał do serca reklamówkę, z którą się nie rozstawał. Po kilku chwilach zaczął sprzątać pomnik: zmiotł warstwę suchego igliwia, przetarł pajęczynę, która niczym most łączący najwyższe szczyty spowijała tablicę z nazwiskiem i wizerunek Chrystusa Ukrzyżowanego, wyrzucił wyblakłe już sztuczne kwiatki, a każdy z nich uważnie, żeby nie potłuc, zdjął i położył na ziemi. Zwrócił się do swojej matki jak dziecko, które wychodzi z domu, bo wzywa je jakiś istotny obowiązek, ale ma pełną ufność, że zaraz wróci i szepcze: do zobaczenia... W promieniu kilku metrów znajdowało się wielu ludzi, zajętych cmentarnymi pracami. Cieszyli się



piękną jak na grudniowe warunki pogodą. Wspominali kogoś, kto niedawno zmarł i gdzieś w pobliżu został pochowany, myśleli o tym, co jeszcze należy przygotować na zbliżającą się wielkimi krokami Wigilię. Jego... nie usłyszeli.

Wreszcie dotarł, tak jak zamierzał, do sklepu. Kupił obiecaną psu karmę. Przy kasie zwrócił uwagę na właśnie zamontowaną maszynę do gier losowych. Skreślił kilka liczb i odczekał pięć minut na kolejne losowanie. Niestety, i tym razem niczego nie udało się wygrać. „*Panie, nie dziś to może jutro się uda. Trzeba próbować, a los się do pana na pewno uśmiechnie*”. „*Inni wygrywają. Mnie się już nie uda*”.

W drodze powrotnej musiał szybko zeskoczyć z roweru z powodu mdłości, które od tygodnia go nie opuszczały. Uciekł w boczną uliczkę, aby zapewnić sobie minimum intymności. Z coraz bardziej przekrwionych oczu popłynęły łzy, spłynęły po żółto-rumianych policzkach, ale nie spadły na ziemię, gdyż zdołał je wytrzeć rękawem. Splunął śliną wymieszaną z żółcią i wrócił na drogę. Nieomal wpadł na kolegę z pracy.

– *Dobrze, że cię widzę. Kierownik się wścieka. Nie może się do ciebie dodzwonić, a w robocie leci ci bumelka. Przegadywałem się z nim, że przecież masz L4, ale on mówił, że niczego nie dostał od lekarza. Tak że lepiej to ogarnij, bo jeszcze będziesz miał jakieś jaja.*

– *Byłem w tamtym tygodniu u Sułkowej. Musiała coś zawalić i nie wysłała zwolnienia. Dzisiaj to załatwię* – odparł z lekko drżącymi wargami, w napięciu czekając na reakcję znajomego.

– *Aha, no to dobra. Lecę dalej! Nara!*

– *Też się trzymaj!* – odwzajemnił zdawkowe pożegnanie, pograżając się w dręczącej myśli: przecież mówiłem mu pół roku temu, że Sułkowa umarła...

Powróciwszy do domu, nasypał psu karmę, pozostałe puszki schował w lodówce i sprawdził telefon. Widniało na nim wiele nieodebranych połączeń od kierownika, z banku, od jednej z córek i od Helki. Była to kobieta, którą poznał przed dwoma laty. Wydawało się, że w jej obecności przeżywał swoją drugą wiosnę. Wielu kąśliwie komentowało: „*na starość znalazł sobie dziewczynę...*”, ale on czuł się naprawdę szczęśliwy. Po tym, jak zostawiła go żona i w samotności wychował córki, harując jak wół, czuł, że może sobie pozwolić na związek. Zapraszał ją na randki, rozmawiali godzinami przez telefon, opowiadał o niej kolegom, czekał na każdy weekend, aby znów móc się z nią spotkać. Zakochał się. Z czasem coś jednak zaczęło się psuć. Wypominała mu, że „*lubi sobie wypić*”; czuł, że ma z tym problem, ale przecież flaszka była mu najjojalniejszą powierniczką trosk w chwilach, kiedy przygniatało go jarzmo samotności. „*Mam w sobie tę siłę! Dla Heli mogę pokonać samego siebie, skończyć z tym nałogiem.*

*Dla niej to zrobię! Przecież wystarczy, że nie będę chciał, a nie będę pił* – myślał. Kiedy jednak ni stąd, ni zowąd pojawiał się jakiś życiowy cios, hart ducha się kurczył, dobre intencje zmieniały w proch, a zobojętniała wola gubiła się w tym, co było jego prawdziwym pragnieniem, a co tylko ułudą. I pił. Mimo to Hela miała wobec niego poważne zamiary. Snuła wizje, w których zamieszkają razem, tylko on musiałby dorobić się emerytury, żeby mieli przyzwoite i pewne utrzymanie. Te słowa wywoływały w nim przestrasz. „*Ona nic nie wie o moich długach, a gdyby wiedziała, to...*”. Zamknął się w sobie – i przed nią. Otworzył się za to na demona strachu, który pustoszył jego myśli, wyobraźnię – „*Słuchaj, najlepiej będzie się wycofać, to najbezpieczniejsze; bądź po prostu na wszystko obojętny*”. Dlatego w tej chwili nie oddzwonił. Wyciągnął jedynie portfel z reklamówki, która odgrywała dla niego rolę „skrzyni skarbów”. W niej odnalazł miniaturowe zdjęcie z jednego z ich spotkań. Na odwrocie drobnymi literami nakreślił kilka słów, po czym ponownie je schował.

Raz jeszcze rozejrzał się po swoim niewielkim pokoju, wspominając te chwile, które najbardziej wpisały się w jego pamięć. Miał przed oczyma momenty szczęścia i rozpaczy, śmiechu i płaczu, rodzinnych spotkań i samotności. Widział twarz tych wszystkich, którzy tworzyli ten dom przez lata, ale teraz czuł wewnętrzne rozdarcie i myśl: sam, jesteś sam, a ci, dla których strwońiłeś swe siły, odwrócili się od ciebie, zapomnieli. Mimo to starał się opanować poczucie krzywdy, próbował obudzić w sobie wdzięczność Bogu i ludziom za wszystko, co doświadczył, wiedząc, że ta chwila, właśnie ta jest ważna, być może decydująca. Otrząsnąwszy się z tego wewnętrznego poruszenia, spostrzegł, że w wyniku nieopuszczających go mdłości upadł na ziemię – a więc dobił dna, z którego postanowił już się nie odbijać. Niczym w gorączce opuścił mieszkanie i odjechał najprędzej jak potrafił. „*Byleby już nikogo nie spotkać...*”

Do obranego celu – leśnego strumyka, przy którym uwielbiał spędzać letnie wieczory i rozpalać ogniska – nie było daleko. Skręciwszy w ulicę, która miała go tam zaprowadzić, natknął się na znajomego, który akurat przedstawiał sąsiedztwu dopiero co poślubioną małżonkę. „*Gdybym miał ci wskazać człowieka, który swoim żartem i uśmiechem zawsze potrafi wprowadzić w dobry humor, to z całą pewnością byłby to pan ...*” – zwrócił się do żony, wskazując serdecznym gestem na niego. On jednak swoją postawą jakby przeczył tej prezentacji – minął ich bez żadnego słowa, gestu, spojrzenia. „*Cóż, każdemu się zdarza gorszy dzień*” – usłyszał za plecami kobiecy głos. Rzeczywiście, w towarzystwie cieszył się mianem „głównego zabawiacza”, potrafił rozładować napiętą atmosferę. Niekiedy zarzucano mu nawet przesadną wesołość w sytuacjach, które w powszechnym mniemaniu wymagały powagi. W czasie tej drogi nie

było mu jednak do śmiechu. Na wysokości ostatniego z domów, z rozmyślań wyrwało go wściekłe szczekanie psa, który gotów był przegryźć ogrodzenie, aby wczepić się w nogi rowerzysty. Podniósł wzrok na jedno z okien; firanka jeszcze falowała. „*Może ktoś wyjdzie? Zapyta, czego tu szukam?*” – zaświtała mu w głowie myśl. Zatrzymał się na moment... Ale nikt nie wyszedł. Tylko pies czekał nieustannie, a on ruszył dalej.

Wreszcie dotarł na miejsce. Popołudniowe słońce bardziej przypominało pierwszy dzień wiosny niż zimy. Na niebie nie było widać żadnych chmur. Do uszu docierał łagodny szmer płynącej w potoku wody – znaku odradzającego się życia. Dookoła niezdeptana trawa i drzewo, w którym dzieciół urządził sobie mieszkanie. Kilkanaście metrów dalej połacie zoranej ziemi, zażywającej odpoczynku i kryjącej w sobie potencjał narodzin czy raczej odradzania się do nowego życia. Najpiękniejsze miejsce na ziemi – nic nie wskazywało na to, że stanie się bezradnym świadkiem czyjegoś końca świata.

Usiadł na ławeczce, sięgnął do reklamówki. Wyciągnął... sznur. Próbował zawiązać pętlę, ale jakoś tak mimowolnie – raz, drugi, trzeci wypadał mu z rąk. Tak jakby coś podpowiadało: „*Masz jeszcze szansę. Zostaw! Uciekaj!*”. Ale górę brał inny głos: „*I tak nie masz dokąd i do kogo. Weź, skończ z tym...*”. Wreszcie opanował drżenie rąk i wykonał śmiertelny węzeł. Drugi koniec umocował u podstawy ławki. Pętlę założył na szyję, nie wiedząc już czy to, co robi, przyniesie mu ukojenie czy ból. Pozbył się wszelkich myśli, a nawet instynktu. Położył się na ziemi – znalazł się tam, gdzie uważał, że jest w oczach innych – i wykorzystując nadludzką siłę, która w niego wstąpiła, zaparł się obiema rękami o siedzisko, przesuując w dół ciężar ciała. Po kilku sekundach zaczął się dusić, twarz nabrała nienaturalnie czerwono-sinego koloru, z ust popłynęła strużka krwi. Przestał się odpychać. Sznur nie pęknął. Pękła nić rozwijana przez kilkadziesiąt lat życia.

Nie sposób opisać tego, co działo się potem, kiedy go znalezione. Oprócz zaskoczenia to żal, u niektórych wręcz rozpacz i przede wszystkim jedno pytanie: d l a c z e g o?!

Za późno ktoś spostrzegł, że

„ostatnio smutniejszy chodził”.

„Przestał opowiadać kawały”.

„Przyszło wspomnienie z banku”.

„Chyba od miesiąca nas nie odwiedzał”.

„Nie chciał się widzieć z Helą”.

„Ta lekarka, do której miał iść, nie żyje”.

„Przegrał w totka i powiedział, że inni wygrywają, a on nie może”.

„Przepisał wszystkie rachunki domowe na córkę”.  
„W pracy do nikogo się nie odzywał”.  
„Na tym spotkaniu był taki nieobecny”.  
„Przyszedł tego dnia na cmentarz. Przygotował grób”.  
„Kupował powróż, myślałem że zartuje, mówiąc, że pójdzie się powiesić”..

Wchodzę raz jeszcze do mieszkania. Drzwi do szafy oczywiście uchylone. Telewizor nie działa, ale ramka na nim dobrze wygląda. Okno nadal zakurzone, nie widać przez nie świata. Na oparciu krzesła tylko odblaskowa kamizelka. W lodówce dwie puszkę dla psa (ten jednak zdechł po kilku dniach, nie mogąc doczekać się pana). Łóżko też stoi na swoim miejscu – niezaścielone; jakby ktoś tylko na chwilę z niego wstał i zaraz miał wrócić. Ale nie wróci. Na stole rozrzucone papierosy, jakieś drobiazgi, radio, koperty (z ponagleniami o spłatę) i małe zdjęcie. Odwracam je, a na nim słowa:

„Hełu!  
Bardzo Cię kochałem.  
Utrzymuj kontakt z moimi dziećmi.  
Wpadłem w długi...”

Czy ta historia musiała się tak zakończyć? Naprawdę?

*Wujkowi*

*Marcin Płonka*

*Julia Rojek*

## **A co by było, gdyby...**

Pietro, jak zawsze, postanowił się przespać po przepysznym obiedzie swojej żony Sofii. Zdążył już nawet zamknąć oczy i zaczął wyobrażać sobie siebie, zdobywającego najwyższy szczyt, gdy wtem jedna z chmur odezwała się do niego:

– Tato! Wstawaj, wstawaj!

Bardzo się zdziwił, bo prawie dotarł na szczyt, a tu jakaś chmura go woła, żeby wstał, a on przecież nie śpi, tylko się wspina. I znowu rozległ się jakiś krzyk, tylko tym razem wołało go słońce!

– Tato! Proszę, wstawaj!

Po tych słowach zauważył tsunami, które się do niego zbliża. Próbował uciec, ale nie mógł się ruszyć z miejsca. Wtem ogromna fala wody pochłonięła go w całości, aż ze strachu się obudził. Okazało się, że to jego dzieci ochlapały go wodą, czyli nie było co się przejmować nadnaturalnym zachowaniem przyrody.

– Co się stało, moje skarby? – zapytał jeszcze lekko zaspany Pietro.

– Nic się nie stało – odpowiedziały chórem Giulia i Mario, dzieci Pietra i Sofii – tylko chcieliśmy, abyś opowiedział nam bajkę.

– Przez tę kwarantannę nie mamy co robić. Wszystkie pomysły nam się skończyły – odparła Giulia.

– To może poukładajcie puzzle?

– Nawet one nam się już skończyły. Wszystkie ułożone, a mama mówi, że nie możemy z nią wyjść do sklepu, bo nie jest bezpiecznie – powiedział z lekkim grymasem Mario.

– Wasza mama jak zawsze ma rację. Teraz to nie jest najlepszy pomysł, abyście wychodzili. Nikt z nas nie wie, kto może być zarażony...

– Koronawirusem – przerwał mu jednocześnie dzieci.

– Otóż to. W takim razie nie mam chyba wyboru, jak opowiedzieć wam bajkę. O czym chcecie posłuchać?

– Ja chcę, żebyś opowiedział historię o Roszpuncie, która miała przepiękne, długie włosy i była zamknięta w wieży.

– O nie! Tylko nie księżniczki – przerwał jej brat – opowiedz nam o smokach i rycerzach!

Po pięciu minutach sprzeczki rodzeństwa nad wyborem odpowiedniej bajki, Pietro wpadł na pomysł. Nie do końca wiedział, czy to dobra propozycja na pogodzenie tych dwóch łobuziaków, ale pomyślał, że warto spróbować.

– A co powiecie na opowieść o Romeo i Julii? – zapytał niepewnie, po czym nastąpiła niezręczna cisza. Pietro zaczynał żałować tej decyzji, aż tu nagle odezwały się dzieci:

– Nie, tylko nie to! – odparły równocześnie. Pietro pomyślał, że chociaż w tym się zgadzają, aż na jego twarz wypełzł maleńki uśmiech.

– Tylko że to nie będzie taka sobie zwykła historia jak w książce lub filmie. To będzie całkiem nowa historia dwóch kochanków z Werony.

– No dobrze – zgodziły się dzieci – ale jak się nam nie spodoba, to wrócimy do układania puzzli, których nie mamy.

– Na pewno się wam spodoba, a więc zaczynamy. Ta historia nie ma miejsca za górami i lasami, tylko tutaj we Włoszech, w czasach nam bliskich. W dobie pandemii...

– No ja nie jestem zbyt przekonany do tej bajki – podsumował Mario.

– Cicho! Nie przerywaj! – szturchnęła brata Giulia.

– Dobrze, a więc kontynuujmy. W Rzymie w jednym z domów mieszka sobie Julia wraz z rodzicami i babcią. Nie jest zbyt zadowolona z panującej na zewnątrz sytuacji, która ma zasięg światowy. Chodzi w kółko po pokoju, licząc swoje kroki, ponieważ wszystkie puzzle się jej skończyły. Nagle rozbrzmiewa dźwięk jej telefonu. Podchodzi bliżej i widzi, że dzwoni do niej Romeo. Romeo jest jej chłopakiem, który bardzo ją kocha, ale nie może jej odwiedzać, ponieważ mama Julii mu zabroniła. Za każdym razem, gdy dzwonił do niej i pytał, czy może zobaczyć się z ukochaną, jej matka odpowiadała tak samo: NIE. Młodzieniec stracił już jakąkolwiek nadzieję na zobaczenie ukochanej, gdy wtem wpadł na pomysł. Kiedy Julia odebrała w końcu telefon, Romeo wyjaśnił jej cały plan, jak mogą się spotykać tak, aby nikt się o tym nie dowiedział. Na początku Julia nie była za bardzo przekonana, ale ostatecznie się zgodziła. Po czym poszła do mamy i wytłumaczyła, że musi się przewietrzyć, bo nie wytrzymuje już w domu. Mama jej zgodziła się, ale dała jej 15-minutowy wykład na temat bezpieczeństwa.

– Dlaczego jej mama pozwoliła, a nam nie pozwala? – spytała Giulia tatę.

– Ponieważ ona jest pełnoletnia, a wy macie zaledwie osiem lat – odparł Pietro.

– No to ma fajnie... – powiedział Mario.

– Kontynuując. Po 15-minutowym wykładzie Julia była gotowa, aby się przewietrzyć, a tak naprawdę spotkać się z Romeo. Kiedy wyszła z domu, zobaczyła go stojącego z pięknym i ogromnym bukietem czerwonych róż.

– O nie! Tato, tylko nie róże!

– A czemu nie, Mario? Przecież to jest bardziej romantyczne?

– Ja bym wolał wręczyć jej sto czekoladek!

– Jeszcze żelki! Nie zapomnij o żelkach, tato! – krzyknęła Giulia, a Mario przytaknął.

– No dobrze. Niech będą żelki i czekoladki – odpowiedział zrezygnowany Pietro – a więc kontynuując, kiedy Julia wyszła z domu, zobaczyła go stojącego z opakowaniem stu czekoladek i stu żelków. Julia nie kryła wzruszenia, ponieważ to były jej ulubione słodycze. Po wręczeniu Julii prezentu Romeo pocałował swoją ukochaną.

– Pocałował? O fuu – skrzywił się z niesmakiem Mario.

– Och! Przestańcie już. To moja historia czy wasza? Dajcie mi dokończyć.

– powiedział z rezygnacją w głosie Pietro.

– Przepraszam, tato. Mów dalej, jestem ciekawy, co będzie dalej.

– Ja też! – pokiwała głową Giulia.

– Po pocałunku, nasi bohaterowie ruszyli przed siebie. Słońce powoli zachodziło za horyzontem, a wiatr lekko dawał o sobie znać. Spotykają się tak jeszcze z dziesięć razy, za każdym razem uważają, aby nikt ich nie przyłapał. Jedenastego dnia Romeo zaczął się szykować, ubierając się w koszulę, dżinsy, a nawet po długich staraniach udało mu się zawiązać krawat. Był gotowy, ale brakowało jednej rzeczy, która powinna przyjść dwa dni temu pocztą. Zaczynał się niepokoić, ponieważ to był bardzo ważny i wyjątkowy prezent dla Julii. Pogodził się z tym, że on już nie przyjdzie, gdy wtem usłyszał pukanie do drzwi swojego pokoju. Była to jego babcia, która, jak się okazało, znała całą prawdę, że jej wnuczek spotyka się potajemnie z Julią. W tamtej chwili Romeo pomyślał sobie, że przed babcią nie da się nic ukryć. Babcia Teodora wręczyła mu przepiękny pierścionek z małymi diamencikami i powiedziała, że wie o zamówionej paczce, która nie przyszła, dlatego postanowiła sprezentować pierścionek dla ukochanej, który był w jej rodzinie od pokoleń. Romeo bardzo się wzruszył, podziękował babci i wreszcie mógł ruszyć na spotkanie z Julią. Kiedy dotarł w wyznaczone miejsce ich spotkania, czekał godzinę, ale nikt się nie zjawił. Zaniepokoił się, więc ruszył do jej domu. Podszedł pod balkon, który prowadził do jej pokoju. Wtem Julia ukazała się na balkonie, ale cóż to? Na jej twarzy nie było pięknego uśmiechu ani rumieńców. Ich miejsce zajął smutek i łzy ściekające po brodzie. Romeo szybko wspiął się na jej balkon, a Julia wytłumaczyła mu, że jej mama dowiedziała się o ich spotkaniach i zabroniła jej wychodzić dokądkolwiek z domu.

– O nie! Co teraz będzie, tato? – zasmuciła się Giulia.

– Nie martw się, kochanie, to jeszcze nie koniec, ponieważ Romeo podszedł bliżej Julii i ją przytulił. Trwali w takiej pozycji przez dwie minuty, gdy nagle młodzieniec odsunął się od swojej ukochanej. Wyjął pierścionek i się jej oświadczył. Julia była w szoku, ale bez wahania powiedziała...

– TAK! – wykrzyknęły dzieci.

– Otóż to! Moje skarby. Niestety, czternaście dni później okazało się, że Julia została zarażona koronawirusem. Ta wiadomość spadła na Romea jak grom z jasnego nieba. Nie wiedział, co ma robić. Sam się zastanawiał, czy on nie załapał tego świństwa. Okazało się, że jemu nic nie jest. Ucieszył się, ale i zasmucił, ponieważ pomyślał, że to przez niego Julia jest chora. Nie zwlekając, pod przykryciem lekarza stażysty udał się do szpitala razem z księdzem, aby ten udzielił mu i Julii sakramentu małżeństwa. Kiedy Julia go zobaczyła, jej oczy zaszyły łzami. Nie mogła ukryć zdumienia ani wzruszenia. Nie był to normalny ślub, ponieważ nikt z rodziców o tym nie wiedział.

– Oprócz babci Teodory, tato. Mówiłeś, że przed nią nie da się nic ukryć!  
– krzyknęła Giulia.

– No dobrze – odparł Pietro – nikt oprócz babci Teodory, która wiedziała o wszystkim, ale nie wydała kochanków. Po dwóch miesiącach od ich ślubu okazało się, że Romeo również jest chory.

– Tato, przecież obiecałeś, że nie będzie smutnego opowiadania! – powiedział Mario.

– A jak inaczej to zakończyć? – odparł tato.

– No jak to, jak? – zdziwiła się Giulia – miłość Romea i Julii...

– Oraz niezawodni lekarze – dodał Mario.

– No tak, to też może być – pokręciła głową Giulia – więc miłość Romea i Julii oraz niezawodni lekarze pokonali tego.... Jak to szło? O, już wiem. Pokonali koronawirusa, który udał się na wakacje i nigdy ich już nie zaskoczył.

– Ciekawe zakończenie córeczko... bardzo oryginalne. Może dodamy jeszcze, że żyli długo i szczęśliwie w małym domku z widokiem na zachód słońca.

– Jeszcze z psem! – dodał Mario.

– Czy ktoś by chciał jeszcze coś dodać? – spytał Pietro.

– Tak, skarbie – rzekła mama Sofia – nie zapomnij jeszcze dodać, że mieli najwspanialsze dzieci pod słońcem – po czym pocałowała Giulie i Mario w czoło.

– Nie martw się, kochanie, nie zapomniałem – a następnie przytulił swoje pociechy.

– Teraz chodźcie wszyscy, ponieważ zrobiłam pyszne ciasto!

– Taaak! – krzyknęły dzieci, przepychając się, kto pierwszy dobiegnie do kuchni.

– Sofio, nie wiem, czy to dobry pomysł – odparł Pietro.

– Dlaczego nie? Patrz, jak się cieszą.

– Nie chodzi o nie, tylko o mnie. Jak się skończy ta kwarantanna, to chyba będę się toczył po schodach.

– Oj, już nie przesadzaj. Jak mówi moja mama, najpierw masa, potem rzeźba, więc się nie przejmuj – uśmiechnęła się Sofia.

– Jak tak stawiasz sprawę, to poproszę od razu dokładkę – powiedział Pietro, po czym pocałował żonę.

*Julia Rojek*



## **SCHODY oraz natura zaaranżowanego małżeństwa**

Stanisław Awicenna leżał w ciepłej pościeli, zamknięty w szarej bańce przedświt, zdjęty cichym strachem przed zejściem po schodach. Ich stopnie były zdradliwe i skrzypiące; wyobrażenie drewnianego skrzeku odbijało się po głowie wysokim echem.

Muszę dotrzeć do kuchni – pomyślał, zatopiony w czerwonym wnętrzu spuszczonej powiek, otulony dusznym ciepłem kołdry. W zasadzie nie była to trudna rzecz – wstać i przemyć twarz, ogolić się, nałożyć koszulę, później spodnie, zaskrzypieć dwa razy na schodach i raz w przedpokoju. Skręcić w otwarte drzwi, usiąść na jednym z krzeseł. Spotkać kobietę swojego życia – i spróbować z nią porozmawiać, chociaż, jako żywo, żadne z nich na rozmowę nie miało ochoty.

Awicenna myślał o tym, że może to zrobić – bez żalu i bez buntu, ponieważ nie leżały one w jego naturze. Nachylić się i zasugerować pocałunek w policzek – bardzo uprzejmy pocałunek, symboliczny, na powitanie. Oczywiście nie łudził się, że zostałyby to zaakceptowane; był świadom, że zamiast delikatnej skóry doświadczyłby chłodnej ignorancji: zarazem naturalnego i zdecydowanego kroku w bok, a kilka chwil później – zdystansowanego spojrzenia.

Leżąc w rozgrzanym łóżku, przyglądał się wspomnieniom z poprzedniego ranka: jęczący parkiet, następnie kobieta i już nawet nie niezręczność, ale głuchochć przyzwyczajenia. Jak zwykle, starał się być poprawny: przyniósł kwiaty, wygładził kołnierzyk i uśmiechnął przy śniadaniu. Ona okazała się posągowa: z artystyczną zmarszczką między brwiami smarowała bułkę masłem i nie doceniała dramatu, który właśnie się przed nią rozgrywał. Być może była na to zbyt zmęczona; być może po prostu zbyt szczerą.

Z każdym kolejnym zanurzeniem noża w mlecznożółtej kostce zabijała zarazem swobodę i niezwykłość. Nie umiał wytłumaczyć, dlaczego tak to sobie wyobrażał – ani dlaczego w ogóle się nad tym zastanawiał – ale dotykając masła, srebro ostrza w jakiś sposób odzierało całą grę pozorów ze złudnej prawdziwości. Jednocześnie jednak ta sytuacja – do bólu zwyczajna – spowszedniała jego niepewność, lęk i cień ekscytacji, kładący się głupią nadzieją gdzieś z tyłu głowy.

Z rozmyślań wyrwał go alarmujący skrzek schodów – na trzecim i piątym stopniu, licząc od dołu – oraz stukot, gdy buty uderzały o podłogę, aksamitny szelest dotyku na kłamce.

– Dzień dobry – przywitał się, gdy tylko weszła do pokoju. Obserwował jej palce, zaciśnięte na brzegach tacy ze śniadaniem.

– Dzień dobry. Jak się dzisiaj czujesz? – spytała odruchowo, z czystej uprzejmości. Zawahała się, jakby chciała temu zaprzeczyć, cofnąć czas drgnieniem warg i rozłupać misę słów, którą przez przypadek ulepiła.

Odparł w podobny sposób, dźwięki wylały się z niego jak psy – posłuszne gwizdkowi, podatne na tresurę.

– Całkiem dobrze, żono.

Ostatnie słowo jak uderzenie – nigdy nie chciał go wypowiadać.

– Zamierzasz dzisiaj wstać? – spytała obojętnie, kładąc tacę na komodzie.

W odpowiedzi zsunął się z łóżka i spojrzał na nią, zarazem spięty i rozluźniony.

– Przygotowałam śniadanie. Jest już pewnie zimne, ale przyniosłam je tutaj – usłyszał śliski szelest spódnic, jedwabny, pospieszny szept materiału, gdy szybkim krokiem przemierzała pokój. Obcasy jej butów zastukały grubo na parkiecie.

– Czy czeka na ciebie jakaś ważna sprawa? – uniósł brwi, widząc nerwową szybkość jej kroku i szerokie ruchy rąk, zamazyście przecinające powietrze, gdy wyjmowała zwiędłe kwiaty z wazonu i przecierała dłonią kurz otulający ramę lustra.

– Powinniśmy zatrudnić jakąś służącą – westchnęła, krzywiąc łuki ust, brzydkim grymasem wycinając zagłębienia w policzkach.

Nie nalegał na odpowiedź, gdy dłuższy czas krzątała się po pokoju w towarzystwie pisku podłogi i szmeru ubrań. Obserwował jej ręce – dyskretnie, jakby patrzył na dwa blade ptaki. To było zawieszenie – bardzo bezpieczny, pozorny bezruch, gdy nie patrzyli sobie w oczy.

– Jadę do siostry. Nie będzie mnie przez najbliższy tydzień.

Następne słowa Stanisława – jak trzask pękającego lodu, jak ostry gwizdek lub krzyk sójki. Zanim je wypowiedział, powinien przygryźć sobie język.

– Będziesz malować pejzaże?

To niebezpieczne pytanie zawisło między dwójką obcych ludzi i bezwstydnie odzierało ich z obcości.

– Co cię obchodzi, co będę malować? Chciałbyś zobaczyć? Czy jesteś zwyczajnie wścibski? – odwróciła się w jego stronę z obwiniającym napięciem ramion, zmierzyła go spojrzeniem: zirytowanym i jednocześnie niestałym w swym gniewie.

– Przepraszam.

Ostatnie słowo było lakiem wylanym na kopertę i odcisnięciem na nim pieczęci; już dawno stało się milczącym symbolem ich zgody i zatraciło prawdziwe znaczenie. Myślał nad nim i wiedział, że oboje są na nie skazani.

Właściwie był pewien, że ta rozmowa – tak jak każda inna – skończy się w ten sposób. Była beznadziejna od pierwszego słowa: „Zamierzasz dzisiaj wstać?“, przez bezpardonowe „Jest już pewnie zimne” aż do „najbliższy tydzień”. Audiencja zakończyła się z powiadomieniem o czasie wyjazdu; on po prostu zagapił się i spytał – o zakazane owoce, o wiedzę, której nigdy nie powinien był zdobyć.

– Pomóc ci się spakować? – rzucił, żeby jakoś zataić, być może przed samym sobą, niezręczność ciszy.

– Spakowałam się wczoraj.

– Nie powiedziałaś mi – stwierdził z zamyśleniem, nie wyrzutem.

– A powinnam? – zwróciła ku niemu maskę twarzy: z całą gwałtownością czarnych, jaskółczych skrzydeł rzęs, plam białych policzków i ciemnej aureoli kręconych włosów.

– Może zniosę kufer? Jest ciężki.

– Zniosłam go sama, zanim wstałeś – odparła z rysą tłumionej pogardy w kącikach ust. Zastanawiał się, czy naprawdę czuła ją do niego. Doszedł do wniosku, że to nie miało znaczenia.

Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom. W milczeniu odprowadził wzrokiem jej plecy, otulone purpurą sukni.

Wyłapał śnieżny przeblysł skóry na karku, lekko przestłonięty włosami. Nigdy specjalnie jej nie obserwował, chociaż czasem miał ochotę – spojrzeć i zrozumieć, zobaczyć, kim tak naprawdę jest. Wszystko, co w niej znał, musiał znajdować przez miesiące, jak niechętnie porzucone okruchy.

Tak pewnego dnia natrafił na jej skórę – bladą, podbitą liliowym cieniem, roztapiającą się w bieli koszuli. Tak napotkał jej symetryczną twarz – i szczupłą rękę, spierzchnięte usta, nieładny nos.

Pewnego dnia zobaczył ją – jak młodą kobietę ze starego zdjęcia – odległą o eony, bliską o powierzchnię fotografii, o policzkach śliskich od laminacji i oczach – ciemnych stawach. Zauważył jej włosy, rozkwitające gładkim brązem, ułożone jak zawężona korona drzewa w ziemie.

Nie patrzył i nie kontemplował, nie został zamyśloną pomnikiem. Skleił jej obraz z rozbitej mozaiki, sklejał go przez wieki: z rzutów okiem i przypadkowych, zapatrzonych spojrzeń. Aż ukończył malowidło i z nieznanego dzieła stała się starym, znanym freskiem – zupełnie niezrozumiałym; przecież nie można poznać człowieka, patrząc na jego rękę.

Być może powinien od razu wyżyć się kurtuazji i nadziei – przestać szukać śladów wygasłych ognisk i nitek z jej płaszczka, zawieszonych na palcach krzewów. Byłoby to rozsądne i komfortowe – opowiedzieć się po jednej ze stron i skupić na jednoznaczności. Ale byłoby to także niezgodne z jego naturą oraz specyficznym rodzajem ciekawości, który wykwitł w jego piersi.

Czy żywił do niej jakieś uczucia? Raczej nie. Czasem tylko czuł coś do jej włosów i pięknych sukni – być może podziw, być może złość na samego siebie, że nie chce zakręcić jej loków na palcu czy pogłodzić purpury spódnicy.

Przede wszystkim nie wiedział – jak obchodzić się z porcelaną jej skóry i szkłem spojrzenia? Jak mówić – żeby nie ranić? Nie znajdował w sobie siły, żeby mieć w niej wroga.

Stanisław po prostu nigdy wcześniej nie wyobrażał sobie, że to może okazać się takie trudne – zejść po schodach, pochylić nad talerzem, pocałować kogoś na powitanie. Pożegnać, gdy wyjeżdża. Do woli oglądać, zapamiętywać. Każdy krok – każdy stopień – okazywał się wyboisty, nie do przebycia.

Przetarł twarz dłońmi, słysząc kliknięcie zamykanych drzwi.

– Chciałbym cię kiedyś pokochać – wyszeptał.

*Alicja Stopkowicz*

*Kinga Suchanek*

## **Człowiek? Odpada**

Stoję na przystanku, przeskakując z nogi na nogę, trzęsą mi się dłonie, a mój oddech przyśpiesza. Chcę zacząć myśleć, ale nie nadążam za przeskakującymi w mojej głowie ładunkami elektrycznymi. Zanim znalazłam się pod tym pseudoszklanym pudłem, zaszedł mi drogę chłopiec... Ojej, jaki chłopiec, wysoki na dwa metry, kaloryfer jakby nieodpowietrzony, rysy takie ostre, że mógłby chleb nimi kroić.... Zatrzymuje mnie, łapie za rękę i mówi „kocham cię” ... I... już go nie ma! Że wróci, jestem pewna.

Trapi mnie inna sprawa. Prędkość moich myśli pobija rekord za rekordem i aż prosi się o mandat. Muszę koniecznie przebrnąć przez to wszystko raz jeszcze, na głos przetworzyć zdarzenie, przekazać dalej emocje, które rozsadzają mnie od środka...

Ale komu? Kto będzie na tyle dyskretny, że nie wygada, wspomocze radą, odradzi?

Ukochany (za wiele o nim nie wiem) odziany w dresy żyje na blokowiskach. Z pewnością kibol i kryminalista... Ale przecież łobuz najbardziej kocha...

Może zadzwonię do Jolki, przyjaźnimy się od lat. Chociaż jak długo ją znam, jej rudym włosom nie ufam. Odpada.

Staruszka obok mnie wygląda bardzo przyjaźnie, na jej twarzy widać ślady wielu doświadczeń i przygód. Antenka od jej beretu sterczy, jakby odbierała sygnały o moim nietypowym samopoczuciu i potrzebie kukułki z torebki... Lecząc jej miłą chęcią zaprowadzą ją przed ołtarz kościoła, gdzie złoży za mnie ofiarę na tacę, a ksiądz zdumiony tak wielką sumą wybada całą sprawę, a potem gdzieś przy szklaneczce whisky i pokerze wygada radnym, burmistrzowi i Bóg wie komu na jakimś kazaniu o tym, jak księżniczka spotkała rozbójnika.... Odpada. Wodzę wzrokiem w poszukiwaniu dobrego słuchacza. Po lewej znad ławki unosi się dławiący dym. Zamyślony mężczyzna pali fajkę, okopcając wszystkich wokół. Może to jest klucz – solidarność jąder! Na pewno zrozumie, co mój adorator miał na myśli. Ale... Och! Życie mi chyba jest strasznie niemiłe... W tym stresie nie zauważyłam, że ciemna skóra, ciemne włosy, stare ortaliony z lumpeksu... Łańcucha tylko brakuje! Wyciągnie nóż, zażąda kasy, wciągnie w ciemny zaułek. Odpada.

Odsuwam się o kilka kroków w prawo. Poszukiwania powiernika zawężają się do dwóch osób: pani z jakimś pudłem na kolanach, siedząca na przystanku po drugiej stronie ulicy i chłopak, który właśnie przyszedł. Wytężam wzrok, przyglądam się tajemniczemu przedmiotowi i wszystko staje się jasne – to klatka dla kota! Stara kociara, samotna, koty są jej jedynym pocieszeniem. Karmi je, wyczesuje i szkoli, jak własne dzieci. Pytanie jej o związki to niczym pytanie dzika, jak załatwia się człowiek. Odpada.

Zostaje chłopak, w moim wieku chyba... Na nogach rurki, w uchu kolczyk, a na delikatnych policzkach makijaż. Idealnie! Gej to najlepszy przyjaciel kobiety. Kto lepiej wysłucha i będzie strzegł tajemnicy, nie rozplotkuje, nie oceni?

Już mam podchodzić, już zbieram się, ustalam w myślach, jak zagadać i... Podjeżdża bus numer 36. Kierowca nie wygląda, jakby chciał zaczekać, tak samo jak moje myśli. Wsiadam.

Dar i przekleństwo tak znaczą się na ludziach. Nie ulżę dziś mej głowie... Gdy wrócę do domu, nawet w lustro wygadać tego nie będę mogła, bo tam kobieta – plotkara, a na domiar złego blondynka! Odpada.

## Avocado

### Dzień pierwszy

Tak więc przeprowadzam się. Na apartament, który do tej pory wynajmowałem, nie było mnie już stać, straciłem pracę... redukcja etatów, oszczędności, życie... Czeka mnie przeprowadzka do szarego bloku.

Ale nie narzekam, staram się myśleć pozytywnie, nowe miejsce, nowi ludzie.

Przebywanie w pustym mieszkaniu na stercie niewypakowanych kartonów dobijało mnie. Postanowiłem się przejść. Na jednym z niższych pięter udało mi się zobaczyć pierwszych mieszkańców tej klatki. Miałem właśnie ich przywitać, gdy zdałem sobie sprawę, że dwójka się kłóci. Wysoki, owłosiony, wyglądający jak drwal mężczyzna zaciskał zęby i bardzo starał się nie wybuchnąć. Obok niego niska, chuda kobieta, wyglądająca na bardzo wzburzoną wykrzykiwała ze łzami w oczach: – Jest pan zwykłym mordercą, sadysta, bydlę, potwór! Jak zabijanie może być hobby?

Byłem wyjątkowo zakłopotany i przerażony tematem rozmowy, więc szybko uciekłem.

Wniosek na dziś: nie załamuj się, nowe doświadczenia i znajomości urozmaicają życie.

### Dzień drugi

Źle spałem, przez sen słyszałem jakieś głosy, coś pukało i stuknęło.... Wstałem zły i niewyspany, nie miałem jednak wyboru, musiałem wyjść, rozejrzeć się po okolicy, zwłaszcza, że w lodówce pustki.

W drzwiach bloku natknąłem się na kolejnego mieszkańca naszego budynku. Wyglądał jak wieczny student – artysta, niski, w ciemnym ubraniu i z wielką torbą upapraną kolorowymi plamami. Zderzyliśmy się w ciasnym przejściu klatki, mruknąłem przeprosiny, jednak on zupełnie mnie zignorował.

Na chodniku przed blokiem zobaczyłem starszą, nerwowo rozglądającą się kobietę, miała kopę kręconych, siwych włosów, twarz pokrytą siatką zmarszczek, które paradoksalnie dodawały jej uroku i szczerzy, szeroki uśmiech.

Pani Wanda, jak się wkrótce przedstawiła, niosła ze sobą ogromne torby wypełnione różnymi warzywami, owocami i innymi produktami spożywczymi. Zdziwiłem się, gdy powiedziała mi, że mieszka sama, z taką zawartością toreb mogła spokojnie wyżywić całe miasto! Wszystko oczywiście nabrało sensu, jak dowiedziałem się, że jest kucharką. Kobieta opowiedziała mi o swojej pracy,

która jest też jej pasją, „kocham gotować, a jeszcze bardziej kocham jeść”, mówiła posapując, kiedy wyjmowałem jej z rąk ciężkie torby. Udało mi się nawet dowiedzieć troszeczkę więcej o osobach mieszkających razem z nami, Pani Wanda żyła tu najdłużej i widziała wiele wprowadzek i wyprowadzek.

Najbardziej znaną i rzucającą się w oczy osobą była gwiazda naszej klatki – śpiewaczka operowa Marianna. Z tego co mi wiadomo, występowała w największych teatrach świata: Teatrze Bolszoj, Metropolitan Opera, Teatro alla Scala – wielki głos i niezwykła, powalająca uroda....

Drugą osobą o muzycznym talencie był Pietro – skrzypek z miejskiej kapeli, który zazwyczaj jeździł na koncerty, więc rzadko bywał w domu.

Z ploteczek zasłyszanych od Pani Wandy dowiedziałem się jeszcze, że na najwyższym piętrze toczy się wojna o psa!

Otóż pewien pan dziennikarz o imieniu Kamil, właściciel niezwykle mądrego pieska toczy od lat wojnę z mieszkającą za ścianą Moniką – trenerką karate z powodu.... uczulenia na sierść. Sąsiadka narzekała na różne symptomy, których żaden sąsiad u niej nie zarejestrował.

Udało mi się zawrzeć bliższą znajomość z parą, która kłóciła się na klatce poprzedniego dnia. Okazało się, że kobietka – Jola jest rozwiedzioną pielęgniarką, na dodatek okazała się wegetarianką, na wegetarianizm przeszły także jej dzieci, dwoje wiecznie naburmuszonych i głodnych nastolatków. Jola kocha cały świat, nienawidzi przemocy i okrucieństwa. Natomiast gość podobny do drwala, który uparcie pożerał panią Jolę oczami, niestety pożerał też mięso rano, w południe i wieczorem, na dodatek był myśliwym.

Udało mi się nareszcie połączyć z Internetem i przez całą noc przeglądałem wiadomości i social media. Chyba dużo mnie ominęło, skoro pierwszy raz usłyszałem o jakimś dziwnym wirusie, który wyjątkowo szybko się rozprzestrzenił.

Wniosek na dziś: nabrać dystansu do otaczającego świata i w końcu się wypaść!

### **Dzień 3**

Moje meble w końcu przyjechały, a przy wnoszeniu pomagał mi nie kto inny jak pan Mietek – myśliwy. Bardzo doceniam takie sąsiedzkie gesty pomocy, szczególnie dlatego, że zamiast rąk mam chude i łamliwe patyki.

Chodząc tam i z powrotem z moimi gratami, spotykaliśmy na klatce różnych ludzi, niektórych widziałem po raz pierwszy.

Pani Jola wegetarianka, mijając nas na schodach, popatrzyła z pogardą i ze zmęczeniem w oczach, kucharka Wanda tylko uśmiechnęła się do mnie. Dobrze, że nie miała ochoty na pogawędki, bo jest z niej niezła gaduła. Udało mi się za to przywitać z psem dziennikarza, który okazał się ślicznym, dobrze

wychowanym labradorkiem. Gdy wszystkie rzeczy znalazły się w moim mieszkaniu, podziękowałem mężczyźnie i wróciłem do swoich obowiązków, czyli pisania dziennika oraz szukania pracy w najbliższej okolicy.

Na wieczór zapowiedzieli wystąpienie ministra zdrowia, czy trzeba zacząć się bać?

Wniosek na dziś: żadna praca nie hańbi.

## **Dzień 5**

Zauważyłem ostatnio, że nasza śpiewaczka operowa uwielbia śpiewać o każdej porze dnia, żeby tylko ćwiczyć głos i zawsze w tym samym czasie zaczyna swój popis skrzypek, co wyjątkowo irytuje śpiewaczkę. Kończy się to ciągłym waleniem w ściany, czasami kłótnia przenosi się na balkony. Ich wrzaski słychać chyba na całym osiedlu.

A wirus powolutku rozprzestrzenia się. Nie wydaje się być zbyt straszny, jednak starsza pani kucharka jest dosyć wystraszona.

Przecież nie może być tak źle.

Wniosek na dziś: muszę zaopatrzyć się w maseczkę.

## **Dzień 18**

Jednak jest źle. Choroba zawładnęła naszym miastem wyjątkowo szybko, na szczęście nikt z naszego budynku nie jest zarażony.

Staramy się nie wychodzić na dwór bez potrzeby. Nasz biedny myśliwy patrzy ciągle w okno, starając się przypomnieć, jak to było, kiedy był na dworze i polował na zwierzęta. Dziennikarz regularnie wychodzi z psem, jednak są to tylko krótkie spacerki, krążą wokół budynku. Zwierzył mi się kiedyś, że ma teraz niezwykle dużo pracy, z zacięciem demontuje wszystkie fake newsy dotyczące zarazy i zaciekle broni w swoich artykułach służby zdrowia. Pewnie dlatego nasza pani pielęgniarka tak źle wygląda. Ludzie coraz częściej buntują się przeciwko służbie zdrowia. Pielęgniarka znalazła w skrzynce pocztowej obraźliwe listy, w nocy ktoś rzucał kamieniami w okno, dobrze, że nasz myśliwy ich odstrasza. Student – artysta siedzi w domu i z równie wielkim dąsem patrzy na wszystkie budynki wokół niego.

Niespodziewanie budynek ucichł.

Wniosek na dziś: jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie.

## **Dzień 20**

Dzisiaj po raz pierwszy od dłuższego czasu postanowiłem wyjść z własnego mieszkania. Z całym zabezpieczeniem, dojechałem do najbliższego sklepu



i zabrałem się za zakupy. Jak większość, postanowiłem zrobić żywieniowe zapasy na jakiś czas.

Podczas przechadzek po sklepowych alejkach spotkałem znajomą osobę! Nasz student artysta wrzucał do swojego wózka tyle przeróżnych rzeczy, jakby wybierał się na bezludną wyspę co najmniej na rok. Tym razem zaszczycił mnie rozmową i okazało się, że pomaga naszej kucharce, a te wielkie zakupy to dla niej, żeby nie wychodziła z domu. Jako iż jestem miły, kulturalny i skromny, zaoferowałem mu podwózkę, ucieszył się bardzo. Spędziliśmy całą podróż w ciszy, ale nie przeszkadzało mi to. Gdy tylko podjechaliśmy pod blok, zobaczyliśmy panią Wandę w oknie, uśmiechnięta machała nam radośnie. Nie spodziewałem się, że da jej to aż tyle radości.

Obiecała nam, że kiedy skończy się pandemia, wyprawi wszystkim lokatorom uroczystą kolację, na której każdy będzie mógł skosztować swoje ulubione danie.

Wniosek na dziś: nie oceniaj ludzi po pozorach!

## Dzień 23

Mnóstwo krzyków i śmiechu obudziło mnie z popołudniowej drzemki. Lekko zaspany wyjrzałem na klatkę i wychyliłem się znad barierki schodów, aby spojrzeć, co się dokładnie działo. Nie uwierzyłem własnym oczom! Dzieci naszej pielęgniarki biegały od drzwi do drzwi, rozkładając na wycieraczkach karteczki, na których wypisały, w jaki sposób pomagają osobom starszym i samotnym. Jakoś ciepło zrobiło mi się na sercu, gdy wzięłem jedną z karteczek do ręki.

Wszyscy w bloku wiedzą, że rodzina pielęgniarki razem z dziećmi jest ofiarą strasznego hejtu, tym bardziej się wzruszyłem, patrząc na kolorowe karteczki.

Okazało się, że pan Mietek zaoferował pomoc przy dzieciach bardzo zajętej pani Joli, a ta się zgodziła pod warunkiem, że Mietek nauczy się gotować jej wegetariańskie dania. Było to całkiem dobre rozwiązanie, w końcu lasy zostały zamknięte, z polowania nici, przynajmniej na coś się przydam – pomyślał pan Mietek, a może przy okazji tego... no, spróbuję tych warzywnych potraw.

Jakby mało było niecodziennych zachowań w naszym wiecznie klóącym się bloku, komuś bardzo spodobało się, jak Włosi śpiewają na swoich balkonach.

Ktoś wyskoczył z pomysłem: przecież my też mamy wspaniałych muzyków! Mogą razem wystąpić. Oni...? Wystąpić razem? To niemożliwe! A jednak udało się! Panna Marianna ustaliła kilka zasad. Nie będzie śpiewać rocka, country ani niczego obraźliwego. Śpiewaczka miała nie śpiewać za wysoko i nie po-

pisywać się, a Pietro starał się „nie gwiazdorzyć” i nie improwizować za dużo. Tak też było, skrzypek trzymał się oryginału i pozwalał Mariannie zabrzmieć, nie zagłuszając jej swoją piękną grą. Wieczorem muzyka wypełniła całą ulicę, wszyscy wyszli na balkony, aby wysłuchać ich oboje. Nikt nie spodziewał się, że będą tak dobrze brzmieć ze sobą!

Po występach muzycy byli bardzo podekscytowani i zdecydowali, że zagrają ze sobą jeszcze raz w najbliższym czasie.

Wniosek na dziś: muzyka łągodzi obyczaje.

## **Dzień 26.**

Myślałem, że dziwniejszych rzeczy już nie zobaczę, myliłem się. Od kilku dni, nasza kochana Marianna wraz ze swym najlepszym przyjacielem Pietro spotykają się w swoim wirtualnym studio i grają wszystko, co im do głowy wpadnie, a cały blok ogląda potem ich wykonanie zarejestrowane on-line.

Występy o godzinie 19.00 stały się tradycją, na balkonach gromadzi się coraz więcej ludzi. Marianna zakłada swoje piękne suknie, Pietro czasami występuje w smokingu. Koncerty mają różną tematykę, zdarza się, że Marianna śpiewa sama, a czasami Pietro improwizuje sam. Kto by się spodziewał, że będą tak współpracować.

Wniosek na dziś: czasami niewiele potrzeba, żeby szary dzień zmienił się w święto. Wystarczy mieć za sąsiadkę śpiewaczkę operową. ☺

## **Dzień 34**

Nie tylko między trębaczem i śpiewaczką zapanowała zgoda. Pewnego dnia, kiedy spoglądałem przez okno, zauważyłem trenerkę Monikę na joggingu, ale nie samą! U jej boku wielce zadowolony biegł pies naszego dziennikarza!

Widziałem Monikę jeszcze kilka razy z psem, jednakże niedawno poznałem historię związaną z całym zajściem. Pani trener nie ma i nigdy nie miała uczulenia na psy, wręcz przeciwnie, ona po prostu się ich bała. Był to jej mały sekrecik, uważała, że jest to żenujące i wstydziła się o tym mówić. Jednakże cudownie wytrenowany pies dziennikarza Kamila skradł jej serce i pomalutku przyzwyczała się do zwierzęcia. W pewnym momencie jakoś tak się zdarzyło, że trenerka sama wyszła z inicjatywą, aby zabierać psa na poranny jogging. Co najlepsze dzisiaj nasza sąsiadka nie tylko wyprowadziła na spacer psa, ale i dziennikarza.

Wniosek na dziś: od poniedziałku zaczynam biegać, sport to zdrowie.

## Dzień 417

Bardzo dawno nie pisałem, od tamtych wydarzeń minął prawie rok. Nareszcie cała sytuacja uspokoiła się i znów możemy normalnie funkcjonować. Życie wróciło do normy, można wyjść na dwór bez masek, rękawiczek i tym podobnych. W naszym bloku nikt nie zachorował, pozornie wszystko jest jak było, a jednak coś się zmieniło.

Częściej uśmiechamy się do siebie, więcej rozmawiamy, chyba bardziej się lubimy.

Nasi muzycy wrócili do swojej pracy, jednakże na szczęście wciąż się spotykają, gdy mają czas, wciąż dają nam koncerty, teraz już nie na balkonie, tylko w stylowym salonie pani Marianny.

Chyba największa zmiana zaszła u myśliwego Mietka. Już nie poluje. Podobno przeszedł na wegetarianizm. Jola pielęgniarka znalazła dla niego alternatywę. Otóż zajął się uprawą roślin balkonowych. Sprowadza najpiękniejsze kwiaty i inne rośliny, a nasze balkony zmieniły się nie do poznania: zazieleniły się i nabrały niezwykłych tęczyowych kolorów. Pan Mietek stał się prawdziwym ekspertem ogrodnictwa, a nasz blok wygrał konkurs na najpiękniej ukwiecony budynek.

Co z naszym dziennikarzem? Jego niezwykle profesjonalne i podnoszące na duchu artykuły cieszyły się tak dużym powodzeniem, że w pracy dostał podwyżkę i awans. Na szczęście teraz ma znacznie więcej czasu, więc wraz z trenerką, która została właścicielką cudownego kundelka zabranego ze schroniska, wychodzą na dłuższe spacerunki. Pieski są szczęśliwe, ludzie też na takich wyglądają. ☺

Ja otworzyłem mały warzywniak na rogu naszej ulicy. W warzywa zaopatruję się u okolicznych rolników i nie narzekam na brak klientów. Dostarczam je także pani Wandzie kucharce, która szczególnie zaprzyjaźniła się ze studentem Lubomirem i codziennie przyrządza mu pyszne i zdrowe kanapki na uczelnia. Dwie samotne dusze bardzo dobrze się rozumieją.

Tradycją stało się, że raz w tygodniu spotykamy się w kolejnych mieszkaniach na pyszne kolacje. Rozmawiamy, gramy w planszówki, jesteśmy bardzo ze sobą związani, staliśmy się jedną wielką rodziną.

Wniosek na zawsze: ludzie są dobrzy.

*Julian Żurek*



# Noty o autorach

## *Uczniowie szkół podstawowych*

- Emilia Albertusiak** uczennica VI kl. Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej I st. im. Stanisława Moniuszki w Katowicach, pisze wiersze.
- Aleksandra Bednarz** mieszkanka Wiślicy, uczennica VIII kl. SP nr 1 w Skoczowie w pow. cieszyńskim w woj. śląskim, laureatka ubiegłorocznej „Lipy”, posługuje się mową niewiązaną.
- Emilia Bielaska** uczennica VII kl. SP w Mielcu w woj. podkarpackim, laureatka konkursu literackiego „Miełkie Straszony” w 2018 r., wierszopisarka.
- Szymon Błoński** uczeń VII kl. SP Społecznego Towarzystwa Oświatowego w Tychach w woj. śląskim, laureat „Lipy” w latach 2017-19, prozaik.
- Gaja Bochyńska** uczennica IV kl. Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej I st. im. S. Moniuszki w Katowicach, pisze prozę.
- Wiktoria Boniecka** uczennica VII kl. SP nr 3 w Hrubieszowie w woj. lubelskim, członkini Klubu Literackiego MDK tamże, prozaiczka.
- Weronika Zofia Brzana** uczennica VI kl. SP nr 19 w Lublinie, autorka opowiadań.
- Agata Chmielarz** uczennica IV kl. POSM I st. im. S. Moniuszki w Katowicach, pisze prozę.
- Małgorzata Chodyka** uczennica VIII kl. SP nr 3 w Międzyrzecu Podlaskim w pow. białskim w woj. lubelskim, członkini Grupy Poetyckiej „Zefirek” tamże, laureatka „Lipy” w l. 2016-17 i 2019 oraz VII Międzynarodowego Konkursu Literackiego „Młodzież pisze wiersze” w Berlinie, konkursów literackich w Pacanowie, Ulanie, Skępem, Lublinie, Jaśle, Nysie i in. miejscowościach, pisze wierszem i prozę.
- Michał Chodyka** uczeń VI kl. SP nr 3 III ZPO w Międzyrzecu Podlaskim w pow. białskim w woj. lubelskim, laureat „Lipy’ 2018”, wierszopisarz i prozaik.
- Anna Cybart** uczennica VI kl. Katolickiej Szkoły Podstawowej Sióstr Dominikanek w Piotrkowie Trybunalskim w woj. łódzkim, laureatka XX Powiatowego Konkursu Literackiego „Hejtu nie lansuję, hejt blokuję” w Piotrkowie Tryb., wierszopisarka.
- Nel Dąbrowska** uczennica VII kl. POSM I st. im. S. Moniuszki w Katowicach, laureatka „Lipy” w latach 2018-19, międzynarodowego konkursu „Moje inspiracje muzyczne” w Nałęczowie, Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Okno” w Chorzowie w 2019 r., publikowała m.in. na łamach antologii poezji dziecięcej i młodzieżowej w Zabrze w 2018 r., autorka wierszy i opowiadań.
- Marta Dyrda** uczennica VI kl. SP nr 2 w Czechowicach-Dziedzicach, laureatka literackiej „Stypendiady Polonistycznej”, autorka opowiadań.
- Stanisław Englert** uczeń VI kl. SP nr 2 w Czechowicach-Dziedzicach, laureat ogólnopolskiego programu edukacyjnego „Być jak Ignacy”, pisze prozę.
- Aleksandra Filipowicz** uczennica V kl. SP nr 1 w Polkowicach w woj. dolnośląskim, autorka opowiadań.

- Jakub Fudała** uczeń VIII kl. Szkoły Niepublicznej im. Ireny Sendlerowej w Warszawie, prozaik.
- Amelia Iwan** mieszkanka Rudy Śląskiej, uczennica VIII kl. Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej I st. im. S. Moniuszki w Katowicach, laureatka ubiegłorocznej „Lipy”, posługuje się mową niewiązaną.
- Maciej Keller** uczeń V kl. SP nr 1 w Luzinie w pow. wejherowskim w woj. pomorskim, laureat „Lipy” w latach 2017-18, Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. Wandy Chotomskiej w Słupsku w 2018 i 2019 r. i Pomorskiego Konkursu Literacko-Plastycznego „Gwiazdka tuż... tuż...” w Wejherowie, pisuje prozę i wierszem.
- Aleksandra Kocot** uczennica VI kl. SP nr 36 w Bytomiu, laureatka „Lipy’ 2018”, Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Wolność kocham i rozumiem” w Gdańsku, Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Okno” w Chorzowie, Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. Wandy Chotomskiej w Słupsku w latach 2018-19 r., Nagrody Prezydenta Bytomia za wybitne osiągnięcia w roku szk. 2018/19 i in. konkursów literackich, autorka wierszy i opowiadań.
- Jan Kocot** uczeń V kl. SP nr 36 w Bytomiu w woj. śląskim, laureat „Lipy’ 2019”, XXXV Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. W. Chotomskiej w Słupsku w 2019 r., Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Młodzi Twórcy Literatury” w Płocku, Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Czas szkoły, czas dojrzewania” w Gdyni oraz Nagrody Prezydenta Bytomia za wybitne osiągnięcia w roku szk. 2018/19, prozaik.
- Barbara Kotula** uczennica III kl. SP w Pile w woj. wielkopolskim, członkini Klubu Literackiego „Pegazik” w Młodzieżowym Domu Kultury „Iskra” tamże, laureatka Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Janusza Korczaka w Płocku w 2020 r. i in. konkursów literackich, pisuje wiersze.
- Julian Kowalski** uczeń VI kl. SP nr 19 w Lublinie, laureat ogólnopolskich konkursów plastycznych, prozaik.
- Bartosz Kozak** uczeń VII kl. SP nr 28 w Gliwicach w woj. śląskim, laureat Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. Wandy Chotomskiej w Słupsku w latach 2018-19, I Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Młodzieży „Witkacy. Napisane dzisiaj” w Słupsku w 2020 r. i in. konkursów, wierszopisarz.
- Wiktoria Kozłowska** uczennica V kl. SP w miejscowości Słomków Mokry w gm. Wróblew w pow. sieradzkim w woj. łódzkim, laureatka Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. Wandy Chotomskiej w Słupsku w 2019 r., prozaiczka.
- Jakub Krok** uczeń VIII kl. SP w Węgrzcach Wielkich w gm. Wieliczka w woj. małopolskim, laureat Międzynarodowego Konkursu „Begegnung Mit Visioner” w Niemczech, VII Międzynarodowego Konkursu Literackiego „Młódzież pisze wiersze’ Berlin 2019”, Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. W. Chotomskiej w Słupsku w latach 2018-19, XI Ogólnopolskiego Konkursu „Siedem Grzechów Głównych” w Dąbrowie

- Górnicy, konkursu „Poetyckie Jaskółki” w Krakowie i innych konkursów literackich, pisze prozą i wierszem.
- Karolina Królak** uczennica VII kl. SP nr 1 w Sokołowie Podlaskim w woj. mazowieckim, autorka opowiadań.
- Aleksandra Krystian** uczennica VI kl. SP w Ryczowie w gm. Spytkowo w pow. wadowickim w woj. małopolskim, laureatka gminnych i wojewódzkich konkursów literackich, pisze prozą.
- Emilia Marciniak** uczennica VII kl. SP w Szarwarku, w gm. Dąbrowa Tarnowska w woj. małopolskim, pisze prozą.
- Ewelina Matejko** uczennica V kl. SP w Tłuścju w gm. Międzyrzec Podl. w pow. bialskim w woj. lubelskim, członkini Grupy Poetyckiej „Art Ovo” w Centrum Praktyk Artystycznych w Międzyrzeczu Podl., laureatka „Lipy’ 2019” oraz Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. W. Chotomskiej w Słupsku w 2019 r., pisuje wierszem i prozą.
- Aleksandra Miller** uczennica VII kl. SP nr 4 w Jaśle w woj. podkarpackim, pisze prozą.
- Andrzej Ossowski** uczeń VII kl. SP w Brzeziu w gm. Zabierzów w pow. krakowskim, prozaik.
- Julia Parafiniuk** uczennica VII kl. w ZPO nr 3 w Międzyrzeczu Podlaskim, w pow. bialskim w woj. lubelskim, laureatka „Lipy’ 2017”, Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Zaczyna się od słowa” im. Ziemowita Skibińskiego w Łodzi w 2018 r., Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. Wandy Chotomskiej w Słupsku i Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Janusza Korczaka w Płocku w 2019 r., pisze wiersze.
- Zofia Piasecka** uczennica V kl. SP nr 1 w Mielcu w woj. podkarpackim, laureatka Konkursu Literackiego „List do ulubionego pisarza” w Poznaniu i Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Czas szkoły, czas dojrzewanania” w Gdyni w 2019 r., pisuje prozą.
- Martyna Pichlak** uczennica III kl. SP w Bolesławiu w pow. olkuskim w woj. małopolskim, laureatka konkursu wydawnictwa Nowa Era „Popisz się talentem” w 2019 r. oraz konkursów literackich w Dąbrowie Górniczej, Bukownie i Bolesławiu, wierszopisarka.
- Zofia Pichlak** uczennica VII kl. SP w Bolesławiu w pow. olkuskim w woj. małopolskim, laureatka Konkursu Poetyckiego pod patronatem marszałka woj. śląskiego w latach 2018-19 oraz innych konkursów literackich w Dąbrowie Górniczej, Bukownie i Bolesławiu, autorka wierszy.
- Emilia Pospieszny** uczennica VIII kl. ZSP nr 10 w Rzeszowie, laureatka „Lipy’ 2019”, pisuje prozą.
- Olga Pytasz** uczennica VI kl. SP nr 18 w Dąbrowie Górniczej w woj. śląskim, laureatka „Lipy” w latach 2018-19 i Ogólnopolskiego Konkursu „Siedem Grzechów Głównych” w Dąbrowie Górniczej, pisze wierszem i prozą.
- Marika Pytlarz** uczennica VII kl. SP nr 5 w Pile w woj. wielkopolskim, uczestniczka zajęć w Klubie Literackim „Pegazik” w MDK „Iskra” tamże, laureatka

„Lipy” w latach 2017 i 2019 oraz X Ogólnopolskiego Konkursu „Siedem Grzechów Głównych” w Dąbrowie Górniczej w 2018 r., wierszopisarka.

**Zuzanna Rybarczyk** uczennica VIII kl. SP Niepublicznej nr 38 w Warszawie, pisze prozę.

**Michalina Ryńska** mieszkanka Potoku Małego w gm. Jędrzejów w woj. świętokrzyskim, uczennica VIII kl. SP nr 2 w Jędrzejowie, laureatka Międzynarodowego Konkursu Literackiego „Jak uszczypnie, będzie znak” w Elblągu, Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Płynąć pod prąd” we Wrocławiu, konkursu Nowej Ery „Popisz się talentem” w Warszawie w 2020 r. i innych konkursów literackich, prozaiczka.

**Mikołaj Jan Siedlanowski** uczeń VI kl. SP w ZPO nr 3 w Międzyrzeczu Podlaskim, w pow. białskim w woj. lubelskim, autor wierszy.

**Anna Siłka** uczennica VIII kl. ZPO nr 3 w Międzyrzeczu Podl. w pow. białskim w woj. lubelskim, laureatka Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Wolność kocham i rozumiem” w Gdańsku i Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Czas szkoły, czas dojrzewanania” w Gdyni w 2018 r., wierszopisarka.

**Olga Skrzeczowska** uczennica VIII kl. SP w Rykoszynie w gm. Piekoszków w pow. kieleckim, uczestniczka zajęć w Bibliotece Centrum Kultury w Piekoszowie, pisuje prozę.

**Franciszek Słowiak** uczeń VI kl. ZSP w Ryczowie w gm. Spytkowice w pow. wadowickim w woj. małopolskim, laureat „Lipy’ 2019” oraz wojewódzkich i regionalnych konkursów artystycznych i polonistycznych, pisuje wierszem i prozą.

**Grzegorz Sobkiewicz** uczeń V kl. PSP nr 12 w Stalowej Woli w woj. podkarpackim, laureat „Lipy” w latach 2018-19, XIV Międzywojewódzkiego Konkursu Poetyckiego „Ja i Świat” w Rzeszowie w 2018 r., XXXV Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. W. Chotomskiej w Słupsku w 2019 r., XXVI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Janusza Korczaka w Płocku, Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Czas szkoły, czas dojrzewanania” w Gdyni w 2019 r., pisze wierszem i prozą.

**Maja Stanlik** uczennica VIII kl. SP im. M. Kopernika w Buczkowicach w pow. bielskim w woj. śląskim, prozaiczka.

**Olivia Szymaniak** uczennica VII kl. SP nr 1 w Sokołowie Podlaskim w woj. mazowieckim, laureatka Konkursu Jednego Wiersza „Nocy Poetów” w Jabłonie Lackiej, pisze prozą i wierszem.

**Lena Urbaniak** uczennica VI kl. PSP nr 9 w Radomsku w woj. łódzkim, laureatka „Lipy’ 2018”, autorka opowiadań.

**Gabriela Wcisło** uczennica IV kl. ZS im. Jana Pawła II w Sokołowie Małopolskim w pow. rzeszowskim, laureatka „Lipy’ 2019” i konkursu „Młodzi Twórcy Literatury” w Płocku w 2019 r., prozaiczka.

**Anna Węgrzyniak** mieszkanka Sławacinka Nowego, uczennica VII kl. SP w Styrzyńcu w gm. Biała Podlaska, w woj. lubelskim, laureatka konkursów humanistycznych, pisze prozę.

**Małgorzata Wierchalek** mieszkanka Rudy Śląskiej, uczennica VIII kl. POSM I st. im. S. Moniuszki w Katowicach, prozaiczka.



- Julia Wojciuch** uczennica V kl. SP w Godziszce w gm. Buczkowice w pow. bielskim w woj. śląskim, laureatka konkursów plastycznych, autorka opowiadań.
- Amelia Wojrach** uczennica III kl. ZPO nr 2 w Międzyrzeczu Podl. w pow. białym w woj. lubelskim, członkini Grupy Poetyckiej „Art Ovo” w Centrum Praktyk Artystycznych tamże, laureatka „Lipy” w latach 2018-19, Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. W. Chotomskiej w Słupsku w 2019 r., ubiegłorocznego X Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Przecież każdy pisze wiersze” w Ursusie i in. konkursów literackich, wierszopisarka.
- Nikoła Wojtusiak** uczennica V kl. SP nr 2 TS im. M. Lutra w Bielsku-Białej w woj. śląskim, laureatka „Lipy” w latach 2017-19 oraz wielu konkursów czytelniczych, recytatorskich, plastycznych, geograficznych i ekologicznych, pisuje wiersze.
- Magdalena Wyszomirska** uczennica VII kl. SP nr 37 w Bielsku-Białej, posługuje się mową niewiązaną.
- Klaudia Żurawska** uczennica VII kl. SP w Szarwarku w pow. dąbrowskim w woj. małopolskim, pisze prozę.

#### *Uczniowie szkół średnich*

- Magdalena Bąk** uczennica II kl. I LO w Andrychowie w pow. wadowickim w woj. małopolskim, pisze wiersze.
- Jagoda Burekowska** mieszkanka Czarnochowic w gm. Wieliczka w woj. małopolskim, uczennica I kl. IV LO w Krakowie, pisze prozę.
- Magdalena Fila** uczennica I kl. LO nr 1 w Jaśle w woj. podkarpackim, laureatka „Lipy” w latach 2013-2019, Międzynarodowego Konkursu Twórczości Literackiej Dzieci i Młodzieży im. W. Chotomskiej w Słupsku, konkursu „Moja Wymarzona Przygoda” podczas Międzynarodowego Festiwalu Literatury Dziecięcej w Rabce w 2017 r. i in. konkursów literackich, pisze wierszem i prozą.
- Ada Galant** uczennica II kl. Prywatnego LO im. Królowej Jadwigi w Lublinie, laureatka „Lipy” w latach 2011-12 i 2017-19 oraz in. konkursów poetyckich, np. Diamentów Lublina w 2012 r., Wojewódzkiego Konkursu Literackiego dla Młodzieży „Kajet” w Lublinie w 2017 r., X Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Przecież każdy pisze wiersze” w Ursusie w 2018 r., XXXV Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. W. Chotomskiej w Słupsku w 2019 r. i konkursów recytatorskich, wierszopisarka.
- Hanna Gołąb** mieszkanka Bolesławia w gm. Olkusz, w woj. małopolskim, uczennica I kl. III LO im. A. Mickiewicza w Katowicach, laureatka Konkursu Poetyckiego im. Anny Piątek w Olkuszu, pisuje wiersze.
- Natalia Gontarczyk** mieszkanka Grodziska Mazowieckiego w woj. mazowieckim, uczennica II kl. LXVII Liceum Ogólnokształcącego w Warszawie, laureatka „Lipy” w latach 2016-17 i 2019, turniejów jednego wiersza „Srebrna Szyszka” w Międzyborowie i Pracowni Literackiej Stołecznego Centrum Edukacji

Kulturalnej w Warszawie: „Jesień’ 2018” i „Wiosna’ 2020”, posługuje się mową związaną.

**Patrycja Gotfryd** mieszkanka Siepietnicy w gm. Skołyszyn w pow. jasielskim, uczennica II kl. II LO w Jaśle, laureatka „Lipy’ 2019” i konkursu literackiego z okazji Dni Rzeszowa, prozaiczka.

**Monika Gurak** mieszkanka Nowej Wsi w gm. Michałowice w pow. pruszkowskim w woj. mazowieckim, uczennica III kl. XXXIII LO w Warszawie, laureatka Konkursu Literackiego „Dekameron’ 2020” w Łodzi, prozaiczka.

**Dorota Hareźlak** uczennica II kl. I LO w Andrychowie w pow. wadowickim w woj. małopolskim, prozaiczka.

**Kaja Hatlas** uczennica II kl. I LO im. S. Konarskiego w Oświęcimiu w woj. małopolskim, laureatka powiatowych konkursów literackich, wierszopisarka.

**Kornelia Jakszta** mieszkanka Roszczyc w gm. Wicko w pow. łęborskim, uczennica II kl. LO w Łęborku w woj. pomorskim, laureatka „Lipy’ 2018”, Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. Wandy Chotomskiej w Słupsku i innych konkursów literackich, autorka opowiadań.

**Agata Kankowska** mieszkanka Luzina w pow. wejherowskim, uczennica I kl. SLO w Łęborku w woj. pomorskim, laureatka „Lipy’ 2018” oraz Otwartego Konkursu Literackiego „Legendy Błękitnej Krainy” w Łęborku, posługuje się mową związaną.

**Liwia Karakula** mieszkanka Sokołowa Podlaskiego, uczennica I kl. I LO w Siedlcach w woj. mazowieckim, laureatka „Lipy’ 2019”, pisze wierszem i prozą.

**Małgorzata Kleiber** mieszkanka Wir w gm. Komorniki w pow. poznańskim w woj. wielkopolskim, uczennica I kl. XXXVIII Dwujęzycznego LO im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego w Poznaniu, laureatka I Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Młodzieży „Witkacy. Napisane dzisiaj” w Słupsku oraz turnieju jednego wiersza podczas XXIV Lednickiej Wiosny Poetyckiej w Łubowie w 2020 r., pisze wiersze.

**Jan Konrad Klein** mieszkaniec Bibic w gm. Zielonki w pow. krakowskim, uczeń II LO w Krakowie, laureat Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Zbiore wszystkich przyjaciół...” w Turku, L Festiwalu Małych Form Teatralnych i Wieczoru Poezji Autorskiej w Klubie „Pod Jaszczurami” w Krakowie, prozaik, próbuje sił w dramaturgii.

**Dominika Kocot** uczennica III kl. I LO im. Marcina Wadowity w Wadowicach w woj. małopolskim, laureatka ubiegłorocznej „Lipy”, pisuje prozą.

**Dominika Kraska** uczennica II kl. I LO w Sokołowie Podlaskim w woj. mazowieckim, autorka opowiadań.

**Katarzyna Krzykawska** uczennica I kl. Publicznego Liceum Jezuitów im. Św. St. Kostki w Krakowie, autorka opowiadań.

**Ellen Kuźma** uczennica I kl. I LO w Bydgoszczy, laureatka „Lipy” w latach 2017-19, Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. W. Chotomskiej w Słupsku w latach 2016-17 i 2019, XI Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Okno” w Chorzowie w 2017 r., VI konkursu literacko-plastycznego „W malarskim obiektywie Renoira” w Bydgoszczy w 2017 r. i in. konkursów literackich, pisuje wiersze.

- Oliwia Lejman** uczennica II kl. I LO w Wejherowie w woj. pomorskim, laureatka „Lipy’ 2019” i wielu regionalnych konkursów poetyckich i prozatorskich, pisze prozą i wierszem.
- Wiktoria Nowakowska** uczennica II kl. ZS nr 2 w Wałbrzychu w woj. dolnośląskim, laureatka „Lipy” w latach 2016 i 2019, posługuje się mową niewiązaną.
- Wiktoria Olejniczak** mieszkanka Lusówka w gm. Tarnowo Podgórne w pow. poznańskim w woj. wielkopolskim, uczennica II kl. XXXVIII Dwujęzycznego LO im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego w Poznaniu, wierszopisarka.
- Julia Opiłowska** uczennica II kl. LO w Pile, członkini Klubu Literackiego „Pegazik” MDK „Iskra” w Pile, laureatka „Lipy’ 2019”, Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. W. Chotomskiej w Słupsku i in. konkursów literackich, wierszopisarka.
- Paulina Orzeł** mieszkanka Kaniowa w gm. Bestwina w pow. bielskim, uczennica II kl. Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Bielsku-Białej w woj. śląskim, laureatka „Lipy’ 2019” i konkursu fotograficznego „Migawka’ 2019” w Bielsku-Białej, pisze prozą i wierszem.
- Katarzyna Owczarek** mieszkanka Myjomie w gm. Kępno w woj. wielkopolskim, uczennica II kl. LO w Kępnie, laureatka „Lipy’ 2019” oraz konkursu literackiego Tow. im. Brata Alberta we Wrocławiu, autorka opowiadań.
- Zofia Pankowska** mieszkanka Cienciska w gm. Strzelno w pow. mogiłańskim w woj. kujawsko-pomorskim, uczennica III kl. LO w Strzelnie, posługuje się mową niewiązaną.
- Julia Perzyńska-Wydrych** uczennica II kl. I LO w Szczecinie, laureatka „Lipy” w latach 2015-19, Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. W. Chotomskiej w Słupsku w l. 2015-19, I Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Młodzieży „Witkacy. Napisane dzisiaj” w Słupsku w 2020 r., pisze wierszem i prozą.
- Wiktoria Pichola** uczennica II kl. ZSO w Elblągu w woj. warmińsko-mazurskim, laureatka ubiegłorocznej „Lipy”, autorka wierszy.
- Sara Piekut** uczennica II kl. I LO im. Marcina Wadowity w Wadowicach w woj. małopolskim, laureatka „Lipy’ 2019”, pisuje prozą.
- Marcin Płonka** uczeń II kl. LO im. Marcina Wadowity w Wadowicach w woj. małopolskim, prozaik.
- Wiktoria Pytlarz** uczennica I kl. LO w Pile w woj. wielkopolskim, laureatka Ogólnopolskiego Konkursu „Siedem Grzechów Głównych” w Dąbrowie Górniczej, pisze wiersze.
- Julia Rojek** uczennica I kl. LO w Międzyrzeczu w woj. lubuskim, publikowała w III edycji antologii „Z międzyrzeckiej szuflady” w 2019 r., pisze prozą.
- Olga Różańska** mieszkanka Andrychowa w pow. wadowickim w woj. małopolskim, uczennica I kl. V LO w Krakowie, laureatka „Lipy’ 2019”, wierszopisarka.
- Małgorzata Sobkiewicz** uczennica I kl. Samorządowego LO im. C.K. Norwida w Stalowej Woli w woj. podkarpackim, laureatka ubiegłorocznej „Lipy”, XXXV Międzynarodowego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży im. W. Chotomskiej w Słupsku w 2019 r., Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego

„Czas szkoły, czas dojrzewanania” w Gdyni, XXIV Ogólnopolskiego Konkursu im. Ireny Kwinto „Życie bajką jest” w Lidzbarku Warmińskim w 2020 r. i wielu innych konkursów literackich, pisze wierszem i prozą.

**Alicja Stopkowicz** uczennica I kl. I LO w Krośnie w woj. podkarpackim, posługuje się mową niewiązaną.

**Kinga Suchanek** uczennica I kl. I LO w Andrychowie w pow. wadowickim w woj. małopolskim, prozaiczka.

**Maciej Szkróbka** uczeń I kl. III LO im. A. Mickiewicza w Katowicach, posługuje się mową wiążaną.

**Dagmara Szopińska** mieszkanka Będzina, uczennica CKZiU Technikum nr 6 w Sosnowcu w woj. śląskim, pisuje wiersze.

**Joanna Szymyślik** uczennica III kl. XXXVIII Dwujęzycznego LO im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego w Poznaniu, wierszopisarka.

**Marta Świetlicka** uczennica II kl. LO im. S. Żeromskiego w Bielsku-Białej w woj. śląskim, laureatka „Lipy” w latach 2018-19, pisze wierszem i prozą.

**Weronika Zofia Wieczorkowska** uczennica II kl. I LO im. Jana H. Dąbrowskiego w Kutnie w woj. łódzkim, pisze wiersze.

**Patrycja Wikaryczak** uczennica II kl. LO w Strzelnie w pow. mogiłańskim w woj. kujawsko-pomorskim, posługuje się mową wiążaną.

**Patrycja Wykrent** uczennica II kl. LO w Kętach w pow. oświęcimskim w woj. małopolskim, laureatka kęckiej „Ambrożjady”, wierszopisarka.

**Julia Żurek** mieszkanka Brzeźnicy w pow. wadowickim w woj. małopolskim, uczennica II kl. Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Nowym Wiśniczu w pow. bocheńskim w woj. małopolskim, laureatka „Lipy” w latach 2018-19, autorka opowiadań.

# Spis treści

Literatura w czasie zarazy	3
Marzenia o edukacji	3
Niezwykłość	4
Zerwane kontakty z naturą	6

## Wiersze uczniów szkół podstawowych

Emilia Albertusiak	<i>nikt nie dogoni...</i>	17
Emilia Bielaska	<i>Życie</i>	18
Małgorzata Chodyka	<i>Wiosna 2020</i>	19
Michał Chodyka	***	19
Anna Cybart	<i>Haiku</i>	20
Nel Dąbrowska	<i>fragment</i>	20
Aleksandra Kocot	***	21
Barbara Kotuła	<i>Okno</i>	21
Bartosz Kozak	<i>Bezpieczny świat</i>	22
Ewelina Matejko	<i>Haiku</i>	22
Julia Parafiniuk	<i>Herbatka codzienna</i>	22
Martyna Pichlak	<i>Pieśń do miłości</i>	23
Zofia Pichlak	<i>Nostalgia niewypowiedzianych słów</i>	24
Olga Pytasz	<i>Naiwne pytania...</i>	25
Marika Pytlarz	<i>Niepamięć</i>	26
Mikołaj Jan Siedlanowski	***	26
Anna Siłka	<i>Gruszka</i>	27
Franciszek Słowiak	<i>Przyrody przygody</i>	27
Grzegorz Sobkiewicz	<i>Nie chce...</i>	27
Amelia Wojrach	<i>Przed Wigilią</i>	28
Nikola Wojtusiak	<i>Konstytucja</i>	28

## Proza uczniów szkół podstawowych

Aleksandra Bednarz	<i>Gruby Teodor</i>	31
Szymon Błoński	<i>Starożytni</i>	33
Gaja Bochyńska	<i>Głos w ciszy</i>	35
Wiktoria Boniecka	<i>Baba z magła</i>	38
Weronika Zofia Brzana	<i>Spotkanie z Deszczówką</i>	41
Agata Chmielarz	<i>Szafirek</i>	43
Marta Dyrda	<i>Bądź wolna</i>	45
Stanisław Englert	<i>Piątek 13-ego</i>	47
Aleksandra Filipowicz	<i>Opowiadanie o zwykłym górniku, który dokonał niezwykłego czynu</i>	50

Jakub Fudała	<i>Vincenzo</i> .....	53
Amelia Iwan	<i>Warto</i> .....	55
Maciej Keller	<i>Autoportret</i> .....	59
Aleksandra Kocot	<i>Katharsis</i> .....	61
Jan Kocot	<i>Boże Narodzenie 1942</i> .....	62
Julian Kowalski	<i>Toksyczne motyle</i> .....	65
Wiktoria Kozłowska	<i>Uratować tysiące – wojna z wirusem</i> .....	66
Jakub Krok	<i>Dzień z życia</i> .....	71
Karolina Królak	<i>Pandemia</i> .....	73
Aleksandra Krystian	<i>Pudełko z różową kokardą</i> .....	75
Emilia Marciniak	<i>Dwa wirusy</i> .....	78
Aleksandra Miller	<i>Pasja kontra rodzice</i> .....	80
Andrzej Ossowski	<i>Strzykawka</i> .....	83
Zofia Piasecka	<i>Dziennik</i> .....	87
Emilia Pospieszny	<i>Nic nie jest tym, czym się wydaje</i> .....	89
Zuzanna Rybarczyk	<i>***</i> .....	93
Michalina Ryńska	<i>Pogoda ducha</i> .....	97
Olga Skrzeczowska	<i>Spotkanie po latach</i> .....	101
Maja Stanclik	<i>Bunt IV kręgu</i> .....	104
Oliwia Szymaniak	<i>Telefon do mamy</i> .....	108
Lena Urbaniak	<i>Jest jeszcze czas...</i> .....	115
Gabriela Wcisło	<i>Towarzyszka życia</i> .....	118
Anna Węgrzyniak	<i>Za późno...</i> .....	122
Małgorzata Wierzchałek	<i>Mała Księżniczka</i> .....	127
Julia Wojciuch	<i>Tutusi</i> .....	133
Magdalena Wyszomirska	<i>Fajny gość</i> .....	135
Klaudia Żurawska	<i>Koronadziennik</i> .....	138

#### *Wiersze uczniów szkół średnich*

Magdalena Bąk	<i>Uległość</i> .....	143
Magdalena Fila	<i>Pauza</i> .....	143
Ada Galant	<i>Szklani ludzie</i> .....	143
Hanna Gołąb	<i>Obecność</i> .....	144
Natalia Gontarczyk	<i>Wiersze i demony</i> .....	144
Kaja Hatłas	<i>Palma</i> .....	145
Kornelia Jakszta	<i>ołów</i> .....	146
Agata Kankowska	<i>Miejsce, które kocham</i> .....	146
Liwia Karakula	<i>Z czasem</i> .....	146
Małgorzata Kleiber	<i>Rutyna</i> .....	147
Ellen Kuźma	<i>Titanic</i> .....	147

<b>Wiktoria Olejniczak</b>	<i>Dłonie</i> .....	148
<b>Julia Opilowska</b>	<i>Modlitwa matki</i> .....	148
<b>Julia Perzyńska-Wydrych</b>	<i>Konfesonat</i> .....	149
<b>Wiktoria Pichola</b>	<i>Choroba dzisiejszych czasów</i> .....	149
<b>Wiktoria Pytlarz</b>	<i>Szklany obraz</i> .....	149
<b>Olga Różańska</b>	<i>Wszechświat</i> .....	150
<b>Małgorzata Sobkiewicz</b>	<i>Jak tu być dorosłym</i> .....	151
<b>Maciej Szkróbka</b>	<i>Czekając na świt</i> .....	152
<b>Dagmara Szopińska</b>	<i>Nowoczesny świat</i> .....	152
<b>Joanna Szymyślik</b>	<i>Drobne zmiany</i> .....	153
<b>Marta Świetlicka</b>	<i>Strach</i> .....	153
<b>Weronika Zofia Wieczorkowska</b>	<i>Jak skutecznie jajko</i> .....	154
<b>Patrycja Wikaryczak</b>	<i>Podobno</i> .....	154
<b>Patrycja Wykrent</b>	<i>Nie uciekaj</i> .....	155
<i>Proza uczniów szkół średnich</i>		
<b>Jagoda Burekowska</b>	<i>Korespondencja życia</i> .....	159
<b>Patrycja Gotfryd</b>	<i>Światła naszych dusz</i> .....	162
<b>Monika Gurak</b>	<i>Księgarnia na rogu</i> .....	167
<b>Dorota Harężlak</b>	<i>Zwierciadło</i> .....	170
<b>Jan Konrad Klein</b>	<i>WIERSZ</i> .....	172
<b>Dominika Kocot</b>	<i>Trzy Słowiki</i> .....	174
<b>Dominika Kraska</b>	<i>Młodym trzeba mecenatu, czyli jak wyjść poza formę?</i> .	176
<b>Katarzyna Krzykawska</b>	<i>Ona</i> .....	180
<b>Oliwia Lejman</b>	<i>Strunki nie było...</i> .....	184
<b>Wiktoria Nowakowska</b>	<i>Świat się zmienia</i> .....	188
<b>Paulina Orzeł</b>	<i>Kwas chlebowy</i> .....	192
<b>Katarzyna Owczarek</b>	<i>Metanoja</i> .....	195
<b>Zofia Pankowska</b>	<i>Winiarnia ze szkła</i> .....	198
<b>Sara Piekut</b>	<i>Tak blisko</i> .....	201
<b>Marcin Płonka</b>	<i>Dzień drogi</i> .....	205
<b>Julia Rojek</b>	<i>A co by było, gdyby...</i> .....	210
<b>Alicja Stopkowicz</b>	<i>SCHODY oraz natura zaaranżowanego małżeństwa</i> .	215
<b>Kinga Suchanek</b>	<i>Człowiek? Odpada</i> .....	218
<b>Julian Żurek</b>	<i>Avocado</i> .....	220
<b>Noty o autorach</b>	.....	227

**Spółdzielnia Mieszkaniowa „Złote Łany”**

43-300 Bielsko-Biała, ul. Jutrzenki 22  
tel. (33) 499-08-13 lub 499-08-33

**Organizator konkursu**

Spółdzielnia Mieszkaniowa „Złote Łany”  
Miasto Bielsko-Biała, Urząd Miejski w Bielsku-Białej

**Koordynator wydawnictwa**

Irena Edelman  
Dyrektor Spółdzielczego Centrum Kultury „Best”

**Redakcja i korekta**

Jan Picheta

**Opracowanie graficzne**

Krzysztof Dadak

**© Copyright by:**

Spółdzielnia Mieszkaniowa „Złote Łany”  
Urząd Miejski w Bielsku-Białej

**Wydawca**

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Bielsku-Białej

**Nakład**

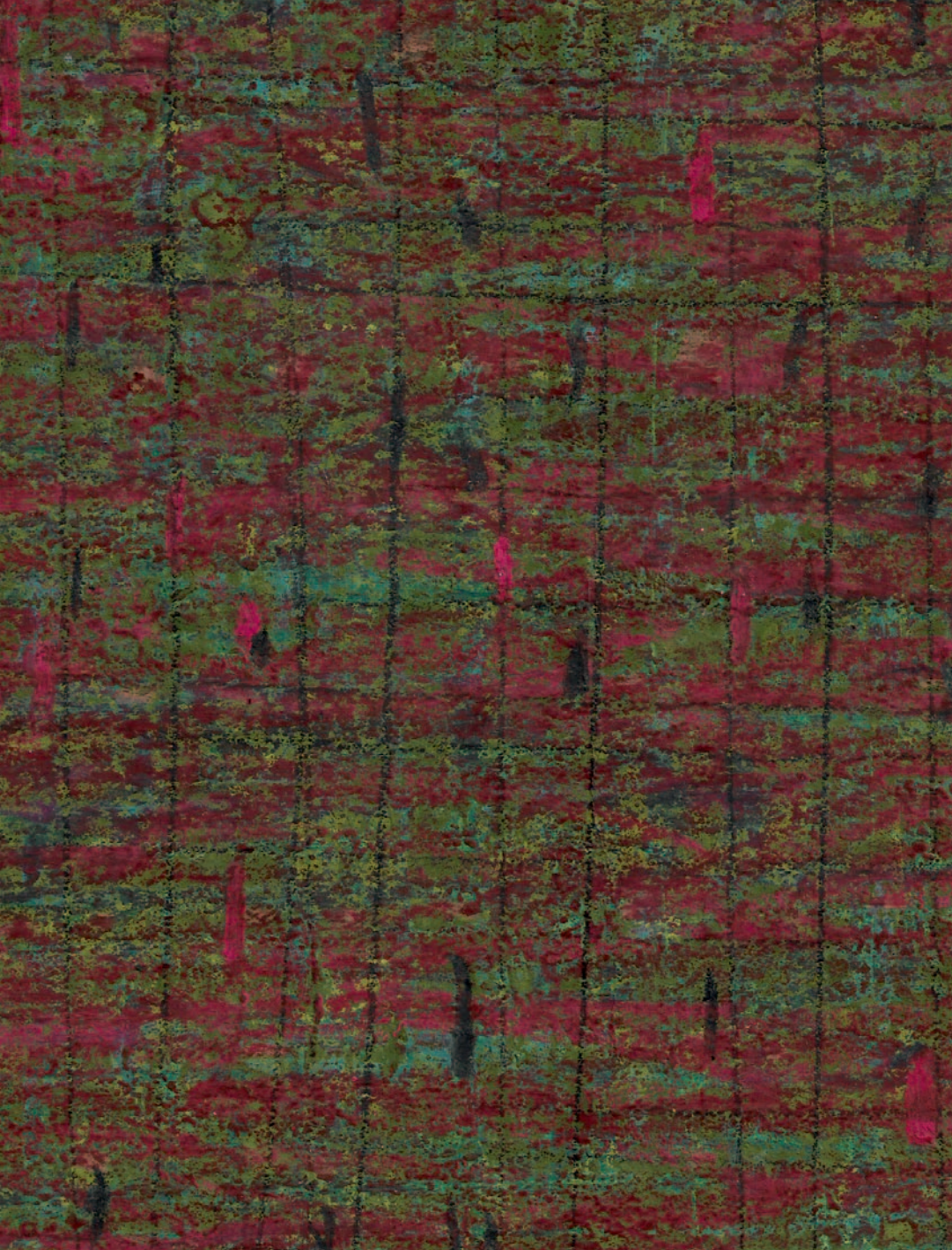
100 egzemplarzy – oprawa twarda  
300 egzemplarzy – oprawa miękka  
ISBN 978-83-66424-10-4 – oprawa twarda  
ISBN 978-83-66424-09-8 – oprawa miękka

**DTP i druk**

Ośrodek Wydawniczy „Augustana” Sp. z o.o.







ISBN 978-83-66424-09-8